

Gimnazjum im. J. I. KRASZEWSKIEGO
W BIAŁYMSTOKU
Księgozbiór Uczniowski
Nr 821

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM V.

PISMA

Gimnazjum im. J. I. KRASZEWSKIE
w BIAŁEJ.
Księgozbiór:
Nr. 820

JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

TOM CZWARTY.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
—
1861.

Gimnazjum im. J. [illegible]
w B I [illegible]
Księgozbiór: [illegible]
[illegible]

SPIS RZECZY.

	Stron.
Beniowski	1
Ksiądz marek	105
Sen srebrny salomei	197
Książę niezłomny	321
Król-duch	421
Do autora trzech psalmów	475

Gimnazjum im. J. I. KRASZEWSKIEGO
w BIAŁEJ.
Księgozbiór:
821

BENIOWSKI.

Gimnazjum im. J. I. Kraszewskiego
w BIAŁEJ.
Księgozbiór: I.
821

PIEŚŃ I.

Za panowania Króla Stanisława
Mieszkał ubogi szlachcic na Podolu,
Wysoko potem go wyniosła sława —
Szczęścia miał mało w życiu, więcej bolu;
Albowiem była to epoka krwawa,
I kraj był cały na rumaku, w polu.
Łany, ogrody leżały odłogiem,
Zaraza stała u domu, za progiem.

Maurycy-Kaźmierz-Zbigniew, miał z ochrzczenia
Imiona — rodne nazwisko Beniowski.
Tajemniczą zaś gwiazdę przeznaczenia,
Co go broniła jako Częstochowski
Szkaplerz, od dżumy, głodu, od płomienia,
I od plag wszystkich — prócz śmierci i troski;
Bo w życiu swojem namartwił się bardzo,
A umarł, choć był z tych co śmiercią gardzą.

Młodość miał bardzo piękną, niespokojną.
Ach! taką tylko młodość nazwać piękną,
Która zaburzy pierś jeszcze niezbrojną,
Od której nerwy w człowieku nie zmiękną;
Ale się staną niby harfą strojną,
I bite pieśnią zapału — nie pękną!
Przez całą młodość, Pan Beniowski bujnie
Czuł za trzech ludzi — a więc żył po trójnie.

Wioseczkę małą miał — ale dziedziczną,
Dwadzieścia miał lat — był u siebie panem.
Spraszał do domu szlachtę okoliczną —
Fortunka jego ciągle ciekła dzbanem.
Miał nadto proces i sprawę graniczną;
A prędzej sprawę wygrałby z szatanem,
Niż z ową psiarnią wtenczas palestrantów:
Słowem że przyszło do długów i fantów.

Pozbył się naprzód klinów i futorów,
Potem i konie wyprzedał z uprzężą —
Nie znano wtenczas jeszcze w Polsce szorów,
O które żony dziś mężów ciemiężą —
Pozbył się potem swoich białozorów
Regentowi dał charty — w rękę księżą
Ostatnie grosze dwa za ojca duszę.
I na ornaty dwa ojca kontusze.

Z tych majątkowych ostatnich konwulsyi,
Nie zyskał, jedno wyrok przeciw sobie;
Wyrok w którym rzecz była o expulsyi.
Mało o to dbał — tracąc na chudobie,
Dzisiaj są ludzie młodzi stokroć czulsi —
Lecz Pan Beniowski rzekł: ja sam zarobię
Na drugą wioskę, et si non ni noces
Fortuna — z wioską nabędę i proces.

I znowu mój syn będzie miał przyjemność
Z palestrą jadać i być Akteonem;
I na przyjaciół wzdychać niewzajemność,
I stać, tak jak ja, pod ciemnym jesionem
Który mój ojciec sadził. — O, nikczemność!
Tu Pan Kazimierz jęknął harfy tonem,
I na szumiący jesion łzawo spojrzał.
W tej chwili zyskał trochę — trochę dojrzał.

Trochę skorzystał w sobie jako prawnik,
Trochę skorzystał jak człowiek odarty

Na którego sam Pan Sędzia, Zastawnik
I Regent — niby trzy głodne lamparty,
Lub jako muły puszczone na trawnik,
Lub jak na duszę rozsierdzone czarty,
Wpadli, ogryźli, i na pocieszenie
Rzecz zostawili słodką — doświadczenie.

O doświadczenie! — ty jesteś pancerzem
Dla piersi w której serce nie uderza;
Jesteś latarnią nad morskiem wybrzeżem,
Do której człowiek w dzień pochmurny zmierza!
O doświadczenie! — jesteś ciepłem pierzem
Dla samolubów; tyś gwiazdą rycerza,
Bawełną w uszach od ludzkiego jęku —
Dla mnie, śród ciemnej nocy — świecą w ręku!

Lecz Pan Beniowski liczył lat dwadzieścia,
O doświadczenie jak o grosz złamany
Nie dbał — wolałby mieć wioskę i teścia;
To jest ślubem być dozgonnym związany
Z Panną Anielą. — Tej sztuka niewieścia
Sprawiła, że był srodze zakochany,
Na gitarze grał i rym śpiewał włoski,
I wszystko dobrze szło — dopóki wioski

Nie stracił — wtenczas po włosku: addio!
Po polsku: pisuj do mnie na Berdyczów.
Okropne słowa! jeźli nie zabiją,
To serce schłoszczą tysiącami biczów.
Panna Aniela, dziewczę z białą szyją,
Była z rodziny dostatniej A.... wiczów —
Kochała wiernie — wierność była w modzie —
Lecz ojciec — ten stał jak mur na przeszkodzie.

Mimo to jednak Aniela, jak róże
Co nad wysoki mur liściem wybiegną
Patrzeć na słońce — oczy miała duże,
Czarne. — Jak róże co się nad mur przegną,

I mimo czujne ogrodowe stróże,
  Zerwaniu chłopiąt i dziewcząt ulegną —
A potem gorzki los tych niewiniątek,
Więdnąć na włosach i sercach dziewcząteк!

Aniela — mimo ojcowskie czuwanie —
  Widywała się ze swoim Zbigniewem.
Kronika milczy czy to widywanie
  Odbywało się pod jaworu drzewem,
W godzinę kiedy słychać psów szczekanie,
  Kiedy słowiki wywołują śpiewem
Księżyc z pod ziemi — lecz pozwól Asindziej
Że się nie mogli widywać gdzie indziej —

Zwłaszcza o innej porze. — Ojciec srogi,
  Do tego wielki oryginał, splennik;
Djabeł wie jakiej wiary: w Rzymskie Bogi
  Wierzył i wierzył w proroctwa i w sennik,
Chrystusa także krwią oblane nogi
  Całował; zwał się Cesarzów plemiennik —
Słowem była to dziwna meskolancya
Świętości, złota, folgi — jak monstrancya.

To porównanie pojąłbyś od razu
  Gdybyś go widział w złocistym szlafroku,
Z łbem łysym, gdzie jak z Rembrandta obrazu
  Odstrzeliwało słońce; kiedy w mroku
Adamaszkowych purpur, stał jak z głazu
  Kłaniającym się ludziom na widoku;
I stał jak martwy, niczem się nie wzruszył,
Lecz widać było że żył — bo się puszył.

Zamek jego stał nad rzeczką Ladawą
  Na skale — a pod skałą staw był wielki.
W tym stawie widać było twarz jaskrawą
  Słońca, i białe łabędzie Anielki;
Grobelkę z młyńską u końca zastawą,
  Za groblą kościół Panny Zbawicielki

Z trzema wieżami baniastemi, w złocie;
I chat okienka niby oczy kocie.

Wszystko to było dziwnie piękne, cudne!
  Zwłaszcza że szlachcic, wielki oryginał,
Góry uczynił do przebycia trudne;
  Wężowe w skałach ścieżki powycinał,
I między róże, co rosły odludne,
  Postawiał golce Rzymskie. — Ten puginał
W ręku swym trzymał i twarz miał brodatą —
Zkąd łatwo było poznać że to — Kato.

Apollo w morzu zostawił koszulę,
  I na Starosty górach stał bez listka.
Dalej w egipskich katakombach, ule —
  Dalej posągi, którym koniec świstka
Wyłaził z gęby i przemawiał czule
  Do Pana zamku, jak do Antychrystka —
Albowiem wszystkie te wymysły pańskie
Nie katolickie były — lecz pogańskie.

W ogrodzie stała jakaś larwa niema,
  Czarna, ogromna, rozrosła szeroko;
Był to krzesany dąb na Polifema.
  Jedno w koronie miał wybite oko
A tyle widział nieba, co obiema;
  I nad sadzawką coś dumał głęboko,
Patrząc tem jednem okiem w ciemną wodę,
Na deszcz miał czarny wzrok, jasny w pogodę.

Naprzeciw była bardzo ciemna grota,
  Przed nią się nieraz siwy rybak skłoni,
Gdy go na stawie ogarnie ciemnota,
  A sieci pluszczą śród spokojnych toni —
Albowiem w grocie Matka Boska złota,
  Z wieńcem różanych lamp na jasnej skroni,
Jako Dyanna o poranku biała,
Na staw z różanej tęczy wyzierała. —

Słowem — było to istne głupstwa wzgórze,
Zwierciadło czyste cnego Antenata,
Na którym meszty świeciły papuże,
Rzymska, purpurą bramowana szata.
Przy ucztach często na łysinie — róże,
A w ręku czara ze śmiercią Sokrata,
Tak dobrze, wiernie wykowana rylcem —
Że kto pił, zdał się mędrcem — nie opilcem.

Z tego wszystkiego Pan Kazimierz śmiał się.
Lecz zakochany w cudownej Anieli,
Wyjawić szczerze swoich myśli bał się;
Polubił nawet te posągi w bieli,
Te groty od lamp różane — i stał się
Nabożnym bardzo w każdej skalnej celi;
W każdej albowiem była jego droga,
I w każdej po niej została część Boga. —

Woń jakaś, jakiś duch nieprzenikliwy,
Co myśli wtrącał i duszę w marzenia.
Każdy z nas miał kraj młodości szczęśliwy,
Kraj co się nigdy w myślach nie odmienia.
Ja sam, com widział Chrystusa Oliwy,
Góry z marmuru i góry z płomienia,
Wolę — i sądzę najpiękniejszą z krajów,
Jednę maleńką wieś, pełną ruczajów.

Pełną łąk jasnych, gdzie kwitnie wilgotna
Konwalja — pełną sosen, kalin, jodeł;
Gdzie róża polna błyszczy się samotna,
Gdzie brzoza jasnych jest kochanką źródeł —
A zaś przyczyna temu jest istotna,
Że na tych bagnach gdzie potrzeba szczudeł,
Jam wtenczas bujał na młodości piórach,
Jasny i chmurny — jako księżyc w chmurach.

O! Melancholjo! Nimfo! zkąd ty rodem?
Czyś ty chorobą jest epidemiczną?

Zkąd przyszłaś do nas? Co ci jest powodem
Że teraz nawet szlachtę okoliczną
Zarażasz? — Nimfo! za twoim przewodem
Ja sam wędrówkę już odbyłem śliczną!
I jestem dzisiaj — niech cię porwie trzysta! —
Nie Polak — ale istny Bayronista —

Trochę w tem wina jest mojej młodości,
Trochę — tych grobów co się w Polsce mnożą,
Trochę — tej ciągłej w życiu samotności,
Trochę — tych duchów ognistych co trwożą,
Palcami grobów pokazując kości,
Które się na dzień sądny znów ułożą,
I będą chodzić, skrzypiąc, płacząc, jęcząc;
Aż wreszcie Pana Boga skruszą — dręcząc.

Prześliczna strofa! mógłbym zacząć od niej
Nowy poemat, jak sąd ostateczny;
I przy Eumenid pokazać pochodni,
Jak jest grzech każdy dziwnie niebezpieczny;
Jak w jasnem niebie daleko jest chłodniej
Niż w piekle, kędy płonie ogień wieczny;
Lecz wolę dzieło to rzucić na później
Bo do porządku mnie wołają Woźni. —

Ci Woźni są to krytycy. — Kolego!
Byłżeś w Arkadyi tej, gdzie jezuici
Są barankami? — pasą się — i strzegą
Psów; i tem żyją, co ząb ich uchwyci
Na pięcie wieszcza. Kraina niczego!
Pełna wężowych ślin, pajęczych nici,
I krwi zepsutej. — Niebieska kraina!
Co za pieniądze Bab — truć nas zaczyna.

O! Polsko! jeźli ty masz zostać młodą
I taką jak ta być co dzisiaj żyje?!
I być ochrzczona tą przeklętą wodą,
Której pies nie chce, wąż nawet nie pije,

Jeźli masz z twoją rycerską urodą
Iść między ludy jak wąż co się wije;
Jeźli masz zrównać się z podstępnym Włochem:
Zostań czem jesteś — ludzi wielkich prochem!

Ale to próżna dla ciebie przestroga!
Ciebie Anieli niebiescy ostrzegą
O każdej czarze — czy to w niej przez wroga,
Czyli przez węża i pająka swego
Wlane są jady. — Jesteś córką Boga,
I siostrą jesteś Ukrzyżowanego.
Ciebie się żadna trucizna nie imie —
Krzyż twym Papieżem jest — twa zguba w Rzymie!

Tam są legjony zjadliwe robactwa:
Czy będziesz czekać aż twój łańcuch zjedzą?
Czy ty rozwiniesz twoje mściwe bractwa,
Czekając na tych co pod tronem siedzą,
I krwią handlują i duszą biedactwa,
I sami tylko o swem kłamstwie wiedzą;
I swym bezkrewnym wyszydzają palcem
Człeka, co nie jest trupem — lub padalcem?

Lecz pokój z niemi — nie, ten brud ruchomy
Nie zna pokoju — więc życzenie próżne!
Niechaj więc włażą w zakrwawione domy,
Niech plwają na miecz — stworzenia ostrożne
Aby zardzewiał, nim będzie łakomy
Ich zgiętych karków, niech mają usłużne
W jadzie maczane pióra — dusze w bagnie —
Niech żyją — takiej krwi — nikt nie zapragnie.

Czołem bijący w marmur Chrystusowy,
Kiedym się skarżył na klątwy i zdrady,
Tom się i o ten kielich krwi octowy
Upomniał — i Grób zaparł się: że gady
Z niego nie wyszły — lecz z urwanej głowy
Ten polip odrósł i lud wyssał blady.

Wygnać go była kiedyś wielka praca —
Ma nas za trupa ten szakal i wraca.

Precz z nim — lub jeźli przyczołgnie się żmija,
Pod Boga skrzydło kryjmy się i gromy —
Lecz widzę że mię ten liryzm zabija,
Że na Parnasu szczyt prowadzi stromy:
Kiedy czytelnik tę górę omija,
I woli prosty romans, polskie domy,
Pijące gardła, wąsy, psy, kontusze;
A nadewszystko szczere, polskie dusze.

Wszystko mieć będzie, wszystko mu przyrzekam
Tylko o trochę cierpliwości proszę.
Ja sam na Muzę i natchnienie czekam,
I czoło moje pomarszczone noszę,
I poematu ekspozycję zwlekam —
I weny ducha lekkiego nie płoszę,
Który na mózgu jak motyl na róży
Usiądzie — aż się kwiat listkami zmruży.

A potem nagle odemknie swe łono
Świeże i jasne — i na okolice
Rozeszle wonie co wszystko pochłoną. —
Ja się zdolnością natchnień bardzo szczycę,
I tu pokażę że nie jest zmyśloną,
Lecz z moich rymów czyni błyskawice;
A mym przekleństwom daje siłę grotów.
Czekajcie! — już pieśń zacznę — jużem gotów.

Był wieczór. — Z kwiatów wychodziły wonie
Melancholiczne, ciemniał las dębowy.
Beniowski kazał osiodłać dwa konie:
Jeden dla siebie, na drugim domowy
Miał jechać sługa. Beniowski na skronie —
Chciałbym powiedzieć: włożył hełm stalowy —
Lecz nie poemat pisząc tylko gadkę,
Powiem że tylko wdział — konfederatkę.

Zapiął na persiach szpencer z barankami,
Zawiesił burkę z tygrysiemi łapy,
Wsiadł na koń, spojrzał na ganek ze łzami,
Pogłaskał konia — koń otworzył chrapy
I w ciemną domu sień zaparskał skrami —
Na pożegnanie. Klasły dwa harapy
Pana i sługi. — I Pan ze swym sługą
Wyszli z rodzinnych progów — i na długo!

O! gdyby wtenczas jaka Nimfa smętna,
Wiadoma ludzkiej przyszłości, krzyknęła:
Już ty nie wrócisz! i stopy twej piętna
Są tu ostatnie! — lecz jeźli twe dzieła
Zapisze sława wszystkiego pamiętna:
Ten dom, z którego cię nędza wypchnęła,
Będzie świątynią, a te ciche świerki
Pójdą na krzyże i na — tabakierki.

A twe koszule porżną na szkaplerze,
A twe papiery — choćby to był tylko
Od Ekonoma list, albo przymierze
Wiecznej miłości z Handzią lub Marylką —
Sawantka łzami rzewnemi wypierze
I w sztambuch wklei, albo przypnie szpilką;
Że twa peruka — jeźli masz perukę? —
Frenologistów podeprze naukę!

Że twój but prawy powieszą w Sybilli,
A o znikniony lewy będą skargi. —
Nie mówię więcej, bo mój rym już kwili
I łzami się już zalewają wargi! —
Lecz gdyby jaka Nimfa w owej chwili,
Kiedy nasz rycerz na świata zatargi
Puszczał się, takie proroctwo wyrzekła:
Uczułby w sercu coś — coś nakształt piekła. —

O! dzika żądzo pośmiertnego żalu,
Jakiem ty jesteś smutnem głupstwem ludzi!

Zwłaszcza, że wiedziesz prosto do szpitalu
Rozmarzonego. — A nim się obudzi,
Już w jego oczach, jak w mglistym opalu,
Błyskają światła, szpitalnicy chudzi,
Mniszek pacierze, trumien robotnicy,
Mgła — za tą chmurą Pan Bóg nakształt świecy.

Ale to wszystko jedno. — Nasz bohater
Dom swój opuszczał ze swym starym sługą,
Jak opuszczała swój dom panna Plater —
A kiedyś, dawniej, Czarnecki z kolczugą —
Ach tak, jak p´źniej nasz Sejmowy krater
Który wybuchnął wielką, jasną fugą
Z Warszawy — Wisłę przewędrował promem —
I mówi że jak ślimak wyszedł z domem —

Ach! tak jak sztaby, klub i wszyscy święci,
Co dzisiaj w każdym są kalendarzyku
Emigracyjnym, niby z krzyża zdjęci —
Jak ja nareszcie, co w tym słoneczniku
Muszę się kręcić, bo się ze mną kręci
Za każdem słońcem — słońc mamy bez liku!
I trzeba dobrze nam tą myślą przesiąc,
Że dla niezgody słońc — królem jest miesiąc.

Lecz to dla innych wieszczów ta bez twarzy
Walka, jak w dawnej Skandynawów wierze,
Wojna niebieskich krwawych luminarzy.
Teraz niech nowi wystąpią rycerze,
Ułani, dawnych synowie husarzy,
Którym krew ruska chorągiewki pierze.
Pan Kaźmierz jechał takim być ułanem —
Kłaniało mu się zboże całym łanem.

Kłosek mu każdy dziękował ugięty,
Bławatek każdy mu się przypatrywał,
Ani się skarżył choć kopytem ścięty.
Beniowski jechał cicho — sługa, śpiewał

Jedną z tych pieśni, w których jęk zamknięty;
A głos po łanach złocistych przepływał
I wpadał w ciemny las, na dębów słuchy —
Te drżały, bijąc skrzydłami jak duchy.

Ciemniało. — Rycerz wyjechał nad jary,
Zkąd rzucił okiem na dom swej kochanki.
Skała ta jako wielki obłok szary,
Stała nad stawem; nad nią były wianki
Drzew ogrodowych, i dom wielki, stary,
Z płomienistemi okny i krużganki.
Całą tej górze postać excentryczną
Zdjęła złota noc, swoją szatą śliczną.

Nie widać było posągu Junony,
Dalekim oczom zniknął gdzieś Apollo;
Ale dąb widać było zamyślony
Co stał nad zamkiem żeniony z topolą —
Lecz z zamku księżyc wybuchał czerwony,
Jak smutny aktor co z Hamleta rolą
Wyjdzie na scenę. Księżyc wstąpił krwawy
I oczerwieniać zaczął staw Ladawy.

Pan Kaźmierz był z tych, co stawią na tuza
Cały majątek; przegrał go i plunął —
Lecz patrząc na ten dom gdzie wziął harbuza,
I z nadziei swych na wiek wieków runął:
Westchnął! — i wzniosła mu się w piersiach śluza,
Łzami się zalał i z siodła się zsunął
Jak człowiek, który dostał nagle mdłości. —
Przyskoczył stary Grześ «Co Jegomości?

«Święta Maryo ratuj! dziecko kona!»
Na to Beniowski rzekł: «poprawiam strzemię»
Odepchnął sługę co go brał w ramiona,
W konfederatkę się chlasnął i w ciemię;
Spojrzał na księżyc co zeń jak z Memnona
Wydobył jęki, i całe trosk brzemię

Takim westchnieniem wielkiem w księżyc cisnął,
Że księżyc zćmił się — zmarszczył — i znów błysnął.

Westchnąwszy jechał dalej brzegiem jaru,
A za nim sługa w ceglastym kontuszu. —
Smutnemu wiatr się zdaje pełen gwaru,
Litość aniołów brzęczy koło uszu:
Smutny jest gotów do bójki i swaru,
Gorączkowego pełen animuszu.
Takim Beniowski był i jego lozak —
Szczęściem że żaden się nie zjawił kozak.

Bo w takiej chwili kochanek rozpaczny
Gorszy niż lwica Wirgilla hirkańska.
Jechał więc smutny rycerz; za nim baczny
Na wszystko jechał Grześ — a wódka gdańska
W skórzanej flaszy dźwięk dawała smaczny —
I bełkotała ta Nimfa szatańska,
Właśnie jak gołąb co z miłości grucha,
Lub poetyczna na Litwie ropucha.

Słysząc jak słodko zapraszała flasza,
Spróbował jej Grześ raz, dwa, i trzy razy;
I w oczach mu się wnet zrobiła kasza
Z gwiazd, a sam księżyc był szperką — a głazy
Ludźmi. Więc jako żona Eneasza,
Został się w Troi, z konia spadł na ślazy. —
I tak bohater zbył swojego sługi —.
Ale za koniem jego szedł koń drugi. —

I było coraz ciemniej — wtem — o cuda!
Koń Grzesia zaczął prześcigać panicza;
Na nim siedziała jakaś wiedźma ruda:
Gałąź pokrzywy miała zamiast bicza. —
Tu widzę że mi się poemat uda,
Że mi już Muza swoich łask użycza;
Więc dalej! wieszczów galopem wyprzedźmy —
Jest ex Machina Deus — w kształcie wiedźmy.

Więc, jak powiadam; zrównały się konie.
Beniowski nagle ocknął się i wzdrygnął,
Widząc że siedział czart w srebrnej koronie
Na koniu, co go jak wicher prześcignął —
I wziął z Kaźmierza rąk w kościane dłonie
Lejce i stepem zamroczonym śmignął,
Ciągnąc za sobą mojej pieśni syna. —
Że Polak daje się wieść — nie nowina!

Widziałem. — Ale stój Muzo! bieg krzywy,
Tu nie przystoi wcale. — Miesiąc świeci,
Na koniu wiedźma, gałęzią pokrzywy
Smaga po zadzie konia i tak leci
W srebrnej koronie, jak anioł straszliwy,
O którym roją napół senne dzieci —
Że koń ma ze mgły, z wężów srebrnych bicze,
Skrzydła ogniste i niańki oblicze. —

I coraz prędzej, jakby anioł zgonu
Pędził za naszym rycerzem i babą.
Dźwięk głuchy kopyt, jak jęczenie dzwonu,
Jako tętnienia echo jęczał słabo,
A ręka wiedźmy, jak liść wielki klonu
Gdy zczerwienieje, lub jak mówi Strabo
Łapa Ibisa, czerwona, bez pierza:
Za lejc trzymała swój — i lejc rycerza.

W zawrocie głowy, rycerz wlepił oczy
W tę rękę z trzema czerwonemi żyły.
A więc rozmyślał czy z konia zeskoczy? —
Ale mu jego koń był bardzo miły —
Czy świsnie szablą aż się łeb potoczy
I spadnie z karku wiedźmy do mogiły? —
Ale i ta myśl druga i ta chętka
Zdawała mu się nie zła — lecz za prędka.

A tu bym wiedzieć chciał twe mądre zdanie
Mój czytelniku, i twój sąd o rzeczy:

Gdyby cię takie spotkało porwanie?
Byś nie spodziewał się z nikąd odsieczy?
I widział taką rękę, Mości Panie!
Czerwoną? — do miljona krwawych mieczy!
Taką ohydną rękę? pełną kości?
Co pozbawiła cię ludzkiej godności!

Zwłaszcza, jeżeli jesteś demokratą
I o swą godność indywidualną
Dbasz wielce. — Cobyś więc powiedział na to?
Gdybyś przez babę tak suchą! fatalną!
I — nie wiem pewnie — lecz może wąsatą
Sę-Symoniskę, i nie idealną
Ale kościaną: był pozbawion woli
I tchu, i czynił to co godność boli?

Nie wiesz? — Więc sobie zamawiam twą łaskę
Na dal, na rzeczy ważniejszych sądzenie. —
Beniowski więc wpadł w szatańską zatrzaskę —
Widzę w tym jego gwiazdę — przeznaczenie!
I leciał jak wiatr, patrząc w bladą maskę,
Którą słoneczne wkładają promienie
Na twarz księżyca; a w tym prędkim biegu,
Świat mu się cały zdawał kłębem śniegu.

Nagle — zwolniła kroku przewodniczka —
Roześmiała się, zeskoczyła z siodła.
Beniowski siedział na koniu jak świeczka,
Patrząc gdzie go ta wędrówka zawiodła.
Ujrzał, że chwastem zarosła uliczka,
Między skałami — co mogą za godła
Służyć dwom sercom, rozdartym na wieki —
Wiodła go prosto — prosto — do pasieki.

Pasiekę tę znał dobrze, i te skały,
I tę ścieżeczkę pełną rudej glinki.
Tutaj pasterskie roił ideały —
Z których czytelnik może robić drwinki. —

Starosta córce dał ten gaik mały
I od niej nazwał miejsce — Anielinki;
A zaś ta wiedźma, na pozór straszliwa,
Była to niańka Panny, stara Diwa.

Poznał ją rycerz i za tę czerwoną,
Za tę Ibisa rękę wnet uścisnął.
«Więc ty Irydą jesteś, a Junoną
Jest twoja Pani? Teraz obłok prysnął!
Ach, widzę jaką miałem myśl szaloną!
I cobym zrobił gdybym szablą świsnął
I odciął ci tę rękę, Diwo stara!
Drugi raz nie graj w djabła i w tatara.»

Tak mówiąc za swą Diwą szedł z pośpiechem —
I ze skał wyszli na łąkę zieloną,
Na którą księżyc spoglądał z uśmiechem,
Widząc tysiącznych róż otwarte łono.
Chata nakryta prostej słomy wiechem,
Ścieniona lipy ogromnej koroną,
Stała na łące, w najciemniejszej głębi,
Z girlandą śpiących w około gołębi.

Z drżeniem za Diwą szedł Beniowski młody,
Prowadząc konia co się wyrwał z dłoni
I poszedł zwolna, parskając, do wody —
Ta wyglądała z pod białych jabłoni,
Szarfą księżyca, błękitem pogody —
Za nim koń drugi poszedł rżąc — a oni —
To jest, nie konie, lecz nasz rycerz z Diwą,
Weszli w lepiankę pochyłą i krzywą.

Staruszek, Diwy mąż, poświecił w sieni,
I drzwi otworzył od Panny pokoju.
Na progu stała jakby smętna ksieni,
Panna Aniela cała w białym stroju;
Z dyamentowych zaś miesiąc pierścieni,
Podobny do gwiazd migających roju,

Błyskał na kruczych włosach rozwiniętych,
Właśnie jakoby złote światło Świętych.

Beniowski myślał że Anioł i witał
Jak bóstwo, długiem, przeciągłem westchnieniem —
Potem się zmięszał i o zdrowie spytał:
Co dziś byłoby wielkim uchybieniem!
Nieświatowością! znakiem że nie czytał
Pani Sand, że się Bajronicznym cieniem
Nie okrył, że jest niezgrabny w rozmowie,
Że nie wie jak to mówić romansowie.

Ja sam się dziwię, że za bohatera
Wziąłem takiego prostego szlachcica!
Oto pierwszy raz swe usta otwiera
Przed swą kochanką, która w nów księżyca
Swe włosy czarno-błękitne ubiera,
Jakby sawantka, albo czarownica:
I słyszy że, nie jak wieszcz, lub astronom,
Kochanek wita ją — lecz jak ekonom.

Na niezgrabnego już masz patent — a ja,
Rycerzu, wyprę się twoich grubijaństw —
I cała moich poematów zgraja,
Lęka się dalszych twoich swarów, pijaństw!
Anhelli cię ma biały za lokaja;
I Balladyna skora do zabijaństw,
Wolałaby się w trupów ukryć gęstwie,
Niż przyznać że jest z tobą w pokrewieństwie.

Co jest niejaką prawdą, bo te mary
Jedne się rodzą z serca, drugie z głowy,
A trzecie tylko z dziwnej, twardej wiary
W przyszłość, a czwarte obłok piorunowy,
A piąte mi koń w stepach przyniósł kary. —
Lecz ten poemat będzie narodowy,
Poetów wszystkich mi uczyni braćmi,
Wszystkich — oprócz tych tylko — których zaćmi.

Lecz do powieści. — Więc na progu stała
Panna Aniela prosta, dumna, czysta,
Dla zalotników zwyczajnych jak skała;
Z czego kochanek wybrany korzysta.
Albowiem nigdy nie kokietowała
Dla tego tylko, aby mieć ze trzysta
Kornych kochanków pod wachlarza trzonkiem,
Z których by żaden nie chciał być małżonkiem.

Lecz u Polaków tak! — Ciągną jak słomki
Za oczkiem jakiej Marysi lub Wandy,
Która im różne rozdaje przydomki,
A wiosną listkiem cyprysu, lewandy,
Z niemi w zielone gra — lub wiąże słomki;
Lub wędkę rzuca w te rybek girlandy,
Które za każdym wody pluskiem płyną,
Skosztują — haczek obaczą — i miną.

Lecz u Polaków tak — widziałem całe
Przy jednej pannie gimnazya, licea;
Ta miała często rączęta nie białe,
A złość tak wielką w sercu jak Medea;
A zaś korzyści z tych miłości małe,
I małe bardzo na później trofea.
Rozdały wiele włosów, łez, podwiązek —
Żadna nie weszła ztąd w małżeński związek.

A ztąd przestroga: że takie zbiorowe
Miłoście, nic są w miłości nie warte;
Że lepiej serce zawrócić niż głowę —
Serca w miłości bowiem są uparte,
Choć głowy stokroć bardziej romansowe,
I stokroć bardziej ogniście zażarte:
I często widząc że na świecie źle tym,
Z rozpaczy kończą tak, jak Werter w Getym.

Więc z drugiej strony w tem jest kompensacya
Dla tych, co dzisiaj są staremi panny,

Gdy na rozstajnej drodze jaka stacya,
I kamień — i trup w białą czaszkę ranny,
Świadczą, że każda z nich, jako akacya
Okryta słodkim kwiatem w czas poranny,
Brzęczała w koło pszczół zalotnych wieńcem,
I ma kochanka w piekle — potępieńcem.

Takim sposobem, wnet jest heroiną,
I poeci ją rymami zaszczycą:
Już jej nie nazwie nikt w pieśni dziewczyną,
Lecz musi nazwać posępnie dziewicą!
A kochanek jej, jak Fingal lub Ryno,
W chmurach skłębionych igra z błyskawicą,
I śpiewa wichrom piekielny tryolet,
Mając łzy w oczach — a w ręku pistolet.

Ale to nie był los Panny Anieli.
Chociaż tak piękna, jak żadna śmiertelna,
Zbliżyć się ludzie i kochać nie śmieli.
Została dumna i nieskazitelna,
Chodziła jako łabędź lub anieli,
Kołysząc się na giętkiej stopie. — Strzelna
Nie była swemi źrenicami — zgoła! —
Lecz oczy czarne jej, paliły czoła.

Włosy jej długie, krucze, w róg zwinięte,
Ciężyły głowie swą jedwabną wagą.
Ta sama głowa miała kształty święte,
I uświęcone snycerską powagą;
Smukłe, ku plecom w okrągłość ściągnięte. —
Ktokolwiek widział marmurową, nagą
Florencką Wenus, nie weźmie za fraszki
Tego — co mówię tu, o formie czaszki.

Jak owe jaje, w którem kiedyś Leda
Powiła syna bogu łabędziowi —
Jak? — dzisiaj się to wytłumaczyć nie da
Przez żaden nowszy cud katolikowi;

A gdym tłómaczył, to panna Prakseda
Święta — aniołek jezuicki, wdowi —
Jak na kazaniu siedziała Sanskryckim,
A potem dała mi w sam łeb — Witwickim.

Więc dziękowałem Bogu że z pod prasy
Nie wyszło jeszcze sześć psalmów Bojana,
Bobym te wszystkie katolickie kwasy
Miał na łbie, wszystkie sześć! — Bo ta kochana
Panna Prakseda, gdy chodzi w zapasy
I chce traktować kogo jak szatana:
Co ma pod ręką katolickich wieszczy,
Rzuca na głowę i bije i wrzeszczy.

Podziękowawszy więc Bogu, że tylko
Dostałem Złotym Ołtarzykiem — który
Każdą klamerką mię ukłuł jak szpilką —
Na niedźwiadkowe się bowiem pazury
Zamyka. — Czemże jest ból? Jedną chwilką!
Jak mówią w Dziadach Mickiewicza chóry.
Podziękowawszy w tej chwilki chwilowość
Wpadam w opisy znów i w romansowość.

Aniela miała cudowną postawę,
W noszeniu głowy cudną lekkość — włosy
A l'antique — barwy troszeczkę bladawe,
Oczy skier pełne, teraz pełne rosy,
Smutne i twarzy kochanka ciekawe,
I pytające się o własne losy.
Jej ręka piękna, maleńka i biała,
Za szorstką, silną biorąc rękę — drżała.

«Ty wyjeżdżałeś! tyś mi nie powiedział!
Ale me serce jest miłośnym szpiegiem.
Nie mów mi że jest między nami przedział
Fortuny. — Jestem nad przepaści brzegiem.
Usiądź — opowiem — wszystko będziesz wiedział!
Nie strasz się tylko trudności szeregiem —

Nie strasz się! jesteś ludziom w poniewierce —
Lecz ja cię kocham jedna — ja mam serce.

«Straciłeś cały majątek? — i cóż mi
Majątek? ludzi sąd? — ja kocham ciebie!
Ja twego serca chcę — a nie twych dusz mi
Potrzeba! — pójdę o żebranym chlebie.
Nie odpowiadaj mi na to, nie krusz mi
Serca — mój los już zapisany w Niebie —
Ja kocham ciebie! w twojem sercu żyję!
Kto nas rozdzielić chce — ten mię zabije!

«Dzisiaj przyjechał Dzieduszycki z drogi,
Znów się oświadczył i o moją rękę
Prosił. — Mój ojciec stał się dla mnie srogi,
I guwernantka jak na moją mękę
Za ojcem trzyma. I ludzie i bogi
Przeciwko nam są — i wuja Sosenkę
Przekabacili już na swoją stronę.
Płakałam — patrzaj — oczy mam czerwone.

«A tu, jak na złość! dla Dzieduszyckiego
Był bal. — Czy widzisz jak jestem ubrana?
Musiałam ubrać się dla ojca mego
W ten księżyc — lecz ja dla mojego pana,
Dla ciebie tylko! dla ciebie samego
Ubrałam się tak w kwiaty — po kolana.
Prawda że dobrze mi tak bez zawoja? —
Ja nie ubrałam się dla nich — ja twoja!

«Lecz ty wyjeżdżał? gdzie? — O! ty niewierny!
Gdyby nie Diwa byłbyś już daleko.
Gdzieżeś ty jechał? — Gdy mię ból niezmierny
Dręczy — kiedy mię przed ołtarze wleką,
Gdy nie zostaje nic, jak się w cysterny
Rzucić, lub twoją się zakryć opieką —
Ty mię opuszczał w chwilę tak okrutną!
Ja przebaczyłam już — ale mi smutno.

«Czy ty nie ufasz że ja zdołam jedna
Oprzeć się — zostać twoją? — Ja nie płocha!
Ty nie wiesz co to jest kobieta biedna,
Kiedy ją dręczą, kiedy mocno kocha
Zgubi się — potem u wszystkich wyjedna
Łzy nad swem sercem zgubionem i trocha —
Kwiatów i więcej też żadnej nie trzeba —
Cóż to? — Nie mówisz nic do mnie? — O nieba!

«Myślałam że ty mi dodasz nadziei» —
Tu wypuściła z rąk, rękę kochanka —
«Myślałam że ty w tej smutnej kolei» —
Tu blizko, szczęściem stała z wodą szklanka,
Wzięła ją — drżące w szkło usteczka klei;
Ząbki o kryształ dzwonią, jak kraszanka
Kiedy się z drugą spotka w dziecka dłoni.
Rzekłbyś że perła o dyament dzwoni:

«Myślałam» — Głos jej o jedną oktawę
Zniżył się, i pękł jak pęknięcie struny. —
Boleść złamała jej giętką postawę,
Myślałbyś że się chyliła do truny!
Tak, nawet małe usteczka jaskrawe
Zbladły, uczuwszy gorzkich łez piołuny.
Padła na krzesło i przez łzawe deszcze
Błysnął ostatni jęk — «Kochasz mię jeszcze?»

Beniowski już był na kolanach — w dłonie
Wziął drżącą rączkę Anieli. — Tu proszę
Włożyć mi wieniec Petrarki na skronie;
Bo na tem pieśń zakończę i ogłoszę
Po dawnych wieszczów umarłych koronie
Czas bezkrólewia; pobuntuję kosze,
Krytyków kupię z Grabowskim Prymasem —
Reszta owczarzy moja. — A tym czasem

Jako pretendent na własne poparcie
Utworzę całe wojsko w drugiej pieśni.

Epiczny zamiar wyjawię otwarcie,
Wyjdę z dzisiejszej estetycznej cieśni —
I skrzydeł mojej Muzy rozpostarcie,
Tęczowym blaskiem was oślepi wcześniej
Niż miałem zamiar. Suszę tylko głowę
Jak w rzecz wprowadzić rzeczy nadzmysłowe.

Księgozbiór: Jł
824

Niepodobało się już w Balladynie:
Że mój maleńki Skierka w bańce z mydła
Cicho po rzece kryształowej płynie;
Że bańka się od gazowego skrzydła
Babki-konika rozbija i ginie;
Że w grobie leżąc Alina nie zbrzydła,
Lecz piękna z dzbankiem na głowie martwica,
Jest jak duch z woni malin i z księżyca.

Nie podobało się: że Grabiec spity
Jest wierzbą, że się Balladyna krwawi,
Że w całej sztuce tylko nie zabity
Sufler i Młoda Polska, co się bawi
Jak każdy głupiec, plwając na sufity
Lub w studnię — która po sobie zostawi
Tyle co bańka mydlana rozwalin,
A pewnie nie woń mirry — ani malin —

O Boże! gdyby przez Metampsychozę
W Kozaka ciało wleźć, albo w Mazura;
I ujrzeć jaką popełniłem zgrozę,
Pisząc — naprzykład — Anhellego. Chmura
Gwiazd, białych duchów, które lgną na łozę
Jak szpaki Danta: rzecz taka ponura
A taka mleczna i nie warta wzmianki —
Jak kwiat posłany dla pierwszej kochanki.

Pewniebym takich nie napisał bredni
Gdybym był zwiedził Sybir sam, realny;
Gdyby mi braknął gorzki chleb powszedni,
Gdybym żył, jak ci ludzie borealni,

Troską i solą z łez gorących — biedni!
Tam nędzni — dla nas posępni, nadskalni,
Podobni bogom rozkutym z łańcuchów,
W powietrzu szarem, mglistem, pełnem duchów.

Pewnie bym — lecz ta spowiedź jest za długa,
Dygressje — nudzą; więc — mój czytelniku
Spróbuj czy ci się pieśń podoba druga,
Gdzie więcej nieco będzie gwaru, krzyku.
Kościół i wielka słoneczna framuga,
I na tęczowym Duch Święty promyku:
Także cokolwiek szlachty. — Powieść taka
Jak dawny, długi, lity pas Polaka.

PIEŚŃ. II.

O, nie lękajcie się mojej goryczy!
Dalibóg! nie wiem sam, zkąd mi się wzięła.
Długo po świecie pielgrzym tajemniczy
Chodziłem, farby zbierając do dzieła,
A teraz moja Muza strof nie liczy,
Lecz złe i dobre gwiazdy siać zaczęła;
Komu za kołnierz spadnie przez przypadek
Syrjus rzucony przez nią, lub Niedźwiadek —

Spali się — lecz ja nie winien. — Per Bacco!
Różnemi drogi mój poemat wiodę;
Jak Chochlik często częstuję tabaką,
A gdy kichają ja zaczynam Odę —
Naprzykład drugą piękną Odę taką,
Jak do młodości. Może serca młode
Pokochają mię za to żem jest śmiały,
Jak Roland, który w pół rozcinał skały.

I teraz chciałbym rozciąć — co? — dom jeden,
Podolski jeden dom rozciąć na dwoje;
I pokazać wam jaki szczery Eden!
Jak nieraz pełne aniołów pokoje!
Jak złoty, piękny domów jest syredeń! —
Ukraińskie to słóweczko, nie moje.
Wywołał je tu rym przez dźwięki bliźnie,
Nie miłość którą mam ku Kozaczyźnie:

Chciałbym więc rozciąć jeden z dawnych dworów,
Które na górach stoją nad stawami.
Stawy — to tarcze z tęczowych kolorów —
Gdzie się łabędzie białe za gwiazdami
Gonią, podobne do srebrnych upiorów,
A na nie księżyc jasnemi oczami
Patrzy — na niebie jeden, przez topole,
A drugi taki złoty księżyc — w dole.

Atoli, wnętrze tych domów dopiero
Poetycznem jest — zwłaszcza jeźli miłość
Oświeci, wonną je napełni mirrą,
I ścian drewnianych sprostuje pochyłość.
Podolanek są usta srebrną lirą,
Serca — ta strofa ma pewną zawiłość,
Której nie lubię, lecz ją skończyć muszę:
Serca są takie jak aniołów dusze.

Sam znałem jednę — lecz nie wspomnę o niej,
Bo się nadzwyczaj mój rym rozserdeczni.
Od serca mi jej wiało tyle woni
I tyle światła: że mi dziś słoneczniej —
Chociaż mi zegar teraz północ dzwoni —
Niż gdybym w Boga się patrzał najwieczniej.
Niech was bluźnierstwa nie rozpędza trwoga —
Ona umarła już — jest częścią Boga —

Duszą, światłością, wolą, jedną chwilą
Wieczności, wiedzą wszystkiego. — O! dosyć!

Niech resztę grobu cyprysy ochylą.
Różom najbielszym jej żałobę nosić.
Jej słońca drogi mlecznej nie omylą —
Zdziwiona blaskiem, będzie się podnosić
Jako harmonii lekkiej głos, bez końca,
Ze słońc, na wielkie słońca, i nad słońca.

A gdy się w drogi zatrzyma połowie,
Jak gołąb puszczę za nią skrzydła chyże —
A tu mi ręce zawiążcie na głowie,
I twarzą bladą połóżcie na lirze,
Jakbym, w Alpejskim upadłszy parowie,
Spoczywał. — Miałem ja troski i krzyże —
Więcej niż śniło się wam filozofom.
Lecz dajmy pokój tym myślom i strofom.

Dosyć o sercach strzaskanych, o świecie
Tu, ziemskim i tam, nadsłonecznym; oba
Smętne są. — Światy wam utworzę trzecie.
Jeżeli się mój poemat podoba,'
Znów drugi, wielki tom napiszę w lecie:
A te zostaną pieśni jako proba
Wcale nie według mego serca — ale
Ponieważ moje są — otwarcie chwalę.

Głupi! o sobie dobrze mów! wykrzyka
Ryszard w okropnym bardzo monologu,
Ujrzawszy siebie we śnie, jak krwawnika
Oczerwienionym, na piekielnym progu —
Szkoda że w Księdzu Kiefalińskim znika
Szekspir; przyczyną jest trudność połogu
W stanie bezżennym — także to, że z kiędza
Nie może nagle być Makbeta jędza.

O Księżach dobrze mów! jest to przestroga
Już nie Szekspira! na tym fundamencie
Moralność cała stoi! — Lecz na Boga!
Gdzie mój poemat? Moje przedsięwzięcie

Epiczne? Moja Arjostyczna droga? —
Widzę że wszystko mi stoi na wstręcie.
Nawet pisania łatwość rzuca plamę —
Mówią że w czterech dniach układam Drammę.

O Boże! ileżbym stworzył romansów,
Gdybym chciał wszystkich d.....w być zabawą!
Wyspą dla grubych naszych Sanszo Pansów,
Na której by się uczyli ze sławą
Syllabizować. Lecz z prozą aliansów
Nie chcę — do wiersza mam, jak sądzę, prawo.
Sam się rym do mnie miłośnie nagina,
Oktawa pieści, kocha mię Sekstyna.

Ktoś to powiedział, że gdyby się słowa
Mogły stać nagle indywiduami;
Gdyby Ojczyzną był język i mowa:
Posąg by mój stał, stworzony głoskami,
Z napisem patri patriae. — Jest to nowa
Krytyka. — Stój! — ten posąg błyska skrami,
Spogląda z góry na wszystkie języki,
Lśni jak mozajka, śpiewa jak słowiki!

Otocz go lasem cyprysów, modrzewi,
On się rozjęczy jak harfa Eola,
W róże się same jak Dryada wdrzewi,
Głosem wyleci za lasy na pola,
I rozłabędzi wszystko, roześpiewi —
Jak smukła, pełna słowików topola!
Co kiedy w nocy zacznie pieśń skrzydlatą,
Myślisz — że w niebo ulatujesz z chatą.

Że porwał cię głos, jasność księżycowa,
Serce rozkwitłe, rozlatane pieniem.
O! gdyby mogły się na posąg słowa
Złożyć i stanąć pod cyprysów cieniem,
Jak marmur który duszę w sobie chowa,
I zwolna złotym wylewa strumieniem!

A tak powoli leje i łagodnie
Że po tysiącach lat, jak słońce wschodnie,

Stoi w nim cała, ogromna. — O, gdyby! —
  Zachcenia moje są jak Klefta żądze,
Który chciał w trumnie mieć dla słońca szyby
  I dla jaskółek — na-co? — Znowu błądzę,
Jak Telimena gdy wyszła na grzyby,
  A zbiera mrówki — mrówkami są żądze —
Na wiatr to mówię tylko, lecz w nadziei
Żem dostrzegł — jako Poznańczyk — idei.

Czy w poemacie tym równie szczęśliwa
  Krytyka, równe porobi odkrycia?
Nie wiem. — Czasami myśl w Etherze pływa,
  Przez piękne bardzo przelatując śnicia,
Lecz później, pismo, druk — tęcze obrywa
  Z kształtów. — A teraz odblysk mego życia
Na ten poemat pada niezbyt pięknie.
Patrzcie jak serce wesołe — gdy pęknie!

Szczęściem że pieśni tej bohater młody,
  Świeży, miłośny i ma ciemne oko,
Złote połyskiem zielonawej wody,
  Lecz nie zbyt na świat patrzące głęboko.
Owszem, ma nadto serdecznej pogody,
  Nadto mu prawie na świecie szeroko.
Ach! nieraz szczerze westchniecie z litości,
Widząc, jaki w nim brak artystyczności!

Poezya go otacza — Czytelniku!
  Na jego miejscu, o, ileżbyś razy
Uczuł, że dusza twa na wykrzykniku
  Hypogryfując, leci, klnie wyrazy,
Klnie, że w około zimnych serc bez liku!
  Same szkielety pod nią, same płazy! —
Beniowski — jakby go Bóg o tem ostrzegł,
A priori to czuł — lecz nie spostrzegł.

Co lepsza, nigdy nie mówił, nie pisał —
  Biedaczek! brakło mu formy gotowej!
Nigdy się w myśli dzwon nie rozkołysał,
  Idei żadnej w nim nie było nowej —
Najnowsze, z ustek różanych wysysał,
  I teraz, patrzcie! w pasiece lipowej
Klęczy pokornie przy kochanki nodze —
Oboje na zbyt niebespiecznej drodze.

Lecz młodość. — O! ta pomimo dewotek,
  Ta jest najlepszą obroną dziewicom;
To jest kochanków młodość. — Mimo plotek,
  Szesnastoletnim się przybliżyć licom
Pozwólcie — zwłaszcza gdy chłopiec podlotek,
  Zazdrości skrzydeł dwu synogarlicom,
Dla tego tylko że się mogą bratać
Piórkami — ściskać i gruchać i latać.

O, pierwsza miłość! — Tej wiernym obrazem
  Jest zamienienie serc bez interesu;
Tej ideałem jest latanie razem
  W krainie, w której nie ma końca, kresu.
Potem się człowiek głupi staje płazem —
  Mimo krew zimną, z każdego karesu
Mogą wyniknąć rzeczy złe i zdrożne,
O których książki już mówią nabożne.

Za takie rzeczy, nie rozumię zgoła,
  Dla czego w Rzymie nieszczęsne grzesznice
Sadzą do zamku świętego Anioła —
  Prócz tych — ta strofa musi zakryć lice;
Wstydzi się że tę myśl wzięła od czoła,
  Nie zaś z profilu. O, Muzy dziewice!
Zarumienieniem waszym ucieszony,
Wracam do bajki mojej — z innej strony.

To jest, zostawiam z kochankiem dziewicę
  Śród róż, drzew, świateł księżycowych, woni,

Wód, rzucających srebrne błyskawice
Z pod brzóz i bielą okrytych jabłoni.
Serce przy sercu, i przy licu lice,
Dłoń niespokojna, w niespokojnej dłoni;
Ach! są to rzeczy bardzo piękne, czułe,
Lecz wieszcza mogą przemienić w gadułę.

A więc do zamku wracam, gdzie Starosta
Kłaniał się, pocił, dął, puszył, brał na ton:
A chociaż szlachta go słuchała prosta,
O rzeczach duszy rozmawiał jak Platon —
Na mózg wesołych ludzi wielka chłosta! —
Więc się rozeszli wołąc sen — niż świat on —
Co się naówczas zdał za-atlantyckim —
Został się pan Starosta z Dzieduszyckim.

Ów Dzieduszycki był to Regimentarz
Podolski, wielki wróg Konfederacyi,
Z której niedawno chciał uczynić cmentarz,
Co do jednego wyciąć — niech go kaci!
Z Rulhiera pewnie jego czyn pamiętasz:
A tu obaczysz jak mu się wypłaci
Konfederacya: jak jest niebezpiecznie
Z Demokratami być nie dosyć grzecznie!

Przypomnę tylko, że ten paliwoda
Zdradą na obóz napadł i wycinał,
Czego mu potem była wielka szkoda,
Bowiem go czekał strzyczek lub puginał.
Nie znano jeszcze wówczas Walenroda,
I kończył jak pies, kto zdradą zaczynał:
Exemplum: oba Litewskie Biskupy,
Na dwóch latarniach miejskich — oba trupy.

Dziś zdrajcom łatwiej — jeźli ich pod lodem
Car nie utopi — łatwiej ujść latarni.
Krukowiecki jest miasta Walenrodem,
Demokratycznym jest Gurowski. — Czarni!

Lecz obum wielka myśl była powodem,
Oba chcą Polski, aby ujść bezkarni;
Bo zna to dobrze ta piekielna para,
Że łatwiej odrwić Polaków — niż Cara.

Walenrodyczność czyli Walenrodyzm
Ten wiele zrobił dobrego — najwięcej!
Wprowadził pewny do zdrady metodyzm,
Z jednego, zrobił zdrajców sto tysięcy.
Tu nie mam więcej już rymu na odyzm
Co od włoskiego odjar-lo — najprędzej
Może zastąpić brak polskiego słowa —
Walenrodyczność więc — jest to rzecz nowa.

Mój czytelniku powiem coś na ucho:
I sam Paszkiewicz — domyślaj się reszty —
— Co? sam Paszkiewicz? — O tem jeszcze głucho,
Lecz jestem pewny. — Pomyślał: a wiesz ty?
Że on być musi już przejęty skruchą?
On jest Polakiem aż po same meszty,
Które mu dzisiaj wyszyła Wallida,
Aby Turkiem był dla Abdul Meszyda. —

— Tak jest: obaczysz, lecz trzymaj w sekrecie
Co powiedziałem: nie rzucaj się w spiski,
Bo wielkim rzeczom przeszkodzisz na świecie,
Rzeczom co jako piorunowe błyski —
W chmurach się kryją. — Więc już rozumiecie
Że Dzieduszycki nie miał jednej kreski —
Od brzegów Dźwiny po hordy Nogajca,
Wszyscy w Ojczyznie mówili: to zdrajca! —

Zwalił to wprawdzie na króla rozkazy;
Ale się wyparł król, jak zawsze bywa,
Wyparł się jako święty Piotr — trzy razy,
I cała wina na koguta spływa
Dla tego że piał. A więc wszystkie zmazy
Pan Regimentarz, kochanek Gradywa,

Dzwigał na sobie i chował in petto
Zemstę, jak Włochy co się mszczą stiletto.

Tym czasem chciał się ożenić bogato,
I okiem wszystkie przemierzywszy domy,
Najlepszym z domów wydał mu się na to
Ów zamek, wielki, malowniczy, stromy,
Gdzie mieszkał szlachcic pół, pół król, pół Kato,
Pół warjat, a pół syn Cezarów Romy;
Maleńki starzec, pół łysego czoła,
Ojciec, który miał córkę, pół anioła.

Wybrawszy teścia, przyjechał bez swatów,
Z intencyą ojca się oświadczył pannie;
Wspomniał o drzewie swoich antenatów —
Nie wspomniał ani raz o krwawej wannie,
Którą chciał sprawić dla Konfederatów —
Ale o królu mówił nieustannie,
Pokręcał wąsa, zarzucał wylotów,
Lubił pić, bardzo nienawidził kotów!

Dla tego kochał psy. Gdy gardło zalał —
Pozwolił nie raz Anieli szpicowi
Aby mu lizał wąs — za psami szalał,
Zalecał nawet dóbr intendentowi,
Ażeby chłopów psom kąsać pozwalał,
Mówiąc za zwyczaj, że to psy uzdrowi
Od bolu zębów — a ztąd od wścieklizny —
Miał jednak dobrą stronę — anewryzmy —

Te dowodziły że miał serce. — Głowy
Nie dowodziła w nim choroba żadna,
Lecz materjalny kadłub, z okiem sowy,
Na szyi zawsze nieruchomej; składna
Figurka, uśmiech i ukłon wężowy;
Grzeczność, co w takim panu bardzo ładna!
Wielka znajomość świata, krajów, ludzi,
I wiele tego wszystkiego co łudzi.

Ów pan układny więc siedział przy stole,
Przy samym panu Staroście, na prawo;
Dobijał właśnie targu i na czole
Widać mu było niecierpliwość krwawą,
Gryzącą — oczy utopił sokole —
Za ręce teścia, trzymał ręką prawą,
Lewą na stole wyciągniętą, prosto
Ku kielichowi — i mówił: «Starosto!

Jakem człek prawy! jakem Polak prawy!
Tak pragnę córkę twoją uszczęśliwić,
Wierzaj mi i bądź Starosto łaskawy.»
Tu, pragnąc trupi głos nieco ożywić,
Pociągnął wina. Pił jak but dziurawy,
I zwykł się nieco był po piciu krzywić;
Tak wyciągnąwszy blizko wina kwartę
Zmarszczył — i czoło rozjaśnił wytarte.

I rozjaśniony znów do zamku pana:
«Starosto, zezwól na szczęśliwość naszą.»
Tak mówiąc, teścia przyszłego kolana
Ścisnął pod stołem, i oczy co straszą
Chłopów, jak oczy czerwone szatana,
Uczynił cukrem i ponętą ptaszą —
A miał na oczach swoich, jak jastrząbek,
Z powiek wilgotno czerwonych obrąbek.

Starosta napół spiący, ale grzeczny,
Nie wstawał ani odpowiadał na to,
Pan to był bowiem, co chciał być bezpieczny,
Zwłaszcza gdy ujrzał twarz żółtą, wąsatą,
I wiedział że gniew może ściągnąć wieczny —
Gniew, który czeka z lichwą i z wypłatą.
Siedział więc zimny, lecz trochę się puszył,
Że w konkur, wielki pan, o córkę ruszył.

Nie odpowiadał nic, bo przez połowę
Już spał — a wreszcie nie chciał odpowiadać.

Pan Dzieduszycki zaczął prośby nowe,
Jak do pacierzy jął ręce układać:
Już się był począł przez słowa miodowe
Do uśpionego napół serca wkradać,
Już widział uśmiech co poprzedza wszędzie
Ostatnie, słodkie słowo: niech tak będzie.

Gadając, ręce pokornie złożone
Na stół położył obie, i wytrzeszczał
Na pana zamku oczy zaiskrzone —
Albowiem uśmiech mu senny obwieszczał,
Że po pijanemu zdobył sobie żonę —
W tem nagle jak wąż wzdął się i zawrzeszczał.
Wstał — lecz na stole miał obiedwie dłonie,
A na nich papier i orła w koronie —

Orzeł na karcie był — a karta była
Nożem tureckim do rąk mu przybita —
Boleść go nad nią w arkadę skrzywiła!
Oczy w niej toną — myślałbyś że czyta,
Ze karta trupie kolory odbiła
Na jego żółtą twarz. Ksiądz Karmelita
Za stołem cicho stał i patrzał z góry
Na czytelnika bladego tortury.

Ocknięty zamku pan — to raz na księdza,
To znów na ściany patrzał, wstając zwolna,
Ręka na szabli, w oczach gniewu jędza,
Ledwo się w sobie pohamować zdolna —
Lecz myślał że mu sen, mary napędza,
Tak dziwną była ta cisza okolna,
Ten papier nagle do stołu przybity —
Dzieduszyckiego jęk — wzrok Karmelity.

Już dawno by się był skokiem lamparta
Rzucił do szabli — ale mówiąc szczerze —
Myślał że sen mu grał sztukę Mozarta,
Że Don-Żuana widział na operze,

Gdy trupa ziemia puściła otwarta
Na muzykalny wieczór i wieczerzę.
Tak trudno było pomiarkować z razu
Czy ksiądz był z ciała ludzkiego czy z głazu.

Godzina była nocna i bez przerwy
Piał kogut, świece miały długie knoty,
Na wieżach zamku śpiewał ptak Minerwy,
A w jednym oknie miesiąc stanął złoty —
Znacie działanie tej gwiazdy na nerwy. —
Miesiąc więc w oknie stał — dziwne łoskoty
Na dachu, jakby jęczenia grobowe —
Wreszcie Ladawy pan — odzyskał mowę. —

«Ktoś ty?» ksiądz milczał «co tu robisz mnichu?
Co znaczy papier ten? na Lucyfera!»
Tu Dzieduszycki zajęczał po cichu,
Ale tak jęknął jak człek co umiera.
Spojrzał — chciał spojrzeć, lecz w powiek kielichu
Nie było oczu, tylko białość szczera,
Jak w źwierciadlanym łysnęła odruzgu;
Szkło tylko — gałki uciekły do mózgu.

Starosta spojrzał, i cofnął się biały
Jak wosk, jak oczy, któremi go szukał
Pan Dzieduszycki; ale okazały
W cofnieniu się swem, na ludzi nie hukał,
Zwłaszcza że ksiądz był wielki — a on mały.
Nieraz zaś przed tem pan Starosta fukał
Na równych sobie, niższym dawał szlagę,
Licząc na swoją małość i powagę.

Więc co miał w oczach skier, wszystkie zapalił,
Co miał na czole zmarszczków zebrał razem.
Sam by się Jowisz oburzony chwalił,
Tak Olimpijskim na twarzy wyrazem.
Spiorunowany ksiądz się w proch nie walił,
Lecz w jedną szybę okien rzucił głazem.

Na ten brzęk, wszystkie ganki i komnaty
Przewiał ogromny wrzask: Konfederaty.

Starosta spuścił łeb — ksiądz się przybliżył
I wyjął szablę mu złoconą z ręki:
«Przebacz wielmożny pan jeźlim ubliżył,
Lecz zamek był nam potrzebny; a jęki
Tego człowieka słuszne — Bóg go zniżył.
Ten co na krzyżu poniósł krwawe męki,
Ten go nam daje; a wyrok nie minie:
Kto mieczem grzeszył, ten od miecza zginie.»

Podczas tej mowy, twarze się wąsate
Pokazywały w podwojach — kołpaki,
Konfederatki — czapki i rogate
I krągłe, i kapuzy i pakłaki,
I owe jeszcze uszami skrzydlate
Co ekonomów są laurem. Gdy taki
Rój czapek i rój północnych latarek
Zjawił się: rzekł ksiądz: «ja jestem ksiądz Marek!»

Wstrzymał się — powiódł okiem po Staroście —
Zmarszczył się — i rzekł: dla Kozaka Sawy,
Który się bije z chłopami na moście
Wypuścić racę nad zamkiem Ladawy!
Wy się tu proszę bracia nie panoszcie
Rabunkiem, zamek się nie poddał krwawy;
Ale wielmożny dziedzic sam to czuje,
Że opór próżny — więc kapituluje.» —

— Na to Starosta krzyknął «protestuję
Przeciwko zdradzie haniebnej waszmościów,
Jako Rzymianin z zamku ustępuję —
Mieć nie będziecie nawet moich kościów.» —
Tu mi czytelnik zapewne daruje
Trochę w tej mowie niegramatycznościów;
Lub niechaj raczy ze mną na spoczynek
Do księżycowych wrócić Anielinek.

O! tam poezya gotowa! — Romeo!
Pożycz mi twoich słów rozpłomienionych.
Zresztą już Ursę mam z Kassyopeą,
Mam księżyc i mam dwoje serc pęknionych,
I Filomelę co tak jak J. B. O.
Ów Londyńczyków słowik zapalonych,
Śpiewa dla chcących spać arystokratów,
Tak — że go wszyscy dają do stu katów.

O! tam poezya. — Gdyby tylko na to
Aby się żegnać, warto brać amanty.
Czuliście kiedy tę łzę lodowatą
Przy pożegnaniu, ciężką jak brylanty?
Te słowa, «pójdę i skonam za kratą!»
Czyście słyszeli te słodkie kuranty,
Grane przez wszystkie pozytywki żywe,
A jednak — przysiągłbym że nie fałszywe:

Czyście żegnali? klęczeli? włos rwali?
Tracili ducha? wymowę? kolory?
Z paszportem pugilares? i tak dalej —
Czy przysięgaliście jako upiory
Wrócić po śmierci, przy księżycu biali?
Łopotać w okno czarne skrzydłem zmory?
Kochankę swoją w noc poślubną napaść,
Unieść na koniu i w ziemię się zapaść?

Czy wam pozwolił potem los nie wrócić?
Zachować smutku wrażenie niestarte,
I całe życie się przeszłością smucić?
Odwiedzać morza, ludy, Egypt, Spartę,
A zawsze: — «Ona teraz musi nucić!
Teraz na księżyc oczy ma otwarte! —»
Ach takem ja śnił — lecz na piramidzie,
Tfu! — odebrałem list — że zamąż idzie!

To mię cokolwiek zmięszało — nie bardzo —
Ale cokolwiek zmięszało, Bóg świadkiem! —

Są ludzie którzy wtenczas klną i gardzą,
Lecz ja to smutnym nazywam wypadkiem.
Takich dwa: — a me serce tak zatwardzą,
Że niezabudką już, ani bławatkiem
Nie da się nigdy wyprowadzić w pole —
Chyba mi posag położą na stole.

Ha, takem zgorzkniał, że nawet nie trącę
W tej pieśni — smutnej lutni pożegnania.
Szeptali długo jak wierzby płaczące,
Gołębie słychać tam było gruchania,
Łzy zimne, usta zmywają gorące;
Słuchać serc bicia, płacze, słowa, łkania.
Już się rozeszli — rzecz skończona! — Horor!
Miłość, przechodzi już w pamiątek kolor —

W kameleona, w serdeczną jaszczurkę,
W rzecz poetycznie piękną, w sen niebieski,
W muzę Olimpu zamglonego córkę,
W poemat smutny od deski do deski;
W mgłę podnoszącą się z łez, w białą chmurkę
Na tle przeszłości, w gwiazdę, w arabeski
Tęczowe — chmurą obwiedzione złotą! —
W dole: Raphaël pinxit, albo Giotto.

W galeryi siedzi dusza. — O, tęczowa
Kopuło myśli! tyś moim kościołem! —
Wymalowana, jasna, księżycowa
Nad srebrnym duszy wisząca aniołem! —
Modlitwą w tobie są rozpaczy słowa;
Serce wygląda jak urna z popiołem,
W najtajemniejszej kaplicy stojąca —
Tak jesteś, gdy cię żaden wiatr nie trąca. —

Lecz kiedy burza zawieje i wzruszy
Z filarów ciebie, kopuło tęczowa,
Pękasz jak niebo nad aniołem duszy;
Próżno się broni w błyskawicach głowa!

Cały gmach na nią upada i kruszy,
I ją, i serce, które biedna chowa
Jak smętny łabędź, pod skrzydły białemi.
Pękło — popioły rozwiał wiatr po ziemi.

Skończona wielka tragedja powagi
I ciszy greckiej; reszta wiatru wyciem —
Myśl zabłysnęła nagle jak miecz nagi,
Marzenia stają się czynem i życiem;
Czyny się stają piorunem odwagi —
Rozbiły kościół! — Pod jego rozbiciem
I serce pękło i burza przewyła —
Z wszystkiego, patrzcie co? — krzyż i mogiła.

Precz wszystkie takie sceny, odgrywane
W teatrze naszych wnętrzności, Maurycy
Przejdzie, uczuje sercem każdą zmianę —
Czas mu postawi źwierciadło różnicy —
Czas matematyk. Dziś serce strzaskane —
Ruszył na koniu pędem błyskawicy;
Za nim pasieka, szczęście, przeszłość, ona!
Kto wie za kilka lat, czy jego żona?

Panna Aniela, jeszcze nieświadoma
Odmian, które się w zamku wydarzyły,
Biegła, ścieżeczka przed nią była stroma,
Pomiędzy skalne wijąca się bryły;
Potem sadzawka i ów dąb z rękoma
Założonemi, ów dąb pełen siły,
Który się dawniej kochał bez nadziei,
Jedne swe oko topiąc w Galathei.

Nad tą sadzawką nasza młoda panna
Już zadyszana stanęła, poprawić
Włosy. Sadzawka była bowiem szklanna,
Można się było w niej oczyma bawić,
I była to gwiazd kryształowych wanna,
I rybki się w niej zaczynały jawić —

Długie, błyszczące robiąc korowody,
Ilekroć łezkę rzuciła do wody:

Ale przed rankiem, rybki spały na dnie.
Panna Aniela uwiązała włosy,
Nie przypatrzyła się nawet — czy ładnie,
Lękała się tknąć kwiatów pełnych rosy —
I serce biło w niej — bo chciała zdradnie
Do zamku dostać się — a jakieś głosy
W powietrzu cichem brzęczały i gwary —
Jak gdyby przez sen mruczał zamek stary.

Konfederatów był to wrzask daleki,
Którzy już doszli byli do piwnicy.
Panna Aniela wezwała opieki,
Nabożną będąc, u Bogarodzicy —
A w tem, gdy wzniosła do nieba powieki
Blask jakiś nagły jak od błyskawicy
Całą oślepił. — Nim oddech utracę
W tej strofie, powiem, że ujrzała racę.

Była to owa raca, nakazana
Przez księdza Marka, na znak Panu Sawie —
Pod biedną panną zadrżały kolana
Z trwogi — wąż leciał paląc się jaskrawie,
I syczał, i tak jak oko szatana
Spojrzał z błękitu; i tak jako pawie
Piór płomienistych zaokrąglił końce,
I zatrzymany w niebie, trwał jak słońce.

Anieli zdało się, że już odkryta,
Że już ją widzi ojciec, jej dugena,
Niebo, ta raca na gwiazdach rozbita,
I każda róża w ogniu, i phalena;
Już zdało się jej że świat cały pyta
I pokazuje ją palcem. — Ta scena
Byłaby bardzo przykra dla tej panny,
Gdyby to zamiast racy, był świat ranny.

Lecz raca zgasła i swe włosy złote
W ciemnym powietrzu cicho osypała.
Kilka z tych włosów przez grubą ciemnotę
Upadło właśnie z nieba tam, gdzie stała
Panna Aniela, myśląc jak tę psotę
I te wycieczki będzie ubierała
W wymówki; i pod ulewą ognistą
Przybrała na się postać dziwnie czystą.

Różane usta przygryzła zdradliwie,
Z oczu spuszczonych w bok miotała błyski,
Trochę się patrząc smutnie i fałszywie,
Przygotowała dla ojca uściski;
Dla guwernantki podobne pokrzywie
Pocałowanie, jeden ukłon niski
Dla pretendenta do obrączki ślubnej,
I z tym ukłonem uśmiech treści zgubnej.

Mimo to wszystko, serce biło szybko,
Cóś do tej główki wpadło — i pobiegła,
Biegnąc jak gdyby była złotą rybką,
Która od wędki zdala plusk spostrzegła;
I coraz prędzej leciała i gibko
Chwiała się, ogniem twarzyczkę zażegła,
Zadyszała się — i różowa wpadła
W bramę i w koło spojrzała i — zbladła.

Przy bramie stali obcy ludzie, mnodzy,
Różnego stroju, wąsaci i zbrojni.
Widać że byli trzymani na wodzy,
Bo ujrzeli ją i stali spokojni.
Byli to wszystko, szlachcice ubodzy,
Patryotyczni bardzo, bogobojni,
Na pierwszy ogień szli, stali przy bramach,
Choć zimno, rzadko który w lisich błamach.

Nie zapytała ich o nic, nie śmiała
O nic zapytać panna starościanka.

Ale spojrzawszy na nich już nie drżała;
Już wyglądając dumnie jak Rzymianka
Wyprostowana, sroga, trochę biała,
A okiem paląc jak Transteweranka —
Biegła, jak wicher szła przez korytarze,
O swego ojca twarz patrząca w twarze.

Jako Elektra weszła; elektrycznie
Cała się wstrzęsła widząc ojca w tłumie,
Który dowodził wtenczas retorycznie,
Że schylić głowy przed nikim nie umie;
Że radby się był rozsądzić granicznie
Z konfederacyą — i tak dalej. — W szumie
Tych słów, nic więcej nie pojęła córa,
Tylko że ojcu grozi jakaś chmura.

Blady był bowiem starzec — jego ręce
Drżały. — Tu powiem, że Dzieduszyckiemu
Pożyczył niegdyś proszony, na prędce,
Kozaków, przeciw Panu Puławskiemu.
Słusznie więc teraz zbladł jako jarzące
Świece, trupowi podobien białemu.
I ów pan cały purpurowy wczora,
Wyglądał jako posąg Komandora.

Ujrzawszy córka to, nie mówiąc słowa,
Pewnemi kroki do stołu się zbliża,
Widzi że sterczy w nim sztyletu głowa
W papier utkwiona, więc jak piorun chyża
Wyrywa ów nóż i za gorset chowa.
Wtenczas, by ręce boże zdjęte z krzyża,
Rąk dwoje wyszło z pod papieru, obie
Te ręce zdrajca położył na sobie.

I oblały go krwią jasną, dziurawe
Dłonie i włos mu okrwawiły siwy.
Potem ku piersiom poniósł ręce krwawe,
I na żupanie białym, znak straszliwy

Został, jak owe ordery plugawe,
Które dziś każdy kat i człowiek krzywy
Wiesza na piersiach. — Potem się posunął,
Dał krok, zawrzeszczał jak szatan i runął.

Serce w nim chore biło coraz prędzej,
Czekając tylko na noża wyjęcie,
I pękło. — Siwy ten sęp z okiem jędzy,
Utonął teraz już w dziejów odmęcie;
Ale są życia co z tej samej przędzy
Winą się — dla nich ten rym i przeklęcie!
Niech swoją przyszłość w tej pieśni odkryją!
Niech jak psi patrzą na trupa i wyją!

Gdy padł, rąk własnych zczerwieniony łzami,
Ksiądz Marek z krzyżem do niego przyszkoczył:
Lecz zdrajca za krzyż ukąsił zębami,
A potem ręką odepchnął i zbroczył.
Szmer zgrozy zachwiał w pokoju światłami! —
Ksiądz wyjął brewiarz, ustami namoczył
Palec i karty przewracał z pokorą,
Wiedząc że duszę tę — już djabli biorą.

Wtenczas Starosta rzucił się do stołu,
Kułakiem stuknął krzycząc: «rozbójnicy!»
Przemierzył księdza od góry do dołu:
«Waszeć byś lepiej modlił się w kaplicy
Niż — z mojego cię wyklnę Kapitołu!
Córko! podaj mi papier — kozak, świecy! —
Siadaj tu Panna, et pagina fracta
Pisz protestację, która pójdzie w akta.»

Posłuszna Panna Aniela usiadła,
Chwyciła w rękę pióreczko łabędzie. —
A starzec do niej «ta krew czarna, zsiadła,
Ta krew na stole atramentem będzie —
Umocz to pióro.» Aniela pobladła;
Krwią był zalany stół aż po krawędzie,

Krwią co wyciekła z rąk Regimentarskich,
Gdy mu przybito do rąk wyrok Barskich.

Ale posłuszna w krwi zmoczyła pióro,
Potem spojrzała i dreszcz ją przeniknął. —
«Wezwawszy bogów na świadki — pisz córo! —
Których bogdajby wzroku nie uniknął
Ów czyn niesczęsny i haniebny — juro!» —
Tu karmelita ksiądz powstawszy, krzyknął:
«Ja exorcyzmem te szatany zwalczę —
Co? ty krwią każesz pisać, bałwochwalcze?»

«A ty panienko grzech ściągasz na duszę,
Pisząc bluźnierstwa takie krwią człowieka.
Ja was tu jednym znakiem krzyża skruszę,
I na tem miejscu krwi popłynie rzeka,
Gdzie stoję, a te góry palcem ruszę
I na Moskali pójdą! — Kto tu szczeka?
Kto tu urąga się z Bożego Ducha?
Kto tutaj słysząc, nie słyszy i słucha?»

«Zaprawdę mówię ci, Panie Starosto,
Że masz na oczach bielmo i ślepotę.
I powiem ci tu bez ogródek — prosto,
Że prosto idziesz w piekielną ciemnotę —
Za to cię Pan Bóg chciał ukarać chłostą,
I gdyby nie ja; te komnaty złote
Byłyby dzisiaj twoją krwią zwalane,
I purpurowe i w ogień odziane.»

«Czy nie wiesz o tem? że na Ukrainie
Zaczęła się rzeź i szlachty wyrżnięcie?
Pod święconemi nożami krew płynie;
Pop pierś otwiera, a chłop daje cięcie
W bijące serce! Cały naród ginie,
Jak w zapalonym przez Boga okręcie;
A ty, że byłeś jak miecz obosieczny,
Ale bezczynny — sądzisz żeś bezpieczny?»

«Gdyby nie nasze nad tobą czuwanie,
Dzisiejszej nocy kozak twój Mohiła
Miał tu pohulać z tobą, wielki Panie!
Dziśby tu wielka rzeź w zamczysku była.
Idź! — on przykuty łańcuchami w ścianie,
A przy nim zbójców powiązanych siła —
Idź! obacz jakie teraz mają łoże:
Leżą na workach, a w tych workach — noże!»

«O! taka pościel będzie dla grzesznika,
Co jak ty, patrzy na mordy spokojnie!
Dziś byłbyś w piekle, tu, bez spowiednika
Zamordowany. — Pan Sawa się zbrojnie
Z twojemi chłopy na moście potyka,
I za twą całość krew wylewa hojnie.
A twoja siwa się tu rzuca głowa,
Jak gołąb biała, lecz w myślach jałowa.»

Podczas tej mowy, Pan Starosta, w czoło
Księdza jasnemi patrzał się oczyma;
Nagle jak człowiek gdy ujrzy że gołą
Zbójca siekierę nad głową zatrzyma —
Zadrżał. — A w tem Pan Sawa wszedł wesoło —
Sawa, ogromny skarb dla pisoryma,
Pół kozak a pół szlachcic — ten donosił
Że całą groblę starosty, krwią zrosił.

I widać było to na nim — wszedł z brzękiem,
Hucznie, lecz spojrzał i zmięszał się cały;
Ujrzawszy oczy, w których całym pękiem
Kupido trzymał najeżone strzały.
Zamek był broni napełniony szczękiem.
Trup na podłodze, karmelita biały
Nad trupem, blady Starosta, stół krwawy,
Za stołem panna anielskiej postawy —

Jako Sybilla z piórem w ręku. — Basta!
Na tym się moja pieśń kończy obrazie.

Dalej ujrzycie zapalone miasta,
Szlachcica z Żydem, z psem, na drogoskazie
Wiszących — romans w poemat urasta!
Cóż w nim o królu będzie, o zarazie,
O Panu Bogu? Pociągnąwszy hausta
Jak się rozogni myśl — napiszę Fausta.

Jak się rozgniewam na imaginacyę,
Djabłowi oddam bohatera duszę —
I pewnie zyskam wszystkich aprobacyę —
A tych co płakać ze mną nie chcą — zmuszę.
I Demokracyę i Arystokracyę
Do łez głębokich trzecią pieśnią wzruszę —
Wziąwszy następnie za rymów dewizę,
Jeżeli gryzę co — to sercem gryzę.

PIEŚŃ. III.

O! jakże smutno w jasnej życia wiośnie
Być tak samotnym jako Pan Kazimierz!
Gdy świat przed tobą w nieskończoność rośnie,
Gdy wszystko tęczą; lecz czego się imiesz —
Błotem. — Dopóki serce wre miłośnie,
Nie żyjesz na tym świecie, ale drzymiesz:
Gdy zgaśnie, wtenczas zaczynasz dopiero
Pojmować, że ten cały świat — satyrą!

Dopókiś młody bawią cię ballady,
Poezja gminna nadzwyczaj zachwyca,
Lubisz w wierszykach: chmury, księżyc, gady,
Znajdujesz, że jest jakaś tajemnica
W mgle, w której wiersze brzęczą jak owady,
I brylantują myśl blaskiem księżyca;

I myślisz że to sam poeta roi,
Skrzy się i błyska i leci? — On stoi.

Ty sam te wiersze niesiesz w kraj marzenia,
W tej mgle, twych własnych myśli tęcza świta,
W tych dumkach twoje latają westchnienia;
Potem z tych wszystkich wierszy, dumań, kwita —
Potem trzy wiersze Danta, pełne cienia,
Ale rozumu: serce twoje chwyta
Waży, rozbiera. A prawdziwa lekcya
Która poezyi uczy: jest dyssekcya.

Szkoda że z takiej dyssekcyi wynika
Jakaś szkodliwa materjalność, sucha —
Eureka! nasz Pan Grabowski wykrzyka,
A Tygodnik go Petersburski słucha:
«Oryginalny wieszcz do Tygodnika
Napisał nowy wierszyk pełny ducha,
Który zapewnia mu wieniec osobny;
Wiersz, do niczego przed tem niepodobny!»

Widać że po tym deszczu w Polsce krwawym,
Nowi poeci rodzą się jak grzyby.
Szkoda! że każdy jest nadzwyczaj łzawym!
I w oknie duszy ma zielone szyby! —
Każdy ma język swój, co jest kulawym.
Szkoda, że wszyscy są okuci w dyby,
A kiedy straszną opisują burzę,
To chmura piorun zostawia w cenzurze.

Z czego korzystam ja — i dwie już dramy
Piorunem bardzo skończyłem wygodnie;
Dla tego w raju mam zamknięte bramy,
I żadnej duszy myślą nie zapłodnię —
Cóżkolwiek ma być — wszyscy umieramy!
A czy nad grobem gwiazdy, czy pochodnie,
Czy laur, czy chwasty, czy łza? Dobre i to! —
Wlazłem jak w błoto w tę myśl pospolitą.

Był czas żem lękał się pospolitości
Jako święconej duch się lęka wody;
Lecz teraz często schodzę z wysokości,
Dla własnej sławy, pokoju, wygody;
Krytykom jak psom rzucam kilka kości —
Gryzą, lecz przyjdzie czas że te Herody,
Przez których teraz moje dzieci giną,
Będę gdzieś w piekle gryzł jak Ugolino.

Tymczasem wracam do powieści. — Ranek
Błękitnie w polach Podolskich zaświtał,
W niebiosach oczy utopił kochanek,
I marzeniami swoją przyszłość czytał —
I widział ją tak uwitą jak wianek,
Z dni szafirowych, złotych; już się witał
Ze sławą przyszłą i z tysiącem głośnych
Awantur; pragnąc nadzwyczaj — miłośnych.

Już widział dziesięć przynajmniej Andromed
Do skał przykutych srogiemi żelazy,
Z warkoczem, który wisi jak u komet —
Miłe nadzwyczaj w młodości obrazy!
Młodość albowiem świeża, jak Mahomet
Pantheistyczną jest, i wszystkie głazy
Zmienia w kobiety, w ogień topi kruszce,
Huryski widzi zamiast ziarnek w gruszce.

A tu odsyłam mego czytelnika
Do Alkoranu, gdzie stoi przypisek,
Że w raju każda się gruszka odmyka
I cztery z siebie wydaje Hurysek —
Chciałbym tam na czas być za ogrodnika,
I z tych owoców co dnia mieć półmisek;
Zwłaszcza, że w każdej gruszce, do wyboru
Masz cztery panny różnego koloru.

Słowem, ideał nasz kochanek białych,
Tęczowym jest na Wschodzie dogmatycznie:

U nas liczono by do rzeczy śmiałych,
Gdyby kto nawet, tworząc poetycznie,
W rymach malując jednę z tych przestałych
Owoców, starą pannę, seraficznie
Rozeskrzydloną w Bogu, bez rozwagi
Rzekł: płeć zieloną miała jak szparagi.

A jednak wielki poeta i prorok
Powiedział to w koranie i krytyka
Milczy — krytyka owa, która co rok
Tyle wad w moich utworach wytyka,
Jako ostrowidz lub jako nosorog,
Bo widzi ostro i rogiem przenika;
Szczęśliwa — gdybym dbał i był gorący!
I włożył imię jéj w poemat drwiący —

Imię krytyki? — nie, krytyków. — A! bah!
Ktoż z nich ma imię Z, K. S, K. E, K. —
Mówią że młodę Polskę pisze — baba!
Ale ja, widząc jak kąsa i szczeka,
Sądzę że jezuita — a ma draba,
Który tłómaczy na język człowieka:
Hymny, przestrogi, pacierze i lekcye
W dyabelskim napisane dyalekcie.

I ztąd się mocno cieszę, jak filolog,
Widząc, że u nas to się da wyszczekać,
Do czego Cerber w piekle czyni prolog
Ze swego wycia. — Ale nie czas zwlekać
Pieśni, dla tego że jakiś teolog
Krytyką mię chciał w kawałki posiekać!
Jakby — w baladach porównania szukaj —
On był przyjaciel wierny, a ja Tukaj.

Ale ważniejsze rzeczy radzi Muza.
Oto już słyszę z daleka pukanie
Z dział, z dubeltówek, z flinty, z arkebuza:
I czuję w sercu, że nadspodziewanie

Ks. J. I. KRASZEWSKI
W BIAŁEJ.
Księgozbiór: U.
821

Prędko, mój rycerz może dostać guza.
Niechaj się wola Pana Boga stanie!
Ja go prowadzę w ogień: — jeźli zginie
Poemat się mój wcale nie rozwinie.

Szkoda! czterdzieści cztery pieśni całych!
Czterdzieści bowiem cztery w planie stoi —
Bowiem do rzeczy dążąc zawsze śmiałych,
Zacząłem Epos tak, jak śpiewak Troi,
Większą — bo naród mój nie lubi białych
Rymów i nagiej się poezyi boi;
Więc rzecz co działa się tam, gdzieś, za Sasa,
Muszę opiewać całą wierszem Tassa.

Wierszem więc Tassa o czterdziestu czterech
Pieśniach zacząłem Epos i niestety
Może nie skończę! — i w gwiaździstych sferach
Nie będę mieszkał pomiędzy poety,
Jeźli Pan Zbigniew na ruskich giwerach,
Jak piorun co gór prześladuje grzbiety,
Nie zaprobuje miecza i to zaraz —
Zjadłszy przynajmniej trzy plutony na raz.

Trzeba albowiem aby się pokazał
Świetnie i zyskał czytelników względy.
— Właśnie w ten sam dzień Kreczetników kazał
Bar attakować, gdy po wioskach, wszędy
Lud się krwią swoich dawnych panów mazał,
A ekonomów, bez żadnej kwerendy
Wieszał — i przyszłą respublikę kształcił,
Bo żydów palił, a niewiasty gwałcił.

Dwie drogi — jedna jest w naturze rzeczy
I płodzi równość niebieską na ziemi;
Druga choć trochę Maltusa kaleczy —
Systema i to co za ziomki swemi
Pisze pan Cz..... zwolna Polskę leczy,
Katolikami zaludnia Rzymskiemi,

A żydom nic nie szkodzi, bo żyd w mig się
Odradza — patrz Tacyta o Fenixie.

Atakowano więc Bar, gdy nad Barem
Beniowski się zatrzymał na wyżynie.
Na koniu stał jak posąg nad wiszarem
I patrzał i rozmyślał co uczyni?
Bar jak na dłoni widział, lecz oparem
Wpół przesłonięty, blady, wojska w linii
Jak małe nitki mrówek, a na murze
Rozwijał się dym z harmat w białe róże.

I w tej girlandzie niby z róż śmiertelnych
Stało miasteczko w powietrznych błyskitach,
Wyrzucając błysk, do żądeł by pszczelnych
Podobny. — Kule szumiały po żytach,
Gwizdały, do jędz podobne piekielnych;
Lub po moskiewskich trącając jelitach,
Przebiegłszy całe plutony po szarfie,
Na ludziach grały jękiem — jak na harfie.

I wystaw sobie, mości czytelniku,
Że na swój ganek wychodzisz spokojny;
I widzisz pszczoły, w słonecznym promyku
Lecące do łąk — dalej — grodek zbrojny
O milę — na równinie; działa w szyku,
Attaki, słowem, krotochwilę wojny:
Wszystko się zwija, wre, kole i sieka,
A ty z krużganku patrzysz i zdaleka —

Tam jakiś starzec stanął na okopach,
Wzniósł rękę, czapkę przekręcił na ucho;
I działa jak psy legły mu przy stopach,
On je pogładził i szczęknęły głucho.
Kule gruchnęły po Moskiewskich chłopach,
Szczęsny! któremu to uszło na sucho,
Że pan Puławski jurysta ma ferje,
I zamiast pisać akt — stawia baterje.

Tam widać laski brzozowe i klony
Blade, z gałązek kulami owiane,
Jednym girlandy czarne robią wrony,
Z drugich unoszą się z wrzaskiem, wygnane.
Dalekie miejskie słychać gwary, dzwony,
Wszystko w koło wre: tylko zadumane
Na szarym polu dwie Maćkowe grusze,
Jak wróżki pod swój liść chowają dusze.

Tu długim, czarnym, mrówczanym łańcuchem
Zbliża się Moskal pieszy ku mieścinie,
Tu kawalerya się wężowym ruchem
Z jaru wywija, zbiera, szczęka, płynie,
Kłania się, kiedy kula po nad uchem
Gwiźnie — i znów się prostuje gdy minie!
Tu garść Kozaków jakby oczeretów
Kępa — tu błyski szabel — tam, bagnetów.

Na to Pan Zbigniew patrzał z po nad wzgórza.
Wzdryga się pod nim koń i uchem strzyże.
Beniowski spłonął na twarzy jak róża,
Chciałby iść w ogień — ale mówiąc szczerze
Trochę go piękna ta dziwiła burza,
Nad którą Barskie się łyskały krzyże.
I tak, co miałby wystąpić jak aktor,
Stał jak tchórz, albo gazety redaktor.

Lecz, już nareszcie zbierał się do lotu,
Chciał biedz gdzie burza błyskała czerwona:
Gdy oto nagle, prawie bez łoskotu,
Jakby mu jaka Nimfa na ramiona
Złożyła ręce. — Wrzasnął głośno: kto tu?
I mocniej w nim pierś zadrżała wzburzona.
Spojrzał — na ramion mu siedziało brzegu
Dwoje gołębi jaśniejszych od śniegu:

Czy jastrząb je tu jaki, myślał, goni?
Czy się wydaję w stepach gołębnikiem?

Tak myśląc, zdjął je i trzymając w dłoni,
Rzucił w powietrze. Lecz jak z baletnikiem
Związana duszą Elsler lub Taglioni,
Gdy udaruje ją Car naszyjnikiem,
Taniec w gołębia lot przemienia dziwnie;
Tak owe białe gołębie, przeciwnie —

Z lotu zrobiły taniec — i nad głową
Pana Zbigniewa, na skrzydłach trzymane,
Jakby miłośne dając sobie słowo,
Miłośnie dzióbki złączyły różane;
I rozleciały się w błękit na nowo,
Ważąc się długo smętne, zadumane;
Jakby straciły i szukały siebie,
Podobne zmarłym duszom ludzkim, w niebie.

I obaczywszy się nagle, jak strzały
Znów szły ku sobie lotem błyskawicy,
I znów złączone, jako płatek biały
Śniegu, gołąbek przy swej gołębicy
Kręcił się, skrzydłem ją trącał nieśmiały:
Aż zmordowani obaj tanecznicy
Najmilsze z siebie dali malowidło:
Senną kochankę gołąb wziął na skrzydło.

Przyniósł na ziemię, położył na trawie,
I w koło chodząc budził garłowaniem.
Na szyję wyszły mu kolory pawie,
Miłość go takiem darzy malowaniem!
Miłość ubrała mu piersi jaskrawie
W ogień tęczowy. Z takiem się kochaniem
Zapatrzył gołąb w swoją senną panią:
Że tęcza blasków z niego — przeszła na nią.

I obudziła się. I znów oboje
Leciały prosto na Zbigniewa barki.
On je pogłaskał i wnet wszystko dwoje,
Tęczowe piersi zgasiwszy i karki,

Z ramion mu poszły, i w kręgi i w słoje
Tnące powietrze. Z razu był nie szparki
Lot — póki rycerz nie ruszył wędzidłem,
Póki nie gonił — wabiły go skrzydłem.

Lecz gdy bezmowne owe dwie istoty
Przelały swoją myśl w serce człowieka:
Coraz prędszemi udały się loty;
I wnet zrozumiał rycerz, że go czeka
Awantur nowych, dziwnych, łańcuch złoty;
Zaczarowany zamek, albo rzeka
Pełna Rusałek. — O! domysły trafne! —
Może w pokrzywy przemieniona Dafne?

Może Minotaur i zaklęte skarby,
Z których jak z dobrej wioski będzie przychód —
Tak młodość wszystko stroi w lśniące farby,
Nigdy się małych nie spodziewa lichot.
O gdyby nie to! — to nigdy Ikar by
Nie latał — nigdy by nie żył Don-Kichot,
Nigdyby w Trzecim Maju nie urosły
Illuzje — na co dziś tak wrzeszczą Posły. —

Beniowski goniąc gołębie i mary,
Obaczył że na dąb samotny siadły —
Był to ów sławny dąb, gaduła stary,
Jak czarownica krzywy i wybladły.
Ogniste zeschła kora miała szpary,
Z konarów liście na poły opadły.
Liść co pozostał — zwiędły i zwalany
Szumiał po drzewie jak krwawe łachmany.

Bez kształtu, spiekły, podarty, nie żywy,
Zimę i lato wisiał na konarze;
Kruk się go lękał, a jeleń pierzchliwy
Nigdy nie zasnął w tym krzemiennym jarze;
Bo z wiatrem ów liść łopotał, straszliwy
Jako szatańskie skrzydło, całe w żarze —

Nocą z pod owych skrwawionych warkoczy,
Pruchno świeciło się w dębie — jak oczy.

Na drzewo spadły dwa ptaszki Wenery.
Beniowski w galop szedł za lotem ptaków;
Albowiem ujrzał dwa Ruskie giwery,
I sześć pod dębem kozackich kołpaków —
Którzy tam pewnie jako marodery
Szukali w drzewie skarbów lub Polaków —
I nie znalazłszy w nim — dla igraszki
Chcieli zapalić dąb i upiec ptaszki.

Znieśli już bowiem w koło suchych liści
I oczeretów, jałowców i cierni;
Już jeden krzesał ognia, który czyści
W czyscu, a na tym świecie wszystko czerni,
I byliby dąb pewnie ci ogniści
Spalili — wiatr dął taki jak w hamerni —
Szczęściem! bohater mój, napadł na wrogi
I jął ich rąbać tak, że poszli w nogi.

Oprócz Kozaków dwóch. — Z tych jeden stary
Zrąbany z konia, Bogu oddał duszę,
I poszedł, mówi Homer, między mary. —
Co się z nim stało? — nie chcę, i nie muszę
Mówić; bo ta rzecz należy do wiary
Grecko-Rosyjskiej; lecz co do mnie, tuszę
I powiem, strofy nie chcąc robić wściekłą,
Że w tej religii gdzie Car — jest i piekło.

Pocieszająca myśl! — lecz nie dla Cara,
Który wolałby może z tego względu
Większą bezpieczność. Jedna więc ofiara
Polskiego miecza, młodego zapędu,
Poszła ad umbra — i tam niech się stara
Szczęśliwszą być niż tu — gdzie tyle błędu,
Zawodów, głupstwa, nieszczęścia, przesytów,
Bankructw, poezyi głupich, jezuitów.

Heglów Poznańskich, Krakowskich purystów,
Paryskich kronikarzy, historyków,
Prezydentów gmin, franko-romansistów,
Kozako-powieściarzy i krytyków,
Którzy poklaski im zamiast poświstów
Dają — od czego ja aż do równików
Biegłem, unosząc zadziwione słuchy:
I byłbym został tam — gdyby nie muchy —

Nie krokodyle, nie hipopotamy,
Nie muł tworzący na Nilu oftalmie,
Nie dżuma, nie tęsknota, nie te bramy
Na które patrząc że zamknięte, żal mię
Brał, że tak naszych żon nie zamykamy
W jednym haremie jak w Armidy palmie —
Ta strofa poszła krzywo, bo ze Wschodu
Wygonił mię brak awantur i lodu.

Za to w ojczyźnie Danta, to oboje
Znalazłem. Lecz to rzecz jest tajemnicza —
O to bynajmniej nie dbam i nie stoję
Aby wiedziano czy moja dziewicza
Muza kochała się realnie. Roję,
Śnię, tworzę, harfy używam lub bicza,
I to jest moja poetyczna droga —
Lecz z mego życia poemat — dla Boga.

On wie, on wiedział nad jakiemi chmury
Stawałem bez łez i pieśni z myślami
Aniołów w przepaść lecących — te chóry
On słyszał, gdyśmy byli z Bogiem sami.
Nie zwiodły go te królewskie purpury,
W które ja się tu, jak przed sztyletami
Cezar, obwijam, gdy mię w serce rażą,
Ażeby umrzeć z niewidzianą twarzą.

Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno
Do tego życia co mi dał przywyknąć;

Iść co dnia drogą rozpaczy odludną,
Co dnia uczucia rozrzucać, czuć, niknąć;
Co dnia krainę mar rzuciwszy cudną,
Powracać między gady i nie syknąć;
Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,
Tą myślą modlić się — i nie przeklinać.

On! i pustyni gwiazdy lazurowe,
I zachodzące nad morzami słońce,
I jedno serce ludzkie. — Lecz to nowe
Głosy dla mojej lutni — te cierpiące —
Milcz serce! Albo się strzaskaj echowe
Narzędzie pieśni, bolu, wiecznie drżące
I obłąkane, nie zaspokojone —
Uderzam ciebie w złości. — Milcz szalone! —

O czem że ja mówiłem? — ha — w tym jarze
Dwóch zarąbanych leżało Moskali,
Którym Pan Zbigniew patrzał w blade twarze;
Wtem ujrzał że się cierń zajęty pali,
Że się już ogień wiesza na konarze
Suchego dębu: a więc cięciem stali
Odrąbał gałąź, ta zaś odrąbana,
Jak płomień zdjęty przez burzę z Wulkana —

Leciała, hucząc głucho i czerwona
Kołysała się nad trupami dwoma,
Jak szatan co chce duszę brać w ramiona,
Albo orlica z płomieni, łakoma
Ciała ludzkiego — więc — O! myśl szalona!
Beniowski, święcie wychowany doma,
Przeżegnał pełną robaczliwych strupów
Gałąź — i wiatr ją pochwycił z nad trupów.

Roziskrzył, stargał, skręcił i zwinąwszy
W jeden kłąb; rzucił w ciemną jaru szyję.
Tu nawet zimny rozsądek najzdrowszy,
Słysząc, jak gałąź ta jęczy i wyje

Zrobiłby utwór i poemat nowszy,
W którym gadają puhacze i żmije: —
Co do mnie, prawda mię epiczna więzi:
Więc nic nie tworząc z ognistej gałęzi,

Prosto ją gaszę w jarze jak rzecz suchą,
A sam do mego wracam wojownika;
Który z dwóch ludzi rzecz uczynił głuchą,
A z dębu, nie chciał uczynić świeczniká
Owej dolinie strasznej, gdzie z ropuchą
Wąż między głazy kredowemi syka,
I pachnie gorzki piołun. — Więc mój rycerz
Stał — jakby z głazu go wyrąbał snycerz.

I patrzał — owych zaś gołębi para,
Która go tańcem cudownym przywiodła;
Skoro dąb zagasł i ognista mara
Przed znakiem krzyża uleciała podła:
Owe gołębie, których ja z Antara
Pieśni pożyczam i biorę za godła
Miłości — nigdy za małżeński związek! —
Skoro dąb zagasł, zleciały z gałązek.

I okrążywszy go potrójnym lotem,
Skryły się w jego wnętrze wypruchniałe.
Tak był szeroki, że mógł być namiotem,
I zmieścić — nie wiem czy mógł — wojsko całe —
Lecz mógł pomieścić haftowany złotem
Ów sztab, co dzieli naszych wodzów chwałę,
I dzieli się tak cudownie i sztucznie,
Jak ową siedmią ryb Chrystusa ucznie.

Tak że zostanie i zbiorą z ostatka,
Siedem dla wojska koszów, napełnionych
Okruszynami sławy. Rzecz to rzadka
Tak zły apetyt! w ludziach tak czerwonych!
Ale że to jest cudowna zagadka,
O sławie onej i o rybach onych:

Nie mówię więcej. — Na gryzącym zębie
Wolałbym niż tę sławę — te gołębie —

Które dąb cały okrążywszy pilnie
Do spruchniałego wleciały ośrodka;
Skrzydłami siekąc powietrze tak silnie,
Jak piskorz kraje wodę, albo płotka.
Pomyślał wtenczas rycerz, że niemylnie
Awantura go jakaś w dębie spotka,
I nie czekając, skoczywszy z rumaka
Szedł ku dębowi temu z czasów Kraka.

Dochodząc wejścia, nasz młokosik rześki
Usłyszał w drzewie szmer i pocałunki —
Ciemny był wewnątrz dąb, ciemno niebieski,
Bo pruchno, niby brabanckie korunki
Rozbłękitniło chropowate deski,
Jak dla Rusałki kościoł, lub Bogunki.
Było tam światło takie, jak w zawiei
Gdy księżyc świeci w mgle — światło nadziei! —

Ktokolwiek deptał ziemię starożytną,
I popiołami nakryte pokoje,
Gdzie laury rosną, pomarańcze kwitną;
Ktokolwiek był tam z kochanką we dwoje,
Ktokolwiek grotę odwiedzał błękitną
Kaprei — i tam ujrzał bóstwo swoje
Nagle, błękitnem powietrzem kościoła,
Zmienione w blade widmo i w Anioła —

Ktokolwiek zważał te podmorskie świty
Oblewające ją od stóp do głowy,
I widział jak się z różanej kobiety
Czynił duch jasny lecz bezkolorowy,
Błyszczący, żywy posąg Amfitryty,
W błękitnym ogniu mórz zniknąć gotowy;
Tak piękny! w skały ukryty i w morze —
Żywy — lecz w niebios pośmiertnym kolorze.

Ktokolwiek w grocie tej, na kruchej łodzi,
Zamknąwszy oczy, znowu je otwierał,
Myśląc że księżyc nowy z fal wychodzi
W kształcie kochanki; ktokolwiek nie sterał
Imaginacyi i ta jemu płodzi
Kształty; ktokolwiek je w księżyc ubierał:
Niech popracuje, albo puści żagle
Myślom — a ujrzy tu z nienacka, nagle —

Ujrzy co Pan Kazimierz. W owem drzewie:
Od lat szesnastu zaledwie dziewczątko,
W błękitne pruchien rzucone zarzewie
W grocie z promieni. — Nazwałbym ją prządką
Arachną. — Muza moja sama nie wie
Jaką od innych odznaczyć pieczątką
Ów utwor nowy. — W błyskotnej sukience
Stała, na piersiach swych trzymając ręce.

Na skrzyżowanych rękach białe ptaszki,
Sięgały jej ust dziobki różanemi;
W oczach błękitnych przestrach wziął na ważki,
I dwie perłowych łez zrobił równemi;
Spadały obie. Szkła czeskie i blaszki
Wydawały się gwiazdami złotemi,
I z włosów dziwne rzucały promienie;
Bielutką miała twarz — z tęczy odzienie.

Gdy wszedł do dębu rycerz, cała trwożna
Spłonęła, twarz jej spłonęła i szyja:
Wstyd pokazała w sobie nieostrożna,
I ten rumieniec co w skażonych mija.—
Widzę że dalej już pisać nie można,
Bo opisowość poetę zabija;
I Pegaz się mój homeryczny zdębi.
Stwórzcie więc myślą, panią dwóch gołębi.

I niechaj się wam roją rzeczy cudne,
O czarodziejskim Rusałek kościele;

Gdy w koło jary dzikie i odludne,
I ogryzione przez wilków piszczele,
I trupy czarną krwią zastygłą brudne,
I innych czarnych okropności wiele —
A w głębi dębu, gwar innego świata,
Szum liści, pruchno się w gwiazdy rozlata.

Beniowski z ładną panienką. — Dziewico!
Która te wiersze czytasz, czytaj dalej —
Miłoście moje jako pruchna świecą,
Lecz nigdy się krew w marach nie zapali;
Ledwo ustami płomienia zachwycą,
Wnet je strach księdza, albo los oddali,
Rozerwie ręce, strwoży niewymownie,
I dalszą miłość prowadzą — listownie.

W listach dopiero — a wszystkie umieszczę
W przypiskach — mój bohater będzie czuły;
Już to nie będą moje rytmy wieszcze,
Ale essencja serc, prosto z szkatuły
Wyjęta: serca nią wszystkie rozpieszczę,
A może nawet młodość będą psuły —
Nie emigracię, bo tej djabeł nie chce,
I żadną serca żądzą już nie łechce.

Ambicya serce z pod żeber wykradła,
Sejm się nie kocha już ani też gminy;
Zbiorowa to osoba będzie jadła,
Piła, wydawać dziennik, biuletyny,
Gwiazdy się każdej spyta co upadła:
Jakie pryncypia ma? — A księżyc za miny
Arystokratą nazwie i dla tego
Że w smutnej twarzy swej ma cóś — srebrnego.

Pryncypia! O pryncypia! jakbym chętnie
Powiedział prosto dziś co o was myślę!
Gdyby mi teraz w serca mego tętnie
Nie brzmiała inna struna. — Więc przekryślę

Te strofy. — Dusza mi zagrała smętnie,
Śmiechu na ustach nie mam, ni w umyśle.
Wszystko prowadzi dziwnie boża ręka,
Tak dziwnie! — że mi serce wre i pęka.

Więc polityczne moje Falanstery
Bądźcie mi zdrowe! — I wy co bez głowy
Upadli z pańskiej jak z niebieskiej sfery,
W arystokratów gracie: smętne sowy!
Co w grze myślicie bić jako kozery
Asa, choć będzie z sercem i laurowy:
Was także żegnam bez miecza rycerze,
A choć mi serce pęka — śmiech mię bierze.

Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca lecz Fidyasza!
Żeby też jedna pierś jak pierś Memnona!
Żeby też jedna! — Ha — to mię przestrasza —
Kościuszko przeczuł was, krzycząc: skończona!
Z krzyża swojego krzyknął tak — a wasza
Pierś to pojęła, z tą myślą umiera.
Chociaż mi serce pęka — śmiech mię zbiera.

Co będzie z wami — prosto wam nie powiem,
Nie jestem jako wieszcz wszystko wiedzący,
Krwią do was piłem, mojem duchem, zdrowiem;
A teraz ciskam serce, puhar lśniący,
Słyszycie? Pękło. — Teraz mi wezgłowiem
Jedno kobiece serce; jestem śpiący;
Omdlały jestem, ogniem owionięty,
Piekielne rzeczy rzucający, święty.

Niech się komedya gra. — Może mi przyjdzie
Grać inną: wtenczas was wszystkich przerażę.
Ległem jak czarny Sfinx przy piramidzie
Z grobów ojczystych — patrzą blade twarze —
Może wieszcz, zechcę jeszcze w jasnowidzie,
Rzec co ciemnego? Może wam pokażę

Pełne piorunów usta, piersi, trzewa —
Może zamilknę jak lew co poziewa,

Patrząc na małość zielonego węża,
I zasnę — zasnę — ha! — lecz przebudzenie? —
Niech los i serca szaleństwo zwycięża!
Z mózgu mojego mieliście jedzenie,
Lecz serce moje się jak łuk wypręża,
Zrzuca was głodne sępów pokolenie.
Ugolin odbił piekło. — Ognia fale!
Wyrwijcie resztę sępom. — Precz Szakale!

Kto inny teraz jest nademną, nie wy,
Na których patrzał ja, Akteon blady.
Między ciemnemi położył się drzewy —
Słowiki będą mojemi sąsiady,
Księżyc jako mój srebrny Anioł lewy,
Ona jak złoty mój duch, dobrej rady;
Odgoni czarne Cherubinów stada,
Mówiąc do nieszczęść tak — jak Anioł gada.

Przez litość tylko nademną siostrzaną,
Przez błękit tylko swojej własnej duszy,
Przez gwiazdę swego losu obłąkaną,
Przez moc co serca wskrzesza albo kruszy —
Przez to że hymny we mnie zmartwychwstaną,
Jeżeli ona mnie jak harfę ruszy:
Będę zbawiony! dumny, bezpokutny.
Ale to wszystko sen — i może smutny! —

Na Boga! Muzo! Trochę śmiechu! Tyle,
Ile potrzeba dla zabawy gminu.
Gdy serce moje z pod zasłon odchylę,
Widzę że nie jest jak słońce z bursztynu;
A jednak miało kiedyś światła chwile,
Dawnej miłości winne, temu winu
Które upaja na śmierć, potem wskrzesza —
O! chcę miłości uczyć! Gdzie jest rzesza? —

Odbiegła — Skarży się na moją ciemność.
Poeto «fiat lux» zacięcie krzyczą. —
I we mnie dziwną znaleźli wzajemność:
Życzę, aby to było, czego życzą!
Tygodnik jakąś wynalazł odjemność
We mnie; lecz niech się dobrze wtajemniczą,
A ujrzą żem jest coś — jak grecki antyk,
Lecz pantheista trochę, i romantyk.

A teraz prosto i bez epizodów
Śpiewam, jak prawy wieszcz, nie jak amator —
Co mój bohater ma jechać do lodów
Sybirskich i do Chin i pod Equator;
Do innych nagich i dzikich narodów,
Aż mu na grobie wyrżną: sta viator.
Wtenczas ratunku już ze śmiercią nie ma —
Zatrzyma się czytelnik i poema.

Lecz nim nastąpi to — cudne mam rzeczy
W tece! cudowna awantur girlanda!
Rycerz mój rąbie, zabija, kaleczy,
Nakształt Hektora, Ajaksa, Orlanda;
Przybywa zamkom w porę do odsieczy,
Pisze kronikę wierszem, jak Wiganda —
O awanturach własnych geografją,
Po której ludzie do Kamczatki trafią.

Na starość także napisał: Pomysły
Do dziejów, które się dziać kiedyś mogą —
Z czego korzystał dzisiaj jeden ścisły
Krakowczyk, książkę wydawszy nie drogą.
Książka ma Polską duszę, a na zmysły
Działa jak Niemiec; mnie zaś szarpie srogo,
Bije po ręku jak rektorska linja —
Jeźliś ciekawy patrz: Roździał: Opinja.

O, Autorowie z nudy! O, Fenixy!
Powstali z trupów, z prochów własnych, z łóżek

O, polityczne moje nowe Iksy!
Upadam wszystkim pokornie do nóżek —
Lecz życzę aby nas dzieliły Styxy.
A teraz z waszych korzystam przestróżek,
I już nie Ody piszę ani Hymny,
Ale poemat ten — nadzwyczaj zimny.

Bohater w dębie zamknięty z młodziutką
Panną, a jednak stoi o pięć kroków;
Jeźli co mówi? mówi bardzo krótko.
Nie spuszczam żadnych na scenę obłoków —
Bo ani z wód kobietką, z niezabudką,
Rozmawia czyściej lilja, pani stoków,
Gdy je wiatr zdrajca ku sobie pokłoni:
Jako tych dwoje — których ja mam w dłoni.

I mógłbym — mógłbym, lecz nie chcę — a może
Nie mogę, nie mam dosyć serca, żaru.
Pruchno świecące księżycowo w korze,
Zda mi się pełne widm, pokus i gwaru —
Pełne — — Zatrzymaj mię potężny Boże!
Bo gotów jestem dla lepszego czaru
Rzucić na serce mego czytelnika,
Trochę awantur własnych z pod równika.

Lecz nie. — Sybirski będę — lodowaty,
Dla tego wchodzę w styl nowych poetów. —
Słyszycie jak się krzą odludne kwiaty?
Słyszycie głuchy łomot oczeretów?
Ktoś jedzie — spiesznie mu pewno za katy!
Odtętnia głucho echo jarych grzbietów —
Wiele być musi jadących rycerzy,
Kiedy przed niemi takie echo bieży.

Na pozłoconym kurzawy tumanie,
Która do dębu ze słońcem się wkradła,
Najprzód ksiądz jakiś wleciał niespodzianie,
Za księdzem jakaś złota mara wpadła.

Ksiądz był w habicie, a mara w żupanie,
W szerokich bardzo szawarach z radła,
Na których złota leżała kurzawa —
Słowem: Ksiądz Marek to był i Pan Sawa.

Ku nim więc moja Nimfa srebrnej cery
Pobiegła skocznie i całując w ręce,
Oddała Księdzu Markowi papiery,
Schowane bardzo tajemnie w sukience;
Potem zaczęła śpiew o sobie szczery —
Słów jej nie kładnę wszystkich bo przekręcę,
Albo bym musiał kłaść po kropkach kropki,
Bowiem ta Nimfa mówiła jak chłopki.

Z płaczem mówiła: jak w dębową szafę
Wlazła przed wrogów okrutnych pogonią,
Jakie tam miało być z niej auto-da-fe,
Jak nie pamiętał nikt i nie dbał o nią. —
— O horor! trzeci rym jest na żyrafę!
Muzy żałośne łzy nademną ronią,
Bo Muzy wiedzą jakie do łez prawo
Ma wieszcz, piszący poemat o k t a w ą. —

Mówiła: jak dwa gołębie siostrzane
Przyprowadziły ze stepów obrońcę —
Mówiąc płakała — na usta różane
Kapiąc, padało kropelkami słońce —
Pan Zbigniew patrzał zaś w stronę, na ścianę —
Ksiądz w ziemię, Sawa łamał ostróg końce.
Widząc, że sądzić są gotowi k r z y w o,
Rycerz do księdza rzekł dumnie i żywo:

«Jestem Beniowski, jechałem do Baru,
Abym ojczyźnie mojej służył szablą —
I całą duszą. Z blizkiego mię jaru
Te dwa gołębie sztuką prawie djablą
Przywiodły tutaj. Znajdziesz śród czaharu
Dwa trupy, które Pluton swoją grablą

Weźmie, i w ogień piekielny zagrabi.
Więcej mu takich dam, na honor Hrabi!

«Z Węgier albowiem moje rodowody
Prowadzę i mam hrabiowskie tytuły,
Ale że jestem bez grosza i młody
Nie wiele sobie ważę te bibuły
I pargaminy; lecz chcę iść w zawody
Z przodkami, jako człek na sławę czuły,
I mocno hańbę ojczyzny czujący;
Niedoświadczony jeszcze — lecz gorący.» —

Gdy tak przemówił, Ksiądz Marek otworzył
Ramiona i jął ściskać postać giętką:
«Ja znałem twego ojca! gdyby dożył
Pewnieby twoją chęć pochwalił prędką.
Bogdajbyś późno się w grobie położył
Jasnym, jak człowiek wielki — ani wędką
Sprośnych roskoszy tu był ułowiony. —
Zlituj się Matko niebieskiej korony!

«Oto dziecko te, oddaję w opiekę
Tobie, Dziewico czysta, Matko Boża!
Broń rzuconego w te nieszczęścia rzekę,
Która z nas płynie do wieczności morza.
Pozwól! że z niego tę cielesność zwlekę,
Która tu krwawi ducha jak obroża,
A zaś mu w duszę ognistą przeleję
Rozpacz, co wszystko łamie — i nadzieję.

«Biada kto daje ojczyźnie pół duszy,
A drugie tu pół dla szczęścia zachowa;
Oboje w nim Bóg swym piorunem skruszy,
I padnie kiedyś w popiół taka głowa!
Żadną łzą taki Boga nie poruszy —
W modlitwie nigdy już nie znajdzie słowa,
Które by kiedyś jego Bóg rozumiał —
I będzie jak ten dąb umarły szumiał.

«Będzie miał w sercu władzę odpychania
Ludzi — a węże się don zbiegać będą.
Utyje kiedyś na chlebie wygnania,
I nieszczęśliwe dzieci go obsiędą,
Krzycząc: Ojczyznę nam daj, lub do spania
Grobowiec sławny! — ale nie posiędą
Grobu ni sławy. — I to jest przekleństwo,
Które ja rzucam na nich! — ich rodzeństwo!

«I niechaj będzie jakoby stuletnie —
Lecz nie. — O Boże! nie słuchaj Jehowa.»
Tu zamilkł: oczy mu błyszczały świetnie
I pięknem srebrem uwieńczona głowa,
Pośród głów młodych błyszczała szlachetnie —
Jak księżyc, kiedy się nad rankiem chowa
Za morze, albo za Egejskie skały —
Nadzwyczaj wtenczas smutny, wielki, biały.

I mój rym także, po tej parafrazie
Kazania, także za skały zachodzi.
Porozciągawszy tęcze na obrazie,
Pokołysawszy nakształt dobrej łodzi,
Idzie spać. — Wyraz został przy wyrazie
Nie wiem czego chce? i czego dowodzi?
Jako fajerwerk z gwiazd kilku tysięcy,
Chciałem aby się spalił i nic więcej.

PIEŚŃ IV.

Dąb utrudzone opuścił konary,
Świerszcze sykały, upał był ognisty.
W dębie na ziemi siedział Marek stary,
I na kolanach rozpisywał listy;

A włożył na nos krzywy okulary.
A taki był list jeden: — «Mój strzelisty
Afekt i łaska Pana Zbawiciela
Z wami. — W nawiasie: Niech was powystrzela.

«Moskal i djabeł że się tak kłócicie,
I zostawiacie Bar Moskali pastwą!
A choć szlachetne imiona nosicie,
Jest z was ohyda boska i plugastwo.
Pan Regimentarz zaś sam mianowicie,
Który obiecał karmić nas jak ptastwo
Indyjskie, imbier przysyłać, muszkatel:
Cierpi że buty dziś je obywatel.

«Venit judicium! Nie odemnie sługi
Usłyszy wtenczas sąd — lecz przed Chrystusem
Zapłaci swoje zaciągnięte długi;
Toż samo Pan Rożański co Fabiusem
Jest w naszej partyi, także i ten drugi
Niech wie, że sądu dzień nadchodzi kłusem,
I weźmie wszystkich was jak tuman śmieci —
Piszę to z głębi żalu do Waszeci.»

Takie ksiądz pisał listy pełne grozy.
A przy nim moja młoda posłannica,
Przelatująca moskiewskie obozy,
Jak głos od harfy, albo blask księżyca —
Lub Afrodyta, której ciche wozy
Przez błękit gołąb niósł i gołębica:
Ze świeczką w ręku stała zapaloną,
Od blasku, złotą mając twarz i łono.

Ktoby tam zajrzał: myślałby że który
Z ojców kościoła siedzi z gołą głową,
I po natchnienie patrzy w ciemne chmury;
A zaś Aniołek rączką rubinową
Dotknąwszy białej jak kamień tonsury,
Wyciąga z głowy tęczę brylantową,

Podobną róży z gwiazd, lub pełnej malwie —
Gdy starzec siedzi na orle, lub na lwie.

I w ciemnym dębie było tylko dwoje,
Ksiądz z piórem w ręku, ze świeczką dziewczyna;
I tylko świerszcze między drzewne słoje
Wrzały piosenką. Była to godzina,
W której tak miło pójść nad jasne zdroje,
Gdzie słońcu broni przystępu leszczyna;
I na murawie legnąć aksamitnej,
W brzęku motyli, przy wodzie błękitnej —

Lecz w owe czasy, któż jedną godzinę
Marzył, spokojnie przedumał nad wodą?
Któż miał czas marzyć że tak wszystko minie
Jak kwiat, będący motylom gospodą?
Jak niezabudka drżąca przy leszczynie?
Jak łza? — jak wszystko co się zowie modą? —
Choć dobra moda była w onych czasach,
Konfederować się i kryć po lasach!

A jednak i to minęło! — Ojczyzna
Minęła także! i ów wierszyk złoty,
Że dla niej każda smakuje trucizna —
Ów wiersz co niegdyś zachęcał do cnoty,
Jest dzisiaj — każdy mi to pewnie przyzna,
Kto w oblężeniu jadł szczury lub koty —
Że ten wiersz bez psów, liszek i bez czajek,
Jest dziś najlepszą z Krasickiego bajek —

A więc niech wszystko mija! — Wstańcie burze!
I zwiejcie mój ślad z tej smętnej pustyni!
I moje myśli jak łez pełne kruże
Przechylcie — niech je próżnemi uczyni
Czas. — Wszak stawałem na niejednej górze
Bliżej piorunów, niż gadu co ślini
Pocałunkami nawet twarz człowieka!
Bliżej chmur co grzmią — niż ludu co szczeka! —

I dziś od ogniów boskich w dół zepchnięty,
Z piramid czoła, z wulkanicznych szczytów,
Cierpię — lecz jeszcze gardzę. I ten ścięty
Rym, nieraz kąsa was aż do jelitów;
I płynie jako szalone okręty,
Z fal odrzucany do niebios błękitów,
Gdzie mu początek był i koniec będzie —
Gdy śmierć na żaglach okrętu usiędzie.

Tymczasem z szumów żaglowych i waru
Myśli zhukanych, jest harmonja dzika;
Którą ja lubię że tak pełna gwaru,
Że czasem jak wąż pośród ruin syka!
Czasem podobna do Aniołów swaru,
Gdy błyskawicą letnią się odmyka
Niebo, i znów się zasuną płomienie
Na dziwny duchów świat, zkąd szło westchnienie.

A jednak gdyby twoja, o! młodości!
Żelazna niegdyś wola, dumna, twarda;
Gdybym nad sobą miał więcej litości,
Gdyby mi nawet w krew nie przeszła wzgarda,
Tego co teraz jest i co w przyszłości
Być może: lutnię szalonego Barda
Skruszyłbym, wziąwszy pod zgięte kolano;
I nową harfę wziął niepokalaną.

Lecz późno! późno już! Gdzie są słuchacze?
Czy w grobach klaszczą w ręce zadziwione?
Czy urągają? — nie wiem — i nie raczę
Gonić myślami te smętne, stracone
Mary. — Lecz nieraz kiedy mi zakracze
Orzeł, lecący na słońce czerwone:
Zda mi się że to jakaś dusza bratnia
Znów odlatuje odemnie — ostatnia!

Lubiłem takie dusze, dzikie, smętne,
Rozokolone na niebie szeroko,

Błyskawicowe trochę, trochę mętne,
Nawet gdy w ciało się straszne obloką,
I w pioruny się rzucają namiętne,
Lub nad Safony chwieją się opoką.
Lubiłem takie dusze — nie bezkarny!
Wybrednie marząc w różach — kolor czarny.

Dziś uleczony, na pół — lubię róże
Takie, jakiemi je Bóg stworzył, ładne
I wiotkie — — Teraz wam powieścią służę,
I w żadne więcej ustępy nie wpadnę;
Żadną gawędą pieśni nie przedłużę —
Ale też z faktów wam nic nie ukradnę,
Bo wszystko godne jest pamięci wiecznej,
I wszystko może ujść, w kompanii grzecznej.

Stoi więc w dębie moja małodyca
Ze świecą — jasne dwa gołębie burczą;
Ksiądz pieczętuje sygnetem szlachcica
Listy. — Posłuszne się papiery kurczą
W kopertę; z lakiem ożeniona świeca —
Mówiąc Delilla stylem — styl tak sturczą
Poeci, że dziś gwałtem trzeba z Francyi
Rozumu — jeszcze więcej elegancyi.

Ożeniona więc świeca z laską laku
Wydała tę łzę, która z tajemnicy
Nie da się nigdy odedrzeć bez znaku —
Zwłaszcza jeżeli Moskal, na granicy
Nie czyha na twój sekret, o! Polaku,
Z pomocą drugiej ożenionej świecy —
I chmur z tajemnic twoich nie uchyla
Zdradziecką ręką nocy — styl Delilla —

Już więc Ksiądz Marek — tu mnie nie doścignq
Iksy Warszawskie — kochanków zaślubił,
I nim oboje w małżeństwie ostygną
Przypieczętować chciał — już tak naczubił,

Już — już — w tem szable mu po oczach mignq!
Ksiądz wstał — szczęk wielki był — pieczątkę zgubił,
Ujrzał na ścianach boju stereotyp,
Bowiem dąb w środku był jak dagerotyp.

Co się więc działo zewnątrz, to się w łonie
Suchego dębu odbiło tęczowie.
Był bój, naprzeciw siebie szły dwa konie,
A na koniach szli dwaj bohaterowie,
Nad głową niosąc podniesione bronie,
Szablice — każda jako sierp na głowie!
Teraz ksiądz poznał, że ci wojownicy
Byli to, z Panem Sawą, Pan Maurycy.

Poznawszy, w duchu rzekł: nie pójdę godzić
Niechajże sobie trochę krwi utoczą,
To może nadto gorących ochłodzić,
Potem z rozwagą większą w ogień skoczą —
Tak mówiąc patrzał: jak chcąc sobie szkodzić,
Na ścianach tęczę tworzyli uroczą.
Światłość ich obu owionęła krwawa;
W ogniu, na białym koniu migał Sawa.

Spotkali się raz, złożyli nad głową,
I znów ich konie rozniosły szalone!
Za drugim razem, tnąc sztuką krzyżową,
Beniowski, zgrabnie skoczywszy na stronę
Dał szacht tak płytki koniowi nad głową,
Że mu z przyciętych uszu, dwie czerwone
Trysły fontanny — jak rubin się żarzą —
W biegu, nadjechał na nie Sawa twarzą.

Więc się na białym wydawał rumaku,
Mając zalane oczy krwi wytryskiem,
Jakby Delfina miał w złotym czapraku
Pod siodłem, który krew wyrzucał pyskiem.
Nie dając jednak najmniejszego znaku,
Że był zmięszany tym ostrym dogryzkiem,

Obróciwszy się koniowi do grzbietu
Strząsł krew i z olster dobył pistoletu.

Straszny był wtenczas! — We krwi co go broczy,
Spokojną miał twarz i spokojnie mierzył
Do bohatera pieśni, między oczy: —
I gdyby krzemień był spadł i uderzył
W dekę — co skrami pryskając odskoczy —
Pewnieby więcej mój bohater nie żył.
Bo sam wyznawał że w szturmaku onym
Widział przybitą kulę czemś czerwonem.

Więc pewnie by ją był duszy oczyma,
Jak mówi Hamlet, w czaszce swej zobaczył:
Gdyby nie dziwne — a dla piso-ryma
Miłe zdarzenie — Bóg zachować raczył
Człowieka, a ja zeń zrobię olbrzyma;
Byle mi tylko czytelnik przebaczył
Ze empirycznie, minąwszy przyczynę,
Wdałem się w skutek rzeczy, w rąbaninę.

Lecz wpadłszy muszę kończyć. Więc Pan Sawa
Lewe przymrużył oko i wycelił,
A zaś powszechnie o nim niosła sława
Ze nawet pannom, gdy sobie podchmielił,
Wystrzelał korki. — Była to zabawa,
Której bym wcale z innemi nie dzielił,
Gdybym był panną gdzieś w szlacheckich dworkach
Pod owe czasy, i chodził na korkach.

Wycelił już więc prosto, w same czoło,
I palec już giął — gdy nagle — o dziwy!
Jakoby Irys co rzuciwszy koło
Z tęczy, zlatuje na zamglone niwy:
Lekko jak Anioł, jak ptaszek wesoło,
Dzieweczka z dębu dała skok straszliwy,
Skok, na dwa łokcie od ziemi wysoki,
W poezyi mówiąc, skok aż pod obłoki.

Z obłoków spadła, na konia ze śniegu,
Na którym siedział Pan Sawa złowrogi.
Nim się obejrzał; już na siodła brzegu
Stojąca za nim, jak Olimpu Bogi,
Prosta, i naprzód podana do biegu,
Chwyciła za lejc — i na tylne nogi
Podniosłszy konia z rycerzem do góry,
Tak pomięszała go — że strzelił w chmury.

I nie czekając aż poprawi strzału,
Lejcem i głosem zagrawszy rumaka,
Rzuciła w galop taki pełny szału,
Że galop konia był jako lot ptaka.
A ta dzieweczka, by duch ideału,
Stojąc nóżkami na końcu czapraka,
Resztą się ciała — strach przechodzi mrowi! —
Oddała całkiem unieść błękitowi.

I błękit ją wziął tak zrównoważoną,
Z rozciągniętemi jako ptak rączęty.
Z włosów, co były na głowie koroną,
Naprzód się złoty zrobił wąż zwinięty
W kłęby, i leciał wraz za tą szaloną,
W połyskujące ją chcąc winąć skręty.
I różne kwiaty wyrzucał ze skrętów,
Które goniły ją mgłą dyamentów.

Za włosem i za kwiatami i za nią
Pędziły równym dwa gołębie lotem. —
Nie widzę więcej, jary się tumanią,
Dymnej kurzawy przesłonięte złotem;
W kurzawie rycerz znika z moją panią —
Jeszcze raz galop konia runął grzmotem,
Jeszcze raz jeździec, na wierzchołku góry,
Jak z ametystu, z płomienia i z chmury

Błysnął i zniknął. — Teraz kto wypowie
Uczucia wnętrzne w moim bohatyrze?

Zamiast kul srogich pana Sawy w głowie,
Ujrzał — a tu mu wcale nie ubliżę
Bo wiem że wiedział co są Centaurowie,
Przypomnieć musiał więc o Dejanirze:
I miał na twarzy taki wyraz boski
Jak ten co wiersze pisząc, liczy zgłoski!

Oczy utopił w kurzu obłok złoty,
Gdzie znikał rycerz, koń, panna, jej włosy,
I za włosami, jak dwa papiloty,
Białe gołąbki na dwóch końcach kosy.
I stał i patrzał — gdy z dębowej groty
Wyszedł ku niemu Karmelita bosy,
I przeżegnawszy się Chrystusa znakiem
Spytał: «dla czego Waść się bił z Kozakiem?

«O krwi gorąca! że też ja nie mogę
Utrzymać nigdy między wami zgody!
Oto Pan Sawa znowu ruszył w drogę,
Bóg wie czy wróci, a rzeski i młody.
O młodzi! młodzi! pod waszą ostrogę
Trzeba dać woły najleniwsze z trzody;
Dopóki każdy z was na koniu jeździ
Nigdy się w jednym miejscu nie zagniedździ.

Zkądże wam przyszło żeście tu z jaszczura
Dobyli szabel i na konie wsiedli?» —
Na to Pan Zbigniew «Oto jest rzecz, która
Zwaśniła obu: gdyśmy tutaj jedli
I pili — oto złota miniatura,
O którą srogi bój obaśmy wiedli.
O taką się rzecz bijemy nie pierwsi;
Ja mu ją księże sam zerwałem z piersi.

«A zerwawszy ją chciałem serca dostać
Z pod żeber jego, tą szablą turecką.» —
Tak mówiąc strasznie miał marsową postać.
A ksiądz: «O takąż rzecz chodziło świecką?

Warto by obu dyscypliną chłostać!
Wstydź się, Wielmożny Hrabio! jesteś dziecko!
Tę miniaturę mi dała dla ciebie
Córka Starosty dziś, jak Bóg na niebie! —

«Ja zaś nie mając kieszeni w habicie,
I nie chcąc wieszać tej rzeczy na sobie;
Dałem ją Sawie, by ją schował skrycie,
Aż mi ją przyjdzie na myśl oddać tobie.
A przy tem i list, skropiony obficie
Łzami, a w takim pisany sposobie,
Że choć ksiądz jestem, w miłostkach nie służę
Podjąłem się ten list schować w kapturze.

«Oto jest pismo dziś pisane w nocy,
Czytaj Waść! ja tymczasem na koń siędę;
Bar potrzebuje dziś mojej pomocy
Lub go ocalę, lub niebo zdobędę.»
Beniowski blady jak duch o północy,
Już nie uważał na księdza gawędę;
Ale otworzył list, czytał i wzdychał,
Bo ten list w niebo rwał i w piekło spychał.

A naprzód w liście było opisanie
Tego, co w drugiej mojej pieśni stoi,
To jest: jak zamek wzięto niespodzianie,
Jak go dostano prędzej niźli Troi —
Jak na śmiertelnym już był karawanie
Pan Dzieduszycki, jak w piwnicach broi
Szlachta, będąca w zamku na załodze;
Jak Ladawiecki pan zdał rządu wodze —

A sam zamyślał jechać do Warszawy,
I córkę z walki uprowadzić pola. —
«O! mój Zbigniewie, nie miej ty obawy»
Pisała Panna «nigdy ojca wola —
Nigdy ponęta, nigdy przestrach krwawy,
Nigdy szalone szczęście lub niedola

Nie skłonią mego serca do odmiany —
Bądź sławny — jesteś mój — jesteś kochany.

«Odjeżdżam teraz — ale się otoczę
Myślami, kwiatów Podolskich zapachem,
Woniami, które były tak urocze
Gdy w Anielinkach, pod słomianym dachem,
Ty mię porzucał — a ja ci warkocze
Dałam całować, przenikniona strachem,
Abyś mi u nóg nie padł konający:
Tak byłeś blady przy gwiazdach i drżący.

«Powiem ci teraz żem się była zlękła,
Abyś ty we mnie nie usłyszał głosów,
Z któremi w sercu jakaś struna pękła,
Gdy się dotknąłeś usty moich włosów —
Pomnisz, żem wtenczas tak jak dziecko jękła,
Chwytałam się szat twoich — drzew i kłosów,
Myślałam że już ginę z światłem, z echem,
I że westchnienie śmierci — jest uśmiechem.

«Kiedy to piszę, słońce wschodzi z wieńcem
Chmur i tak wstydzi mię, że nie wiem czemu,
Cała się zlałam łzami i rumieńcem —
Ty wiesz ja zawsze kwiatowi białemu
Podobna, póki mi był oblubieńcem
Chrystus. — Uśmiechnij się słońcu złotemu,
Bo mi się przed nim łza gorąca toczy;
I tak rumieni mię, jak twoje oczy.

«Niespokojności pełne serce moje!
Smutno mi rzucać te miejsca, te stawy!
Jeżeli kiedy przywiodą cię boje
Aż do mojego zamku, do Ladawy —
Każ sobie Panny otworzyć pokoje:
Na oknie stoi filiżanka z lawy,
Rzucam dla ciebie w nią maleńki kwiatek —
Nosiłam go dziś całą noc — bławatek.

«Nie trać nadziei nigdy! nigdy! — Kto ma
Wolą, ten wszystko pokona. — Addio!
Z wyciągniętemi za tobą rękoma
Jeszcze raz wołam tobie — caro mio!
Przy tobie zawsze będę — niewidoma —
I wprzód mi serce, niż ciebie zabiją!
Nie — ty nie możesz zginąć tak jak oni,
Których nie kocha nikt — i nikt nie broni.

«Pytałam dzisiaj starej wróżki Diwy,
Czy mi Bóg ciebie zachowa i wróci?
Odpowiedziała: że będziesz szczęśliwy,
Że się o ciebie wiele duchów kłóci —
Czarnych i złotych z tęczowemi grzywy —
A czyny twoje ktoś na harfie nuci —
Że zawrzesz z królem Indyjskim przymierze —
Nie będziesz temu wierzył — lecz ja — wierzę.

«Przepowiadając, mówiła mi stara,
Że widzi ciebie w sankach z wieloryba,
A zaś przy tobie stoi jakaś mara
Ubrana w szaty dziewicze — to chyba
Ja — czy nie prawda? — O! gdyby ta szpara!
Gdyby ta jasna z dyamentu szyba
Przez którą Diwa widzi przyszłe rzeczy,
Mogła zastąpić we mnie wzrok człowieczy!

«Zgodziłabym się nie widzieć na niebie
Gwiazd ani słońca, nie widzieć błękitu;
Lecz tylko w każdej chwili widzieć ciebie,
Na ciebie patrzeć od zmroku do świtu. —
Zda mi się nawet że w jakiej potrzebie
Pomagała bym ci okiem — do szczytu
Szczęścia i sławy — choćby» — Tu przerwany
Był list i dwoma plamkami zwalany.

Te plamki były do ust podniesione,
Lecz Ksiądz podstawił pod usta szkaplerza. —

«Te całuj, krzyknął, te rany czerwone,
Które miał Chrystus, godne ust rycerza!
Nie te kropelki łez gorzkie i słone,
Z których rdza pada na kryształ puklerza.
Rzuć ten list — daj go, jak mówią szatanu —
A słuchaj: ważną missję dam Waćpanu.

«Piszą mi — że tron odzyskał Khan Giraj —
Przyjazny zawsze Polsce był Khanisko —
Masz listy, których proszę nie otwieraj
Aż staniesz w Krymie. Wprawdzie to nie blizko.
Jaskółki wiedzą tam drogę na wyraj,
I bocian także, z małą szarą pliszką
Do tej krainy lecą z wielkim krzykiem;
Bocian okrętem jest — pliszka sternikiem.

«Ona ptakowi na ogonie siedzi,
I prostą drogę w chmurach rozpowiada.
Tak jeźli cię duch Chrystusa nawiedzi
Będziesz jak bocian, co nigdy nie siada,
Lecz wyciągnąwszy dziób jak włócznię z miedzi
Prosto wędruje i w gniazdo upada,
— Gdzieś na wieśnaczej chacie, zmordowany:
Przebywszy morskie burze i bałwany.

«Ufaj mi synu! jeźli wytkniesz sobie
Drogę a prostą — to choćby do słońca
Zalecisz — często na krzyżu lub grobie
Odpoczywając. — Lećże więc bez końca.
A będziesz chodził w anielskiej ozdobie,
Jako ojczyzny i wiary obrońca;
A nim zasługi twoje w niebie zginą,
Ziemia przeminie! i gwiazdy przeminą!

«Patrz na mnie! — jestem także zmordowany,
A kto wie co tam w mojem sercu płacze?
A jednak wziąłem w ręce krzyż drewniany,
I chodzę — tuląc do głębi rozpacze.

Wolałbym może już w grób — jak złamany
Dąb i bez liści — lecz mi serce skacze
Kiedy na działo wstąpi moja noga,
A działo ogniem śpiewa — imię Boga.

«Więc że i starość jeszcze Jowiszowe
Ma brwi, na hańbę ojczyzny zmarszczone —
Więc jeszcze wstrząsa te pola stepowe
I wulkany z nich rozrzuca czerwone;
I tej ojczyzny martwej wznosi głowę,
I kładzie na nią zbawienia koronę —
Także więc krwawym was obmywam chrzestem!
A pomyśl tylko ty — czemże ja jestem?

«Garsteczką prochu, co jutro w dolinie
Będzie rodziła chwasty i lilije;
Dzbanem, z którego strumień wiary płynie,
A który jutro Bóg nogą rozbije.
Noś że ty ducha w twej cielesnej glinie;
A nie lękaj się gdy wiatr w oczy bije
Z błyskawicami. Na końcu żywota
Czyny człowiecze waży szala złota.

Tam wszystkie nasze łzy i krew rozlana
Są policzone i nie ginie jedna
Kropelka ani biała, ni różana,
Lecz każda waży i ważąc wyjedna
Światło wieczyste. Idź więc w imię Pana!
A była by też ta Ojczyzna biedna,
Gdyby dla ciebie zginionego młodo —
Łez nie znalazła. — Bądź że więc tą wodą

«Ochrzczony teraz i w grobowcu późnym.»
To mówiąc — ręce wyciągnął — i drżały.
Słuchał go rycerz z czołem smutnie groźnem
I był na twarzy przerażeniem biały,
I skry mu z oczów szły — i dreszczem mroźnym,
Miłością wielką dla nieszczęsnej chwały

Czuł się przejęty! Będąc tak ognisty
Z ręku księdzowskich wziął do Khana listy.

I wraz obrócił konia na południe
Ku wschodzącemu wtenczas miesiącowi —
Jechał i marzył o przyszłości cudnie,
A któż sny takie młodości wypowie?
Choć aniołami te strofy zaludnię,
Choć z ziemi stworzę kraj podobny snowi:
Nie dosyć będzie, przez gościniec z ostów,
Kwiatów z różanych gwiazd i z tęczy mostów.

Austerje chyba z szkła i dyamentu
Zbuduję — w karczmach posadzę Dyanny. —
Łódź życia jest jak złota łódź Sorrentu,
Co siekąc kryształ przeźroczysty, szklanny,
Ogień dobywa błękitny z odmętu,
I z wioseł ogień leje nieustany —
I tak jak łabędź ognisty przelata,
Pierś mając w ogniu i ogniem skrzydlata.

Młodości! każ się tej łabędziej marze
Z ognia i złota unosić po świecie.
Niech szumi wino w twej Platońskiej czarze,
Na głowie niechaj będzie wonne kwiecie;
A blizko ślubów wysokich ołtarze,
Gdzie Saturnowy wąż się z ogniów plecie:
Tam ślubuj przyszłość. — Muza mdleć zaczyna —
Dajcie mi bursztyn i róże i wina!

Kłębami dymu niechaj się otoczę,
Niech o młodości pomarzę pół senny.
Czuję jak pachną kochanki warkocze,
Widzę jaki ma w oczach blask promienny;
Czuję znów smutki tęskne i prorocze,
Wtoruje mi znów szumiąc liść jesienny.
Napróżno serce truciznami poim! —
Kochanko pierwszych dni! — znów jestem twoim.

Patrzaj! powracam bez serca i sławy
Jak obłąkany ptak — i u nóg leżę.
O! nie lękaj się ty że łabędź krwawy,
I ma na piersiach rubinowe pierze.
Jam czysty! — głos mój śród wichru i wrzawy
Słyszałaś — w równej zawsze strojny mierze —
U ciebie jednej on się łez spodziewał,
Ty wiesz jak muszę cierpieć — abym śpiewał.

Idź nad strumienie, gdzie wianki koralów
Na twoje włosy kładła jarzębina;
Tam siądź i słuchaj tego wichru żalów,
Które daleka odnosi kraina —
I w pieśń się patrzaj tę — co jest z opalów,
A więcej kocha ludzi niż przeklina.
I pomyśl czy ja duszę mam powszedną?
Ja — co przebiegłszy świat — kochałem jedną!

Twój czar nademną trwa. — O ileż razy!
Na skałach i nad morzami bez końca,
W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy,
A miłość twoję miałem nakształt słońca
W pamięci mojej. — Aniół twój bez skazy
Na moich piersiach spał — łza gorąca
Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła:
Twa dusza znała to — i przychodziła.

W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne
Przegląda blado, jak słońce sumienia;
Chodziłem z tobą, jak dwie mary dziwne,
Jedna z marmuru, a druga z promienia;
Skrzydła nam wiatru nie były przeciwne,
I nie ruszały włosów i odzienia.
Między kolumny na niebie się kreśląc,
Staliśmy jak dwa sny — oboje — myśląc.

Z taką więc ciszą i z taką powagą
Wejdziemy kiedyś w Elizejskie bory.

My, cośmy ziemię tę widzieli nagą,
Przez piękne niedyś widzianą kolory.
Cośmy poznali że nie jest odwagą
Rozpacznym czynem skończyć żywot chory;
Lecz uleczeni przez trucizn użycie,
Sercu zadawszy śmierć — znaleźli życie!

Pierwszy to i raz ostatni, o miła!
Mówię do ciebie. Jest to błyskawica,
Która ci chmurę posępną odkryła —
I boleść wyszła z niej jak nawałnica.
W twoim ogrodzie pustym będzie wyła,
Gdy księżyc pełny, jak srebna różyca
Gmachów gotyckich, biały blask rozleje,
W te — gdzieśmy niegdyś chodzili — aleje.

Bądź zdrowa — odejść nie mogę, choć słyszę
Wołające mię duchy w inną stronę —
Wiatr mną jak ciemnym cyprysem kołysze
I z czoła mego podnosi zasłonę;
Z czoła, gdzie anioł jakiś skrami pisze
Wyrok łamiący mnie między stracone —
Ja czekam, krusząc wyroki okrutne —
Twe oczy patrzą na mnie — takie smutne! —

Bądź zdrowa! drugi raz cud się powtórzy —
Martwy, odemknę ci w grobie ramiona,
Kiedy ty przyjdziesz, do zbielałej róży
Podobna, zasnąć. — Dosyć! Pieśń skończona!
Oko się moje senne łzami mruży,
Róże uwiędły — czara wychylona,
I pieśń gdzieś leci odemnie echowa —
Już pożegnałem cię — jeszcze bądź zdrowa!

PIEŚŃ. V.

Przez ciemne, smutne, gościńce Kurhanów,
Niesie go czarny koń dniami i nocą.
Pod ziemią tętna zakopanych dzbanów
Z prochem rycerzy — na niebie łopocą
Kruki, jak stada posępne szatanów.
W czaharach zbroje rycerzy migocą,
I dzidy błyszczą krwawemi płomyki. —
Tam na kurhanach posępne lirniki

Siedzą i grają dumy dawnych czasów.
Dumy wychodzą na rozległe pola,
Wpadają smutne w szum dębowych lasów;
I ztamtąd znowu, jak harfy Eola
Zmięszane z szumem liścianych hałasów,
Wychodzą na step: a ludzka niedola
Leci wichrami płaczącemi wiana,
Jakby nie ludzi ustami śpiewana.

Tu siedzą wianki na polu czumaków,
I ogień palą wielki, jasny, chmurny;
Tam dalej wieńce podróżników ptaków,
A drop na straży — albo sęp bezpiórny.
Podobni zdala do Rzymskich orszaków
Koło chorągwi albo koło urny,
Gdzie smętne wodza popioły złożone:
Odprawujące straż i zamyślone.

Beniowski przebył Dniepr — gdy raz wieczorem,
Kiedy już księżyc powstawał zamglony,
Obaczył ogień pod dębowym borem
W ziemi palący się, wielki, czerwony.
Przy ogniu siedział człek okryty worem,
Dzikiej i strasznej twarzy jak Hurony;

Gotował strawę i pazury czarne
Krwawiąc, odzierał ze skór całą sarnę.

Ta wywrócona, oczyma szklannemi
  Zdała się żebrać u ognia litości.
Dalej siedziało dwóch panów na ziemi:
  Na jednym żupan był, skóra i kości —
Drugi otyły i z rubinowemi
  Policzki, pełen w sobie wielmożności,
Przepijał głośno do drugiego zdrowiem
Z butla co miał brzuch obszyty sitowiem.

Ów pan wspaniałej tuszy — trochę baba
  Na twarzy, dziwnej miał zbroję struktury.
Od kołnierza mu szła żelazna sztaba
  Malowanemi natykana pióry.
Rzekłbyś że rodzi go królowa Saba,
  Że z dawnych czasów spadł jak żaba z chmury.
Chociaż się zbroja nam wydaje dzika —
Beniowski poznał zaraz pancernika.

Gdzie niegdzie jeszcze snuli się po kraju
  Starzy, minionych czasów kochankowie,
Którzy nie pili kawy ani czaju,
  Żelaza kawał nosili na głowie!
Jak starej kawał arki na Synaju;
  A Bóg im dawał rumianość i zdrowie,
Zwłaszcza że słonę wkładali do butów.
Litwin pancernik jeden z tych mamutów

Siedział, jak mówię — i z oplecionego
  Butla pił. Litwin to był starej daty,
Z chudym się na czas połączył kolegą.
  A jego sługa, czerwono kudłaty
Perkunas, który pana znał małego,
  I z miłości mu, a nie dla zapłaty
Służył — choć nosił imię dawnych Bogów:
Kucharzem teraz był — i u trójnogów.

Wieszał — ach! nie już dla Znicza kadzidło,
  Lecz kawał sarny — już nie dawne runy
Śpiewał, lecz djabła Żmudzkiego straszydło
  Krzyżem odpędzał, gdy biły pioruny.
Wybornie umiał wędzić gęsi skrzydło,
  I po Tatarsku zawijać kołduny. —
Król Perski, który płacił złota minę
Za każdą nową rzecz — to za boćwinę

Dałby dwie. — O boćwino! Hipokreno
  Litewska! Ty co utworzyłaś szkołę!
Waza twa zawsze wytryska Kameną,
  Która ma oczki gazelli wesołe,
A w ręku białym swym — ni piu ni meno,
  W rączkach które są zakasane, gołe,
Wieniec z barszczowych uszów! O nagrodo!
Że mi go kiedyś dasz — marzyłem młodo —

Lecz teraz tracę nadzieję. — Niestety!
  Nie lża jak mówi Kochanowski, próżno!
Próżno deptałem Parnasowe grzbiety,
  I miałem nieraz Dyannę usłużną —
Kiedym chciał zamknąć Sybir w tryolety,
  Muza została mi rymami dłużną:
Z tego więc poszło że pisałem prozą,
Odjemną — mówi Tygodnik — o zgrozo!

Odjemną! — czy od Tygodnika? Boże!
  Kto tam odejmie co, ten będzie mądry
Tybyś nie odjął sam nic, Pitagorze!
  Z twoją tabliczką w ręku —
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Po kropkach piszę dalej. — Wiatr był chłodny
  I ogień palił się wesoło z trzaskiem;

Beniowski, nie był to bohater modny,
Co się księżyca tylko karmi blaskiem.
Przypomniał sobie właśnie że był głodny —
Więc jak astronom gwiazdy wynalazkiem,
Albo poeta ucieszony nowym
Rymem, nieznanym i błyskawicowym —

Albo dewotka gdy grzech jaki stary
Przypomni sobie przed samą spowiedzią!
Albo jak trafne litewskie ogary,
Gdy wpadną razem na łapę niedźwiedzią;
Albo — lecz sposób ten porównań stary
Krasickim trąci i złoconą miedzią.
Więc prosto bez gawendy i odwleczeń,
Beniowski ludzi ujrzawszy i pieczeń,

Zsiadł z konia. — Teraz kiedy go prowadzą
Tak materjalne gusta: moja Muza
Opuszcza, z całą swą harfiarki władzą.
Chociaż tam złota leży kukuruza,
Choć kapuściane tam kociołki kadzą,
Choć nerka nakształt czerwiennego tuza
Leży i w maśle na patelni warczy,
Jak serce wroga na Odyna tarczy.

Choć piękny ten las, gdzie o piersi dębów
Ogień czerwony swoje skrzydła łamie,
Chociaż Perkunas ma na kształt trójzębów
Widelec w ręku i Neptuna ramie,
Które do czarnych dymu wchodzi kłębów,
Jak ów wąż co chce Danta chwycić w bramie
Dytejskiej i w żar łeb żelazny kładzie.
Choć uczty prostszej nie było w Helladzie,

Wolę porzucić dym, płomień, pieczywo,
Rycerza, moją szlachtę — a sam w stepy
Jako ognisty koń z rozwianą grzywą,
Jak Ariost, nie jak Homer idę ślepy.

Ta rozmaitość może być pokrzywą. —
I pieśń na różne podzieliwszy szczepy
Może do końca nie trafię i ładu;
Lecz rozmaitym będę — dla przykładu.

Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko co pomyśli głowa;
A czasem był jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga Nimfy miętki,
A czasem piękny jak Aniołów mowa —
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem. —
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

Z niej wszystko dobyć — zamglić ją tęsknotą;
Potem z niej łyskać błyskawicą cichą,
Potem w promieniach ją pokazać złotą;
Potem nadętą dawnych przodków pychą,
Potem ją utkać Arachny robotą,
Potem ulepić z błota, jak pod strychą
Gniazdo jaskołcze, przybite do drzewa,
Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa. —

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał: on to by zrozumiał,
Myśląc że jakiś poemat niebieski,
Który mu w grobie nad lipami szumiał,
Słyszy, ubrany w dawny rym królewski
Mową, którą sam przed wiekami umiał.
Potem by, cicho mżąc, rozważał w sobie,
Że nie zapomniał mowy polskiej — w grobie.

Więc nie mieszajcie mi się tu harfiarze,
Którym dziś klaska tłum! — precz mowo smętna,
Co myślom własne odejmujesz twarze,
Dając im ciągłą łzę, lub ciągłe tętna;
Wolałbym słuchać morza na wiszarze
Jakiej opoki, co wieków pamiętna

W szumie, jakoby nie w skończonym rymie,
Odrzuca falom jedno — wielkie imię. —

Niż — moja Muzo, stój! — Od imion własnych
  Wara! z tej strony zrobiłabyś cmentarz.
Coś nakształt Danta tercetów niejasnych,
  Do których trzeba dodawać komentarz.
Krytykę Dońców i Sławian prekrasnych
  Zostawmy drugim. Lepiej ją spamiętasz,
Gdy ich, jak złota strzała Meleagra,
Przeszyje pióro Pana Michała Gra — —

Ej ty na szybkim koniu! — Dalej wiecie —
  Wieszcz wielki sobie zapytanie czyni;
A drugi mu wieszcz w przyległym powiecie
  Odparł: Zkąd, powiedz, wracają Litwini?
That is the question! Tu pytanie trzecie:
  Komu ty jedziesz? jak mówią Żmudzini,
Które ja czynię, naśladując metra
Galop w połowie pierwszej hexametra.

Komu ty jedziesz? Jadę księżycowi,
  Aby się w konia przeglądał kopytach —
Wonnemu jadę na stepach kwiatowi,
  Dziewannom które w złotych stoją kitach;
Anioł mię srebrny, jasny w skrzydła łowi,
  I leci za mną jak sen po błękitach,
Na koniu stojąc rycerskim jak sława,
I goni mię w kurhany — mówi Sawa.

Tak mówiąc leciał. A zaś Nimfa ładna
  Złożyła złote skrzydełka powoli,
Potem usiadła — ale taka zdradna,
  Jak wrona, kiedy z wieśniakiem po roli
Chodzi, szykowna i do lotu składna:
  Widać że z chłopa drwi a z psem swawoli.
Usiadłszy, włosy zrzuciwszy na łono,
Dwie nożek w jedno włożyła strzemiono.

Kozak ustąpił i nie mówiąc słowa,
  Pędził do swego stepowego domu;
Była to grota podziemna, stepowa,
  Mało widziana i wiadoma komu.
Koń się w niej mieści i trzoda się chowa,
  Kiedy po niebie leją węże gromu.
Tam młody Sawa żył pośród burzanów,
Z nim koń, pies wierny, i kilka baranów.

Pies pod niebytność Pana był pastuchem,
  Wyganiał trzodę i wilki zagryzał!
Straszny pies czarny z obszarpanem uchem,
  Gdzie krew zawrzała, jakby kto ponizał
Korale — szyja obtarta łańcuchem;
  Bo pies swojego pana tylko lizał,
Gości zaś zębem przerażał i białkiem,
Sądząc się w pana pałacu Marszałkiem.

Sawa wracając raz z nad Styru dolin —
  — Jeździł albowiem nieraz w ziemię Łucką
Z attentacyami do jednej z Podstolin —
  Wracając — patrzy, pies z mordą kałmucką,
Siedzi przed samą grotą, jak Ugolin
  Smutny, nad czaszką ogryzioną, ludzką,
I oblizuje się po krwawych chrapach,
Jako Egipski Bóg — na tylnych łapach.

Lecz czy ta czaszka zjedzonego trupa
  Chodziła kiedy nogami szlachcica?
Czy była czaszką Rugieri biskupa?
  Nie mogąc się od psa, ni od martwica
Dowiedzieć; przykuł brytana do słupa.
  A pies zapatrzył się w oczy księżyca,
Nie jęczał, nie gryzł żelaza, nie skakał:
Ale zapatrzył się w księżyc — i płakał.

Kto widział w Rzymie posąg niewolnika
  Germana, który w smutku cicho stoi,

Wie co twarz, choćby zwierzęca i dzika,
Zawiera bolu gdy się uspokoi,
I kraj przeszłości myślami odmyka,
I o wolności kiedyś dawnej roi —
Wie co czuł Sawa, gdy na łańcuch schwytan
Nie wyrzucał mu nic — milczący brytan.

Więc go potrzymał tak, potem zmiękczony
Na wolność puścił znow antropofaga.
Lecz odtąd pies był dziwnie zamyślony,
I smutku wielka w nim była powaga.
Czy to dla tego że był nakarmiony
Amerykańskim zwyczajem Osaga?
I czuł dziwną czczość zajadłszy w parowie
Poetę może, z poematem w głowie? —

Nie wiem — i wolę nie dochodzić wcale.
Więc do powieści. Sawa wszedł do jamy.
Słońce wschodzące, przez burzanów fale,
Lało się w grotę ognistemi blamy.
Barany białe leżały na skale,
Nad grotą. — Obraz ten oprawić w ramy! —
Za Sawą wszedł koń w jamę wyzłacaną
Słońcem i poszedł do żłobu, po siano.

Za Sawą weszło dziewczę z gołębiami,
Pies łasił, koń rżał, gołębie gruchały.
Brylantowemi jedno źródło skrami
Padało z tętnem, lejąc się ze skały. —
Idyllę moją pies cokolwiek plami
Przeszłością; ale któż jest doskonały? —
Pies więc i grota, koń, gołębie, trzoda —
Spokojnie słońce wschodzi, mruczy woda.

Sawa na siodle oparł się; dziewczyna
Siadła przy źródle i czesała włosy.
A do niej Sawa: «Oj moja Swentyna!
Latasz po stepie jak cygańczuk bosy,

A czerwieniejesz teraz, jak kalina.
Oj będzie licho! — Toż to moje losy!
Chciał ja się mieczem wyrąbać na panka,
A siostra wyjdzie na licho. — Cyganka!» —

— «Na licho wyjdę, czy na spokojnicę —
A tobie to co? ty wyjdź na Hetmana!
Znajdź sobie jaką piękną krasawicę
Córkę Starosty, albo Kasztelana,
Taj się żeń. — Ja ci ubiorę w brusznice
Korowaj — sama pójdę w step bojana,
Gdzie mi śpiewają kwiaty i żórawie:
A spać nie będę na wproszonej ławie.

«Mnie świat szeroki! — Jak złotego gila
Przedała kiedyś Włochom Guślarycha,
Ty na kurhanie dumał Czaromyla,
Gdzie tobie dymy piała Janczarycha;
A mnie Włoch bił! bił! Oj! łza mi rozchyla
Palce, gdy myślę, jak ja była licha!
Jaka ja biedna była niewolnica!
A dziś co ze mnie? — wiatr! i gołębica!

«Nie łaj mnie, ale na stepy wyprowadź,
Pocałuj, zapłacz, świśnij — taj polecę!
Gołębie moje umieją tańcować,
Na chleb zarobią, na cerkiewne świece —
Będzie mnie za co ubrać i pochować.
Albo ja martwa pójdę w pław po rzece —
A gdzieś Rusałki srebrne wezmą sobie,
I pochowają w śpiewającym grobie.

«Taj będzie koniec z żałośną Swentyną!
Oj! nalatała się ja po kurhanach!
Oj! nakarmiła się gorzką kaliną!
Jak jemiełuszka! — Była ja przy panach!
I była między chłopami Caryną!
A wszystko smutno! — Chodzę jak w kajdanach

Ni ojca, ani matki na tym świecie!
Groszów zebrała co? — taj wiatr rozmiecie!» —

Sawa jak szatan zmarszczył się «Poganko
A co? straciłaś już twój srebrny wianek? —
Przydybał ciebie ja, moja kraszanko!
Przy tobie jakiś złoty marcypanek
Szlachcic. — Co robisz ty z nim? mów cyganko!
Co ty robiła z nim przez cały ranek?
Cóż? oszukana ha? kwiatku kaliny,
A kiedyż prosisz na ślub i na chrzciny? —

Nie rzekła na to nic; lecz zamyślona
Wstała, cmuknęła i ptaki srebrnemi
Ubrawszy swoje wysmukłe ramiona,
Pokłoniła się bratu aż do ziemi;
I chwilę stojąc przed nim pokłoniona,
Jak brzoza listki wiejąca złotemi,
Wstała, i nogą jakiś zygzak chiński
Kreśląc na piasku, rzekła: «Słysz Caliński!

«Pomiędzi nami stoją te hramoty!
Aż przyjdzie rzeka i ten piasek zmyje,
Aż przyjdzie zjeść ten piasek piorun złoty,
Aż przyjdzie wąż skrzydlaty i wypije:
Ani mnie ujrzysz! — Ani ja wiem, kto ty?
Ani ty wiedzieć będziesz gdzie ja żyję? —
Łzami kupiła ja ten świat podniebny,
I komu zechcę dam pierścionek srebrny.»

Tu Sawa wściekły wrzasnął: «Ty wyrodna!
Z pierwszym szlachcicem cyganisz na jarze!»
Na to, jak róża która nie jest do dna
Białą, lecz w liści kryształowej czarze
Kryje rumieniec, a kiedy swobodna,
Słońcu odemknie łono i pokaże
Swój rubinowy wstyd i tę konieczną
Białego kwiatu rumianość serdeczną:

Podobnie wtenczas się zarumieniła
I ręką bijąc powietrze przed sobą:
«Nie! nie! ja nigdy!» Białą twarz zakryła.
«Pierwszy raz jestem spłonioną przed tobą;
Teraz się będę zawsze czerwieniła
Przed każdem okiem, przed każdą osobą.
Bogdajbyś ty tak, gdy się będziesz żenił,
Pierwszy raz twoją miłą zaczerwienił!

«Gdy, dawniej, w rękach i na linie Włocha
Gięłam się jak wąż, cóż robiły pany
Aby mię słowem zczerwienić choć trocha!
A byłam jako kwiatek ołowiany.
Nie czerwieni się serce aż zakocha;
Nie zawsze blady jest, kto nie kochany.
Bądź zdrów, nie będę nadaremnie szlochać,
Jeźli jak mówisz kocham? — lecę kochać!

«A gdy się dowiesz że w kurhanie leżę,
O! przyjdź na kurhan mój z psem i sokołem!
Połóż się chwilę na darniny świeże;
Niech sokoł czarnem krzyż obleci kołem.
Ja także jestem jak polscy rycerze,
A ksiądz mię posłem nazywa, aniołem;
Ja listy noszę, ja zapalam słupy,
Ja zbieram, grzebię, i obmywam trupy.

«A któż przypomni o mnie kiedy zginę?
Jeźli ty mówisz że miłość tak trudno
Zyskać — kto w grobie położy Swentynę?
Kto różę na nim posadzi odludną?
Kto złoży na krzyż moje ręce sine?
O! jak tam w grobie niekochanym nudno
Spać na kamieniu!» — Tak mówiła śpiewna
Ta czarodziejska, stepowa królewna.

Sawie zabrakło na odpowiedź czasu —
Wybiegł na stepy, nad swój dom gliniany;

A za nim Nimfa mojego Parnasu,
Jako duch ze mgły, na słońcu różany.
Stanęli. — Burzan podobny do lasu
Purpurowemi podpływał bałwany,
By morze blaskiem piorunów rozbite.—
W burzanie wojska brzęczały ukryte.

Czasem chorągiew wybiegła nad morze,
Jak maszt łaciński u rybackiej łodzi;
Czasem ujrzałeś że koń piersią porze
Trawy i z trawy jak Delfin wychodzi.
Lecz cały na wiatr wyskoczyć nie może,
Jak posąg co się u snycerza rodzi,
I cały w głazie osadzony zadem,
Po piersi koniem jest — a po pas gadem.

I tak się wojsko przez burzany prało,
Jak prąd ogromny summów lub łososi;
I tak się jako wąż żelazny snuło,
Co czasem ogon czasem łeb podnosi. —
Ale się pieśni narzędzie popsuło!
O wypoczynek moja Muza prosi;
Ambrozyi słodkiej już zabrakło w krużu —
A więc żegnajcie! na stepowem wzgórzu:

Moje posągi dwa od słońca złote!
Me szyki w trawach tonące i ziołach!
Tu Malczewskiego trzeba mieć tęsknotę,
Tęsknotę, co jest w ludziach pół aniołach;
Tu trzeba śpiewać, a ja baśni plotę,
Bo kiedy grzebię w ojczyzny popiołach,
A potem ręce znów na harfie kładnę:
Wstają mi z grobu mary — takie ładne!

Takie przejrzyste, świeże, żywe, młode!
Że po nich płakać nie umiałbym szczerze;
Lecz z niemi taniec po dolinach wiodę,
A każda co chce z mego serca bierze.

Sonnet, tragedyę, legendę, lub odę,
To wszystko co mam, co kocham, w co wierzę.
W co wierzę — ? — Tu mię spytasz czytelnikn:
W co? — Jeźli powiem — będzie wiele krzyku.

A naprzód ten rym co drwi, lub przeklina,
Ma polityczne credo; jest to sfera
Dantejska. Wierzę sercem poganina
W rym Szekspirowski, w Danta i w Homera.
Wierzę w respublik jedynaka syna —
Mochnacki nim był u nas, ten kostera!
Co wielkich marzeń nie przestając snować,
Przez Dyktatora dał się ukrzyżować.

Wierzę, że powstał w człowieczej postaci,
I szedł na wielki sąd co kraj rozwidni;
Po drodze wstąpił do Arystokracyi,
I w tem bez ognia piekle bawił trzy dni;
Potem w książeczce sądził swoich braci,
Tych co są prawi, i tych co bezwstydni.
Weń uwierzywszy z dwóch tomów zaczętych:
W emigracyjnych wierzę wszystkich świętych.

I w obcowanie ich ducha z narodem!
I w odpuszczenie naszym wodzom grzesznym —
I w zmartwychwstanie Sejmu, pod Herodem
Obieranego, co jest bardzo śmiesznem
Ciałem i będzie najlepszym dowodem
Ciał zmartwychwstania, fenomenem wskrzesznym.
Na końcu dodam, o przyszłość bezpieczny,
Że w tego Sejmu, wierzę, żywot wieczny.

Amen. — To amen, krztusi mię i dławi
Jak Makbetowe amen. — Jednak wierzę
Że ludy płyną jak łańcuch żórawi
W postęp — że z kości rodzą się rycerze;
Że nie śpi tyran gdy łoże okrwawi,
I z gniazd najmłodsze orlęta wybierze;

I ogień z nim śpi i węże i trwoga —
Wierzę w to wszystko — ha! — a jeszcze w Boga.

Boże! kto ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
Z hymnem wiatrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionej przez Tatarów gliny!
W popiołach złote słońce zawieruszy,
Zamgli, zczerwieni i w niebie zatrzyma,
Jak czarną tarczę z krwawemi oczyma! —

Kto cię nie widział nigdy, Wielki Boże!
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywem,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże
Wydaje się krwią i płomieniem krzywym —
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze,
Mogiły głosem wołają straszliwym;
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie, i ginie. —

Kto ciebie nie czuł w natury przestrachu,
Na wielkim stepie albo na Golgocie;
Ani śród kolumn, które zamiast dachu
Mają nad sobą miesiąc i gwiazd krocie,
Ani też w uczuć młodości zapachu
Uczuł, że jesteś — ani rwąc stokrocie,
Znałazł w stokrociach i niezapominkach:
A szuka w modłach i w dobrych uczynkach —

Znajdzie — ja sądzę że znajdzie — i życzę
Ludziom małego serca: kornej wiary,
Spokojnej śmierci. — Jehowy oblicze
Błyskawicowe jest ogromnej miary!
Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę
I widzę kości, co jako sztandary
Wojsk zatraconych, pod górnemi grzbiety
Leżą — i świadczą o Bogu — szkielety.

Widzę: że nie jest On tylko robaków
Bogiem, i tego stworzenia co pełza.
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
A rozhukanych koni On nie kiełza —
On, piórem z ognia jest dumnych szyszaków —
Wielki czyn często go ubłaga, nie łza
Próżno stracona, przed kościoła progiem:
Przed Nim upada na twarz — On jest Bogiem!

Gdzież więc ten człowiek który jest zwiastunem,
Pokory? co się Bogiem ze mną mierzył?
Ja go chcę jeszcze — w głowę tnę piorunem,
Tak jakem wczora go w piersi uderzył.
Czy widzieliście? i on ma piołunem
Zaprawne usta. — Lud co w niego wierzył,
Radość udaje, ale głowy zwiesił,
Bo wie żem skinął Ja — i wieszcza wskrzesił.

Jam zwolna serca mego rwał kawały,
Zamieniał w piorun i w twarz jemu ciskał;
A wszystkie tak grzmią jeszcze jako skały,
Jakbym ja w niebie na sztuki rozpryskał
Boga, a teraz kawałki spadały —
Jam zbił — lecz cóżem dziś u ludzi zyskał?
Za błękitami był bój i zwycięztwo —
Ludzie nie widzą we mnie, tylko męztwo.

Zaprawdę! — Gdybyś mię widział Narodzie,
Jak ja samotny byłem i ponury,
Wiedząc że jeźli mój grom nie przebodzie,
Litwin z Litwinem mię chwycą w pazury.
Już przypomniawszy gniazdo me na wschodzie,
Wołałem ręką Krzemienickiej góry,
Ażeby weszła rozpędzić tę ciemną
Zgrają — i stanąć za mną — lub podemną.

Bo się kruszyło we mnie serce smętne,
Że ja nikogo nie mam ze szlachetnych;

Zbiór: 921

I próżno słowa wyrzucam namiętne,
Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych.
Na serca które zawsze dla mnie wstrętne —
Ja, co mam także kraj, łąk pełen kwietnych;
Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna,
A która także mię kochać powinna!

Jeżli wy bez serc! Wy! — To moje serce
Za was czuć będzie, przebaczać bez miary.
Ikwo! Płyń przez łąk zielonych kobierce!
Ty także sławna, że fal twoich gwary
Jakoby z Niemnem w olbrzymiej rozterce
Gadają. — Tyś zmusiła Niemem stary
Wyznać żem wielki, że w sławę płyniemy —
Lecz rzekł: Niech idzie tam gdzie my idziemy.

Ha! ha! Mój wieszczu! Gdzież tò wy idziecie?
Jaka wam świeci, gdzie, portowa wieża?
Lub w Sławiańszczyznie bez echa toniecie,
Lub na koronę potrójną Papieża
Piorunem myśli podniesione szlecie —
Gnacie? — Znam wasze porty i wybrzeża!
Nie pójdę z wami, waszą drogą kłamną —
Pójdę gdzie indziej! — i Lud pójdzie za mną!

Gdy zechce kochać — ja mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał!
Kiedy kląć zechce — przezemnie kląć będzie;
Gdy zechce płonąć — ja będę rozgrzewał,
Powiodę tam gdzie Bóg — w bezmiar — wszędzie.
W me imię będzie krew i łzy wylewał.
Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi,
W dzień jako słońce, w noc jak żar prowadzi.

Ha! ha! odkryłeś mi się mój rycerzu?
Więc teraz z mieczem pod ciebie przypadam!

Naprzód ci słońce pokażę w puklerzu,
Przed słońcem ciebie z trwogi wyspowiadam —
Fałsz ci pokażę w ostatnim pacierzu,
I pokazanym fałszem śmierć ci zadam!
Patrząc na twoją twarz zieloną w nocy,
Jak księżyc — słońca wyrzekłeś się mocy?

Jam ci powiedział, że jak Bóg Litewski,
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska;
A w ręku twem krzyż jak miesiąc niebieski,
A w ustach słowo co jak piorun błyska.
Tak mówiąc — ja syn pieśni! syn królewski!
Padłem. — A tyś już następował z blizka,
I nogą twoją jak na trupie stawał?
Wstałem — jam tylko strach i śmierć — udawał!

Znajdziesz mię zawsze przed twoim obliczem,
Mię powalonym, hardym i straszliwym —
Nie jestem tobą — ty nie jesteś Zniczem.
Lecz choćbyś Bogiem był — ja jestem żywym!
Gotów wężowym bałwan smagać biczem,
Dopóki świat ten pędzisz biegiem krzywym —
Kocham Lud więcej niż umarłych kości —
Kocham — lecz jestem bez łez, bez litości

Dla zwyciężonych. — Taka moja zbroja,
I takie moich myśli czarnoksięztwo;
Choć mi się oprzesz dzisiaj? — przyszłość moja! —
I moje będzie za grobem zwycięztwo! —
Legnie przedemną twych poetów Troja,
Twe Hektorowe jej nie zbawi męztwo.
Bóg mi obronę przyszłości poruczył: —
Zabiję — trupa twego będę włóczył! —

A sąd zostawię wiekom. — Bądź zdrów wieszczu!
Tobą się kończy ta pieśń dawny Boże.

Obmyłem twój laur, w słów ognistych deszczu,
I pokazałem że na twojej korze
Pęknięcie serca znać — a w liści dreszczu
Widać; że ci cóś próchno duszy porze —
Bądź zdrów! — A tak się żegnają nie wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — Bogi.

KSIĄDZ MAREK.

AKT I.

(Szopa wyporządzona jak na zebranie koła rycerskiego. Wchodzą: STAROŚCIC Z BARKU i TOWARZYSZ PANCERNY. Słychać z daleka śpiew konfederacki.)

TOWARZYSZ.

Słyszysz pieśni — oto z pola
Rycerze nasi wracają.

STAROŚCIC.

Mam taką harfę Eola
W Anielinkach, nad strumykiem;
Lecz jej stróny tak nie grają
Z szumem liści, ze słowikiem,
Tęskno — dziko i żałośnie:
Jak ta pieśń co w hymny rośnie.

TOWARZYSZ.

Wracają pełni zapału,
A ksiądz Marek karmelita
Ludziom błogosławi z wału.

STAROŚCIC.

Jak miło gdy młodość rozkwita!
Gdy krwią biją wszystkie żyły!
Rzucić się pod sztandar boży
Co w stepach, z dawnej mogiły
Jak tęcza, którą na chmurach
Słońce gdzieś ojczyste tworzy;
Błyska, i na złotych piórach
Dusze rycerskie unosi! —
A ta pieśń co Boga prosi

O łaskę, politowanie;
Taka miła jak pieśń dziecka,
Rubaszna — jak pieśń szlachecka,
Święta jak organów granie,
A świeża jako zaranie
Przyszłych nadziei narodu —
Tak trzęsie całą mieściną,
Że bez żadnego powodu
Kiedy słucham — łzy mi płyną! —

PIEŚŃ KONFEDERATÓW za sceną.

Nigdy z królami nie będziem w aljansach,
Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi;
Bo u Chrystusa my na ordynansach —
Słudzy Maryi!
Więc choć się spęka świat, i zadrży słońce,
Chociaż się chmury i morza nasrożą;
Choćby na smokach wojska latające,
Nas nie zatrwożą.
Bóg naszych ojców i dziś jest nad nami!
Więc nie dopuści upaść żadnej klęsce;
Wszak póki On był z naszemi ojcami
Byli zwycięzce!
Więc nie wpadniemy w żadną wilczą jamę,
Nie uklękniemy przed mocarzy władzą;
Wiedząc że nawet grobowce nas same
Bogu oddadzą.
Ze skowronkami wstaliśmy do pracy,
I spać pójdziemy o wieczornej zorzy;
Ale w grobowcach my jeszcze żołdacy
I hufiec boży.
Bo kto zaufał Chrystusowi Panu,
I szedł na święte kraju werbowanie;
Ten, de profundis, z ciemnego kurhanu,
Na trąbę wstanie.
Bóg jest ucieczką i obroną naszą!
Póki on z nami całe piekła pękną!
Ani ogniste smoki nas ustraszą,
Ani ulękną.

Nie złamie nas głód, ni żaden frasunek,
Ani zhołdują żadne świata hołdy:
Bo na Chrystusa my poszli werbunek,
Na jego żołdy. —

STAROŚCIC.

Ponieśli dalej sztandary,
Poszli dalej z bronią w ręku;
A ta pieśń na fundum wiary
Anielskiego pełna jęku,
Ściąga nam: cudy, zjawienia,
Przelotne niebios humory,
Gwiazdy z grzywą, meteory,
Nocne słońca — łby z płomienia,
Szwadrony w zbrojach nieznanych,
Po obłokach malowanych
Idące truchtem i cwałem.
A jak wczora, sam widziałem,
Będąc na straży w mieścinie —
Pana naszego obrońce,
Co siedmio-mieczowe słońce
Na serca jasnym rubinie
Zapaliwszy, stał na chmurach.
I nie sam świadczę o cudzie,
Ale wszyscy moi ludzie.
Wszystkie szyldwachy na murach
Widzieli ten wizerunek
Doloris, jak brał kierunek
Ku Wschodowi, świecąc miastu.
Widać, że nasz okręt tonie,
Że potrzeba mu balastu,
Więcej szabel — więcej ducha,
Więcej serca w naszem łonie:
Bo ta wielka zawierucha
Niebios, wszystkich nas pochłonie.

TOWARZYSZ.

Ksiądz Marek wczoraj to z ducha
Wytłómaczył na ambonie,
Mówiąc o różnej pokusie.

Miecze te, powiada, bolu,
Bolące w Panu Jezusie,
To są gorsze od kąkolu
Wady na ojczystem polu,
Z których boleść ma Ojczyzna.
Pierwszy miecz co w niej usterka,
Mówił, jest to francuszczyzna,
A drugi miecz, to szulerka,
A trzeci, to kieszeń stratna,
A czwarty, kobiecie rządy;
Piąty — to przedajne sądy,
A szósty, zawiść prywatna,
A siódmy, zgniłe sumienie.
Te wszystkie, mówił, ościenie
W jednem sercu co je mieści
Zatknięte ręką morderczą,
Jako błyskawice sterczą;
Jak słońce srebrne boleści,
Słonecznik siedmio-mieczowy,
Co ma w środku serce boże,
A na rękojeściach głowy,
Do panów naszych podobne.
I znów o każdym upiorze,
O każdym mieczu magnacie
Mówił powieści osobne,
Jak sędzia na majestacie,
Sądzący zbrodnie czerwone. —
Potem kazał przed amboną
Przynieść trumnicę z kościarza,
I sam z ognistą powieką,
Nogą odrzuciwszy wieko,
Kiedy się pył ruszył z kości
Krzyknął: oto proch cmentarza,
Który w żywych obecności
Będzie sądzon, jak wy sami
Kiedyś nakryci trumnami,
Przez lud będziecie sądzeni —
Oto jest proch z trupa rdzeni!

Oto jest jedna z piszczeli,
Co może na karabeli
Spoczywała do starości.
Jeźli ty? mówił do kości,
Z pod twojej rysiowej delii
Przy czytaniu ewangelii
Szabli dobyłaś na światy?
Ręko! bądź błogosławiona!
Lecz jeźli wy stare gnaty,
Wy spruchniałe dziś ramiona,
Wy drżące palców kosteczki!
Dla jakiej prywatnej sprzeczki
Dobyłyście z pochew miecza
Chłopską porąbały chatę!
Jeźli ty ręko człowiecza,
W sygnetach a krwią ociekła,
Podpisywałaś utratę
Naszych pogranicznych grodów?
Jeźliś cały naród wlekła
Za włosy w trumnę narodów
I poiłaś go piołunem?
Ręko hańby idź do piekła! —
Rzekł i kością jak piorunem
Uderzył z czarnej ambony,
Pomiędzy lud przerażony,
W sam środek szary motłochu,
W sam środek czerni szepczącej
O tej kości latającej,
O tym poruszonym prochu,
O tym niespokojnym grobie.
Aż ksiądz znowu ręce obie
Zanurzywszy w trumny łonie,
Czerepem się na ambonie
I głową trupa oświecił.
Czerep pacierzom polecił
I czcił pogrzebową rzeczą.
To go malował w przyłbicy,
To w karbunkułach korony,

To w cierniach co kość kaleczą:
Aż ten czerep uśmiechniony,
Wziąwszy prawie twarz człowieczą
Co się uśmiecha, nie sroży:
Jak drugi spowiednik Boży
Zaczął nauczać z ambony —

STAROŚCIC.

A tym czasem obrażony
Pan marszałek, szlachta cała,
Tem ruszeniem z grobu ciała,
Tem urąganiem z magnatów,
Tą obelgą antenatów,
Zamyśla porzucić sprawę.

TOWARZYSZ.

Co mówisz?

STAROŚCIC.

Będą ciekawe
Dzisiejsze panów narady.
Patrzaj, regimentarz blady,
Z manifestem o głos prosi;
Ale oczu nie podnosi
Na czoło marszałka dzielne.

(Wchodzą i zasiadają na ławach: PAN MARSZAŁEK KONFEDERACYI KRASINSKI, PAN REGIMENTARZ PUŁAWSKI, KS. PRZEŁOŻONY KARMELITÓW — i wielu ze szlachty.)

REGIMENTARZ, z manifestem w ręku.

W imię Boga nieśmiertelne!
I w imię Bożego Syna!
I w imię Bożego Ducha!
Przed tym światem co patrzy i słucha,
Jak się nasza krew tu lać zaczyna,
I wulkanem pomsty z nas wybucha,
I wulkanem jęków świat przeraża —
Przed ziemią co nas spotwarza,
Że już ojczyzny nie mamy
I o nią się dobijamy
Z mieczem w ręku przed tronami,
Któreśmy kiedyś zakryli

Od Turka naszemi szablami —
I przed dzieciątkiem co kwili —
I przed starcem co grób kopie —
I przed chłopkiem, który siada
Jak Ceres na złotym snopie,
I płacze, gdy o nędzy gada. —
Przed magnatem, co krew żłopie,
Ludu wnętrzności wyjada
I złoto skrwawione chowa —
I przed tą, która jest wdowa
Po mężu za kraj poległym —
I przed wiekiem już ubiegłym.
I przed tym, co w czasów prądzie
Na sąd trupów naszych idzie —
Wydarci przeszłej ohydzie
Stajem z tym pismem na sądzie!
Sądem krwi nie przerażeni,
Ani dumni, ani bladzi:
W środku rzezi i płomieni,
Przy biciu gwałtownych dzwonów;
Pany na czele czeladzi,
Wodze na czele szwadronów,
Księża, tłum prowadząc niemy
W blasku krzyżów i kagańców,
Dawnych świętych zmartwychwstańców;
Na sądzie wszyscy stajemy!
I podnosząc ręce blade,
I wskazując rany święte,
Tę wszystkich narodów zdradę
I to morderstwo nie święte
Na naszych spełniane ciałach,
Rzucamy w czasu koryto.
Bogdajby kiedyś odkryto,
Że na tych przekleństwa skałach
Zatrzymane ludów wody
Pierś swoją o nas rozbiją —
Staną, i w kałużach zgniją,
Nie mogąc wejść na te wschody,

Któreśmy sypali sami
Wiekom — kładąc się trupami.
Bogdajby kiedyś odkryto,
Że tu, gdzie nas zabijano,
Ludów patronkę zabito!
Że tu, gdzie Polski kolano
Pierwszy raz przed nędzę klękło:
Nowa jest ludów kalwarja. —
A tam, gdzie jej serce pękło
Gdzie zapłakała jak Marja:
Jest miejsce lamentowania —
A tam, gdzie ją kat pogania
Knutem, cierniami i spiżem,
A ona padła pod krzyżem,
W koronie z blasków słonecznych:
Jest miejsce upadków wiecznych —
I śmierci okropna przystań. —
A tam, gdzie matka rycerzy
Choć w grobie, w grób nie uwierzy:
Jest miejsce wieczne zmartwychwstań —
Jest duch co z grobu wyrywa —
I kos żadnych się nie boi. —
Panowanie! to miejsce stoi!
To miejsce Bar się nazywa! —
Tu my, rycerze bez plamy,
Z odkrytą przed Bogiem głową,
Pod chorągwią Jezusową
Za kraj nasz poumieramy;
Zatknąwszy wieczne sztandary
Dla miłości prawd i wiary! —

MARSZAŁEK.

Szanowny Regimentarzu!
Mówisz tak jak na Golgocie,
Mówisz tak, jak na cmentarzu —
I takby się nam w istocie
Należało dziś zachować;
Krzyże nosić i całować,
Samym je zatykać w ziemię,

Nauczając przyszłe plemię,
Jak los przeciwny pokona —
Za prawą rękę i lewą
Dać się przybijać na drzewo,
Aby widział nasz morderca
Że otworzywszy ramiona
Pokazujemy i serca.
Ale sądzę, mój kolego,
Że wola Nieśmiertelnego
Chowa nas na większe czyny;
Więc z tej ubogiej mieściny
Gdzieśmy się teraz zamknęli,
Nie chciałbym uczynić jeszcze
Grobu dla obywateli.

REGIMENTARZ.

Panie! przechodzą mię dreszcze!
Z gwałtownego chłonę żaru! —
Pierwszy raz ktoś mówi w radzie
O hańbie — o wyjściu z Baru —

MARSZAŁEK, dobywając w pół szabli.

Hańba! Cóż to mi ty? —

REGIMENTARZ.

Panie!
Niech twoje słowo zostanie
W gardle, szabla niech się kładzie
Do snu i niech się nie budzi.
Dawno ja żyję śród ludzi!
Z różnemi panami żyłem,
Obelgi nieraz znosiłem
Dla ojczyzny i dziś zniosę.
A jeźli kto mimowolną
Obaczy na rzęsach rosę
U obelżonego starca!
To wszakże, i mnie mieć wolno
Przy białej siwiznie marca,
I lód co szkłem w oczach świeci —
Bo ja mam aż czworo dzieci,
Aż czworo żywych pod niebem! —

A gdy na mnie hańba spada,
To panie, tym jednym chlebem
Nas pięcioro się najada —
A czy to łza w oczach stoi,
I błyszczy w źrenicy biednej;
To pięciorgo się napoi,
Panie, z tej wielkiej łzy jednej. —
Bo kto na świat się nie gniewa
Często, chociaż łez nie leje
W serce — rzeki łez wylewa.

MARSZAŁEK.

Jeźlim obraził — boleję.

REGIMENTARZ.

Dosyć. Gadajmy o Barze.
Więc wola jest rzucić miasto? —

MARSZAŁEK.

Dosyć spojrzeć tu na twarze —
Żaden tu nie jest niewiastą,
Ani dzieckiem nie jest w duchu.
Widziano nas przy armatach —
Lecz dać się ciągnąć w łańcuchu?
I przy ruskich kazamatach
W błocie przed Branickim legać?
Mnie — co jestem z panów panem,
Nazywać jego hetmanem?
I grzeczności z nim przestrzegać?
Być jego sługą? Gdy mogę,
Do Turczech dziś pojechawszy,
Jutro tu powrócić krwawszy,
Zgnieść tę moskiewską stonogę,
Stanąć mu butem na głowie,
Królowi napędzić strachów. —
Cóż? — Czy nieprawda panowie,
Że tak lepiej! z hufcem spachów!

SZLACHTA.

Lepiej!

MARSZAŁEK.

Zgodne głosy słyszę —

A oto patrzcie (dobywa listu) tu pisze
Pan Potocki nasz Podczaszy,
Że Turek już Moskwę straszy
Nad Prutem, stanąwszy w sile —
Cóż mu po naszej mogile?

SZLACHTA, krzycząc.

Do Turków całemi szwadrony! —

(Wchodzi KSIĄDZ MAREK.)

KSIĄDZ MAREK.

Niechaj będzie pochwalony
Jezus Chrystus. — Szatan głuchy,
(Na stronie.)
Żaden nie dał odpowiedzi.
W tej szopie widać złe duchy
I zło — co otworu śledzi,
Aby zerwać naszą zgodę.
Gdzie tylko okiem powiodę
(głośno.)
Zasmucone widzę twarze —

REGIMENTARZ.

Mój księże, źle z nami w Barze —
Myślemy z miasta uchodzić.

KSIĄDZ MAREK.

A miastem kto ma dowodzić?

REGIMENTARZ.

Nacóż dowództwa w pustoszy?

MARSZAŁEK.

Dosyć tej wojny kokoszy!
Tej manifestów papierni!
Byliśmy krajowi wierni
I wiernie jemu dotrwamy.
Lecz tu w Barze już nie mamy
Prochu, jadła, ni pieniędzy.
Gorszy pocałunek nędzy
Niż pocałunek Judasza;
Bo często odwagę zdradza,
I wszystkie cnoty rozpłasza,
I w śmierci — hańbę doradza.

KSIĄDZ MAREK.

Marszałku! panie narodu,
Czyś ty dzisiaj doznał głodu?
Otruł się na miejskiej wodzie?
I pomyślał o tem w głodzie,
Ażeby naród opuścić? —
Pan Bóg ci może odpuścić
Jeźli to się w głodzie stało,
Jeźli twoje biedne ciało
Zaczęło się trząść na kości —
Pan Bóg jest pełny litości
Jeźliś głodny był — przebaczy —
Lecz Panie! o, ta stodoła
Tego mi nie wytłómaczy,
Przez jakiego ty Anioła
Ducha — byłeś ogłodzony? —
Powiedz? czy upiór czerwony,
Jakie rodowe widziadło,
Odpycha od ciebie jadło?
Straszy cię? jeść nie pozwala?
Albo krwią okrzepłą kala
Ten chleb, który bierzesz w usta? —
Mówisz o nędzy? — Ta pusta
Stodoła, ta szopa żyda,
Panie, pałacem się wyda,
Jeźli ją który z twych wnuków
Ujrzy wygnańca oczyma.
Patrzaj co tutaj jest bruków
Z jedwabi — gdzie okiem trącę,
Dywan na powietrzu trzyma
Srebrne gwiazdy i miesiące —
Kwiaty, takie winogrady,
Że dają oczom pokusy.
Więc także blade turkusy
Patrzą niby na obrady
Z szabel brylantowych czoła,
Jakoby oczy aniołów.
Więc ten dom i od kościoła

Bogatszy — bo dół kościołów
Często z ludzkich trumien bywa —
A tu morze złota pływa
Po pas w tej żydowskiej stajni.
Więc jeżeli wy przedajni? —
Czego nie daj Boże wielki —
Kto was kupi? gdzie są fanty? —
Kto znajdzie takie brylanty
Coby waszej krwi kropelki
Były godne? warte były? —
Więc wyznaj, że ani nędza,
Ani głód jedzący żyły
Poradził — ale ta jędza,
Co krew polską dawno chłepce,
Thórzostwo do ucha szepce —
Nie chwytaj za miecz człowieku! —
Ja ksiądz prosty, powiem tobie,
Że tu leży Polska w żłobie,
Lecz Polska nie tego wieku,
Żywa — nie przez nasze czyny.
Szanuj sen świętej dzieciny,
Która, gdy oczy otworzy,
A uczuje boleść ciała,
Najpierwej będzie płakała!
Taka ją ciemność zatrwoży
Z naszych grobów uczyniona —
I brak matczynego łona
Tak ją w żłobeczku rozkwili!
Szanuj! bo tu, gdzieśmy żyli,
Śród naszej niby opieki,
Bogu i ziemi na chwałę,
Poczęło się dziecko małe,
Które będzie żyło wieki!
O! gdybyś wiedział jak one,
Przed narodami wystrzeli,
Jaką ogromną koronę
Włoży — jakie berło chwyci!
Chociaż wódz obywateli,

Co są w rodach znakomici,
Nie śmiałbyś przed tą maleńką
Ruszyć ni szablą, ni ręką,
I stałbyś tam u podwoi,
Jak żebrak przed królem stoi. —
Ja ci nie powiem kto ona,
Pozwalam jak szaleńcowi
Pożyć, a sam też w ramiona
Nie wezmę piastować żłobu:
Bom jest już podobny snowi,
Blizki męczeńskiego grobu.
Ale że tu jest to dziecię
To wiedzą małe ptaszęta,
Świegocące mu w błękicie,
Gdzie słoma wichrem podjęta
Błękit niebios pokazuje. —
Koń to już wojenny czuje,
W kącie stojący przy sianie,
Bo kiedy poczucie ducha
Pójdzie ludziom w urąganie:
To świat go podlejszy słucha,
I nieraz harfą się stanie,
Na którą duch boży dmucha,
Aż słońce się ludziom odsłoni. —
Człowieku! niech cię Bóg broni,
Abyś zwątpił o proroctwie!
Bo wkrótce, w całem sieroctwie
Twego nieszczęsnego rodu,
Gdy odrzucon od narodu
Krwią się do krzyża przyklei,
Sercem przylgnie do przyszłej ojczyzny:
Nie zostanie — prócz nadziei —
Żadnej po ojcach puścizny! —
Nie zostanie, gdy wyjęczy
Całą boleść. Tylko Panie
Oto się chwytać tej tęczy,
Którą przez wieków otchłanie
Z proroczych ust teraz ciskam

Więc się nie dziw, że tak błyskam
Jak Mojżesz, duchem natchnięty,
Żem jest jako ów Jan święty,
Widzący to — co ja widzę —
Bo zaprawdę — jestem w lidze
Z duchami i ze świętemi!
A chociaż nizki na ziemi,
To duchy okryte zbroją
Na ramionach moich stoją!
I kończą się gdzieś w bezkońcach —
W świecie — gdzie gwiazd zawierucha,
W gwiazdach, w meteorach, w słońcach,
Za słońcami — w słońcu ducha.

MARSZAŁEK.

Czegóż chcesz w tej egzaltacyi?
I co ma ona za związek
Tu? — gdzie pierwszy obowiązek
Zbawić panów, naszych braci,
Szlachetnych ludzi ostatki?

KSIĄDZ MAREK.

Panie, zostań, z tej gromadki
Nie zginie żaden —

MARSZAŁEK.

Kto ręczy?

KSIĄDZ MAREK.

Pan.

MARSZAŁEK.

Co za znak?

KSIĄDZ MAREK.

Zagrzmi działo

(po chwili milczenia słychać strzał).

Czy słyszycie że zagrzmiało,
Aż belka w stodołach brzęczy
Jak echo kościelne nad ludem.

(Wchodzi ARTYLERZYSTA POLSKI.)

ARTYLERZYSTA.

Panie, pękło nam na ćwierci
Jedno działo, ale cudem

Puszkarze uszli od śmierci.
Myślą, że świat cały runął,
Śledzą kto ognia podsunął
I kupią się — a szlachectwo
Już krzyczy ogień i zdrada —

MARSZAŁEK.

Czyli to bozkie świadectwo
I głos, który z niebios gada?
Czy zrządzenie przypadkowe?
O to nie zachodźmy w głowę.
A jeźli takie portenta
Brać nam za rozkazy z nieba?
To armata rozpęknięta
Mówi — że wyjeżdżać trzeba,
Unosząc ducha i serce.

(Wstaje.)

KSIĄDZ MAREK.

Zabierz z sobą te kobierce,
Własnością są twego rodu.

MARSZAŁER.

Gdzie ja ogrody zasadzę
To ptaszki z mego ogrodu
Nawet, gdy się wyprowadzę,
Mają prawo żyć wiśniami:
Choć tu jedwab jest murawą,
A hafty złote drzewami;
Ten kto ma do gruntu prawo,
Ma prawo do drzew i kwiatów.

(Wychodzi.)

KSIĄDZ MAREK.

Więc sprzęt twoich antenatów,
Pójdzie do żyda rabina,
Który wynajął stodołę! —

REGIMENTARZ.

Upadać Polska zaczyna!
Zarzucam żupana połę
Na oczy, by nie widziano,
Czy z twarzą wstydem rumianą,

Czy z twarzą łzami zalaną
Stary Puławski odchodzi.
Pole teraz waszej młodzi:
Niechaj nowe gniazdo lepi;
Bo oto my wodze starzy
Jako żebrakowie ślepi,
Uchodząc z narodu straży,
Ręką macamy gdzie wrota,
Co na wygnanie prowadzą.
Niech wam duchy bozkie radzą!
Niechaj rośnie patryota
I nowy kościół zakłada —
Co do mnie — byłaby zdrada,
Gdybym nie szedł za Podole,
Gdzie pan Marszałek nas wiedzie —

KSIĄDZ MAREK.

Szablę zostawiasz na stole!

REGIMENTARZ.

Kto był na cudzym obiedzie
Nie bierze sztućców gościnnych.
Ale zostawia dla innych
Zaproszonych, na dzień drugi,
Weźciesz miecz pańskiego sługi
Przezemnie tu zostawiony,
I czyńcie nim co potrzeba:
Na ucztę wołajcie wrony
I kruki i pomsty z nieba.

(Wychodzi.)

KSIĄDZ MAREK.

Szabla mi się nie należy.
Lecz przez nią Pan Bóg uderzy.

(Przypasuje pałasz.)

KSIĄDZ PRZEŁOŻONY KARMELITÓW.

Ja także na żadną zgrozę
Nie wydam pańskich ołtarzy;
Lecz obnażę z relikwiarzy,
I sakramenta uwiozę,
Aby splamione nie były.

KSIĄDZ MAREK.

A nam zostawiasz? mogiły?
Ojcze! Ojcze przełożony!
Gdyby tu jedna owieczka
Pańska, jeden człek raniony
Miał zostać w nędznej mieścinie
Co podobna do okrętów
Na morzu rozpaczy ginie:
Gdyby ten jeden, o Panie,
Ranny wołał sakramentów?
Rękę swoję kładł na ranie,
Głowę zwiędniałą pokłonił,
I tchu duchowego bronił
Z rozpaczą w zawrotnej głowie?
Aż Pan Bóg przyjdzie i powie
Słowo ostatniej pociechy:
«Przebaczone ci są grzechy!
«Duszo święta wychodź z ciała» —
Gdyby jeden został taki
Najlichszy między żebraki
Pańska by przy nim została
Myśl i miłość pańska przy nim. —
A my co, mój księże, czynim
My, co o jutrze nie wiemy,
A tu grzeszni zostajemy,
Aby tego jutra dożyć:
Gotowi żywot położyć —
Nakryć się prochu mogiłą,
Ducha oddać w ogniu, w dymie,
Byle się tylko święciło
Przenajświętsze Boga imię,
W obliczu świata i szyków,
Nad trupami schyzmatyków?
Byle hostje krwią rumiane
Wilgotne naszemi łzami
I w niebo egzaltowane
Drżącemi rannych rękami,
Egzaltowane i drżące

Póki stanie mocy w kościach
Świeciły na wysokościach
Ludom, jak pełne miesiące
Pośród pożarnych płomieni. —
A gdy na to odważeni
Zostajemy tu na rzezie,
Ty myślisz, ojcze wielebny,
Że nam kto Boga uwiezie?
Że nam Bóg jest niepotrzebny,
Charłakom jęczącym w nędzy? —
Więc Pan, tej jedwabnej przędzy
Nie chciał zwlekać przez hajduki:
I zostawił złote bruki,
Po których chodził wspaniale,
Jak na opuszczonej skale. —
Morze swe perły zostawia!
Więc drugi, którego wsławia
Nie ród, lecz wielka ofiara,
Droższa od pereł, rubinów,
Uczyniona ze krwi synów; —
A przecież? kiedy go wiara
W moc własnej szabli odbiegła,
Zostawił ją, aby strzegła
Rzeczy od człowieka świętszych,
Kościołów i serc gorętszych,
A osadzonych na Bogu.
A ty sam, z kościoła progu
Uchodzisz! ksiądz poświęcony?
I gdybyś twemi ramiony
Mógł, co Samson z dawnych czasów,
Wyrwałbyś bramy z zawiasów
I poniósł z sobą wydarte,
A potem przedawał ćwieki —
A gdyby co były warte
Okna, co patrzały wieki,
Niby źrenice tęczowe,
Które anioł w ołtarz wsłupił
W skrwawioną Chrystusa głowę:

Tobyś je panie wyłupił,
A potem nosząc przedawał:
Kawał szkła — za ziemi kawał,
Łan tęczy, za łan przenicy. —
Ja wiem że w twojej winnicy,
Gdy zbierzesz coć urodziła,
Nie będzie ptaszyna piła
Słodkiej rubinowej wody
Z żadnej sierocej jagody;
I zaćwierka gdzieś na płotach
Mówiąc: jak ci ludzie bozi
Zapomnieli o sierotach! —
Lecz ksiądz co Boga uwozi
I ucieka z nim za bramy?
Tego my jeszcze nie znamy
W Polsce od dawnego wieku!
A co ty wiesz? ty, człowieku!
Czy Bóg nie chce zostać z nami
I patrzeć jak umieramy?
I karmić sakramentami?
I dusz naszych wszelkie plamy
Krwią swoją obmywać drogą?
A co ty wiesz? czyli trwogą,
Włożon do twoich zanadrzy
Duch sakramentów nie zadrży?
I nie zlęknie się tych kości,
Gdzie żaden już duch nie gości? —
A co wiesz? — czy tajemnice
Po sakramentach zamknięte
Nie pierzchną, by gołębice,
Nie zlecą się w jedno święte
Miejsce — gdzie były już miecze,
A teraz jest pokój boży —
W to biedne serce człowiecze
W moją pierś, co się otworzy
Pełna radośnej boleści
I wszystkie! wszystkie pomieści!
Nie — Boga nie weźmiesz zgoła,

Boć to nie jest tobie dane —
Oto idę do kościoła
Sakramenta porwę w dłonie
I pójdę i śród kul stanę.

KSIĄDZ PRZEŁOŻONY.

Temu księdzu na ambonie
Tumanić ludem zakażę.

(Wychodzi.)

KSIĄDZ MAREK.

Idźcie! idźcie! — a ja w Barze
Z ostatkiem ludu zostanę.
Zbiorę całą moją rzeszę,
Tęcze moje chorągwiane
Na miejskich wałach rozwieszę,
I odprawię nabożeństwo
Święte, do krwawego krzyża:
A Pan, co ludy uniża
Da mi tryumf — lub męczeństwo —
I swoją wolę pokaże.

(Wychodzi z resztą szlachty.)

(Wchodzi ŻYD RABIN.)

RABIN.

Teraz my tu gospodarze
Zamiećmy izbę po panach.
Nu — jest zysk na tych dywanach.
Kto zyska a kto też straci
Na tej to konfederacyi —
A moskal dywany kupi. —
Judyt! — Judyt — hejne! hejne!

(Woła do drzwi bocznych.)

(Wchodzi JUDYTA.)

RABIN.

Nu? co ty szejne morejne
Zapłakana? — szlachcic głupi
Nagadał się i wychodzi —
A mnie pan marszałek dobrodzij
Nie zapomniał! Pan kochany!

Podarował mi dywany.
Nu! czemu ty głupia szlochasz?

JUDYTA.

Ojcze! jeźli ty mię kochasz,
To porzuć te darowizny.
Na co nam? — my bez ojczyzny!
Na co nam takie wystawy?

RABJN.

To dobrze, ale te ławy
I te makatne pościele,
Ja schowam na twoje wesele
Aby ty na nich usiadła.

JUDYTA.

Obwiniesz mię w prześcieradła
Złożysz trupa na drabinie
Każesz wynieść nim zadniało —
A jak goim spotka ciało
To przeżegna się i minie,
A jak dziecko — to będzie się bało,
I u matki się rozpłacze,
I pod rańtuchem ukryje —
Nu — a jak kruk — to zakracze,
Nu — a jak pies — to zawyje,
A jak księżyc — to pobladnie,
A jak gwiazda — to upadnie,
A jak słońce — — Nie, my żydzi,
Nas nigdy słońce nie widzi
W prześcieradła obwiniętych,
Szybko na cmentarz niesionych —
Bo my na prawach przeklętych
Pośród ludzi, przerażonych
Naszą modlitwą gorącą,
Naszą mogiłą stojącą,
Krwią białych macowych przaśnic,
I blaskiem naszych szabaśnic,
I tajnych komor ciemnością,
I tą żółtą naszą złością
Co się w oczach jadem kręci:

My tu na wieki wyklęci,
Jak ogromne cherubiny
Co w trumnach zamkniętych siedzą.
Nu — a ci ludzie nie wiedzą,
Co ja mogę — kiedym sroga,
Co ja wiem — od Pana Boga;
Jaki ja im garnek z gliny
Ulepię — co duchem zrobię —
Jaki duch w mojej osobie?
Nu — ja wczora na konwalje
Na mogiłki poszła nasze,
I patrzała na batalje
Na działa i na pałasze —
A w prochu był obłok jazdy,
A kule jak srebrne gwiazdy,
A bomby nad niemi w górze
Jako płomieniste róże,
A wystrzelone harmaty
Jeszcze do góry dymiące
Jak z ogniów siarczanych kwiaty,
A podkowy koniów — jak miesiące! —
Nu! — ja tak patrząc z mogiłek
Na te ognie, na tą krew,
Zmarszczyła na czole brew,
Wzięła gliny kilka bryłek,
Wzięła z grobu trochę piasku
I przeciwko temu blasku
Rzuciła — że poszli w nic,
Jak tysiąc zagasłych świec
Gdy wiatr przeleci bożnicą. —
Bo ja była błyskawicą,
Duchem co krwią pole broczy;
Śmiercią — gaszącą ich oczy,
Naszej wiary tajemnicą!
Aniołem na bozkich posyłkach,
Który piorunami strzela!
Zmartwychwstaniem Izraela,
Stojącym już na mogiłkach!

A przed Bogiem — małą mrówką,
Przed aniołami — aniołem;
A śród popiołów — popiołem,
A przed ludźmi — jak zawsze: żydówką
Pogardzoną. —

RABIN.

Nu, Judyta!
Ty pierwszy raz jesteś taka?
Słyszę tam pana Polaka
Co się o austerję pyta —
Zakryj się — bo ty w płomieniach
Zajasna na jego oczy.

(Wchodzi KLEMENS KOSAKOWSKI.)

KOSAKOWSKI, do sług za karczmą.

Niechaj tu Grzegórz zatoczy
Mój karaban — a tu w sieniach
Powiązać moje brytany —
A tu ćwieki wbić do ściany,
I pozawieszać szturmaki
Szable, kindżały, kulbaki.
A wymieść dom żyda brodą.

(Do rabina.)

Żydzie! staję tu gospodą.

RABIN.

A panie, a kto ty taki?

KOSAKOWSKI.

Niech tego żyda wywiodą
I zaknęblują mu pyski.
Kto ciekawy, szpiega blizki.

RABIN.

Nu, żartuje pan wielmożny.

KOSAKOWSKI.

Żydzie ze mną bądź ostrożny,
Bo u mnie — żyda powiesić
To tak jak w pejsy go trzepnąć —

RABIN.

Nu — a czy tu umiesz wskrzesić?

Ty możesz człeku oślepnąć,
Patrząc na niewinną krew.

KOSAKOWSKI.

Patrz — pierś mam taką jak lew,
A nozdrza takie jak koń,
A w żyłach gwałtowną skroń,
A włos koloru płomieni.
Biada! kto mię zarumieni!
Ale temu stokroć biada,
Przed którym twarz mi się blada
Stanie — by opłatek boży.
Lew się ducha we mnie sroży
I rzuca się i rwie ludzi,
Wprzód nim się rozum obudzi.

(Do Judyty.)

Żydówka, ściągnij mi buty —

(Judyta klęka i całuje mu nogi.)

Co robisz?

JUDYTA.

Całuję twe nogi.

KOSAKOWSKI.

Co to jest? — precz mi z podłogi.

JUDYTA, na kolanach.

Panie! ty wczora z reduty
Jako Judasz Machabeusz
Skoczył na moskiewskie działa.
Ja cię z mogiłek widziała
Śród panów — choć ty chudeusz
W szaraczku, a oni w złocie,
W turkusie i w karmazynie —
To ty chodził po dolinie
Na koniu — jak Goljat jaki.
Włos twój był jak ogień w grzmocie!
Czapka, jak srebrzyste ptaki,
Jak orzeł co z nieba runie
I usiądzie na piorunie!
Nu, a twój koń był czerwony
I ubrany cały w druty,

I czterma miesiący podkuty;
A w boju taki szalony,
I tak ogniem z pyska strzela
Jak smok w pismach Izraela. —
Otóż ja tu żydowica
Do nóg ci panie upadła
I twój proch ustami kradła;
Bo tyś jest z królów narodu;
Ja z narodu — niewolnica,
Z Jerychońskiego ogrodu
Róża, między obce ludy
Przesadzona i kwitnąca;
A królewna z rodu Judy —
Nu! niech mię twa noga trąca!
W piersi mię podkówką wytnij!
Niech się moja pierś zbłękitni
I twego herbu dostanie
Od twojej czarnej podkówki —
Ja wiem że dla mnie żydówki
Ty jest król! wielmożny Panie! —
Ale ja powiedzieć chciała
Czego zamilczeć nie mogła,
Że ja twej szabli pomogła
Kiedy ty leciał na działa —

RABIN.

Nu, Judyt — ty oszalała!

JUDYTA, wstaje, i odsłaniając welon mówi z gniewnym zapałem.

Ja Judyt! ja Judyt — Judyta!
Nu ja nie straszna nikomu
Póki moja twarz zakryta!
Ale z oczów mego gromu
Ja cisnę na was zagładę,
Bo ja duch co wszystko odmieni.
Nu — ja kiedyś wezmę i szpadę
Jasną — ze złotych płomieni.

(Wychodzi.)

KOSAKOWSKI.

Rabinie! czy ta szalona

To córka twoja? czy żona?
Wcale nie mam do niej wstrętu.
Czysta, mało ma akcentu.

RABIN.

Panie, to jest moja córka
Dziewica —

KOSAKOSKI.

Cha, cha, cha! żydzie —

RABIN, na stronie.

Ten człowiek patrzy na turka.

KOSAKOWSKI.

Słuchaj mię — żyłem w bezwstydzie
Na kartach i pijatyce,
Kochałem i żydowice
I szlachcianki i cyganki:
A tak mię zna Litwy księztwo,
Że gdyby nie moje męztwo,
Dawnoby mnie już — na drzewie.

(Czyni gest duszenia się.)

A jednak do mnie się czepi — —
Tak w serce Bóg coś zaszczepi
O czem często człowiek nie wie,
A w sercu to boże ziarno
— Choć się szlachcic oddał biesu —
Działa jak ziarno magnesu,
Tak, że się doń ludzie garną
I kochają. — Człowiek taki
Na coś musi być potrzebny.
Otóż ja, ów łotr haniebny,
Ów Kosakowski pyszałek;
Tak się umię dać we znaki,
Mam za sobą tyle gałek
Sejmikowych, tyle szabel,
Furdyng, rapirów, karabel,
Ile ich ma sam Radziwiłł.
A jużem raz świat zadziwił,
Porwawszy aż sejmik cały
Palestrę i trybunały

W jednem miasteczku na Żmudzi;
I z sotkiem tych różnych ludzi
W kontuszach i taratatkach,
Ubranych w niedźwiedzie burki,
Niektórzy w żelaznych siatkach,
A ci w lisy, ci w marmurki,
A ci przy szablach w jaszczurze —
A drudzy niosąc dwururki
Pozaczepiane na sznurze,
Jako hiszpańskie gitary:
Cały mówię ten tłum szary
Wiodąc jak stare żórawie,
Pokazałem się w Mitawie
Gdzie wtenczas Sass Karol, młody,
Bez wojska i bez pieniędzy,
Oblężony, prawie w nędzy,
I bez chleba i bez wody —
Bo pompy moskal poimał;
W zamku się książęcym trzymał
Jako pszczoła w głębi ula —
Mając na to rozkaz króla
Aby dzierżał swoje księztwo. —
Rozkaz! — patent na męczeństwo!
Bo Sejm zamiast posłać szyków,
Posłał mu dwóch senatorów,
Jakby rzec: dwóch spowiedników,
Dwóch nietoperzy, upiorów,
Dwie chorób, dwie dżum i krupów,
Dwóch sejmowych kościotrupów
Posłał mu Sejm. — Senatory
Dziwny w potrzebie rynsztunek! —
Otóż ja mu na ratunek
Przyszedłem i umysł chory
Podparłem — jak brytan wierny;
Choć go czasem i nie karmią,
On przy domie jak odźwierny —
Tak ja przed moskiewską armją,
Poleciwszy duszę Bogu,

Położyłem się na progu
Warcząc, bo mi tam Mospanie
Brakło zębów na kąsanie.
I tak my Polacy górą,
Lub z moskalem oko w oko.
Aż z carską inwestyturą
Przyjechał Biren z Sybiru.
Zda się że go wiedźmy wloką
Na tron, śród wroniego skwiru,
Kacią zbryzgały posoką,
I pokazały z pod chmury
W płachcie z moskiewskiej purpury
Przemrożonego do kości.
Jego oczy pełne złości
I ognia, jak owe doły
U bałwana ze śniegoły,
Przestrachu na arendarzy:
Co jak latarnie cmentarzy,
Przez wydrążone dwie jamy,
Leją płomieniste błamy
Światła — we mgle gorejące
Jako cmentarne miesiące. —
Ten trup ciągle nam wybladły
Groził — te oczy nas jadły —
Bo nie ma straszniejszej rzeczy
O żydzie! nad wzrok człowieczy,
Błyszczący w sińcach wygnania,
Jako w oprawie ze stali:
Wzrok, który chęć królowania
Rubinem piekieł zapali —
Otóż patrz na moje oczy:
Takie są jak u Birena. —
Odmienionać wprawdzie scena,
Tu się rzecz o naród toczy,
O poklask idzie gromadny,
Nie zaś o tron samowładny:
Ale mi to Bóg nadarzył,
Że magnaterja ucieka;

A potrzeba znów człowieka
Coby się na wszystko ważył,
I los, który się wałęsa,
Ćwiekami przybił do siebie.
Takim obaczą w potrzebie
Kosakowskiego Klemensa —
Bo choć ksiądz o Bogu gada,
To w szable wierzy gromada.
Choć tu ksiądz o cudach gęda,
Od szabli idzie komenda;
Choć tu w żywot wieczny wierzą,
Do mnie żywoty należą.
Ja miasto mam w mojem łonie,
Ja go ogrzewam — ja bronię,
Ja na wroga wyprowadzę
Nawet karczmy, nawet mury;
A kiedy trzeba? do góry
Jak wulkanem je wysadzę —
Bez drżenia, bez drgnięcia powiek. —
Teraz wiesz — com jest za człowiek;
Więc — mój kochany Rabinie
Oto na ten skrypt książęcy,
Musisz mi dać sto tysięcy
Dukatów, i milczeć głucho,
Bo nawet trup twój zaginie
Jak namiot przed zawieruchą,
Wichrem Jehowy zmieciony.

RABIN, przeglądając skrypt.

Nu panie — ja milijony
Wydam zaraz na skrypt taki —
Ja nie wiem dla kogo one,
Ale będą zapłacone
Tej nocy — mam dwa przetaki
Złota — sługa nizki pana! —

KOSAKOWSKI.

Żydzie! to skrypt na Sułtana,
Na nim ty nie będziesz tracił,
Choć się jak cytryna wyciśniesz —

Lecz jeźli mi przed kim piśniesz
Żeś mi taki skrypt zapłacił?
Żydzie! — tak mi pomóż Boże!
Nic cię z mych rąk nie wykupi.

RABIN.

A ja byłbym Panie głupi
Gdybym gadał, nim otworzę
Kredyt u Wielkiego Turka.

KOSAKOWSKI.

Niechaj ani twoja córka,
Ani firanki u łóżka,
Ani pod głową poduszka
Nie słyszą jednego słowa.

RABIN.

A czy żadna inna głowa
O tem nie wie?

KOSAKOWSKI.

Żadna inna.

RABIN.

Nu! to moja będzie winna
Albo pańska, jeźli o tem
Kto na powietrzu zagada.

KOSAKOWSKI.

Zaraz mi przychodź ze złotem.

(Żyd wychodzi.)

Jaki mi na serce spada
Kamień! — Cudzy pieniądz biorę;
Skrypt na Potockich pisany.
I w złocie kradzionem piorę
Brudny honor mój karciany.
Groszów publicznych grabieżą
Przeszłe me opłacam długi.
Zabiłbym, gdyby kto drugi —
Lecz sam to nazwę — kradzieżą.

(Wchodzi RABIN z pieniędzmi i uderza go po ramieniu.)

Kto to jest?

RABIN.

Nu — Rabin Panie

Z pieniądzami — nie miej strachu —
Chodźmy do stancyi na dachu
Liczyć — póki w skarbie stanie —
(Wychodzą oba.)

(Wchodzi JUDYTA I JOZAFAT.)

JUDYTA.

Chłopaku, chrześcianinie,
Zapal mi proszę latarnię,
Chodź — i za mną nieś tę skrzynię —
W miasteczku ciemno i gwarnie.
Weź szablę i pistolety,
Weź i kij co psy odpędza.
Pójdę do świętego księdza —

JOZAFAT.

Do księdza? (Na stronie.) Z tej się kobiety
Zrobił szatan stu-językczny.

JUDYTA.

Zapal ten kaganiec śliczny,
Te latarnię z pargaminu,
Co jako księżyc z bursztynu
Po ciemnych ulicach chodzi;
Księżyc który na srebrnicy
Róże malowane rodzi,
I rzuca po błotach ulicy,
Gdzie ja żydówka przechodzę,
Tęczę — za most mojej nodze;
Kwiaty rzuca na kałuże
Abym stąpała na róże —

JOZAFAT, na stronie.

Co ten zły duch przez nią plecie
O papierowej łojówce!
Co za język w tej żydówce! —

JUDYTA.

Nu — pudło trzymaj na grzbiecie.
Nie gadaj nic, ale prowadź,
A pomnij by fanal nie zgasnął.
(Wychodzą.)

(Wchodzi KOSAKOWSKI i RABIN.)

KOSAKOWSKI.

Żydzie, ktoś tu drzwiami trzasnął!
Ktoś wyszedł —

RABIN.

Nu — złoto schować
A nie dbać czy tu kto chodzi.
Niech się Pan Rotmistrz dobrodziej
Nie boi. — Niech Pan naczelny
Taki wojak wielki, dzielny,
Żydowi także zaufa.

KOSAKOWSKI.

Ćwiekami nabita kufa
Dla ciebie żydzie gotowa,
Dla twoich kości i grzbietu;
Jeźli ten dom nie dochowa
Tak jak mogiła — sekretu —
Pamiętaj — źle z tobą będzie
Mój krwawy Dyogenesie,
Jeźli kto słowo wyniesie
Za dom. — A gdzie twoja córka?

RABIN.

Nie wiem? może jedwab przędzie,
Może z jedwabnego sznurka
Zwleka perły kałakuckie —
Dziewczyna ma serce ludzkie —
Może gotuje balsamy,
Szarpie strzępi dla szpitali,
Albo się w modlitwie pali
I płacze jak Rachel u Ramy.

KOSAKOWSKI.

Zawołaj mi ją —

RAAIN.

A po co?

KOSAKOWSKI.

Bo ona wyszła za bramy.

RABIN.

Nu — ona nie chodzi nocą.

KOSAKOWSKI.

Łżesz żydzie. — Oto ci powiem,
Że kiedyś ty liczył złoto,
To ja na uliczne błoto
Spojrzałem, w ciemne czeluście;
I gdzieś pod księżyca nowiem
Postać, cała w białej chuście,
Jak słup w bieliznę ubrany,
Mgłą owinięta pochmurną;
Za księżycem z porcelany,
Za powietrzną jakąś urną
Złotą, świecącą do koła
Jak lilija, co kielichem
Złotym oświeca anioła:
Postać taka, do kościoła
Szła i spotkała się z mnichem.
Ten mnich to ksiądz karmelita,
A ta postać — to Judyta.

RABIN.

Panie mój — to być nie może.
Judyt! — Nie ma jej w komorze! —
Nu, prawda że poszła. — Judyta! —
Nu, ja nie wiem jasny Panie
Gdzie moja córka ukryta?
Pójdę na poszukiwanie.

(Wchodzi JOZAFAT z latarnią.)

A gdzie ty bywał mój sługo?

JOZAFAT.

Pannę rabinównę wodził.

RABIN.

A gdzie z twoją panną chodził?

JOZAFAT.

O tem rozpowiadać długo.
Gdybyś mi był na Wielkanoc
Dał na kolendę złotówkę,
Powiedziałbym, gdzie żydówkę
Odprowadziłem dziś na noc.

RABIN.

Jozafat! ja cię odpędzę!

JOZAFAT.

Czytujesz w talmudu księdze,
A nie wiesz gdzie córka chodzi?

KOSAKOWSKI otwierając drzwi do szynkarni.

Hej! Albeńska moja młodzi,
Proszą tu do mnie z szynkarni.

(Wchodzi BOJWIŁ i Litwinów kilkunastu w kurtach szarych, w czapkach przeszytych drutami.)

Panowie, kto wami dowodzi?

BOJWIŁ.

Ty, jak zawsze djabeł Klemens,
Infernem nec Deum temens;
Na róg przysięgliśmy sarni
I na buty Radziwiłła.

KOSAKOWSKI.

Otoż wybieram Bojwiła —
Namiestnikiem go stanowię;
Jeżeli się tylko dowie
Że mię na koniu widziano
Z tą srebrną szablą nad głową,
I w ręku z tą chustą rumianą:
Niech mi da rycerskie słowo,
Zgiąwszy przed Bogiem kolano,
Że mój karaban zaprzęże,
Mój trzos weźmie i manatki
I wyjedzie za rogatki
Nie dbając na warty księże —
A choćby sto gromów trzasło
I świat drżał, niech nie uważa,
A na takie moje hasło
Powiesi tu Arendarza —

(do Rabina.)

Dobry jesteś i uczynny
Więc niechaj ci twarz nie bladnie;
Bo jeżeliś ty niewinny
To ci włos z głowy nie spadnie.

(do Litwinów.)

Wziąść go i strzedz. — Niech za bramy
Nie wychodzi. — Gdy ujrzycie
Mój znak, to go powiesicie. —
Przysięgacie?

LITWINI.

Przysięgamy!

AKT II.

Plac w Barze ubrany jak na zielone świątki: w brzozy, klony i jarzębiny. — Wchodzą KSIĄDZ MAREK, JUDYTA i STAROŚCIC Z BARKU.)

KSIĄDZ MAREK, do Judyty.

Wracaj Izraelitanko
I bądź o Ducha spokojną,
Nie długo będziesz wygnanką.
Na to się toczy ta wojna,
Na to ja moją siwiznę
Ofiarowałem — kość złożę,
Aby silne duchy boże
Miały na ziemi ojczyznę
I sztandar sercom zatknięty.
Więc manele, dyamenty,
Któreś ty Bogu złożyła,
Przyjmę. — A ty duchom miła,
Już miłości nauczona,
Chociaż przez krwawe ramiona
Chrystusa i bozkiej Matki
Jeszcze nie obcięta z cierni,
Ale jako polne kwiatki
W słońca jasnego farbierni,
Umalowana sowicie
W Izraelowej purpurze,
W polskich bławatków błękicie;

Jeszcze nie biała lilija
A już pachnąca jak róże;
Strzeż serca co się rozwija
I łez wiszących nad rzęsą:
Bo mówię ci, przyjdą burze
I duchem twoim zatrzęsą;
Z drogi cię może zawrócą,
I trupem pod nogi mi rzucą —
Jak garstką przeklętych kości.
Idź córko — i trwaj w miłości.

(Błogosławi klęczącą Judytę, która wstaje i w milczeniu odchodzi.)

STAROŚCIC.

Panie! Klemens Kosakowski
Po całem cię mieście szuka.

KSIĄDZ MAREK.

Nad tym człowiekiem gniew bozki.

STAROŚCIC.

Księże, lecz to śmiała sztuka!
Głowa zła, lecz serce złote.

KSIĄDZ MAREK.

Otoż obaczysz jak zgniotę
Tę głowę, tę czaszkę całą,
Aby serce ocalało.

STAROŚCIC.

Jak to?

KSIĄDZ MAREK.

Z miasta go wygonię.

STEROŚCIC.

Lecz on ku miasta obronie
Potrzebny — wódz tego steku —

KSIĄDZ MAREK, przerywając.

Bóg tylko potrzebny, człowieku.

STAROŚCIC.

On ma partyzantów wielu —

KSIĄDZ MAREK.

Posłuchaj mię przyjacielu.
Zaprawdę że ludziom łatwo
Mówić grzeczności wzajemne;

Rozrzucać słowa przyjemne,
Obchodzić się z ludźmi jak z dziatwą
Przynęconą na łakocie:
Albo dawać cięgi mocne
Jak palmy przed-wielkanocne,
Umoczone całe w złocie,
Owite kwiatki złotemi —
Tak, że wchodzą do kościołów,
Jakby z krainy aniołów
Inne drzewa, nie z tej ziemi —
To też zwyczaj u nas żyje
Że wierzbą z kwietnej niedzieli
Bijesz własnych przyjacieli,
Mówiąc że wierzba je bije,
A tyś nie winien że boli —
Raz w rok żart jest pozwolony,
Uświęcone kłamstwa tony,
Aby się duch tej swawoli
Dorwawszy, znalazł spoczynek
I z pod niańki się wyłamał,
Objadł się cukru, rodzynek,
A potem — rok cały nie kłamał
I z prawdą już nie swawolił.
Więc jeżeli w prawdę wierzysz
A Bóg ci miecza pozwolił —
Bić kazał — a nie uderzysz,
Choćby serce własne krając,
Ale uderzysz, igrając
Jak arlekin, nie jak człowiek;
Jeżeli prawdy piorunem
Nie spalisz grzesznika powiek;
Nie jesteś wtedy piastunem
Bozkiej powagi i chwały.

STAROŚCIC.

Słuchałbym ciebie dzień cały,
Ojcze Marku.

KSIĄDZ MAREK.

Przed wieczorem

Z harmat będę miał słuchaczy —
Bo z całą szlachtą, z nieszporem,
Wiodąc nawet tłum żebraczy,
Pójdę na wroga.

STAROŚCIC.

Dziś panie?

KSIĄDZ MAREK.

Dzisiaj, w dzień zielonych świątek.

STAROŚCIC.

A tu w mieście któż zostanie?

KSIĄDZ MAREK.

Ot, ta gromada dzieciątek
Która się na piasku bawi,
Młynki na kałużach stawi,
I cieszy się że drzewiny
Ścięte, na ulicach więdną.
Polsko! nie jesteś oszczędną!
Te klony, te jarzębiny,
Te brzozy — las cały młody
Przyniosłaś sobie do miasta;
Prawdziwie jak ta niewiasta,
Między Judzkiemi narody
Sławna — że flaszeczkę całą
Bardzo drogich aromatów
Wylała na Zbawcę światów —
O której rzekł: że mu ciało
Uprzedziła na pogrzeb pomazać.
I któżby jej śmiał zakazać
Tej rozrzutności — niewieście,
Która zbawcy śmierć przeczuła,
I cały słoik zepsuła,
I roztłukłszy alabastry,
Rozlała po całem mieście
Woń tego balsamowania? —
Więc i dla naszej chałastry
Ostatniego pomazania
W tych drzewach pachną oleje! —
I zaprawdę! — nasze dzieje

Gdy nas srogi los połamie,
Pachnąć będą w tym balsamie
Długo w umarłej krainie.
Szczególnie, małej dziecinie
Co się zbudzi i obaczy
Las cały z kalin, czerwienią
Stojący przed domu sienią;
Gdy jej dziadek wytłómaczy
I pod cieniem tych drzew powie,
Że tak czynili ojcowie,
Którzy już dawno są w grobie:
To dziecko poczuje w sobie
Przejęte smutkiem i strachem,
Patrząc w smętne oczy dziada:
Że i tym nawet zapachem
Ojczyzna do niego gada —

(Błogosławiąc plac.)

Czy słyszysz jak ten las śpiewa
Listeczków tracąc ostatki?
Błogosławione wy drzewa!
Błogosławione wy dziatki,
Rosnące przy kraju męczeństwie —

STAROŚCIC.

Panie — dzwonią na nieszpory.

KSIĄDZ MAREK.

Idę — a po nabożeństwie
Choć starości krok nie spory,
Wycieczkę pańską prowadzę.
Bo mam na to rozkaz boży
I taką nad ludem władzę —
Że Kosakowski mi złoży
Komendę — i ztąd wyleci
Jak czarny szatan nieczysty —
Bo mi anioł promienisty
Rozkazał — abym z tych dzieci
Które mam — nie stracił żadnego.

(Wychodzi.)

STAROŚCIC.

Chciałbym gdzie Kosakowskiego
Ostrzedz że burza go czeka.
Szkoda byłoby człowieka!
I strach — ach strach, gdyby zorze
I to słońce, już czerwone,
Na morderstwo zapatrzone
Zachodziło po nieszporze —
Gdyby smętna twarz księżyca
Ujrzała pod cerkwi ścianą
Szarą szlachtę, porąbaną
Za księdza i za szlachcica.
Gdyby znów nocne pojawy,
Ten Chrystus strasznej bladości
Z dziurami na wylot w kości,
Ubiczowany i krwawy,
Jak kometa co z podróży
Powraca — pokazał miecze
We krwi, co z grobów się kurzy
I po mogilniku ciecze —
I odleciał z temi mgłami,
Zostawiwszy nas trupami.

GŁOS ZA SCENĄ.

Aj! wej!

STAROŚCIC.

Krzyków pełno w mieście.
Słyszę wrzask — i szlochanie niewieście.

(Wpada JUDYTA z nożem w ręku, za nią KOSAKOWSKI i BOJWIŁ.)

JUDYTA, do Kosakowskiego.

Nu! ja cię nożem przebiję,
Ja nie twoja nierządnica —

(Do Starościa.)

Panie! od tego szlachcica
Ratuj! skoczył mi na szyję
Jak wąż, jak płomień z pod ziemi,
Wyskoczył do mnie w alkierzu.
Patrz! on cały w prochu, w pierzu,

Z oczyma zapalonemi
Jak Edomit —

KOSAKOWSKI.

Milcz szatanko!

JUDYTA.

Patrzaj ty na mnie człowieku
Jestem Izraelitanką.
Mój Bóg nie wisiał na ćwieku,
Nie pił octu i piołunów,
Ale stał na wielkiej górze
Pośród dwunastu piorunów,
W czarnej i ognistej chmurze —
I rozbłyskał się na całe niebiosa:
Otóż ten Bóg teraz broni
Każdego mojego włosa,
A pioruny trzyma w dłoni,
Bóg Izraela i Judy,
Pioruny nad twoją skronią!
A jak spojrzy to się góry pokłonią!
A jak błyśnie — to ślepota na ludy!
A jak zagrzmi — to się groby odsłonią,
A jak ścichnie — świat się cały odmieni,
A skrę rzuci — to świat będzie z płomieni,
I w słoneczne się ognie roztrzaśnie.
A brwi zmarszczy na czole, to zgaśnie
Jako węgiel pod wodą i syknie;
A gdy rękę podniesie — świat zniknie
I nie będzie ani mnie, ani ciebie,
Tylko ciemność i sam Pan Bóg na niebie.
I któż jesteś ty? gwałtowny goimie?
I któż jesteś ty chrześcijaninie?
Że chcesz Bogiem być judzkiej dziewczynie,
Jak ten drugi, co w Jerozolimie
Choć poselstwa do Judy nie mając,
Zaćmił księżyc i słońce, konając.
Któż ty jesteś? nu — że chodzisz cieniem
Jak duch jaki za owczym gdzieś runem?
I dotykasz się piersi — piorunem?

I z rąk chwytasz za szyję — płomieniem? —
Nu — ty zginiesz jak duch w błyskawicy!
Przy lampie co stoi przy łożu,
Łeb twój krwawy — w żydowskiej miednicy
Twoi słudzy obaczą przy nożu,
I przelękną się łóżka i ciała —
Nu! — ja sama gdy to rzekła, zadrżała —
A ty nie drżysz? któż ty jesteś człowieku?

KOSAKOWSKI.

Na twe czoło wykąpane
W ptasim gołębicy mleku!
Na twoje usta różane
Których łuk napięty drży!
Na ten szprejtuch który skrzy
Niby złoty jaki krąż,
W środku pełen białych róż!
Na twe oczy z których bije
Razem żar i noc i dzień!
Na twoją łabędzią szyję,
I na ten błękitny cień
Twoich rzęsów, który spada
Aż na rubin twoich lic!
Na tę głowę gdzie gromada
I brylantów i rubinów
Pali się jak tysiąc świec —
Lub nad głową Cherubinów
Z różnych gwiazd uwity kłąb!
Na każdy z perełek ząb,
Co jak skrzydełko gołębie,
Bieląc czepca aksamity,
Spuszcza się na skroń błękity!
Na każdą perłę, w tym zębie,
Co jakoby grochy duże
Zwinęły się w srebrną różę
I twoją głowę oblały!
Na ten, mówię, skarbiec cały
I klejnotów i piękności!

I na królestwo miłości
Przysięgam —

JUDYTA.

Co? —

KOSAKOWSKI, urągając.

Miłość wieczną.
Bojwile — pod straż bezpieczną
Wziąść mi tę synogarlicę.

(Bojwił chwyta Judytę i unosi ją do karczmy.)

STAROŚCIC, do Kosakowskiego.

Puść Waćpan tę żydowicę —

KOSAKOWSKI.

Co? czy chcesz się rąbać o nią?

STAROŚCIC.

Zgoda —

(Dobywają szabli i biją się. Starościc pada.)

Dostałem śmiertelnie —

KOSAKOWSKI.

Sam się przebiłeś tą bronią.

STAROŚCIC.

Rana pali mię piekielnie —
Księdza!

KOSAKOWSKI.

Trzymajże za brodę
Duszę, aby nie uciekła —
A ja ci księdza przywiodę —

(Odchodzi.)

STAROŚCIC.

W tej krwi co ze mnie wyciekła
Więdnie moja blada skroń —
Jezu! Jezu! ty mię broń
Przed skonaniem od rozpaczy!
Cóż tam będzie, gdy zobaczy
Matka moja starościna
Że na marach niosą syna
Przez posępne z lip aleje,
A z mar, syna krew się leje,
A służący trupa kryją:

Cóż tam będzie! gdy zawyją
Moje psy u moich bram?
Gdy mój stary dziadek sam
Przyjdzie, klęknie w czarnej sali,
Oczy wlepi w moje oczy
I na nogach się zatoczy,
I na ciało się powali,
I na piersiach mi zaryczy!
Jezu! Jezu!

Biblioteka Jagiellońska W BIAŁEJ. Księgozbiór: 84

(Wchodzi KOSAKOWSKI wiodąc KSIĘDZA MARKA w ubiorze mszalnym z monstrancyą; w głębi pokazują się zbrojne tłumy konfederatów ze sztandarami.)

KSIĄDZ MAREK.

Kto tu krzyczy,
Kto tu z jękiem woła Pana?

STAROŚCIC.

Moje serce — moja rana
Boleśne usta otwiera,
Jęcząc w śmierci i w tęsknocie.

KSIĄDZ MAREK.

Kto ufa, ten nie umiera.

SRAROŚCIC.

Mówisz — o wiecznym — żywocie!

(Zamyka oczy i kona.)

KSIĄDZ MARER.

Zaprawdę, kto nie doczeka
Na jasny męczeństwa wieniec,
A krew rzuca jak szaleniec
Pod miecz drugiego człowieka,
I drogie utraca ciało;
Gdy tej krwi biednej tak mało
Tutaj na obronę bożą:
Wart że go w trumnie położą
Ludzie, przy bladym świeczniku;
Zapomną o nim na ziemi
Jak o zdrajcy, niewdzięczniku,
Niewartym nawet powszednej
Modlitwy — jednego krzyża,
Niewartym nawet łzy jednej! —

Lecz Chrystus co się przybliża
Do twych ust pełnych rozpaczy
Które go wołały z jękiem:
Człeku, niechaj ci przebaczy.
I niech twój grobowiec młody
Ukraińskich kwiatów wdziękiem
Okwitnie. — O Boże! Boże!
Jakie to matkom zawody!
Jakie dla ich serca noże!
Jakie za miłość wypłaty
Takie wczesne dziatek straty!
Takie śmierci z marnych sprzeczek
Wynikłe, zgony gwałtowne,
A zaś równie nieodzowne
Jak tamte co są dla Boga.
O! jak te garstki kosteczek,
Które śmierć odnosi sroga,
Drogie im w dzieciństwie były!
Ile mleka, łez wypiły!
Ile za niemi pacierzy
Pobiegło w złote niebiosa!

(Zamyka mu oczy.)

Umarł — Trup przed wami leży,
Młodzieniec złotego włosa
Wczoraj jeszcze kwiat młodzieży! —
Oto zszedł ze świata tego
Syn Jaśnie Oświeconego,
Dziedzic Barku i Ladawy,
Na wejściu w związki książęce. —
Weźcie ten pierścionek krwawy
I oddajcie go panience.
A nad trupem co tu leży
Zaśpiewajcie Anioł Pański.

(Pokazuje na Kosakowskiego.)

A to służalec szatański
Człowiek mordu i grabieży,
Gwałtownik i pijanica!
Pusty jak djabla kaplica,

Krzykun jak wojna kokosza,
Złodziej publicznego grosza,
Obdzierca domów, kapituł,
Chodząca jakaś szkarada:
Do którego nie przypada
Żaden dawny polski tytuł.
Starosta? — Lecz on na głowie
Nie ma zasług, ani lat!
Podskarbi? — sam niechaj powie
Niechaj publicznie obwieści
Ile grosza wczoraj skradł;
Cześnik? — ale on bez cześci!
Miecznik? — ale on jest kat!
Nawet nie człowiek! bo oto
Leży jego jeden brat,
Z którego krew szczerozłotą
Tak czystą, młodą, rumianą,
Ojczyźnie ofiarowaną,
Ten człowiek wytoczył z serca.
Więc nie człowiek lecz morderca
Stoi pod nami i zgrzyta.
Otóż mówię w imię boże,
Że odtąd jako banita
Pójdzie na świata bezdroże,
Jako szatanowie czarni,
Pędząc gdzieś pod błyskawice,
Do mglistej w deszczu latarni,
Przez krwią zbryzgane ulice,
Śród zgiełku i tarabanów;
Z odwagą w sercu umarłą,
Bez sądu, położyć gardło. —
Proszę więc Wielmożnych Panów
Abyście go od tej chwili,
Jako zdrajcę opuścili,
Jak moskala się wyrzekli,
Jak od choroby uciekli;
Zamknęli sąd jak nad ściętym,
Jak dla węża łez nie mieli,

Jak o zmarłym zapomnieli;
A myśląc jak o wyklętym,
Żegnali się i truchleli. —
A ty, na twój koń czerwony
Siadaj — bo drżysz jak niewiasta.
A jeźli dla swej obrony
Nie masz wyrzec nic? — precz z miasta!

SZLACHTA, wyprowadzając Kosakowskiego.

Oczy jego obłąkane
Milczy i z ust toczy pianę.

KSIĄDZ MAREK.

Posadźcie go na rumaka,
Dajcie w rękę szablę gołą,
I połóżcie ją na czoło
Jak miesiąca w półpromieniach.
Śniła mi się postać taka
W przenajświętszych objawieniach;
Żem ją Duchem bożym cisnął,
I gnał w ciemność krzyża znakiem,
A za nim i za rumakiem
Cztery razy piorun błysnął.
Królowo Świętych! Proroków!
Najświętsza Panno Maryo!
Każ, niech mi pioruny biją,
Proszę o salwę obłoków
I grzmoty: Salve Regina!

SZLACHTA.

Niebo się łyskać zaczyna,
Koń rycerza na kieł bierze.

KSIĄDZ MAREK.

Gwałty, morderstwa, grabieże —
Precz z Polski!

SZLACHTA.

Grzmot już tu bije. —

KSIĄDZ MAREK.

Wszemu duchowi co żyje,
I tym którzy przyjdą nowi,
Czyści, stać przy bożem prawie,

Tym kielichem błogosławię.
(Błogosławi chmury śród ognistych trzaskawic.)
Chwała Ojcu i Synowi
I Duchowi Świętemu chwała!

SZLACHTA.

Niebo, od piorunów pęka,
Z wałów biją wszystkie działa.
Kto żyw niech przed Bogiem klęka!
Pan zwycięża! Rody giną!

KSIĄDZ MAREK, śród najmocniejszych piorunów.

Gloria in excelsis Domino!

SZLACHTA, na klęczkach.

Pioruny trzęsą biegunem!
Panie! proch z nas i ofiara,
Lituj się naszego jęku!

KSIĄDZ MAREK.

Wstańcie! teraz wasza wiara
Zapalona: jest piorunem,
A ja ten piorun mam w ręku.
(Chwyta sztandar i wychodzi na czele szwadronów.)

SZLACHTA.

Idźmy, prowadzi na wały —
Dzień to zwycięztwa i chwały!
Dalej z działkiem za rajtarją!

CECHOWY.

Naprzód sztandar z Panną Marją
Naszą świętą z Poczajowa —
Słyszycie? to Suworowa
Baterja gra, smętnym basem,
Kantyczce naszej do wiersza.
Odezwała się najpierwsza
Pod Hawryszowieckim lasem —

GŁOS Z ZA SCENY.

Cud, cud!

CECHOWY.

Co tam!

GŁOS, z za sceny.

Jedna ruska

Baterja z ziemi porwana.
A na płomieniach Wulkana
Zjawienie! — I wał konnicy,
Której koń we krwi się pluska,
W samo morze z błyskawicy
Jak wał żelazny się wali —

CECHOWY.

Wszelki duch Chrystusa chwali!
Bez harmat my, bez oręża,
Lecz Pan Bóg za nas zwycięża!

(Wychodzi z sztandarem i z resztą ludu.)

(Scena oświecona posępnie błyskawicami, pusta, przez cały ciąg słychać odgłosy dalekiej walki. KOSAKOWSKI wlatuje waląc się z konia — z drugiej strony z za karczmy wychodzi BOJWIŁ.)

KOSAKOWSKI.

Zwierzgnął mię rumak przelękły,
Popręgi u siodła pękły —
Wyleciałem ztąd jak śpiąc,
Obelżony, duchem złaman.
Gdzie ten ksiądz? Gdzie ten czart ksiądz?
Każę ćwiczyć po ulicach,
Będzie bity tak jak Aman.

BOJWIŁ.

Ktoś tutaj przy błyskawicach
W ognistej ulewy skrach
Stoi jak upiorny strach.
Co to jest? to rotmistrz nasz?

KOSAKOWSKI.

Obelgami zlał mi skronie,
Piorunami dał mi w twarz.
Przed nim siedział duch mój w łonie,
Jako robak w trupie siedzi,
Bo głos księdza jak dzwon z miedzi,
W który kula uderzyła,
A twarz jako słońce była,
A w źrenicach mocy sto.
Czy jest tam kto? czy jest tam kto?

(Sztuka do karczmy.)

BOJWIŁ.

W tej karczmie nie ma nikogo,
Tylko żydowska dziewczyna
A na belce, trup Rabina.

KOSAKOWSKI.

Otwórz! otwórz!

BOJWIŁ.

Jakąś trwogą
Wskróś przyjęty, nie śmiem Panie.
Trup ci przed oczyma stanie,
Trup Rabina się pokaże.

KOSAKOWSKI.

Otwórz! otwórz! ja ci każę!
Niech widokiem tym ohydzę
Moje oczy —

BOJWIŁ.

W oczach ćmi się
Od błyskawic — drzwi nie widzę.

KOSAKOWSKI.

Oczy moje jasne, rysie,
W oczy tego żyda wszczepię;
Na bladościach je oślepię
I na strachu zahartuję.
Tysiąc trupów mi się snuje
Przed oczyma, widma same!
I ja widmo. — Otwórz bramę!
Choćby ją sam szatan kuł
I przed piekłem ją postawił,
Szablą ją rozetnę w pół.

(Bije w drzwi szablą — i brama się odmyka, ze środka rozepchnięta — w bramie pokazuje się JUDYTA w worku szarym ubrana, z bosemi nogami.)

Jakiż mi się szatan zjawił?

JUDYTA.

Nu! — Czemu bramę rozbito,
Gdzie ja odprawiam bosiny
Po ojcu?

KOSAKOWSKI.

To ja Judyto.

JUDYTA.

Ach — czemu ty taki siny
Jak zabójca? oczy w słup?

KOSAKOWSKI.

Daj wody, pragnę jak pies.

JUDYTA.

Nu — ja ci dam moich łez.
Nie chodź tu, bo w karczmie trup.
A ja sama siedzę boso
Na popiele w szarym worze.
Póki trupa nie wyniosą
Żaden goim wejść nie może,
Gdzie żydówka na bosinach,
A przed nią trup na drabinach
W śmiertelnej leży koszuli.

KOSAKOWSKI.

Judyto —

JUDYTA.

Nu — co?

KOSAKOWSKI.

Chcę wody.

JUDYTA.

Nu — czy ty żebrak na kulj?
Ty możesz robić — ty młody;
Młode jeszcze twoje lata,
Możesz być hyclem u kata.

KOSAKOWSKI, dobywając szabli.

Jezu!

JUDYTA.

Ha — ty przy orężu?

KOSAKOWSKI.

Kobieto! szatański wężu!
Co świszczesz urągowiskiem,
A nie drżysz przed szabli błyskiem,
Spokojna i blada jak kreda.
Wiedz, że z mojego rozkazu
Powieszono tego żyda
Bo mię zdradził —

JUDYTA, przez ciąg jej mowy słychać ciągle odgłos dalekiej walki.

— — Na — do razu
Ja to zgadła i wiedziała
Że się to przed Bogiem wyda.
Ty okradł i zabił żyda,
I z jego martwego ciała
Zostawił posag żydówce;
A sam poprowadził hufce
Jak wiatr co się w polu miota,
Jako Polak patryota,
Jako rycerz krwią czerwony,
Jak Pan wielki oświecony,
Jak twej ojczyzny dobrodziej! —
Choć ty zabójca i złodziej
Brzęczysz od mojego złota;
A ja, przez ciebie sierota,
Przy okradzionym kantorku
Siedzę, w popiele, na worku.
Przede mną z trupem drabina —
Nu — czy ty wiesz? jak Rabina
Trup po śmierci straszny, srogi?
Jak do wschodu leży głowa?
A z drabiny sterczą nogi?
Czy ty wiesz co się nazywa
U chłopów noc rabinowa?
Co dęby w puszczach porywa;
Domy znosi jak namioty,
I całą noc sypie grzmoty,
Głośne jak Jehowy słowa:
A dla czego Rabinowa?
Nu? — a czemu piorun głuchy
Taki jasny? a świat drżący? —
Bo to są Rabinów duchy. —
Nu — i trup się ten modlący,
Co siedzi wtenczas w bożnicach,
Przy wichrze i błyskawicach,
Pod czarnym kahałów dachem,
I z pacierzem i z rejwachem,

I z płaczem aż do niebiosów,
I z jękiem i z rwaniem włosów,
I z żałobliwemi słowy,
Modlący się do Jehowy,
Aby zdjął już z Izraela
Przekleństwo. — A gdy Jehowa
Piorunami wtenczas strzela
I sprawuje taki zament,
To widać że płacz i lament
Panu Bogu się podoba;
Że biednych żydków żałoba
Pioruny jego zapala.

(Słucha grzmotu dział.)

Nu — tam teraz u moskala
Wielki strach Chrystusa Pana.
Ksiądz wziął krzyże, zdjął ornaty,
Duchem rozrywa harmaty;
I w białym świeci habicie
I krwi ma aż po kolana.
A ja tu, żydowskie dziecię,
Sierota w waszej krainie,
Siedzę przy trupiej drabinie,
Przy wietrze co wieje od trupa:
A podemną popiołów kupa,
A na mnie wór podły szary;
A ja podobna do mary
Z twarzą bielszą od miesiąca,
Z zabójcą rozmawiająca,
Z szczęścia jak kwiat oberwana,
W żałości jak obłąkana,
O zabójstwie jakby śniąca —
A we śnie łzami zalana,
A w strachu — jak wiedźma blada,
A zemstą — w niebo porwana,
A w przekleństwach jak piorun co spada!

(W najwyższej egzaltacyi przy odgłosie dział.)

Nu — więc teraz ja się zrywam
I o ściany tłukę głową!

Ja przekleństwem się nazywam,
I nazywam się zagubą,
Krwią, i burzą rabinową,
Wichrem, deszczem, nocą grubą,
Duchem, gwiazdą, trumną, trwogą!
Bo w tem sercu są wichrzyce
Co was i rozerwać mogą!
Nu! bo w duchu błyskawice
Co świat cały mogą spalić!
Bo oto ja tchnęła na pole
I chorągwie zaczęły się walić,
I wasz duch leży na dole
Podobny wężowej chmurze;
A ja tu stoję na górze
I podnoszę zemsty ramię!
I nogami go depcę i łamię!
I odpędzam precz z pola do miasta!

(Strzały harmatnie ustają nagle.)

Abyś wiedział że Judzka niewiasta,
Będąc w usprawiedliwieniu
Przed Bogiem swego zakonu,
Zemstą ojcowskiego zgonu:
Jest jak noc cała w płomieniu,
Jest jak burza, cała w mocy,
Jest jak siła, cała w ciszy,
Jest jak głaz w Dawida procy:
Jest jak płacz, który Bóg słyszy,
Jest jak grad, co bije w twarze,
Jak jest strach, co serca napełnia,
Jest jak miecz, którym Bóg karze,
Jest jak sąd który Bóg spełnia. —
Ten sąd macie Chrześcijany,
Ja go na was trzęsę z rąk! —

(W nawyższej furyi trzęsie ręce nad głową i rzuca garściami przekleństw na pole.)

KOSAKOWSKI.

Żydówko! ja twoich mąk
Nie winien — bo obłąkany,

W zupełnej nieprzytomności
Dałem znak chustą czerwoną;
I mój rozkaz wypełniono,
Wypełniono bez litości. —
A jam tu powracał po to
By żydowi oddać złoto,
A porwać córkę żydowską.

JUDYTA.

Kogo powiadasz, goimie?

KOSAKOWSKI.

Przysięgam na Matkę Boską,
Ciebie samą.

JUDYTA.

Powiedz imię?

KOSAKOWSKI.

Judytę.

JUDYTA.

O, wielki Boże!
Kiedy wczora ja w komorze
Całowała twoje nogi,
A ty jak pan wielki szumiał:
Ty ust moich nie zrozumiał?
Ty mię nogą pchał z podłogi,
Jak człek co gałganem miota!
A dziś czy ja tobie droższa
Przez to, że dziś ja sierota?
I od żydów najuboższa,
I od kobiet niegodziwsza,
I od wszystkich węży mściwsza,
Śmiertelniejsza od żelaza!
Że ja? — Nu ja — jak zaraza
Dmuchnęła i wiatr popsuła!
Nu — ja, prawda co mówicie,
Igiełkami dzieci kłuła
I wieszała na suficie —
I robiła ze krwią ciasto.
Nu, a teraz wasze miasto,
Chociaż wiem że sama zginę,

Tak zakłułam jak dziecinę,
Aż krwią skapie, purpurowe.
Jeźli ty kat — to nie czekaj,
Lecz mi szablą zetnij głowę,
Rzuć za siebie i uciekaj,
Pełny trwogi i popłochu:
Bo tam w karczmie, patrzaj! z lochu —
Widma co zagaszą słońce!

KOSAKOWSKI.

Wielki Boże! w karczmie Dońce!
I piechotny bagnet świta!
Ty zdrajczyni!

JUDYTA.

Ja Judyta!

(Wchodzi do karczmy.)

KOSAKOWSKI.

Bojwile — miasteczko wzięte.
Czyńmy to co jeszcze można.
A ty coś wydała święte
Kościoły, furjo bezbożna!
Przysięgam ci, że powrócę
Za włosy ciebie pochwycę,
I w żar płomienisty rzucę,
I spalę jak czarownicę —
I strzaskasz się jak suchy pień.
Gdzie mój koń? — To sądny dzień!

(Bojwił i Kosakowski wychodzą.)

(Z karczmy wychodzi KRECZETNIKÓW Jenerał moskiewski, SUWARÓW oficer. ADJUTANT i moskiewskie wojsko.)

KRECZETNIKÓW.

Tak się przez żydów każde miasto bierze.
Suwarów! weźmij z sobą sotkę ludzi,
I od klasztoru postaw tak żołnierze,
Aby schwytali księdza cudotworcę.
Ten mózg co twoie dziś rękawy brudzi,
Krew, koralowej podobna paciorce,
Którać na czole błyszczy — bestjo dzika!
Zrobiły z ciebie dzisiaj pułkownika.

SUWARÓW.

Sława Rossyanom!

(Odchodzi.)

KRECZETNIKÓW.

Gdzie jest pan Branecki?

ADJUTANT.

Gada z karczmarką.

(Wychodzi.)

(Wchodzi BRANECKI prowadząc za rękę JUDYTĘ już ubraną jak uprzednio, w pięknym żydowicy stroju.)

BRANECKI.

Na honor szlachecki!
Nigdy piękniejszej nie widziałem jędzy.
Dałem jej kiesę pieniędzy;
Rzuciła na ziemię złoto.
Zdjęła worek, z bladej twarzy
Obtarła popiołów błoto,
I stoi, cała w klejnotach,
Jak paw kiedy rozwachlarzy
Ogony —

JUDYTA.

Nu — wy w namiotach
Mieli od mojego sługi
Pokazany ten loch długi,
Idący tu do piwnicy —
Teraz wy jak na gościnie
U rabina żydowicy.
Szanujcie ludzkie żywoty,
Niech tu żadna krew nie płynie,
Niech tu nie grzmią żadne grzmoty
Bo —

BRANECKI.

Bo i cóż?

JUDYTA.

Bo ja proszę —

BRANECKI.

Na twoją instancyę wnoszę
Tę prośbę do jenerała,

Aby wiatrem nabił działa
I kul nie dawał harmatom:
A manifestami z lawet
Walił w tył konfederatom,
Oddawszy im to wet za wet
Co nam niosła ich wymowa,
Za wiatr, wiatr; za słowa, słowa.

JUDYTA.

Nu, kto ty co im urągasz?
Czy ty pies że ludzkie kości
Na polu zębami ciągasz?
I nad trupem jesteś w złości?

BRANECKI.

Co? najpiękniejsza z karczmarek? —
Wziąść ją, ręce związać sznurem.
Niech czeka —

(Moskale wiążą w tył powrozami Judyty ręce. ADJUTANT wchodzi prowadząc KSIĘDZA MARKA pod strażą.)

ADJUTANT.

Oto ksiądz Marek —
Pod samym klasztornym murem,
Z szablą w ręku, wzięty w plen.

BRANECKI.

Co? ksiądz Marek? oszust ten?
Czy to ty jesteś mój klecho?

KSIĄDZ MAREK.

Ja sam.

BRANECKI.

Bądźże nam pociechą
I grzesznych orędownikiem.
Księże, tęgim jesteś ćwikiem!
Oszukiwałeś rok cały
Wszystkich nabożnych i głupich;
Biłeś się jak jenerały
I chciałeś sobie z głów trupich
Wybudować kazalnicę,
Zkądbyś mógł do króla gadać. —
Czas ci na osiołka siadać,

Przejechać się przez stolicę;
Gdzie już nie Podolskie mózgi.
I szlachecka cię głupota
Przyjmą, ale kat i rózgi.
Bo ta twoja tu robota,
Te bunty i te powstania,
Warte tylko wysmagania.

KSIĄDZ MAREK.

Czegokolwiek one warte,
Pokornie proszę Waćpana,
Abyś me piersi rozdarte
Lekarzom opatrzyć kazał.

BRANECKI.

A gdzież ty tak habit zmazał?
A gdzież wzięta owa rana?

KSIĄDZ MAREK.

Na polu z ręki Moskala.

BRANECKI.

Jak to? więc Pan Bóg pozwala
Że i święci noszą blizny?

KSIĄDZ MAREK.

Tak Mospanie! dla Ojczyzny
Pozwala Pan Bóg i świętym —

BRANECKI.

A rózgami być ociętym?

KSIĄDZ MAREK.

I to zniosę.

BRANECKI.

Kreczetników!
Daj mi proszę dwóch burłaków,
Z sekty twoich biczowników,
Bo w całym hufie Polaków
Nie ma ludzi — a ten klecha
Zna się na bicia dobroci.
Patrz, jak się na to uśmiecha
Że moskal mu kość wymłóci —
Hej — bić go tak, aż krwią się spluszcze! —
(stają żołnierze przy Księdzu.)

KSIĄDZ MAREK, pokazując przed sobą palcem na ziemię do Judyty.

Upadnij tu na kolana
Córko! niechaj ci odpuszczę —
Idę do mojego Pana.

JUDYTA, rzuca się na kolana szlochając.

Przeklnij! przeklnij —

KSIĄDZ MAREK.

Jak Judyto?
Oto naród mój zabito!
Oto patrzaj, tam, w oddali
Płomień. — Dom się boży pali
Nad ognistej krwi strumieniem —
I niebo kole płomieniem
Jak miecz Archanioła kręty,
Już na brusie pociągnięty,
Ostrzem postawiony w górę.
Miecz, gotów karać naturę!
Ludzi — że są przeciw cnocie,
Braci — że rwą serca bliźnie,
Polaków — że przeciw Ojczyźnie,
Niewinnych — że są w ciemnocie,
Winnych — że w jasności ślepi.
Oto miecz z płomieni różnych
Co wkrótce niebo rozszczepi,
Potem się na domach próżnych
Powali, świszcząc jak żmije,
I powali i nakryje:
Gwałty, płacz, mordy rumiane,
I to miasto wyrzynane,
Jak anioł ognia pochłonie.
I podobny jest koronie
Z hiacyntu, z chryzolitu,
Śród gwiazd białych i błękitu
Przez duchy bozkie trzymaną. —
Aż naród zegnie kolano,
O Bogu pomyśli w burzy;
I na to ogniste wiano
Męczeństwem ducha zasłuży.

I jest jeszcze jako kręta
Burza, co płomieni ręką
Porwała tam: sakramenta,
Krzyże, hostye z Pańską męką,
Obrazy przeświętych wzorów,
I grobowce fundatorów,
I podłogi które rosi
Ludu łza, nawet kamienie —
Zawinęła je w płomienie
I Panu Bogu odnosi.
Więc i te drzewa żałobne
W zielone świątki sadzone,
Których pnie takie czerwone,
Listki jak iskierki drobne,
W rubin na nitki znizane,
Jak struny wichrem odwiane,
Ogniem zajęte przy korze,
Te drzewa — to harfy boże,
Od kościelnego krawędzia
Idące rzędy długiemi,
To Dawidowe narzędzia
Hymnów, które tu na ziemi
Śpiewają mi z tryumfalnych
Pieśni długie litanije,
Od aniołów niewidzialnych
Duchową ręką trącane.
Widzę Boga! któż mi oczy zakryje?
Chwały niewypowiedziane
Widzę! głosy wielkie słyszę!
Boga! co mi ogniem pisze
Nowy rozkaz, nowe prawo!
Oblewa mię swoją sławą!
Ogniami męczeństwa złoci! —
Pan Bóg mój pełen dobroci,
Którego mię rany bolą,
A wola jest moją wolą.
I ja, przez tych świateł krocie
Oświecony, miałbym córo

Nie przebaczać tu ślepocie,
Lecz we krwi umoczyć pióro?
Ja, którego Bóg dziś słucha,
Wydać mam na twego ducha
Wyrok na wieki tracący? —
Owszem, węgiel gorejący
Na bladych ci ustach kładę;
Zmazuję wszelką szkaradę,
Wszelkie jady co je ślinią;
Abyś była prorokinią
Przyszłą, między twoim ludem;
Nawrócenia żywym cudem,
Jedną z tych, co w kraju jęczą,
Jedną z tych, co boleść dzielą,
Jedną z tych, co go weselą,
Jedną z tych, co w przyszłość wierzą;
Świecącą przymierza tęczą,
Świecącą, aż pioruny uderzą
I z chmur spędzą jak ostatnią pochodnię.
Bo wiedz córko — że wszystkie ci zbrodnie
Odpuszczone są na wieki wieków.

(Obraca się do moskali.)

A teraz krzyża i ćwieków —
A co macie czynić czyńcie prędzej.

(Wyprowadzają go straże.)

JUDYTA.

On przebaczył — bo ja w nędzy,
Bo on wie co ja cierpiała —
Puśćcie mię do Jenerała,
Do ruskiego wojownika.
Nu — niech on księdza nie tyka,
Bo straci całe obozy —
Piorun mu spadnie na ramię.

(Rwąc na sobie powrozy.)

Bo tak — jak ja rwę powrozy!
Tak ja mu wojsko połamię
Spalę lud jak błyskawica!

MOSKALE.

Czarownica! Czarownica!

JUDYTA.

Nu — ja wolna przed grabieżą
I przed ogniem i przed katem.
Jeźli tam księdza uderzą
Jednym tylko, jednym drutem:
Tak wy padli z całym światem!
Tak krew wasza jednym łutem
Nie zaważy przed krwią Judy! —
Nu tam! patrzcie! oto cudy!
Oto w pożarach wychodzi
Ksiądz męczony!

BRANECKI.

Co to znaczy?
Kto nam tu stracha przywodzi?
To ksiądz — tysiąc sto kartaczy!
Widmo po pas obnażone
Z katowskiej wychodzi chaty.
A za nim wleką się katy,
Niby dwa słońca czerwone,
Niby dwa czerwone duchy;
Zgięci, jak żebracy na kulach;
I biją się po koszulach. —
A koszule markietanów
Od czarnej smagalnej pluchy
Są jak skrzydła u szatanów,
Oczy przenikają zgrozą,
Powietrze całe czerwienią —

(Wchodzi KSIĄDZ MAREK.)

KSIĄDZ MAREK.

Lub się serca w katach mienią,
Lub Pan oczy zaćmi łozą —
A ciemna to była chata
Gdzie mię po pas obnażono.
Więc zamiast bić w moje łono,
To kat się rzucił na kata,
I we krwi się oba pluszczą —
Rozłączcie ich, bo się nie puszczą
Aż skonają.

KRECZETNIKÓW, do katów za sceną.

Precz sobaki!
Wziąść ich — zanieść do szpitala.
Branecki! cudownik taki
Harmaty nam pozapala,
Zrobi bunt w moskiewskiej armii. —
Ach! tam Katarzyna karmi
Tyle mnichów ruskiej wiary,
A wszystko chłopy do miary,
Poszczą chlebem i jesiotrem:
A żaden cudów nie umie.

BRANECKI.

Poszlij jej żydówkę z tym łotrem.

KSIĄDZ MAREK.

Cokolwiek w twoim rozumie
Ułożysz, to nie pomoże.
Bo ja tu ciało położę
Pierwsze, dla kraju i wiary.
I mój kopiec jak sztandary
Będzie trwał — aż wiek przeminie,
Aż ludzie z jasnemi skrońmi
Pokażą się w tej krainie
Wchodząc ducha mego bramą.
Więc nie porwiesz mię ztąd końmi!
Ani nawet śmiercią samą!
Mój duch wiecznie tu i ciało
Przyszłego kościoła skałą.

KRECZETNIKÓW.

Hej z kibitką Kapitana!

KSIĄDZ MAREK.

Patrz — kogo wysyłasz zemną,
Bo na drogach pańskich ciemno,
I często jest krwią zbryzgana
Ta ciemna i nocna droga,
Krwią szaleńców roztrąconych o Boga.

AKT III.

(Plac w Barze. — Wchodzi KOSAKOWSKI, ubrany jak sługa szpitalów zadżumionych, w smolnej koszuli, w kapturze.)

KOSAKOWSKI.

Zaraza co tu panuje
Gdzie moskale wiatr popsuli,
Gorsza od miecza i kuli;
Tysiącami ludzi truje,
Z trupów czarnych urodzona,
Stojąca jak widmo na wale.
Pełne moskalów szpitale —
Każda karczma zarażona,
Każdy człowiek straszny, blady;
Sine włóczą się gromady —
Z krwią i ogniem pod powieką,
Zgniłe prześcieradła wleką,
A głowy w skrwawionych chustach
Wspierają na rękach chudych,
Z węglem i ze krwią na ustach,
Pełni plam zielono-rudych,
Ponurzy jak rozbójnicy,
Jak wilcy na krew gotowi.
Przypatrzyłem się ludowi
Co tam, przed Boharodycy
Namiotem klęczy i leży,
Pałaszami namiot kraje,
I Boharodycy łaje,
Nazywa ją matką żołnierzy,
I pochlębia i klnie na przemiany.
A tak wszystko zaraza rozprzęga,
Że oto, w smołę ubrany,
Rzuciwszy na plecy haki,
Jak koń, który się zaprzęga
Do ciał, włóczę te sobaki —

Wyciągam z miasta za bramy,
I rzucam nagie do jamy.
A nikt o to nie zapyta
Kto ja jestem? zkąd przychodzę?
Mógłbym sztyletować wodze,
Mógłbym zatruć wód koryta,
Mógłbym — wszędzie chodzę wolny —
Wejść aż do Jenerałowej
W nocy, jako upior smolny,
Wziąść lampę, która u głowy
Przy srebrnym obrazie świeci:
W kołysce podpalić dzieci,
Blaskiem zbudzić matkę śpiącą,
I z pochodnią gorejącą
Jak upior — wynijść z sypialni.
Tym czasem błądzę jak pjany
Pośród tej okropnej szczwalni,
Gdzie zaraza swe szatany
Psy swoje czarne puściła —
Gdzie dom — spojrzeć, to mogiła;
Gdzie łóżko — tam trup być musi.
Par cięży, powietrze dusi,
Gwiazdy jakby przelęknione
Chodzą smętne i czerwone;
Wyją psy na pustych bramach
I rwą zębami łańcuchy.
A w polu, przy trupich jamach,
Jakieś płomienie, jak duchy
Stoją, czasem szyję zegną
I za człowiekiem tak biegną
Kolory z ognia fałszywe,
Tak lecą jak trupy żywe
Owinięte przez płomienie,
Jak moje za mną sumienie!
Bo to ja, com tu zaszczepił
Ruinę, gwałt, mord rumiany.
W żądzach niepohamowany,
Kiedy mię szatan oślepił

Leciałem, gryząc wędzidła,
Własne rzuciwszy sztandary —
I przezemnie ten ksiądz stary
Odbieżany, szedł na boje,
Jak ptak bez jednego skrzydła,
Żebraków zebrawszy roje,
Zbrojne w siekiery i kosy,
Siwe swe rzuciwszy włosy
Za sztandar i męczenników
Krzyżem oświecając złotym.
Ja zbieg! zdrajca jego szyków!
Gdy siadłem nad trupów rowem,
Kiedy pomyślałem o tem:
Gdy ten ksiądz z czarnym okowem,
Jasny jak światło jarzące —
Stanął mi w myśli upiorem:
Gdy do nieba podniósł ręce
I pokazał nad klasztorem
Ogień, dym, czerwone dachy,
I w cieniu ruskie bermyce,
I na tych bermycach blachy
Jak złote, wielkie księżyce —
Ciągnące ku pożarowi —
Ból i strach mię przejął mrowi —
I przysięgłem furją zdjęty,
Że choć sam, chociaż wyklęty,
Zbawię go, albo tu zginę.
A tą żydowską dziewczynę
Będę trzymał w mojej mocy;
Porwę, i gdzieś w czarnym jarze
Zrobię z nią, co Pan Bóg każe.

(Wchodzi JUDYTA.)

JUDYTA.

Co zrobisz ze mną goimie?
Nu — ksiądz mi odpuścił święty.
Ja przyjęła sakramenty
Z jego rąk, i mam na imię
Salomea —

KOSAKOWSKI.

Więc ksiądz żywy?

JUDYTA.

Ksiądz on, człowiek sprawiedliwy,
Umrze, gdy go Pan obudzi.
Nu — on nie lęka się ludzi —

KOSAKOWSKI.

Ale go pletniami zbito?

JUDYTA.

A kto tego bicia liczył?
Jego palmami zakryto
Słonecznemi od niebiosów;
A kat się na śmierć zaćwiczył,
I szedł krwią kapiący z włosów,
W koszuli, cały rumiany,
Przez siebie zakatowany
Na śmierć i — umarł w szpitalu.
Nu — a potem w tym moskalu
Była myśl, księdza uwozić,
Na Sybirze gdzieś zamrozić.
Więc okuli jemu nogi
Ubrali go w chłopskiej świtce,
Położyli na kibitce,
Koń zaprzęgli do niej srogi,
I szalony i gorący
Jak smok dyszlem targający.
I siadł na kibitce zwoszczyk,
I kapitan w hełmie z blachy —
A blady był jak nieboszczyk —
I usiedli dwa szyldwachy.
A noc była ciemna, głucha,
Wielki lament i rozpacze;
Słychać było że lud płacze,
Słychać było że Bóg słucha;
Bo stanęła po rejwachu
Jakaś wielka cichość strachu,
Gdy kibitka się ruszyła
Z naszym ojcem śród miasteczka.

Bo wieść między żydków była
Że on, ten ksiądz, jak owieczka
Dał się okuwać w kajdany,
Że mu krew bluznęła z rany,
Że był znowu biczowany,
W pysk przez Braneckiego bity,
Jak trup — dla tego zakryty,
I cały we krwi czerwony;
Bez sił — dla tego niesiony,
Bez ducha — bo już nie jęczał,
A w łańcuchu, bo zabrzęczał
Gdy go kładli do kibitki. —
Nu i potem tylko kitki
Tych moskali jak płomienie
Poleciały na stracenie,
Poszły w ciemność z wielką burzą.
Nu, a ludzi było dużo
Na tym placu, wszyscy czarni,
Przy jednej tylko latarni
Która była pałająca,
Bez gwiazd żadnych i miesiąca,
W nocy na strasznej pustoszy,
Jak na jakim grobowisku.
Nu, a kiedy Pan Bóg spłoszy
Konie jakie na urwisku?
To co? — głowy się strzaskały!
A on został jeden, cały.
A na wozie ludzkie trzewo,
Trup na prawo — trup na lewo,
Kapitan przy swoim Dońcu,
Zwoszczyk żyw lecz jak śmierć biały.
I wóz jego we krwi cały,
A ksiądz, jakby cały w słońcu
Na wozie, w męczeńskiej szacie,
Jak na jakim majestacie
Jechał spokojny i żywy.
Bo on człowiek sprawiedliwy
I święty —

KOSAKOWSKI.

Słuchaj Judyto,
Zwiedź mię ty z tym karmelitą.

(Na stronie.)

Ach! łza jej do pereł grochu
Podobna — zemstę już gasi —

JUDYTA.

Prorok wasz zamknięty w lochu.
A czy są rycerze wasi
Blizko? Ja go wam wyzwolę.

KOSAKOWSKI.

Ty?

JUDYTA.

Przy waszym apostole
Ja córka i stróż.

KOSAKOWSKI.

Ty sama?

JUDYTA.

Nu, ja mu wolności brama,
Ja mu róża od Saronu,
Chociaż bardzo blizka zgonu;
Ja konwalja mu pachnąca
I wolnością i weselem —
Nu, ja ztąd odlatująca
Jak duch jaki, do miesiąca,
Z całym dawnym Izraelem:
Aż powrócę — bom duch wielki
A u Panny Zbawicielki
Na niebie oczekiwana.

KOSAKOWSKI.

W imię Ojca, Ducha, Pana!
Co ty gadasz?

JUDYTA.

Nu ja sama
Nie wiem. — Miasto dziś podpalę,
Ogień włożę pod szpitale;
Aż chorzy wyjdą z płomieni
I o księdza będą prosić;

I po mieście, zarażeni,
Biegać i ogień roznosić,
Kołdry targając ogniste —

KOSAKOWSKI.

Co ty mówisz? Jezu Chryste!
Szpital palić!

JUDYTA.

Nu — a oni?

KOSAKOWSKI.

Niechaj ciebie Pan Bóg broni
Od tak haniebnego czynu.

JUDYTA.

Gdyby z każdego rubinu
Co na czepcu moim świeci,
Była iskra, niechaj leci!
Niechaj się za dachy chwyta
(zrywa z czepca drogie kamienie i rzuca na wiatr.)
Nu — ja nie polka — ja mściwa —
Ja żydówka! ja Judyta!

KOSAKOWSKI.

Słuchaj, dziewczyno straszliwa!
Piękność twoja nieśmiertelna
Jakaś straszna i piekielna —
Ząb perłowy kiedy zgrzyta
To mi serce w piersiach lata.
Słuchaj, ty jesteś bogata
I ochrzczona — córko grzmotów!
Ja się z tobą żenić gotów.

JUDYTA.

Nu — a ojciec?

KOSAKOWSKI.

Żyd wisielec.
Co mi tam twój ojciec znaczy!
Odprawiłaś już popielec
I bosiny po rabinie —

JUDYTA.

A jak jego duch zobaczy?

KOSAKOWSKI.

W jakiej ty żyjesz krainie,
Że o trupach zawsze gadasz?

JUDYTA.

Czy ty wojnę wypowiadasz
Wszystkim duchom Izraela?

KOSAKOWSKI.

Czart oczami twemi strzela,
Ogień leje w serca cieśnie,
Głowę wprawia w obłąkanie.
Dziś widziałem ciebie we śnie
Jakby jakie malowanie,
Że już byłaś na stracenie
Prowadzona w żar, w płomienie,
A z płomieni były róże,
A ty w różach jak w altanie,
Uczepiona ręką w górze
Za krzyż.

JUDYTA.

Ty śnił prawdę świętą.

KOSAKOWSKI.

Judyto — gdyby cię wzięto
I śmiercią, ogniem grożono;
Ty znasz moją klacz czerwoną
Co przeleci miasto całe,
I wyleci drugą stroną
Tylko klaśnij w ręce białe,
Tylko padnij mi na łono,
Tylko chwyć się jak zbawienia:
A ja z grobu i z płomienia
Wyrwę ciebie po sto razy?

JUDYTA.

A czy wyrwiesz z rąk zarazy?

KOSAKOWSKI.

Strach mię zdjął.

JUDYTA.

Nu, ja ze łzami
Mówię tobie mój goimie,

Że przepaść jest między nami —
Naprzód — twój ród, twoje imię
Co odrzuca to zamęzcie.
A potem — moje nieszczęście
I mój los. Bądź zdrów na wieki!
A może przyjdzie daleki
Jaki czas dla mego ducha,
Że mnie mój Pan Bóg wyłucha,
Modlitwę moją gorącą
Za twoje szczęście proszącą.

(Wychodzi.)

KOSAKOWSKI.

We łzach, w obłąkaniu stoję —

(Wchodzi BOJWIŁ przebrany za chłopa.)

BOJWIŁ.

Panie, widać nasze zbroje
Wiejące nam od północy
Z tchem od ukraińskich kwiatów.
Nowy huf Konfederatów.

KOSAKOWSKI.

Idźmy — przed nadejściem nocy
Może na czas przybędziemy
Poprawić straconej sławy.

(Wychodzą.)

(Namiot. Wchodzi KRECZETNIKÓW, BRANECKI i RAPORTOWY oficer.)

KRECZETNIKÓW.

W pochód wymaszerujemy
Aż na Wierzchowieckie stawy.
Już tam ja, w szlacheckie dworce
Posłał i dzieci i żonę.
Jej Boh — miasto zarażone.
Mści się Bóg za cudotwórcę.

BRANECKI.

Czy Jenerał gada serjo?

KRECZETNIKÓW.

Ot, wy z waszą fanaberiją
Francuszczyzną, nie widzicie
Że tu wojska mego życie

Pod przekleństwem bunt podnosi —
A ot, za tym cudownikim,
Pułk jeden żałobnie prosi
Abym go im jałmużnikiem
Zrobił — i archimandrytą —
A gdyby jeszcze odkryto
Co mi dziś piszą w depeszy;
Boże pomiłuj na niebie,
To ot — trup ze mnie i z ciebie.

BRANECKI.

Cóż ca wieści? —

KRECZETNIKÓW.

Człowiek grzeszy
Ciekawością mój Polaku —
A mądry kto sekret chowa.

BRANECKI.

Co? czy umarła Carowa?

KRECZETNIKÓW.

Szto ty skazał? — Ty na haku
Będziesz wisiał za te słowa.
Małczy Lach! Caryca żywa.

BRANECKI.

Niech się Pan Jenerał nie zrywa,
Bo ja także hetman jestem,
A jestem tu w moim kraju.

KRECZETNIKÓW, w passyi.

A czemu ty z naszym chrestem?
Naszego dworca lokaju!
Szambelanie z epoletką!
W jakim ty kraju, szlachetko?
W jakim ty kraju, łachmanie?
Tu ja Pan — my gospodarze!
Ot miasteczko wyrżnąć każę,
Dam ci szutkę w nos hetmanie
I każę na szubienicy
Powiesić, porąbać w ćwierci —
I napiszę do Carycy,
Że ty o Carycy śmierci

Rozpowiadał — precz z komnaty.

(Braniecki wychodzi.)

Hej niech nabiją harmaty,
Niech nabiją wszystkie działa,
I na tego Jenerała
I na hułany obrócą.
Niech włożą zaraz bagnety!
Niech mi z miasta precz wyrzucą
Te błoto. — O francuzczyzna!
Olejki i toalety!
Gdy we krwi cała ojczyzna,
Wino im kapie na brodę.

(Wchodzi ADJUTANT Braneckiego.)

Cóż tam — od panów Polaków?

ADJUTANT.

Pan jenerał uprasza o zgodę,
O wojennych naszych znaków
Złączenie — a oto w liście
Obrażony osobiście
O satysfakcyą uprasza.

KRECZETNIKÓW, drąc list.

Szutki — ja nie konfederat,
Ani młokos do pałasza:
Jeźli pan jenerał nie rad
Żem go uderzył po wstędze
To niech się w żałobnej księdze
Rozpisze —

ADJUSANT.

Toż mu odpowiem

(Wychodzi.)

KRECZETNIKÓW, do Raportowego.

A jak tam z wojskowym zdrowiem?

RAPORTOWY.

Po stu codziennie umiera,
Grenadjer od grenadjera,
Chłop w chłopa — i co dzień gorzej —

KRECZETNIKÓW.

Niech kancelarja położy

W dzisiejszym dziennym rozkazie:
Że kto się podda zarazie
I położy na tapczany,
Za pierwszy raz, tysiąc pałek,
Za drugi raz — rozstrzelany.

RAPORTOWY.

Słuszaju's. — Braknie nam skałek
I prochu —

KRECZETNIKÓW.

Ot i to szutka
Puławskiego, co nam bierze
Po drodze wszystkie jaszczyki. —
No — jak zadzwoni pobudka
Rozdać pomiędzy żołnierze
Kamasze, nowe trzewiki,
Pompony, kogucie pióra,
I kaszy — niech krzyczą hurra!

RAPORTOWY.

Słuszaju's —

KRECZETNIKÓW.

Precz Raportowy!

(Raportowy odchodzi.)

(Wchodzi ADJUTANT Braneckiego.)

ADJUTANT.

Pan mój jako afront nowy
Uważa obelgę nową,
Pana jenerała słowo
O uderzeniu po wstędze.

KRECZETNIKÓW.

Nu — proś go, proś na herbatę.

ADJUTANT.

Nie wiem czyli go dopędzę
Bo wyjechał z sekundantem —

KRECZETNIKÓW.

Powiedz mu że na harmatę
Strzela się z paniczem frantem
Karciarzem — jenerał stary.

(Adjutant wychodzi.)

Oj, dobrze że my te Bary
Przycisnęli! — Ot depesza
Że tam jakiś Car w Kazaniu
Jenerały nasze wiesza,
I o Carycy porwaniu
Zamyśla w imię Piotrowe.
Oj dobrze, że my powstaniu
Polskiemu urwali głowę,
Niedopuściwszy odsieczy;
Bo gdyby — spasij nas Boże! —
(żegna się.)
Od takiej okropnej rzeczy —
Gdyby im pana we dworze
A księdza puścić z łańcuszka,
To ot — i Moskwa matuszka —
Spasij Boże! spasij Boże!
(żegna się.)
Ot, gdyby tu wojownika,
To czart wziął państwo Ruryka.
Spasij Boże! spasij Boże!

(Wchodzi ADJUTANT Kreczetnikowa.)

ADJUTANT.

Panie pod wieczorną zorzę
Widać pułk konfederatów.
Chcieliśmy wystrzelić z wałów
Lecz brak i kul i granatów.

KRECZETNIKÓW.

Rzucić kilka pustych strzałów
Na to obdarte husarstwo.
A potem te pany Lachy
Prosić na parlamentarstwo.

ADJUTANT.

Słuszaju's.
(Odchodzi.)

KRECZETNIKÓW.

Ot, nowe strachy!
Ot nam w mieście pewny cmentarz
Najstraszniejszy z mogilników,

Gdzie nam ziemia oczy wyje;
Jeźli to huf Puławszczyków,
Jeżeli ten parlamentarz
Co tu przyjedzie, nie pije.

(Wjeżdża konno KAZIMIERZ PUŁAWSKI, za nim pieszo KOSAKOWSKI zawsze przebrany.)

KAZIMIERZ PUŁAWSKI, zsiadając zkonia.

Ty smolny parobku dżumy
Potrzymaj mego rumaka —
A strzeż mi dobrze czapraka
Bo tu kradną.

KRECZETNIKÓW, na stronie.

Pełny dumy.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI, wchodzi.

Jenerałe — twoja chrobra
Gromada bez kul strzelała.
Jest to grzeczność jenerała
Zapewne, nie brak w jaszczykach?
Zapewne myślał jenerał
Że mi się pułk poobdzierał,
Że mam dosyć dziur w trzewikach,
I w czapkach wiatrzanych świstów; —
Za tę grzeczność siatelską
I jego artylerzystów
Dziękuję —

KRECZETNIKÓW.

Czy z przyjacielską

Ręką? —

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Przyszliśmy po księdza.

KRECZETNIKÓW.

Nie mogę. — Jej Bohu buntowszczyk!

KAZIMIERZ PUŁAWSKI, zimno.

Pana jenerała zwoszczyk
Z końmi przez nas dziś schwytany.

KRECZETNIKÓW.

Tak i miejcie moje pany,
Moje konie — niech popasą.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Wózek z jenerała kasą —

KRECZETNIKÓW.

Tak, w złoto umoczcie dłonie —
No — ja złota mam nie mało.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Pana jenerała żonie
Także się nieszczęście stało;
Zabrana z żołdactwa rojem
Jak nienabita harmata.

KRECZETNIKÓW, z wielką trwogą.

A rebiata?

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Nu — rebiata
Także u nas i z konwojem
I z panią jenerałową.

KRECZETNIKÓW, przysiadając i kładąc ręce na kolana.

Nu — tak ja dam na to słowo,
Że ty pan Kaźmierz Puławski —

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Być może —

KRECZETNIKÓW.

Więc proszę — z łaski,
Nim pogadamy o rzeczy,
Na wypitkę i przykuski.
Bo choć ja jenerał ruski
Od Rena pewny odsieczy,
Uzbrojony przeciw tobie
I w proch i w dobry rynsztunek:
To ja ku twojej osobie
Taki wielki mam szacunek,
Że chciałbym, choć raz z weselem
Z tobą pić jak z przyjacielem.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

A ksiądz Marek?

KRECZETNIKÓW.

Nu, nie mało
Ja z tym księdzem miał roboty!

Co jeszcze z niego zostało
To wam oddam. — Jakieś grzmoty
Co to znaczy?

(Słychać zgiełk za sceną.)

(Wbiega ADJUTANT.)

ADJUTANT.

Jenerale
Ktoś pozapalał szpitale;
Buntują się starowierce
Przy blasku ogni czerwonych.
Mówią żeś ty zarażonych
Kazał w szpitalu podpalić.
Szpital, jak ogniste serce
Bijące w dymu szatanie,
Już pękł i zaczął się walić
I pokazał na tapczanie
Wskróś, przez otworzone deski,
Trup zielony i niebieski
W trwodze oddający ducha.
Potem się ta zawierucha
Skier, ogni, dymów gorących
I ludzi uciekających
W kołdrach, w pokrwawionych chustkach
Zebrała, na czarnych pustkach
Pogorzałych karmelitów —
Tam twój sierżant jeden Tytów
Chciał chorym dawać nauki,
Ale żołdactwo pijane
Rozerwało go na sztuki,
Tak że i ciało rumiane
— Straszne markietanek dzieło! —
W oczach mi nagle zniknęło,
Cudownym prawie sposobem —
Niewidzialnym niby grobem
Ukradzione dłuższej męce,
Przez oszukanie natury.
I tylko czerwone ręce:

Straszne, wzniesione do góry
O tym człowieku świadczyły;
Bo innej nie miał mogiły
Oprócz tych dłoni ohydnych,
Jasnych — od pożaru widnych,
Nad głowami buntowników
Tych rąk, tych szponów, krwawników.
Ach i pierwszy tam raz w życiu
Słyszałem w ludzkim zawyciu
Zwierzęce głosy człowieka.
Z ludzi się zrobiła rzeka,
Z rzeki morze, krwią rumiane,
A jeszcze pohamowane —
Któżby rzekł! — — dziewicy głosem.
Jedna, panie, żydowica
Blada, z rozpuszczonym włosem,
Jedna, jak cudotwornica,
Wiedźma, co w ogniu się pali,
Śród tych rąk, lasu korali
Ohydnych, ze łzami w oku,
O polskim księdzu proroku
Krakała jak kruk na dachu.
A co przydawało strachu
U zabobonnych Moskali,
To jedno umierające
Dziecko. — Jak w zamku Walhalli
U dziewic na piersiach miesiące —
Tak to dziecko zawieszone
Na piersiach jej, już zielone,
Już nie dziecko u kobiety —
Jak to lud powtarzał głupi —
Ale do czarów użyty
Jakiś wielki miesiąc trupi
Ukradziony u gwiaździarzy. —
Dość, że za nią poszły pułki,
Za nią starowierce starzy.
Aż skry, ogniste jaskółki,
Na żydowicę napadły;

I od włosów jeść począwszy
Ciągle przerażoną jadły,
Aż upadła. — Chciałem wtedy
Pomiędzy ludem stanąwszy
Choć Szwed, mówić do czeredy:
Ale ledwiem się pokazał
Krwią mię obłoconą zmazał
Ów lud, który cudzoziemca
Szweda kładzie obok Niemca,
I obu równo przeklina. —
Została mi więc jedyna
Obrona w dobytej szpadzie,
We wzroku i w rejteradzie
Spokojnej, we lwa odwrocie.
A wtenczas żołdactwa krocie
I różnej broni motłochy
Napadły na ciemne lochy,
Gdzie polskiego księdza skryto.
I przed białym karmelitą
We krwi i czarnych kajdanach,
Popadały na kolanach,
Sine pokazując strupy
I krzycząc że zaraza je goni —

KRECZETNIKÓW.

Ot ja teraz poszedł w trupy!
Ot Puławski! szpada w dłoni
I śmierć dla Kreczetnikowa!
Powiedz tam niech będzie zdrowa
Moja żona, moje dziatki.
Ot nieszczęścia! ot wypadki!
Już ja trup, pokojnik boży!

(Puławski odkrywa namiotu skrzydło i pokazuje się plac pełny żołnierstwa, chorych szpitalnych. Niektórzy leżą prawie nadzy na tapczanach, trupom podobni. W środku motłochu na rusztowaniu z łóżek szpitalnych stoi KSIĄDZ MAREK z krzyżem, w podartym i pokrwawionym habicie.)

PUŁAWSKI, wstrzymując Kreczetnikowa.

Stój! gdzie lecisz?

KRECZETNIKÓW.

Puść! niech ginę!
Niech się ziemia podemną otworzy!

KSIĄDZ MAREK.

Dziatki moje blade, sine,
Leżące u nóg jak żyto:
Tam wasz jenerał z dobytą
Szpadą śmierci szukający;
A ja tu nędzarz cierpiący
Egzaltowan w ludzi tłoce,
Pasterz! — Bo Pan niebios pragnie,
Aby tu dwie były moce:
Jedna która ciałem nagnie,
Druga co duchem podniesie
I ukorzy w Imię Pana:
Siła wielka! niesłychana!
Która przy żywota kresie
U wielkich duchów się jawi.
A tę — ludzie wydać muszą —
Bo kto ją w sercu zostawi,
Ze łzą, z chlebem ludzkim strawi,
I uniesie razem z duszą
Niebieskiej pragnąc korony,
A tu nie pomoże światu —
Ten zaprawdę! potępiony!
Łachman z bożego szkarłatu!
Gwiazda upadła z anielstwa
Gasnąca w błotnej kałuży!
Duch na wieki bez poselstwa,
Bez ciała które mu służy,
Bez serca co w piersiach bije,
Spadnie, w ziemię się zaryje
I Boga prosi o litość. —
A to jeszcze wielka skrytość
U ludzi to ducha prawo,
Niegłoszone na ambonach,
Patryotyzmem i sławą
Z ludzkich serc czasem dobyte,

A zaszczepione już w łonach,
Jak dzieciąteczko spowite
W duszy, na rubinach śpiące.
Bo oto ludzi tysiące
W jednej chwili strach poczuli,
I mnie, żebraka na kuli,
Do krwi ubiczowanego,
Jeszcze w niezakrzepłej bliznie,
Jeszcze we łzach po ojczyznie,
Jeszcze od męki krwawego,
Jeszcze w śmiertelnej bieliznie,
Jeszcze w gorączkowych żarach,
Jeszcze w smętku i na marach,
Na rękach swoich wynieśli:
Abym jako Piastun Cieśli,
Siadł na moim majestacie,
Rozkazał odejść zatracie,
Zarazie czarnej ustąpić! —
Więc jeżeli będę skąpić
Dziś mojego w kościach ducha,
Jak człowiek co jęków słucha
I z łez sobie wieniec plecie;
Jeżeli jeszcze na świecie
Żywot mi się upodoba,
I ta mych wrogów żałoba,
I to ich upokorzenie,
I to na deskach siedzenie,
Które dał Ojciec Niebieski
Kładąc mi szpitalne deski,
Jak męczennikowi tronem.
Jeżeli pogardzę zgonem,
Serca litością nie ruszę,
I duszy nie dam za dusze,
Z ciała wyzwolić nie zdołam:
Lecz wstanę — Pana zawołam,
O zemsty jego kropelkę
Poproszę — gromu co bije
Jak mściwy człowiek użyję,

I przyzwę śmierć jak mścicielkę;
Wszyscy zginiecie straceni.
Bo oto wy przerażeni
Nad głowami nie widzicie,
Że na pożarnym błękicie
Kościotrup śmierci w czerwieni
Tańcuje z trzaskiem goleni,
Kiściami zarazy śnieży,
Wije kłębem nietoperzy,
Żółtą kością ciągle miga;
I z ust okropnych wyrzyga
Kartelusz ognio tęczowy,
Na którym imię Jehowy,
Zatraciciela narodów,
Wywrotnika twierdz i grodów,
Pisane ogniście stoi.
Któż tu jest co się Boga nie boi?
Oprócz trupów — kto nie zadrży przed Panem?
Ja sam jeden okryty łachmanem,
Zakrwawiony, knutem zbity,
Ja sam, który za naród cierpiałem,
Ja sam, który memi jelity
Pasłem serca — i serca kawałem
Nakarmiłem tych co serca nie mieli:
Ja sam jeden stoję w bieli
I śmiem spojrzeć ku Panu ogniście,
I zawołać nań o sprawiedliwość.
Oto naród mój jak zwiędłe liście!
Oto zdrady i serc niegodziwość!
Oto pierwsza niewoli godzina,
Co się przez wiek ciągnąć będzie!
Oto harfa płaczu ta mieścina!
Oto gołe kościoła krawędzie,
Przez które już kozom skakać
I rość trawie na dawnych mogiłach! —
Panie Boże nie pozwól mi płakać!
Ducha mego utrzymaj przy siłach;
Nie bierz mię w niebieską sferę

Krzyczącego miserere,
Łamiącego dłoń na głowie. —
Kto mię słucha Ojczyznie niech powie
Że sztandar zatknąwszy w Barze,
Ległem sam na tym sztandarze,
Broniąc go duchem i ciałem,
A przy śmierci sam jeden zostałem.
Kto tu śmierci jest mojej przytomny
Niech widzi jak ręka Boża,
Biorąc jeden duch ogromny,
Podnosi całe stworzenie;
Nawet trupy ściąga z łoża,
I przez trumien odemknienie
Pomiędzy ludzkiemi duchy,
O zrzucających łańcuchy
Zaświadcza pośród śmiertelnych.
Kto żyw — niech słucha weselnych
Harf co grają różnym tonem;
Kto duch — niech duchowi memu,
Jak księżycowi złotemu,
Będzie blaskiem i ogonem —
Bo ja ojczyzny być muszę
Duchem stróżem i patronem;
I wyżej porywać dusze,
A żadnej ziemią nie skalać;
Ale wszystkie pozapalać
Na nowe wieki i czyny:
A teraz zdjąć z tej mieściny,
Gdzie włada dżuma i trwoga,
Zarazę, jak sztandar siny,
I z chorągwią tą odejść do Boga
Do którego mię boleść porywa.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Ojcze Marku!

KRECZETNIKÓW.

Podnosi ramiona.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Pochodni blaskiem opływa,

Bladnie, oczy mu gasną! już kona —
Za trupami dostąpić nie można.
W około ciżba nabożna
Rozrywa jego habity,
Całuje wychudłe ręce.
Jaki zgiełk! światła jarzęce,
I zarażonych błękity
Twarze, zielonawej cery,
Spisy, płaszcze i giwery,
I łoża co jeszcze płoną,
Jakby w obchód święto-jański! —
Prawdziwy kurhan słowiański,
Który po śmierci wzniesiono
Nad pierwszym z naszych rycerzy.

KRECZETNIKÓW.

Bić z harmat! niechaj tu leży,
Niechaj się go lud dotyka
I położy na sztandary!
A ja sam poniosę mary,
I polskiego wojownika
O pomoc proszę w posłudze.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Jenerale! ręce cudze
Dotknęły się tego ciała,
I to ciało już nie nasze:
Ale jego duch i chwała
Przelana w polskie pałasze
I serca, świadectwo wyda!
A jak tu się teraz wznosi
Zmartwychwstańców piramida,
I to ciało łzami rosi,
O życiu świadcząc płakaniem:
Tak my — — głosy moje wieszcze! —
Wszyscy, wszyscy zmartwychwstaniem!
Wszelki duch! i ten co jeszcze
Nie pomyślał o hańbie narodu —
Teraz idę z tego grodu,
A serce mam tak wzruszone:

Że ci oddam dzieci, żonę —
I po tym buncie wojskowym
Na dwa dni wytchnąć pozwolę.

(Do jednego z moskali.)

Gdzie jest ów parobek w smole.
Strażnik mojego rumaka?

MOSKAL.

Na koniu gdzieś purpurowym
Widzieliśmy tego ptaka —
Jak kruk, odlatywał gdzieś z łupem,
A nie wiemy czy z chorągwią, czy z trupem,
Bo to co za nim leciało
Było jak ogień i ciało.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Ten lud widzę cały chory,
Wszędy gdzie oczyma skinie
Widzi ogień i upiory:
A ja wszędy w tej krainie
Widzę jednę wielką bliznę,
Moją cierpiącą Ojczyznę!

SEN SREBRNY SALOMEI.

AKT I.

(Komnata w Regimentarskim dworze. Pan Regimentarz STEMPOWSKI i P. LEON syn Regimentarza, przy stoliku z papierami. — SEMENKO kozak dworski siedzi przy progu na ławce, otulony burką.)

REGIMENTARZ.

Mój Leonie, już po Ave Maryi —
Siadaj Waćpan do tych ekspedycyi.
Cóż tam piszą z króla kancelaryi?

LEON.

Rozkazują byś rozesłał wici
Po Podolu, jako Regimentarz,
I z Grzyłowem się łączył moskalem
Przeciw chłopstwu —

REGIMENTARZ.

Odpiszę im z żalem
Żem nie moskal; pierwej pójdę na cmentarz
Niżbym moją moc Regimentarską
Miał połączyć z kozacką i carską,
Z którą król mię żąda zaprzyjaźnić.
Chcą jak widzisz, Mocanie, mię zbłaźnić
Za to, żem był królowi posłuszny.
Cóż tam dalej?

LEON.

Raport Gruszczyńskiego.

REGIMENTARZ.

Czytaj Wacan, bo to człowiek jest słuszny
I był dawniej moim szkolnym kolegą,
A dziś w mojej chorągwi mi służy.

Człowiek silnej ręki! człowiek duży!
Takich nie ma już dzisiaj na ziemi!
A są — to ich karty i kieliszek,
Już nie szabla z ogniami złotemi,
Nie koń, bawi, harcujący przed szykiem. —
Jak mi drogi ten Święty Franciszek
(Całuje sygnet.)
Na pierścieniu dziadowskim, z krwawnikiem,
Tak mi drogie serduszko w tym starcu!
Biały starzec — biały — jak kot w marcu
A tak jeszcze ognisty! — Cóż pisze?

LEON, czytając list.

«Ja i moi towarzysze
Stanąwszy u Czarnego kurhana
Stopy Jaśnie Wielmożnego Pana
Całujemy. — Wszystko dobrze nam idzie.
A na wielkiej piramidzie
Nie spisać słowo po słowie
Co jeszcze zamiarów w głowie
I projektów i zasadzek. —
Naszliśmy na kilka schadzek
W lesie hajdamackiej czerni,
I tak się moi pancerni
Popisali jak zazwyczaj.
W jednej, Sotnik pewien Nyczaj
Zarąbany; w drugiej sprawie,
Gdzie nam rzecz poszła na rękę
Przydybaliśmy Tymenkę,
I tak uszedł nam ciekawie
Że jeszcześmy w zadziwieniu —
Na salamandry w płomieniu,
Na Pliniuszowe bajeczki
Myśl i mentes obracamy.
Widziałem go sam, przy kordzie
W żupanku ze złotej lamy,
W kontuszu, ze krwią po mordzie
Kapającą jak berberys:
Lecz bestja w żar się rzuciła

Tanquam drago. De caet'eris
Nie piszę. — Chłopstwo jest czarne,
Krwawe, wściekłe i niekarne,
Wódką i miodem zalane,
Przez Popy oszukiwane,
Karmione w cerkwiach proskurą
Śród krwi, mordów, których pióro
Dotknąć się boi w pisaniu.
Powiem też, że dzisiaj rano
Będąc sam na harcowaniu,
Razem z jutrzenką różaną
Z ogniem płonącej aurory,
Do sławnego Wernyhory
Dotarłem. — Lecz żal się Boże! —
Stary w samotnym futorze,
Nad którym dęby kołyszą
Swoje złote Sybillińskie
Listeczki: nie wart tej famy,
Którą pieśni ukraińskie
Rozniosły, i z czem się słyszą
W kraju — i futor Augura
Do Trofonjuszowej jamy.
Nie umył się — choć i ta dziura
W pobliżu dawnych kurhanów,
Pełna starych lir i dzbanów,
Mogłaby, wiatrem przeszyta,
Wydawać sybilne jęki.
Widziałem miecz Doroszenki
I złote końskie kopyta —
Sądzę że są tylko z miedzi
W ogniu dobrze pozłocone.
Sam zaś starzec — w jamie siedzi
Spokojnie, i rzeczy śnione
Pełne szumu i zamętu,
Rozpowiada bez talentu
Mięszanym chłopskim językiem.
Żeby zaś był czarownikiem
Nie wierzę — gdy na pytanie

J. I. KRASZEWSKIE
BIAŁEJ.
Księgozbiór: 821

De propris Wielmożny Panie
Plótł mi, zwyczajnie gaduła!
Że mi żonka moja spruła
Kaftanik dawno zaczęty —
Że co do mnie, będę wzięty
Przez dwie chorągiewki w stepie,
Jak szczygieł i gil na lepie,
W przerażeniu otrętwiały,
Że prócz głowy, będę cały
W grobie: — Na te przepowiednie
Spoglądam jako na brednie,
Nic z nich nie rokując złego;
A do krzyża się krwawego
W każdej niedoli uciekam. —
Teraz na rozkazy czekam
Dalsze, i jestem ostrożny.
A gdy Pan Jaśnie Wielmożny
Rozkażesz, to krew się zbudzi,
I będę ryzkował ludzi
I siebie —»

REGIMENTARZ.

Poczciwy szlaga!

LEON, czytając list.

«Kończąc list w zwykłym afekcie,
Który mi się z wiekiem wzmaga,
Jaśnie Wielmożnego Pana
Sługa, ściskam za kolana:
I córce, co na respekcie
W jego domu kornie służy,
Z tej krwawej mojej podróży
Posyłam błogosławieństwo;
Zupełnie o jej panieństwo
I dalsze losy spokojny.»

REGIMENTARZ.

Poszlę mu huf jeden zbrojny.
A ty Lwie napisz niech czeka
I niech unika rozprawy;
Aż przybędzie z niedaleka

Chorągiew kozaka Sawy,
To pójdziemy na pewnika.
Teraz niech boju unika,
W lasach lega, nie na stepie,
Ani na wietrznym wertepie
Harcuje. — Dodaj dwa słowa
Że Salusia jego zdrowa,
Że my go wszyscy kochamy,
Z tej Trofonjuszowej jamy
Złego nie rokując sobie.
Wszakże omenu ciekawi —
A jeźliby już był w grobie
Proś go, niech głowę wystawi,
I nie straci polskiej duszy:
A ja go wyciągnę za uszy.
Cha! cha! bajkarz Wernyhora
Staremu naplótł powiastek
Pojdę do naszych niewiastek
Powiedzieć o tej potyczce
Z duchami. — A ty — czy wczora
Oświadczyłeś się Księżniczce?

LEON.

Nie śmiałem, ojcze kochany!

REGIMENTARZ.

Głupiś! — więc ja cię wyręczę.

LEON.

Ojcze!

REGIMENTARZ.

Aniś do kieliszka
Ani do — serce zajęcze!
Na sygnet Świętego Franciszka
Przysięgam! że cię zaręczę
Dziś jeszcze, tym oto krwawnikiem

(Całuje pierścień i wychodzi.)

LEON.

Semenko — siądź za stolikiem
I do Gruszczyńskiego napisz
Ekspedycyę.

(Wychodzi.)

SEMENKO.

Dobrze panie! —
(Zruca burkę i siadając przy stoliku pisze —)
Złotyj Lach. — Ot, czart i Papież
Na moje edukowanie
Musieli łożyć pieniądze.
Oj — staremu ja szlachciurze
Taką wannę przyporządzę,
Takiem pismem się przysłużę,
Taki bodjak mu przyczepię —
Że oj, wspomni on w purpurze
Toj dziad, cały w krwawych ranach,
Jak mię kiedyś bił na stepie,
Szukając skarbów w kurhanach.
Stary dziad! żałośny sknera!
Bywało, chłopy odziera
I plecy nahajem porze,
A złoto w szkatule dusi —
Każdy dzień — mówi — wyorze
Perełeczkę dla Salusi
I turkusik da błękitny
Albo pasek aksamitny;
Aż, powiada, moja córa
Cała w perłach i w brylantach,
Będzie grzebała jak kura
W księciach i grafach amantach.
Ot! i wybrała szczyglica,
Nim szesnastu latek doszła,
Gacha przy blasku księżyca,
Z którym sobie za mąż poszła
Bez barwinku i bez księdza —
Tam stary w stepach się pędza
Za wiatrem i rzezuniami:
A tu młokos dziecko plami
Na respekcie w ojca domu.
A ja — a ja — a ja ginę
Z miłości! (Nalewa szklankę rumu i pije.)
Hej szklankę rumu!

Ot za tę jedną dziewczynę
Gdyby słowo miłe rzekła
Skoczywby jak czart do piekła,
Wyrezałby dwór i pany.
Był ja niegdyś wychowany
Na Hetmana nie na chłopa;
Choć syn Gruszczyńskiego Popa,
To bywało na kurhanie,
Kiedy koń nademną stanie
A miesiąc w oczy uderzy:
To ja sobie śnił z rycerzy
Wielkie hufce, błyskawice,
Rusałeczki i księżyce;
Hej i zamek na Ostrowie,
I hetmański miecz w alkowie —
A ja wtenczas pan mieczowy
Wyśnił sobie, snem Widuna,
Od mecza jak od pioruna
Wyzłocone dno alkowy.
I w tej wielkiej ognistości,
W tym oblasku i rubinie
Śnił ja siebie przy dziewczynie,
Pełnej wiary i miłości;
A to była jakaś nowa
Blaskiem miecza koralowa,
Jakaś wielka hetmanowa,
Jakieś serce bohaterne,
Zapalone, na śmierć wierne,
Na atłasach, na kobiercu,
Bijące mi tuż przy sercu.
A dziś co ja? Kozak dworny
Rześki, śmiały i przezorny,
I do korda i do czaszy.
Lecz nie długo sługa Laszy!
Hej! kozaczek was nastraszy
Pany Lachy — taj w godzinę
Ruszy całą Ukrainę
I z królem ją rozgraniczy —

(Wbiega Panna SALOMEA GRUSZCZYŃSKA.)

SALOMEA.

Semenko!

SEMENKO.

Od jej słodyczy
Serce mi pęka. — Szczo Panna?

SALOMEA.

Troska jakaś nieustanna
Dręczy mię. Ciągłe sny miewam,
Chociaż przed każdem uśnięciem
Głośno Anioł Pański śpiewam. —
Ciągłe sny, których pojęciem
Wytłomaczyć już nie mogę —
Ojciec mię także niebogę
Przestraszył tym Wernyhorą,
I sen znowu spędził z powiek.
Powiedz mi, co to za człowiek?
Czy go znasz? zkąd mu się biorą
Te wróżby?

SEMENKO.

Z ducha panienko.

SALOMEA.

Kiedy ja byłam maleńką
To o nim słyszałam wiele.
Powiedz mi, czy on bywa w kościele?
Czy się modli do Najświętszej Panny?

SEMENKO.

Czart wie —

SALOMEA.

Czart wie? ach jaki ty blady!
Lękam się go — czy ty chory czy ranny?
Ach!

(Semenko nagle gasi świece, Salomea zlękniona ucieka.)

SEMENKO.

Ptaszynę maleńką ja spłoszył —
Taj nie da z tą Laszką rady
Człowiek, póki się krwią nie spanoszył.

(Siada znów na ławie i udaje drzemiącego. Wchodzą REGIMENTARZ i KSIĘŻNICZKA będąca u niego na opiece.)

REGIMENTARZ.

Dosyć tu srebrnych blasków od księżyca
Moja księżniczko; bo na to co powiem
Płoni się każda dostojna dziewica.
Mój syn przepłaci tej miłości zdrowiem
Jeżeli serca dla niego nie ruszysz —
Chłopca mi moja piękna panno suszysz!

KSIĘŻNICZKA.

Syn mię acana nazywa księżycem,
A księżyc ani suszy, ani grzeje.

REGIMENTARZ.

Więc mi chłopczyna biedny oszaleje,
Ciągle pod twojem rozwidnionem licem
Na białe, srebrne strzały wystawiony.

KSIĘŻNICZKA.

Lecz mówi, żem ja księżyc jest czerwony.

REGIMENTARZ.

Być może, moja dowcipna dziewczynko!
Czerwony, bo ty jesteś Ukrainką,
A Ukraińskie miesiące w czerwieni.
Zresztą nie mogę w dowcip iść zapaśnie. —
Jak się syn z białym miesiącem ożeni —

KSIĘŻNICZKA, przerywając.

Będzie zaćmienie wielkie — miesiąc zgaśnie.

REGIMENTARZ.

Dobrze! — po ciemku kochać się będziecie.
Weź ten pierścionek —

KSIĘŻNICZKA.

Zarzucę go w śmiecie.

REGIMENTARZ.

Nie rób acanna sobie z tego śmieszek,
Bo to jest krwawnik, mój Święty Franciszek,
Sygnet cudowny przez dziada mi dany,
A tak przez usta już wycałowany
Że świętych rysów na nim ani śladu. —
Usteczek twoich pierścionek, uwity
Z róż i perełek, będzie tak zużyty.

KSIĘŻNICZKA.

Więc go drugiemu oddam.

REGIMENTARZ.

Daj cię gadu! —
Jakaś dowcipna! — Tego nie chcę wcale. —
Powiedz mi kiedyż wam hymem zapalę?
I wniosę pierwszy za zdrowie kieliszek?

KSIĘŻNICZKA.

Jak się pokaże ten Święty Franciszek,
Zejdzie z pierścionka i ślub da w kościele.

REGIMENTARZ.

Czasu ci nie dam dziewczyno tak wiele;
Jutro mi staniesz przed wielkim ołtarzem.
Nie darmo jestem tu regimentarzem;
Zregimentuję was do posłuszeństwa. —
Dziwno! że wszystkie Waćpanny błazeństwa
Tak mi są miłe jakby głos słowika!

KSIĘŻNICZKA.

Więc jako wdowiec oświadcz mi się z ręką,
A ja ci wrócę twojego krwawnika.

REGIMENTARZ.

Co za szalona i głupia dziewczyna!
Jak to? więc wolisz mnie niż mego syna?

KSIĘŻNICZKA.

Nie wiem co wolę, namyśleć się muszę.
Skowronków pełną wiosennych mam duszę,
Kapryśną jestem i trudną dziewicą.

REGIMENTARZ.

Więc się namyślaj moja kapryśnico —
Ale nad suknią, nie zaś nad małżonkiem.

(Wychodzi.)

KSIĘŻNICZKA.

Otóż zostałam z szlacheckim pierścionkiem!
I sprawdzają się widzenia —
I świat jest z duchami zgodny.
Bo krwawość tego pierścienia
Świadczy o tem, że to pierścień rozwodny.

Bo ta kropla, z Dejaniry
Koszuli na mnie skapana,
Dawno mi przez srebrne liry
Była już zapowiedziana. —
Widzę na palcu człowieka
Ten pierścień; w ciało się wjada,
I do kości dłoń wypieka
I z węglem, z ręką upada.
Ach i widzę, ach i słyszę
Jeszcze głos lirnego dziada
Co jak dumka na sen mię kołysze.
Ach i wioszczaną ulicą
Leci rycerz — tak, że chaty
Miecza jego błyskawicą
Oświecone, świecą w sadach
Jak złoto-różane kwiaty —
Ach i śpieszy po lewadach
Dziad do wesela potrzebny,
Podarunek niosąc srebrny.
A za nim co? — drużka trupia —
O! Boże jaka ja głupia,
Że o snach marzę ogniście,
Jak gdybym z duchami żyła;
Gdym na świecie rzeczywiście
Takie głupstwo popełniła,
Że choćby się teraz dręczyć
I być braną przez miłość lub trwogę:
To już ani się zaręczyć.
Ani żoną być nie mogę.

(Spostrzegając Semenkę.)

Jezu! kozak się rozczuchał,
Zginionam — jeźli podsłuchał,
Jeźli mi stanie za świadka
Że gdy słońce zejdzie z czoła
To ja nie zawsze wesoła
Ale czasem jestem smętna warjatka —
Semenko!

SEMENKO, udając że się budzi.

Czego potrzeba Księżniczce?

KSIĘŻNICZKA.

Świętojańskiego robaczka w różyczce,
Gwiazdy i kwiatu, rybki i motyla,
Fenixa, myszki białej, krokodyla,
Sługi i Pana, smutku i zabawy.
Czy ty służyłeś pod chorągwią Sawy?

SEMENKO.

Nie, ale znam go.

KSIĘŻNICZKA.

Jakże on wygląda?
Czy na barana, czyli na wielbłąda?
Czy na kozaka? czyli na szlachcica?
Czy jest jak chmura? czy jak błyskawica?
Czy z oczów jemu patrzy chłop czy książe?

SEMENKO.

To patrzy co mnie —

KSIĘŻNICZKA.

Ach! to być nie może,
Bo tobie z oczów popowicz wyziera.

SEMENKO, na stronie.

Ach ty proklata!

KSIĘŻNICZKA.

Przebacz mi, ja szczera —
Z tobą się o ten pierścionek założę
Że ty syn popa.

SEMENKO.

A jak ja syn czarta?

KSIĘŻNICZKA.

Jezu! ten człowiek gotów mię zadławić!
(Ucieka.)

SEMENKO.

Budesz ty sto hroszy warta
Jak pozwolę się pobawić
Moim chłopom po zamczysku —
Jak z kosami potańcujem

Po nocy, na cmentarzysku,
Taj w sobie czarta poczujem —
(Wychodzi.)

ZMIANA I.

(Las dębowy — oświecony księżycem — między drzewami palą się ognie, i żołnierze polscy gotują strawę — albo czyszczą konie. Wchodzą na scenę STARY GRUSZCZYŃSKI i pewien wojak PAFNUCY.)

GRUSZCZYŃSKI, do obozujących.

Na tej się leśnej lewadzie
Rozłóżmy Mości Panowie.
Miesiąc do snu ludzi kładzie —
Trzeba dbać o koni zdrowie,
I od rosy strzedz pałaszy.
Zgotujcie jaglanej kaszy,
Zaśpiewajcie hymn powstański;
A śpiewem na Anioł Pański
Zakończyć tę wieczornicę —
I sza! noc przepędzić cicho.
Bo po lasach nie śpi licho,
I można bez ostrożności:
Zobaczyć swój łeb na tyce —
Bo to wojna bez litości
Z orłami biją się krucy.
(Wychodzi na scenę.)
Mości wojaku Pafnucy!
Siądźmy tu na osobności —
Muszę pomówić z Waćpanem.
(Siadają.)

PAFNUCY.

Słucham, stary mój kolego.

GRUSZCZYŃSKI.

Więc bez exordu żadnego
Jak gdybyś był kapelanem:
— Co być bardzo może — bo się
Dominus vobiscum niby
Przebija w Acana głosie —
Powiem ci, że jakieś grzyby

Smutku na sercu mi rosną.
Oto Panie, z przeszłą wiosną,
Gdy biły trąby wojackie,
Na hasło konfederackie
Nie poszedłem. — Tak to bywa
Że starość radzi leniwa
A potem żal człowiekowi —
Bar upadł! Bar upadł, Mocanie!
Zaufali Chrystusowi
A upadli! —

PAFNUCY.

Na kolanie
Pokutuj Waść za te słowa.

GRUSZCZYŃSKI.

Świątynia to purpurowa
Pokuty, pierś moja stara,
W której się serce rozpara
Na wszystkich szwach, krwią lejące:
Bo serce było gorące,
Jak zwyczajnie w starym Lachu,
Ufne — a teraz w przestrachu
Do chmur wygląda nieśmiało.
Pod bicz ofiaruje ciało,
A jednak, ptaszyna licha
W piersi mojej ledwo żywa,
O odwrócenie kielicha
Modli się. Bo kto używa
Żywota, obok potoku
Którym sprawy Boże płyną!
Kto chce spokojny, z rodziną!
Swoją kość gdzieś gryść na boku,
Wiejskich kosztować słodyczy:
Choć się nie policzą ludzie,
To się Bóg z takim policzy —
A już wspomniałem podobno
Aści, o posępnym cudzie.
Który mi rodzinę drobną
Nastraszył — Rzecz niesłychana!

PAFNUCY.

Chrystus do domku Waćpana
Zapukał? —

GRUSZCZYŃSKI.

Trzy razy! trzy razy!

PAFNUCY.

Mocanie, to są rozkazy,
Którym oprzeć się nie można

GRUSZCZYŃSKI.

Toż widzisz mię Waść na koniu!
Choć rodzina o mnie trwożna,
Żona w ciąży — na ustroniu
Dom obok czarnego lasu.
A kiedym siadał na bryczkę,
A dzieci aż pod kapliczkę
Biegły za mną: to się z pasu
Irysowego widomie
Odkryła jasność na domie,
Na którą dziatki łakomie
Patrzały, aż zdjęte strachem
Krzyknęły: że widzą nad dachem
Jakąś nową tajemnicę,
Jakąś gorejącą świecę,
Co je bardzo niepokoi,
Bo nad samym domem stoi,
Jak krwawe serce z płomyków. —
Na co ja patrząc, zmaluchlał
I z dziatkami razem struchlał.
Bo nad domem nieboszczyków
I nad chatą ludzi chorą
Często takie światła gorą —

PAFNUCY.

Pan Bóg litośniejszy bywa —

GRUSZCZYŃSKI.

Toć ja ufam, i leniwa
Dusza się krzepi nadzieją.
Wszakże gdybym tu ja zginął,
A duchy świecy nie zwieją

Z dworku, gdzie mi wiek przeminął
Tak słodko przy mej rodzinie;
Gdziem ja miał ojcowskie graty
Jeszcze wzięte na Turczynie,
A pod dąb mój rosochaty
Wodził gości — i pił kawę
W dawnych, starych roztruchanach;
Pacierz mówił na kolanach,
Córkom gotował wyprawę —
Jeźli to wszystko pójść musi
Z wiatrem — pomnij o Salusi
Bądź dla niej jak ojciec szczery,
I groźny jak ojciec drugi.
Bo to skrzydlate chimery
Gotowe, złotemi cugi
Przybyć po nią z pieśnią słodką,
I dzieciątko moje ciche
Jakby jaką drugą Psychę
Zrobić maleńką szczebiotką,
Którą za skrzydełka złote
Strzepotane Kupid chwyci —
A potem gdy się nasyci
To wypędzi na ciemnotę,
Rzuci gdzie jak dzban rozbity! —
Pamiętaj! to dziecko krwiste,
Oczęta ma przeźroczyste,
Zielone, jak selenity;
A zdają się na zuchwałość
Podwodzić szatańskie wzroki —
A taka płci wielka białość!
A takie gorsu uroki!
Że się boję o nią — boję!
Bardzo boję! —

PAFNUCY.

Bądź spokojny —

GRUSZCZYŃSKI.

Powiedz, że ja przy niej stoję
Zawsze — choćbym pozbył ciała,

To w anielską palmę zbrojny
Stanę — i będzie słyszała,
Jeźli się złego dopuści,
Mój głos z piekielnej czeluści
Wołający.

PAFNUCY.

Nie wróż smutnie.

GRUSZCZYŃSKI.

Bo to widzisz, po tych dworach
Są Włochy dzwoniące w lutnie,
Ubrane w różnych kolorach
Niby djabli, w opalowych
Zbrojach, a wewnątrz zepsuci;
Ci dziewczątek świeżych, zdrowych
Szukają — żądłem je wabią
Aż ptaszeczek im w gardło się rzuci —
A są jeszcze sztuką babią
Zajęte, stare matrony,
Co porzuciły robrony
I kornety — a te dziecku,
Już ubrane po niemiecku,
Straszne czasem dają rady —
Gdy je widzę w strusich kitach
Chodzące prawdziwe gady,
Tobym się na tych kobietach
Pastwił! szelmy niegodziwe!
Prawdziwie są djablą milicyą.

(Wchodzi KOZAK regimentarski.)

Zkąd ty kozak?

KOZAK.

Z ekspedycyą.

Od dworu —

GRUSZCZYŃSKI.

Czemu twe ślipie
Takie jasne, takie krzywe?
Czyś się spił na jakiej stypie?

KOZAK.

Witrom spity.

(Odchodzi. Gruszczyński obraca się ku ogniowi i list czyta.)

PAFNUCY.

Co się zdarza
Waćpanu? bledniesz czytając —

GRUSZCZYŃSKI.

Pieczęć jest Regimentarza
Lecz list? — Czy on urągając
Pisał? czy był śmierci blizko? —
Hej rozpalić tam ognisko!
Niech lepiej te charaktery
Wyczytam —

PAFNUCY.

Nie zmieniaj cery.

GRUSZCZYŃSKI.

Mocanie! pies pod podwórzem
Nie raz lepiej traktowany! —
Patrzaj! — nazywa mię tchórzem! —
Na czyste Chrystusa rany,
Którym ja się krwią zadłużył
Klnę się — powiada żem stchórzył
Żem zleniwiał, że — sto beczek
Krwi mojej na ludzi tych głowie! —
Piszą: żem z chłopami w zmowie
Że — będę mały człowieczek
Nie człowiek, jeźli przebaczę! —

PAFNUCY.

Daj Aść — niech ja list zobaczę. —

(Bierze list.)

To ręka i styl jest sługi

GRUSZCZYŃSKI.

Na pieczęć patrz! — krwawe strugi
Acherontu z ognia i krwi!
Na te słowa marszczę me brwi
I trzęsę światem. — Ja tchórz! —
Otóż to tak, ludziom służ,
Nocuj w lesie pod namiotem
To cię obrzucają błotem! —

Otóż to tak z ludźmi temi
Nowego serca i wiary! —
Kazali ciągnąć w te jary
Ciemny komin, loch na ziemi;
Gdzie wiem, że pewna zasadzka.
I cała czerń hajdamacka
Zasadzona!

PAFNUCY.

Więc im szczerze
Odpisz — ja z listem pojadę.

GRUSZCZYŃSKI.

Ja mazałbym po papierze?
Ja! — oskarżony o zdradę
Nie krwią, życia fundamentem
Bronił się? — lecz atramentem? —
I piórem z gęsi ogona?
Nie mocanie! — krew czerwona!
Ten mózg pod chłopów obuszkiem!
Mózg i krew ta na ich głowy:
A potem duch purpurowy
Z rozdartą piersią nad łóżkiem! —
I niech im Pan Bóg da zdrowie. —
Ja tchórz. — Na koń! do szabel Panowie!

(Wybiega i widać go ruszającego obóz.)

PAFNUCY, sam.

O, wielki Boże! sprawdzać się zaczyna
Domowi temu wróżona ruina,
I Chrystusowe do drzwi zapukanie,
Karcące późne krwi ofiarowanie,
Spełni się jako straszliwa nauka
Dla czekających aż Pan Bóg zapuka —
Leniwy starzec był — teraz ognisty.
Więc choć to pewno zmyślone są listy,
Teraz go w małej mogile położą
Za to, że wzgardził wielką sprawą Bożą.
Lecz sądy Boże są nieprzewidziane!
Cokolwiek będzie — piersią przy nim stanę.

(Wychodzi.)

ZMIANA II.

(Noc — ogród nad stawem — księżyc świeci. Wchodzi LEON w głębokiem dumaniu.)

LEON.

To już ostatnia będzie schadzka nasza!
Ostatni raz czekam na nią.
Człowiek skarb serca rozprasza —
Każda chce mu zostać panią
Wieczną — a tego nie zgadnie,
Że gdy raz łatwo upadnie,
To później chyba pod kłódkę
Człowiek zamknie taką żonę.
Na te dzieciątko stracone
Jak na małą nezabudkę
Księżniczka patrzy z wysoka,
I ze mnie nie spuszcza oka:
A kiedy uczyni wzmiankę
To mię tak śmiechem uderza,
Jak gdybym kochał sielankę,
I sam wyszedł na pasterza.
Sali prosta jest i wierna —
Ale w najprościejszej leży
Taka obłuda misterna,
Tyle gołębiej odzieży,
Taki kalkuł na dnie duszy,
Taki instynkt oszukaństwa,
Taka chciwość blasku, państwa,
Taka głęboka nauka
Zadawania ci katuszy:
Że wierność ich — jest to sztuka,
W którą czart oczy pochował.
One wiedzą, że to ołów,
Coby samych Archaniołów,
Wisząc u skrzydeł, zmordował —
One z tem na świat przychodzą,
Wiernością nudzą, lub zwodzą,
Obdzierają nas z odwagi —

Liczą na litość! — od matek
Nauczone, że ten statek
I łzy, to są ich posagi. —
Nim się ze światem obezna
Każda wie, że woń w narcyzach
Jest drogą, że mąż ją zezna
I zapisze w intercyzach
Ewikcyonując wyprawę.
Naprzód je widzisz ciekawe
Twego serca, słów niebacznych;
A do przyrzeczeń dwuznacznych
Podchwytywania umiętne;
Potem, widzisz nagle smętne,
Ze łzą co się w oczach kręci:
A pełne dziwnej pamięci —
Książki, gdzie w papier różany
Sam przez siebieś jest wpisany
Wszystkiemi gesty i słowy,
Wkuty — jak w kamień grobowy
W ich pamięć — już nie gorący
Ale przez ten papier ssący
Z ognia, z kolorów wypity —
Kwiat zwiędły w sercu kobiety.
I ty co z gwiazdy pochodzisz
One dowiodą żeś marny,
Głupi, żeś jak szatan czarny,
Że dla nich tylko się rodzisz.

(Wchodzi SALOMEA.)

SALOMEA.

Jakże dzisiaj twoje zdrowie?

LEON.

Tak jak zawsze — ogień w głowie!

SALOMEA.

Ty wczoraj już byłeś dziki!
Już na miłość niepamiętny,
Bardzo dla mnie obojętny —

LEON.

Wczoraj to były ogniki —
Dziś ogień — dziś gorszy jeszcze —

SALOMEA.

Daj rękę — ja cię popieszczę,
Zamówię i uspokoję —

LEON.

Nie nie, słodkie dziecię moje!
Ot byś lepiej szła nabożna —
Do stu djabłów! tak nie można
Żyć dłużej! — czy my cyganie?

SALOMEA.

Powiedz, cóż się ze mną stanie?
Cóż ja nieszczęsna uczynię?

LEON.

Co? — miłość twoja przeminie —
Dasz sobie na świecie radę;
Pójdziesz za mąż, ja przyjadę,
Jeźli na wojnie nie zginę,
Przyjadę kiedyś w gościnę;
A ty wtenczas moja miła
Przyjmiesz mię, będziesz za siostrę.

SALOMEA.

Słowa twoje bardzo ostre. —
Jam się dziś szczerze modliła
Za ciebie —

LEON, na stronie.

Baran do rżnięcia!

SALOMEA.

Ty nie masz ani pojęcia,
Co to jest modlić się za tych
Co nas gubią?

LEON.

Roskosz czysta!
Roskosz aniołów skrzydlatych.
Dla drugich zaś krzyż i ognista,
Męka, jeźli są modlitw nie warci —

Gdyby to wiedzieli czarci,
Mówiliby zawsze różańce.

SALOMEA.

Ach! piekielni obłąkańce,
Więcejby litości mieli!

LEON.

My nie jesteśmy Anieli
Ani ja — ani ty — mała!

SALOMEA.

Jeźli ja tej gwiaździe widna,
To pewnie się rozpłakała
Widząc mię — jaka ja biedna!

LEON.

Doskonała! doskonała!
Gwiazd wzywa! z kwiatami gada!

SALOMEA.

Wiesz ty dla czego ja blada? —
Ja chora.

LEON.

Cóż ci dolega?

SALOMEA.

Nic —

LEON.

Spuściłaś na dół oczy?
I łza ci po rzęsach zbiega?

SALOMEA.

Ach! niechaj się ta łza stoczy —
Niechaj obmyje sumienie —
O Panie! choć oburzenie
Czuję dla twojej srogości,
Jeszcze o trochę litości
Proszę, a to ci wynurzę
O czem dotąd same róże
I gwiazdy tylko wiedziały,
Otóż słuchaj. — Na kawały
Serce się biedne rozpęka,
A jeżeli moja męka
Ciebie nie skruszy? to będzie

Cud — alboś ty jest narzędzie
Którem Pan Bóg mię ukarze. —
Dwa temu tygodnie — śnię ja
Że matka moja mi każe
Abym ja u Dobrodzieja
Gruszczyniec, twojego taty
Prosiła dla niej o konie',
Bo ją człek jakiś brodaty
Ściga, straszy, chwyta w dłonie
I — rzekła to najwyraźniej,
Jakby przestrachem wzdrygnięta —
Jeźli się Salusia zbłaźni
A prośby tej nie spamięta,
To będę z dziećmi zarżnięta —
To rzekła: i we mgłę wsiękła.
A ja zbudzona, przelękła,
Myślałam czy prosić czy nie —
A naprzód wstyd był dziewczynie
Mówić o snach i o marze,
A potem: — — jak ja się ważę
Stać tu na takiej spowiedzi? — —
Myślę: jak tu nas odwiedzi
Matka, a spojrzy mi w oczy:
To mi rumieniec wyskoczy;
A ona słowo po słowie
Wyspowiada, drżąca trwogą;
I zapewnie nic nie powie,
Ale na mnie spojrzy srogo,
Wzrok jak nóż w sercu obróci.
Zada mi boleści krocie;
Zacznie coś gadać o cnocie,
Z gorsu mi różę wyrzuci,
Każe włosy pleść inaczej,
Robotę na dzień naznaczy,
I będzie patrzała z boku
Na łzy kręcące się w oku! —
A ja — o Jezu kochany!
Nie będę już do altany

Mogła biegać nocną dobą,
Ani się widywać z tobą,
Co wieczora pod tą brzozą,
Pod tą czarną altaneczką —
I może mię gdzie wywiozą,
Albo z jakim siejo-hreczką
Ożenią. To o tych rzeczach
Gadałam ja sobie w nocy;
I spałam jakby na mieczach,
A budziłam się bez mocy,
Jak ukraińscy Widuni,
Którzy ciągle widzą trupy.
A wstydziłam się też kupy
Dziatek — i ślepej babuni —
Tu, gdzie takie toalety,
I woskowane parkiety:
A ona co po jaskółkach
Świegotaniu deszcze wróży,
Albo się w krześle na kółkach
Każe wozić po ogrodzie —
Tu ja — w atłasie, przy róży
U boku, ja, panna w modzie
Ze złoconym wachlarzykiem
Musiałabym — myślę sobie —
Wozić ją i ach — przy tobie
Mówić z nią chłopskim językiem —
Bo ona po polsku nie umie. —
To bywało, w sercu tłumię
Przestrachy moje tajemne,
Zgryzoty, przeczucia ciemne,
I te sny nazywam marą:
Lecz w noc i w godzinę szarą
Myślę i myślę o domu
Pełna niepojętej troski! —
Ach — i do Matki się Boskiej
Modlę we łzach, i nikomu
Nie mówię; lecz drżę i płaczę.

Otóż ja tej matki Panie
Może nigdy nie zobaczę!
Bo dziś pod samo zaranie
Śniła mi się gdzieś, w pustkowiu,
Potem tu, cała z ołowiu
I w ołowianej spodnicy,
Niby z perłowej macicy
Z jednej perły była cała.
A twarz zwiędła i schorzała
Także koloru ołówka,
Była już jak trupia główka
Na krzyżu wyrysowana.
Tu szła Panie — tu — tą stecką —
A ja w tej róży schowana,
Drżąca, jak maleńkie dziecko
Które się przestraszy dziada;
Co główkę z liści wysadzę
A ujrzę że ona blada
Idzie: to chowam się w ciernie,
Oczyma za nią prowadzę,
Zziębła i blada niezmiernie,
Cierniami cała pokłuta.
Bijąc się jak słowik w nocy,
Gdy w klateczce spadnie z druta,
Chce latać i nie ma mocy,
Tylko się trzepocze w klatce —
Tak ja Panie mojej matce
Dziwiąca się, strzepotana,
Chowałam się w krzaku skryta:
Cała zziębła i rumiana,
Jak czerwona włóczka zwita
W kłębuszek. — I cóż ty na to?

LEON.

Salinka będziesz bogatą.
Srebrny sen bogactwo wróży.
A że się chowałaś w róży
To dobrze, pisano w górze
Że w twem życiu będą róże.

SALOMEA.

I ciernie?

LEON.

I ciernie będą.

SALOMEA.

Otóż ty mię złotą wędą
Panie ułowiłeś sobie,
I porzucić chcesz jak widzę?
Ale póki ja nie w grobie
To się ty nie możesz żenić.

LEON.

Jak to?

SALOMEA.

Bo ja cię zawstydzę —
Sama się będę rumienić,
Sama się wstydem ukarzę,
A ciebie, publicznie oskarżę.

LEON, na stronie.

Co słyszę! wejdźmy z nią w targi.

SALOMEA.

Słuchaj! i będą dwie skargi
Z jednych ust przeciwko tobie.

LEON, na stronie.

Co ja z tą dziewczyną zrobię?

SALOMEA.

Z jednych ust wyjdą dwa głosy.

LEON, na stronie.

Ach wyrywać teraz włosy!
I z boleści kąsać ręce! —

SALOMEA.

I zaręczyny książęce
Ja zerwę — zerwę szalona!
Bom jest na to podmówiona
I udarowana mocą
Przez duchy — co tu w altanę
Weszły i tam się trzepocą,
Jak gołębie krwią zwalane,

O ten liść otartè suchy,
Jakieś białe krwawe duchy!

(Odchodzi.)

LEON, sam.

Co? czy w obłąkanie wpadła?
Czy widzi krwawe widziadła?
Albo li też chce udaniem
I aktorskiem obłąkaniem
Sumienie ciężej przywalić?
Na Boga! to nowa sztuka
Niewieścia! — serce rozżalić
Potem jeść je dziobem kruka
I rozdzierać, aż zaboli,
Aż własnej zbędzie się woli.

(Wchodzi SEMENKO.)

SEMENKO, na stronie.

Podsłuchałem ich w altanie.

LEON.

Ach, Semenko!

SEMENKO.

Jasny Panie!

LEON.

Chodź tu Semenko kochany.
Bóg mi cię pewno przysyła.

SEMENKO, na stronie.

Skaży czort.

LEON.

Ot, z tej altany
Tylko co tu wyskoczyła
Tego Gruszczyńskiego córka,
Z którą ty nie raz mazurka
Tańczył — i tej młodej pani
Zasługiwał się, figlował.
Ja wiem, że ty nie raz dla niej
Twoje dumki komponował,
I pod oknem w torban dzwonił —
Ot, i teraz się zapłonił
Jak dziewczyna?

SEMENKO.

Ta, czy druga!
Ja nie szlachcic ale sługa,
Kozak pański, król na stepie,
Szukam gdzie serce przyczepię:
A nie można? jeźli Laszka
Wyżej sobie okiem mruga
I złotego łowi ptaszka:
Tfu! to dla mnie ta, czy druga!

LEON.

Ja wiem — ale ta dziewczyna
Nie wyszła z pod adamaszków;
To równa tobie chudzina,
A ty chwat do takich ptaszków.
Gdyby ty chciał, tobyś miał ją,
Sprobuj tylko.—

SEMENKO.

Czart by chciał ją!
Na co mi się piąć do państwa!
Z asawulstwa i poddaństwa
Kontent jestem — i ze służby
U Panycza.

LEON.

A! ty jużby
Tej szlachcianki mi odmówił!
Cóż? na prawdę mój Semenko?
Jam z nią w tej altanie mówił,
I serduszko miał pod ręką,
Kiedy wspomniałem o tobie —
Rzekła: nie, ale tak cicho,
Że mię aż porwało licho;
Bom ją kiedyś ja sam lubił —
Lecz takiej biednej chudobie
Nie mogłem — bobym się zgubił
U ludzi — oświadczyć z ręką.
Ot, ja sobie z tą maleńką
Igrał, póki było można;
Lecz to dziewczyna pobożna,

Święcie w domu wychowana.
Gdyby ty miał ogień w kości
To wyszedłbyś z nią na Pana,
I przyszedłbyś do miłości.

SEMENKO.

Zróbcież mnie Panyczu, Panem —
Jeźli chcesz.

LEON.

A chcesz? to zrobię —
Osadzę gdzie nad limanem,
Dam ci futor na początek.
A wam, jak biednej chudobie,
Bóg pomoże i dzieciątek
Wam naszle, które z zapału
Gniewnego ojca ostudzą.

SEMENKO, padając do nóg z udanym płaczem.

Nech tobi Boh!

LEON.

Stój — pomału! —
Trzeba z tą perełką cudzą
Ostrożnie — chociaż to cuda,
Jeżeli nam się nie uda,
Jak się dobrze weźmiem oba —
Ona ciebie upodoba,
Ja wiem — znam ją — z iskier cała —
Gdyby teraz nie kochała
To cóż, że trochę zaszlocha?
Jak przywyknie, to pokocha. —
Jak z tobą w stepach zagości,
To step — ach step! raj w miłości
Z taką szlachecką panienką! —
Cóż głupcze? cóż ty Semenko?
Czy nie myślisz o kochaniu? —

SEMEKO.

Ach, ja Panie w obłąkaniu!

LEON.

Nie bądź głupi —

SEMENKO, znów rzucając się do nóg.

Ja twój sługa —

LEON, podnosząc go i biorąc pod rękę.

A co? a co? — ta, czy druga? —

(Wychodzą.)

AKT II.

(Noc miesięczna w ogrodzie. — Wchodzi KSIĘŻNICZKA i służąca ANUSIA.)

KSIĘŻNICZKA.

Moja Anusiu siądźmy w tej altanie.
Sama się boję chodzić po ogrodzie —

ANUSIA.

Czy strach Panience?

KSIĘŻNICZKA.

Powiedz mi czy w modzie,
Teraz u ludzi słowików śpiewanie?

ANUSIA.

Nie Panno, teraz w modzie klawikordy.

KSIĘŻNICZKA.

Głupiaś! — W zapachu kwiatów są akordy
I różne wielkie na świecie muzyki. —
Powiedz mi, czy dziś w modzie są krwawniki?

ANUSIA.

Tfu! to horrendum, małej szlachty kamień.

KSIĘŻNICZKA, dając jej pierścień Regimentarza.

Więc mi ten pierścień krwawnikowy zamień
Za pierścioneczek chłopski, srebrny, gładki —
A choćby z kilku szkiełek były kwiatki,
Weź go i przynieś mi, proszę, do parku —

ANUSIA.

Jak to? prostego pierścionka z jarmarku?
Zkądże Księżniczce to dziwne zachcenie?

KSIĘŻNICZKA.

Nie wiem, nie powiem że miałam widzenie,
Bo widzeń żadnych, ani snów, nie miewam;
Choć często bardzo drzemię i poziewam,
Łowiąc ustami, jak mówią, skowronka. —
Dla czego ja chcę srebrnego pierścionka? —
Może mię jaki kozak ze snu budzi,
Może ten kamień krwawnikowy nudzi,
Może na palcu krwi kolorem straszy. —
Ach zgub ten sygnet, albo zjedz go w kaszy,
Albo gdzie zamień za pierścień najprostszy.

ANUSIA.

Panienka moją ciekawość zaostrzy.

KSIĘŻNICZKA.

Więc zrób z niej sobie do krosien nożyczki.

(Anusia wychodzi z pierścieniem.)

Róże i nieśmiertelniczki
To są moje lube kwiaty;
Adonisy i granaty
Lubię i z malw piramidy:
Lecz gdybym mogła z opalów
Z pereł, brylantów, z koralów
Pleść jako Oceanidy
Wieniec, na zielonej fali,
Albo z siarki co się pali
Robić powój pasożytny —
I włos długi, rozczesany,
Owijać w ten kwiat błękitny
Palący się, kwiat siarczany:
I pokazać się tej szlachcie
Taką, jaką w myślach jestem:
Nazwaliby mię azbestem,
I w moim ślubnym kontrakcie
Zawarowaliby sobie,
Że w domu ognia nie zrobię;
Wioski nie spalę zarzewiem.
Zkąd mi ten duch? sama nie wiem —
To wiem tylko, że mię nie to

Bawi, co tych ludzi krwistych,
I że myśli mych ognistych
Mój dowcip, jest zdawkową monetą.

(Wraca ANUSIA bez pierścionka.)

ANUSIA.

Ach Panno, na nasz dziedziniec
Wjechał jakiś Ukrainiec,
Który oczy, serce grzeje,
Swą rzeźkością, oka blaskiem —
Widziałem jak przez aleje
Leciał z piorunowym trzaskiem,
A za nim jacyś pohańce
Nieśli czerwone kagańce —
Podobno jego lirnicy,
Dziady, w ognia błyskawicy
Świecące się jak upiory.
A śród lip, z jego żupana,
Różne lały się kolory,
Niby od Świętego Jana,
O którym Panienka czyta
Widzenia —

KSIĘŻNICZKA.

A mój pierścionek?

ANUSIA.

O pierścionek Panna pyta?
Zgubiłam.

KSIĘŻNICZKA.

Zmów trzy koronek
A odniosą ci go duchy.

ANUSIA.

A temu co przybył Panu
Jak dać imię?

KSIĘŻNICZKA.

Zawieruchy
Imię, nazwisko kurhanu,
A przydomek: ludu sława.
Ten Pan, Anusiu, to Sawa.

ANUSIA.

Sawa? ten syn hajdamaki?
To on wyrżnie nas Panienko!

KSIĘŻNICZKA.

Chowaj się Anusiu w krzaki,
Bo już ciebie ma pod ręką —
Patrz z Regimentarzem idą
I mówią oba o rżnięciu.

(Wchodzi REGIMENTARZ I SAWA.)

REGIMENTARZ.

Przedstawię ciebie panięciu
Ładnemu. (Do księżniczki.) Ty zaś Cyprydo
Lub Hebe, zaraz nam musisz
Nalać ze srebrzystej stągwi. —
Jest to wódz lekkiej chorągwi
Pan Sawa — (Do Sawy.) Tobie zaś powiem
Że jej łatwo nie ukusisz,
Bo ją Bóg obdarzył zdrowiem
I dowcipem, więc jest harda,
Jako alabastry twarda.
Nie proś o nic — bo się słowy
Jak wężyk mały wymyka;
I nie wdawaj się w rozmowy
Bo zapomnisz z nią języka.
I nie mów z nią o miłości,
Bo doświadczysz z nią trudności,
Bólu głowy, snów gorących,
I takich feber trzęsących
Że świat przeklniesz. — Dodam i to,
Że jest z mym Lwem zaręczona.

KSIĘŻNICZKA.

To fałsz.

REGIMENTARZ.

Jak to! fałsz? kobieto!
Zastanów się — ty szalona!
Podstępna znowu jak liszka!
Na sygnet świętego Franciszka
Przysięgam, żeś mi przyrzekła.

KSIĘŻNICZKA.

Sygnet rzuciłam do piekła.
Kto mi go wyrwie z płomieni
I odda, ten się ożeni.

(Odchodzi z Anusią.)

REGIMENTARZ.

Widzisz — fantastka dziewczyna!
Idzie za mojego syna,
Ale się jeszcze z tem chowa.
Cóż ty na to? ani słowa?
Cóż?

SAWA.

Jaśnie Wielmożny Panie!
Winszuję —

REGIMENTARZ.

Chodź, chodź! przy dzbanie —
Tak nie można — nie można na sucho —

SAWA.

W sercu mi teraz tak głucho
I tak ciemno, żem nie do kieliszka —

REGIMENTARZ.

Na świętego przysięgam Franciszka,
Że ci serce to wnet rozweselę.

SAWA.

Krwi dziś widziałem tak wiele!
Takie straszne nieboszczyki!
Taki mord i takie zbrodnie!
Że przez całe dwa tygodnie
Z obrzydzeniem na jadło popatrzę;
Pomnąc na te sine chłopczyki,
Na jakim one teatrze
Zakrwawionym, czyniły horory —

KEGIMENTARZ.

Co? widziałeś wyrżnięte gdzie dwory? —

SAWA.

Gruszczyniecki.

REGIMENTARZ.

Ach co mówisz mi Wasan? —

SAWA.

Gruszczyńskiego chłop na wszystko rozpasan,
Przez jakiegoś obcego człowieka
Podżegnięty, wyrżnął całą rodzinę —
I przed mieczem, w step ciemny ucieka —

REGIMENTARZ.

Ja tu mam na respekcie dziewczynę —

SAWA.

Więc z rodzeństwa ta jedna została.

REGIMENTARZ.

Jakto? cały dom? —

SAWA.

Rodzina cała
Bez litości w pień wymordowana —

REGIMENTARZ.

Proszę! proszę Wielmożnego Pana —
Mam panienkę tu jego dorosłą —
Trzeba — aby się to nie doniosło
Do jej uszu —

SAWA.

Nikt o tem nie powie,
Bom chorągwi zakazał surowie
Szerzyć strachu —

REGIMENTARZ.

I widziałeś dom cały? —
Biedny ojciec! —

SAWA.

O słońca zachodzie
Widząc że mi koń mój biały
Utyka, a Ukraińce
Zmęczeni, kazałem w chłodzie,
Na górze, zkąd widać Gruszczyńce,
Rozłożyć się obozowi:
Sam zaś ku temu domowi
Obrócony, na te ściany
Patrząc podupadłe, stare,
Choć dom był zorzą różany,
Choć lipy i pola jare

W słonecznem błyszczały złocie,
Choć — ach dotąd jeszcze śledzę?
Czemu ja w takiej tęsknocie
Patrzałem na kwietną miedzę
Idącą przez żyta wzgórki;
Na te łany i służebne,
I pańskie, gdzie wróblów chmurki
Niby harfy szare, srebrne,
Ważąc się przez błękit blady
Ulatywały na sady,
W korony śliw i czerechów!
Niby harfy pełne śmiechów,
Szmerów, świegotań i głosów. —
Patrząc na te morza kłosów
Drzewa, miedzę: wyznać muszę,
Że snów miałem pełną duszę,
Widzeń miałem pełne oczy.
Zdało mi się że ów dworek
Powietrze błękitne broczy;
Że wróble jakiś paciorek
Nad tą kalwaryjską stacją,
Jakiś smętny Anioł Pański,
Jakąś smętną suplikację
Śpiewają do Panny Maryi.
Zostawiwszy więc powstański
Huf, pasący stepów trawę,
Sam wziąłem kilku z rajtaryi,
I uczyniłem wyprawę,
Rekonesans na dwór Lacha.
A jeźli przyznam się kiedy
Żem w głąb serca wpuścił stracha —
Ja — co na czele czeredy
Rzucał się na działa, smoki,
I na spisach brał pod boki
Żywe ruskie kanoniery,
I z ich bladej, strasznej cery
Chorągwie czynił straszliwe,
Okiem łyskające, żywe,

Z śmiertelnych ludzi zrobione —
To wyznam, że strach miał oczy
Większe i bardziej czerwone,
Że mój włos, jak wicher smoczy,
Wchodzącemu w to pustkowie
Wyżej podniósł się na głowie.
Niechaj Pan Jaśnie Wielmożny
Wystawi sobie ów domek,
Taki cichy i pobożny,
Od Nimf laszych, ekonomek,
Ubrany w cebuli wianki,
W malowane na papierze
Obrazki, miedziane dzbanki,
Cynowe misy, talerze
Na policach tak błyszczące
Około ścian, jak miesiące
Czarodziejskie, Rusałczane:
Teraz — wszystko krwią zbryzgane!
Co uniknęło grabieży.
Trupy ludzkie bez odzieży
I na ziemi i na łóżkach,
Na krwią ociekłych poduszkach;
Dziatki porąbane srodze
I na ceglanej podłodze
Porzucone, i z puchówek
Pierze śnieżące podłogi.
Sama Pani — widok srogi! —
Dzieteczki swoje bez główek
Za nóżki zimne, zielone
Trzymała — ach, jedną raną
Zabita! Bo otworzone
Miała żywota świątnice,
I straszną płodu zamianą —
— Jasne stepowe księżyce,
Biorę was za krwawe świadki! —
Że łono tej polskiej matki
Od strasznego nożów cięcia,
Wyszło na łono szczenięcia,

I stało się psią mogiłą;
Bo i szczenie martwe było
Na dnie martwego żywota!
Ojczyzno moja! o złota
Ojczyzno moja kochana!
W matkach twoich zarzynana,
I gubiona w matek płodzie!
Jeźli mój żywot na wschodzie
Czego wart? to Bóg to widzi,
Że go składam na ofiarę;
I wszelką żywota marę
Składam — aż to co mię wstydzi
We mnie, krew moja kozacza
Wypłynie sotkiem strumieni,
I na węże się przemieni,
I ślady swe powytłacza
Mordem, ogniami i jadem! —
A ja wtenczas wpadnę na nią
I zewrę się jak gad z gadem;
Aż stepy się rozkurhanią,
Zniknie czar, co łby podchmiela,
Prawosławna wiara zgaśnie;
A we mnie, jak w niszczyciela,
Na jakim starym kurhanie
Stojącego, piorun trzaśnie.
Straszne to ofiarowanie
I ciała i mego ducha —
Bo i we mnie zawierucha
I krwi strasznej słychać granie!
Bo miesiąców pozłacanie
Ja znam także w myśli ciemnej —
Bo ja także duch, tajemnej
Pełny myśli, o przeszłości:
Lecz to wotum, nie śród gości
Nie przed szlachtą, przy kielichu,
Zrobił ja, ale po cichu
Tam, w jednej wielkiej komnacie,
Przed babką rodu, co biała

Za firankami siedziała
W alkowie, w ponocnej szacie,
Jakoby Furja tajemna,
Dawno już głucha i ciemna;
A teraz, na ten mord smoczy
I krwotok z ciemnej alkowy
Wytrzeszczająca te oczy:
Tak, jak gdyby przed nią głowy
Dziateczek z włoski złotemi
Krwawe, biegały po ziemi,
Strasząc ją razem i bawiąc! —
Jak gdyby im błogosławiąc,
Oczyma się podziwiała,
Że one gadzinki ciała
Są biegające i zręczne. —
Przed nią i przed tym zegarem,
Który jak koło miesięczne,
Zatrzymany strachem, czarem,
Poznawszy że czas nie płynie,
Stał na północnej godzinie,
Do srebrnego ducha głowy
Podobny, w głębi alkowy.
Przed skazówkami, co sine,
Groźnie podniesione w górę,
Pokazywały godzinę,
Na którą Bóg wiódł naturę,
Łańcuchem trwogi poimał,
Krwią przeraził i zatrzymał.
Przed tym zegarem, co łóżko
Szczerwienione opłomieniał,
I przed tą martwą staruszką,
Której trup suchy skamieniał,
I czarny jak zmyta chusta,
Otworzone trzymał usta,
Krzyczące gwałt i morderstwo:
Przysiągłem!!! że kawalerstwo
Polskie wygna krew kozaczą!
Że Ukrainki zapłaczą —

Na mój miecz, na mego konia
Rzucając klątwy i czary:
Bo ja będę jak miecz kary,
Kosa ścinająca błonia,
Orlica na pół rozdarta,
Mająca dwa serca i dzioby;
Człowiek z troistej osoby,
Z lacha, z kozaka i z czarta.

REGIMENTARZ.

Hamuj się Waćpan w zapale,
Bo się takie słowa ważą
Srogo, w bożym trybunale!
A te twoje — Aniołów przerażą.

SAWA.

Jakto? więc ten mord?

REGIMENTARZ.

Mocanie!
Mam siłę — i prawo miecza.

SAWA.

Tam gdzie krwi ohydna ciecza,
Znalazłem torban kozaczy;
A na tym były torbanie
Twoje herby —

REGIMENTARZ.

Co to znaczy?
Śmiałżebyś na mój dom stary
Rzucać jakie podejrzenie?

SAWA.

Nie, ale twoje kotary
I tych lip wiekowych cienie
Może dają cień jakiemu
Zdrajcy słudze.

REGIMENTARZ.

Biada jemu! —
Bo gdy go znajdę we dworze,
To mu na karku położę
Regimentarską rózeczkę.
Dotknę się go zimną ręką! —

SAWA.

Jest posłuch, że sam Tymenko
Kryje się w szlacheckich dworach,
Jak wilk nakryty owieczką:
I w różnych staje kolorach
Przed oczyma swego ludu,
Siłą rządzący fatalną.
A bunt, podobny do cudu,
Ręką jakąś niewidzialną
Sprawionego, niby owe
Straszne napisy ogniowe
U Babilonii mocarza
Napisane bez pisarza:
Tem okropnej szlachtę straszy.

REGIMENTARZ.

Zmażemy ostrzem pałaszy
Te ogniowe dokumenta,
Które lud z czartem jurystą
Piszą ręką ciemną, krwistą —
A tak zmażem, że lud popamięta
I przelęknie się naszego pióra.
Gdzież jest, Sawo, ta krwawa bandura?

SAWA.

Lirnik ci ją mój, Bajda, pokaże.

REGIMENTARZ.

Pozazdroszczą mi koronni pisarze
Mego oka w sądzeniu tej sprawy.
Znajdź tu sobie co dziś do zabawy,
Bo się trudnić Waćpanem nie mogę.

(Odchodzi.)

SAWA, sam.

Jako trąba uderzyłem na trwogę
I podniosłem serce w tym szlachcicu.

(Z po za altany wychodzi KSIĘŻNICZKA.)

KSIĘŻNICZKA.

Ach, dwie gwiazd! ach, dwie gwiazdek po licu
Mi zleciało, gdyś mówił o rzezi —

SAWA,

A do jakiej je przypiąć ferezyi?

KSIĘŻNICZKA.

Co mój chłopku? —

SAWA.

Co mój biały księżycu?

KSIĘŻNICZKA.

Kiedyż nasze ogłosim wesele?

SAWA.

Dziś kochanko —

KSIĘŻNICZKA.

Jak sobie podchmielę
Ukraińską wonią, tom gotowa
Przysiądz na to, żem twoją jest żoną!

SAWA.

Sam czart na to jeszcze nie da słowa.

KSIĘŻNICZKA.

Ach! jak głupią byłam i szaloną,
Kiedym poszła za ciebie sekretnie.

SAWA.

Kiedyś poszła, uczyniłaś szlachetnie,
Że się przyznać nie chcesz — jesteś Ewą.

KSIĘŻNICZKA.

A radby ty potrząść drzewo?
Co? bo cierpisz na to srodze
Że nie wiesz jakie ja rodzę
Owoce?

SAWA.

Jabłuszka winne.

KSIĘŻNICZKA.

Drzewko jestem bardzo czynne —
Co dzień w kwiatach jak pochodnia;
Kwiatek nowy rodzę co dnia
Róże, astry i narcysy: —
Ale co raz w myślach minie,
To już jak napój zakisy,
W listeczki się nie rozwinie —
Ach! jaka ja byłam głupia,
Sekretnie idąc za ciebie!

SAWA, na stronie.

Gniew się srogi we mnie skupia
Jak piorun.

KSIĘŻNICZKA.

Pisano w niebie,
Że zawsze krzywo osądzę,
Zabłąkam się w zawierusze,
Wpadnę w dół, w lesie zabłądzę,
I wybłąkiwać się muszę.

SAWA.

Hej Księżniczko na Ostrogu!
Czy Panno, czy moja żono:
Pókiś tu na obcym progu,
Możesz sobie być szaloną,
Zimną, wzgardliwą, zalotną,
W tęczach od stóp aż do głowy,
Bo wiesz żem człek honorowy:
Wprzód mię na kawałki potną,
Wprzód mi serce w piersiach zjedzą,
Nim się szlachcice dowiedzą
O naszem małżeństwie. Ale
Choć nie mogę w Trybunale
— Boś ty akt ślubny podarła —
Przez adwokackie się gardła
Upomnieć o moje prawa;
Chociaż wiem, że pierwej muszę
Chłopską z siebie wygnać duszę,
I wysypać ci z rękawa
Me szlacheckie dokumenta:
Proszę cię, ach nie bądź święta!
Nie bądź dla mnie tylko śmiechem,
Małżonki mojej zarysem,
Różą, bławatkiem, narcysem,
I pożądliwości grzechem —
Lecz pamiętaj na mój statek,
Na cierpliwość pełną dumy;
I na rzecz miłośnej summy,
Wylicz mi dzisiaj zadatek.

KSIĘŻNICZKA.

Co? mój panie kredytorze?

SAWA.

Posiadam ogniste morze
Pełne pereł i korali,
Które widzę na dnie fali:
Jednej perły chcę, kochana! —

KSIĘŻNICZKA.

Nie, nic, tylko sama pjana —
Dla ciebie, małżonka cieniu.

SAWA.

W djabelskim ja odurzeniu —
Ach raz, ach, raz tylko z ciebie
Trysnął płomień iskry bozkiej —
Kiedy w rycerskiej potrzebie,
Puławskich broniąc odwrotu,
Ranny, w kołysce żydowskiej,
W chmurze świszczącego szrotu,
Wśród dwóch rumaków wiszący,
Kazałem się jako krwawy
Sztandar, w ogień gorejący
Nieść — i krzyczał hasło Sawy. —
Gdym jak bachur z téj wyprawy,
Gdziem nie jeden dostał siniec,
Przyjechał na wasz dziedziniec,
Zawsze w tej kołysce siedząc,
W pokrwawionych na łbie chustach;
Blady — bo dwa dni nie jedząc,
Żółty głód miałem na ustach.
Straszny — bom był cały w ranach,
Brudny — bom spał na kurhanach,
Głupi — bom o świecie nie wiedział
I kręciło mi się w głowie;
Śmieszny — bom w kołysce siedział;
Hardy — bom nie dbał o zdrowie,
Ni o piękność kawalera;
To wtenczas, ty byłaś szczera,
Potulna, jak małe kotki.

W zamku u staruszki ciotki,
Sama, bywało, w garnuszku
Warzysz mi kaszę jaglaną;
I widziałem cię, co rano
W zorzach różanych przy łóżku;
Ach i byłbym na kolano
Upadł jak przed bohomazem.

KSIĘŻNICZKA.

Pięknym skończyłeś obrazem!

SAWA.

Oszukałem się na tobie.

KSIĘŻNICZKA.

Oszukaliśmy się razem.

SAWA.

Kiedyż tej okropnej próbie
Koniec położysz?

KSIĘŻNICZKA.

Pomyślę
I wynajdę coś w umyśle —
Odpowiedź warjatki godną.
Słuchaj — póty będę chłodną,
Jak wąż ci uciekać ślizki;
Póty na męża utyski
Na twe skargi będę głucha,
I będę czysta jak mniszka:
Aż z ręki ognistej ducha,
Pierścień Świętego Franciszka,
Pierścień z krwawej kornaliny
Zerwiesz — na koniu tu wjedziesz
I przez drugie zaręczyny
Mnie zaręczoną — rozwiedziesz —
Słowiki na ranek kwilą
Bądź zdrów.

(Odchodzi.)

SAWA, sam.

Bądź zdrowa Sybillo. —
Wymyśla różne przyczyny
Ucieka się do wykrętów:

Ale serce tej dziewczyny
Chłopstwa się mojego boi.
A utrata dokumentów,
Które mieli ojce moi,
Co ród od Calińskich wiodą,
Jedyną mi jest przeszkodą.
Ach, Ukrainę przewrócę,
Kurhany wszystkie rozwalę;
A z dokumentami wrócę!

(Odchodzi.)

(Wchodzi LEON.)

LEON, sam.

Ojciec mój w wielkim zapale —
Zachmurzony — nic nie gada,
Tylko w swoim gabinecie
Poosobno ludzi bada:
A mnie wielki strach napada!
Czy to już nie dziewki skarga? —
Ach! to ona — list mój w ręku —
Sam jej widok serce targa —

(Kryje się za altanę — i przez cały ciąg sceny zostaje na stronie. Wbiega SALOMEA w bieli, w wianku z rozmarynu, ubrana jak do ślubu.)

SALOMEA.

Ach! jak od słowików jęku
Kołysze się cały staw —
Jaka woń tych róż i traw!
Jak leci w usta! — na czoło! —
Ach! ach! — jak mi wesoło!
Ach! ach! — jak mi wesoło! —

LEON, na stronie.

Nieszczęśliwa, a szczęściem spojona!

SALOMEA.

Ten listek włożę do łona —
Tutaj, w białym w gorseciku,
Tu siedź w tajemnym kąciku,
Gdzie jedna róża czerwona,
Jako lampa zapalona
Rzuca na mnie takie blaski

I tak opłomienia szyję:
Jak dno filiżanki saskiej,
Z której mój gołąbek pije
I cały się złotem rumieni. —
Ach! ach! — ze mną się Leon dziś żeni! —
Ze mną żeni się Leon sekretnie!

LEON, na stronie.

Niech mi kto łeb teraz zetnie,
I rzuci Meduzy głowę
Na trzewiczki atłasowe.

SALOMEA.

Jeszcze nie czas. — Jak ta sina
Gwiazda nad topolą stanie
To będzie ślubu godzina:
A pod różane zaranie,
Sama wracając z cerkiewki,
Na tem miejscu sobie stanę:
I pomnąc na smutek dziewki,
Na me serce oszukane,
Na wstyd — bom wstydu się bała,
Będę z radości płakała.

LEON, na stronie.

Szelma ze mnie!

SALOMEA.

Ach, Boże mój!
Dla czego ta noc taka cicha!
Dla czego tych gwiazd taki rój?
Dla czego jedna zda się wzdycha?
A druga leci gdzieś zdaleka?
A trzecia krwawa jak pies szczeka,
I na błękitach mi usiada.
A czwarta — ach, a czwarta spada,
I nad Gruszczyńcami zgasła!
Ledwie żem z trwogi nie wrzasła,
Widząc tę gwiazdę przy zgonie,
Jak główkę ducha z oczami. —
Ach, jak tam smutno w tej stronie!
Jaka mgła nad Gruszczyńcami!

LEON, na stronie.

Każde jej słowo rodziera.

SALOMEA.

Czy tam w domu kto umiera?
Czy kto leży konający?
A ta gwiazda — Anioł złoty
Po duszę przylatujący? —
Ach! ach! pełnam trwogi i tęskoty.

LEON, na stronie.

O słowiczku! o, skończ to śpiewanie!

SALOMEA.

Przez głębokie się wsłuchanie
W powietrze, wsłuchałam trwogę. —
Ach cóż ja? Ja nic nie mogę!
Co się ma stać to się stanie.
Ach, jak smętnie, jak mi parno!
Jak mi smętnie! jak mi czarno!
O! stróżu, święty Aniele,
Pamiętaj że dziś moje wesele.

(Wybiega ku wiosce.)

LEON, wychodząc z za altany.

Wesele. — Ohydna sprawa!
Z Semenką ślub malowany,
Przez spitego księdza dany,
Bez świec, skrycie, potajemnie —
I moje miłośne prawa,
Ten chłop zrodzony nikczemnie,
Będzie nad nią miał po ślubie —
On podejmie, co ja gubię,
Nie dyament szlifowany —
Ale perłę czystej rosy;
Nie tęczę — ale jej włosy;
Nie rubin w ogniach różany —
Ale usta jej — maliny;
Nie strojną w tony gitarę,
Ale czysty głos dziewczyny
Który mu przysięże wiarę,
I dotrzyma gdy przysięże. —

A ja co mam? — włosy — węże! —
Oczy — jak szatańskie bielma,
Głos — co mówi mi żem szelma,
W sercu ranę i nóż w ranie —
I twarz, którą krew porzuci,
Która na szelmy nazwanie
Jak słonecznik się obróci.

(Wchodzi REGIMENTARZ.)

REGIMENTARZ, z daleka.

Panie Leon!

LEON.

Ojciec woła.

REGIMENTARZ.

Panie Leon!

LEON.

Tu jestem w altanie.
Jakie grzmiące i ponure wołanie? —
Co mój ojcze?

REGIMENTARZ.

Lud nasz cały do koła
Zbuntowany — mój pop stanął na czele.
Wczoraj noże święcono w kościele.
Czy wiedziałeś że tam takie święto?
A Gruszczyńce —

LEON.

Co mój ojcze?

REGIMENTARZ.

Wyrżnięto.

LEON.

Dom Gruszczyńskich?

REGIMENTARZ.

Naszych starych sąsiadów —
A wiesz synu, kto zgrają tych gadów
Rządzi? wieszli kto Tymeńko się zowie? —
Zgadnij Acan; bo ani ci w głowie
Taka myśl — zgadnij, synu kochany! —

Oto kozak twój Semenko, poznany
Po tej krwawej bandurze —

(Wyjmuje z pod kontuszą bandurę kozacką.)

LEON.

Chrystusie!!!

REGIMENTARZ.

Wczoraj napadł w ogrodzie Anusię,
Która niosła mój pierścień z krwawnikiem,
Wyrwał jej z rąk, i chciał palec nożykiem
Uciąć dziewce, jeżeli zakrzyczy.
Potem kazał nie mówić nikomu,
I ten pierścień tajemniczy,
Święty, uniósł z mego domu,
I będzie nim, łotr wierutny
Oszukiwał szlachtę małą.

LEON.

Gdyby zaraz —

REGIMENTARZ.

Łotr obrótny!

LEON, na stronie.

Wyjechawszy na noc całą,
Jeszcze mógłbym go dogonić:
Ale musiałbym odsłonić
Moją haniebną intrygę —

REGIMENTARZ.

I cóż myślisz?

LEON z pomięszaniem.

Ojcze drogi —

(Na stronie.)

Ach z czartami wszedłem w ligę!
Ani cofnąć teraz nogi,
Ani wprzód uczynić kroku —

REGIMENTARZ.

Patrzałem na ciebie z boku —
Waść mi dziwnie zamyślony? —

LEON.

Ojcze daj mi dwa szwadrony.

REGIMENTARZ.

Jakto? a twoje wesele?

LEON.

Jutro czekajcie w kościele
Przyjadę na czas z pierścionkiem.

REGIMENTARZ.

Idź Waść.

(Leon odchodzi.)

Za moim skowronkiem
I ja stary ptak polecę.
A teraz bożej opiece
Polecam mojego ptaka,
Syna mego jedynaka! —

AKT III.

(W domu Regimentarza. Wchodzą REGIMENTARZ. SAWA i KSIĘŻNICZKA.)

REGIMENTARZ.

Czas teraz Mospanie Sawo
Czynnie zająć się wyprawą,
I buntowi uciąć głowę.
Czas pokazać w ciemnym jarze,
Wielkie miecze koralowe,
Jak dawni Regimentarze
Ukraińscy i Podolscy.
Czas pokazać żeśmy polscy
Posiadacze tej krainy,
Choć bez hełmów i kirysów;
To wszakże nie do pierzyny
Tylko, i nie do kieliszka;
Ale naszych córs, narcysów,
Na Świętego klnę Franciszka!
Nie damy chłopom za żony.
Syn mój wziąwszy dwa szwadrony,
Przed nami zamiata pole,
I pewnie się na rosole

Rusałczanym nie rozpieści —
A sądzę że lada chwila
Od Gruszczyńskiego nam wieści
Nadlecą — pewnie się stary
Na erudycyą wysila,
A szablicą przygasza pożary.

(Do Księżniczki.)

Ty zaś, moja piękna Parko,
Wiń nam żywota przędziwo.
Gdybyś była sprawiedliwą
Tobym cię regimentarką
Ogłosił na kraj okolny,
Gdy sam jako hetman polny,
Po rosie w polę wyjadę —
Ale panienka ma wadę!
Ma wadę; pierścionki gubi —
Kto taką stratną poślubi
To kiep —

KSIĘŻNICZKA, spozierając z pod oka na Sawę.

Czy słyszy Pan Sawa?

REGIMENTARZ.

On się jeszcze rozpoznawa,
Ale nie zna się na tobie,
Boś ty mu ni siostra ni żona. —
Cóż? tęskno ci bez Leona?
Ślubny wam dzień przyozdobię,
I wyjaśnię wam świetlicę
Łbami kozaków na tyce.

KSIĘŻNICZKA.

Tateczku — a czy Pan Sawa
Będzie pochodnią w lichtarzu?

REGIMENTARZ, gładząc ją pod brodę.

Cóż to mój Regimentarzu?
Jaka ty już w myślach krwawa!
Ledwo dzisiaj na urzędzie,
A już rączki masz łabędzie
Zajęte głów zdejmowaniem?

Biblioteka J. I. KRASZEWSKIEGO
w BIAŁEJ.
Księgozbiór: IV.
321

KSIĘŻNICZKA.

Owszem, chciałabym rozdawać.

REGIMENTARZ.

Cicho! bądź z uszanowaniem. —
Widzisz Sawo, te ptaszęta
Trzeba śmieszkami napawać,
Na żartach się nie poznawać;
To one swem świegotaniem
Przez różne szpaczków talenta
Smętny czas, grożący nocą,
Żywo po anielsku złocą:
I zdaje się, gdy świegocą,
Że ta ziemia cała gajem
Zielonym, gwiazdą i rajem;
Gdzie za teatru kurtyną
Ludzie lepsi za kraj giną.

(Wchodzi PAFNUCY z pałaszem Gruszczyńskiego w ręku.)

Cóż to znowu za szlachcic obdarty?

PAFNUCY.

Od Gruszczyńskiego przychodzę.

REGIMENTARZ.

A Gruszczyński?

PAFNUCY.

Pozostał na drodze.

REGIMENTARZ.

Powiedz wszystko i bądź z nami otwarty
Tobie z oczów nieszczęście wyziera. —
Umarł starzec? czy umiera?
Czy przez chłopstwo gdzie w sztuki rozdarty?

PAFNUCY.

Jasny Panie! posłuchaj cierpliwie,
A uderzę ci chrapliwie
— Tak, że zadrży serce mężne —
W nieszczęcia trąby mosiężne.
Wczoraj Panie, po twym liście
Otrzymanym, starzec biały
Ruszył się jak lew ogniście,
Gotów targać świat w kawały.

Co ja tchórz? krzyczał, ja stary
Rotmistrz, służący za Sasów?
Mnie każą wychodzić z lasów?

(W twarzy i w gestach Regimentarza widać zadziwienie.)

Ciągnąć przez lochy i jary?
Gdzie ledwie węże się toczą,
Po kwiatach wstążką błękitną?
Gdzie rzezunie nas otoczą,
Z gór wystrzelają, w pień wytną,
I głowy nasze na tykach
Postawią żonom przed oczy? —
Tak krzyczał; a na uboczy
Przy gwiazdach, wielkich świecznikach
Srebrnych, które ogonami
W niebie wisiały nad nami;
Zwierzyć się przedemną szukał
Z omenów; jak mu do dworku
Po trzykroć Chrystus zapukał
We drzwi, dwakroć we śnie zastał,
A raz zastał na paciorku. —
Tak, że po stukaniu nastał
Wielki strach; i czeladź cała,
Matka, nawet dzieci drobne,
Owo stuknięcie żałobne,
Groźne, po którym nastała
Cisza w domu i na dworze,
Wzięli za stuknięcie boże.
Jakoż, mówił do mnie stary:
Była to dla mnie nauka
Abym poszedł pod sztandary,
Bo Pan do drzwi moich puka.
Pokazuje w kraju łodzi
Tonących ludzi w rozpaczy;
I sam w domek zajrzeć raczy,
Sam po rycerza przychodzi.
Jakoż, mówił, mam ufanie
Że na werbunku nie zginę.
To, Jaśnie Wielmożny Panie,

Z jego ust słyszałem wczora.
Potem; swoją mi dziewczynę,
Służkę u twojego dwora,
Polecił: — i wnet z lewady
Pod rosę i księżyc blady
Ruszyliśmy, czyniąc pilny
Marsz; ażebyśmy o wschodzie
Przeszli cicho jar mohilny,
I o Irdynieckim brodzie
Zachwycić mogli gdzie wieści. —
Rano. — — Ach Panie! w boleści
Mówić nie mogę! — nad rankiem,
Pod brzóz już ostatnich wiankiem
Jeszcze się zatrzymał stary,
Jeszcze mi tam swoje mary
Swoje sny i wizye chore,
Oraz starca Wernyhorę,
Z wróżbą o dwóch chorągiewkach,
Przypomniał. A w leśnych drzewkach
Był dziwny z powieścią związek!
Jakieś szeptanie gałązek,
Szmery stłumione pół głośne,
Jakby śpiewania żałośne
Przez duchy tych drzew czynione,
Na kwietnym lewad wybrzerzu;
Jakby, po starym rycerzu
Jakieś głosy utęsknione,
— Które jeszcze w uchu słyszę —
Radzące staremu na ciszę
I spoczynek. — Wtem z rozłogów
Podniosło się słońce złote,
Nakształt Mojżeszowych rogów
Ubrane w ogniste słupy;
I wiodło nas na robotę
Mieczową, którą już kupy
Kawek i wron i szalaków,
Zwite koło naszych znaków

Czarną koroną piekielną,
Okrakały za śmiertelną.
Rota za rotą sprawieni,
Wszyscy dobrzy przyjaciele,
Jechaliśmy — on na czele
Z chorągwią — i w jar ów głuchy
Pełny deszczowych strumieni,
A po ścianach czarny, suchy,
Bokami słońcu zakryty,
Wjechaliśmy — tak że słońce
Ozłociło nasze kity,
I same sztandarów końce:
A ciemność jaka w kościołach
Panuje, grobowej blizka,
Na naszych leżała czołach;
Gdyśmy przez te uroczyska
Ciągnęli — żując myśli surowe.
I tylko kopyt iskrzyska,
Gdyśmy podkowa w podkowę
Za naszym wodzem lecieli,
Albo blask od karabeli,
Swoje ognie piorunowe
Na ciemne jary te kładły;
Jakby tam furje u skały
Z ognistemi prześcieradły
Na nasze ciała czekały,
Tych ludzi mających ginąć
Gotowe w płomień owinąć.
Około dziewiątej rano
Przyjechaliśmy nad duże
Serca wód, wielkie kałuże,
Stawek, gdzie nam po kolano
Woda, oraz grząskie błoto
Lgnące, pętało rumaki —
Tam starzec z chorągwią złotą,
A za nim pomniejsze znaki
Wbrodziły — a wody śpiące
W srebrne się wielkie miesiące

Rozeszły; jakby, o Panie!
Niosąc nasze pożegnanie
Ojczyźnie, gdzieś stojącej na brzegu —
Bo w tem, nie strzegąc szeregu
Ładu i żadnej komendy,
Przyszedłszy niewiedzieć którędy,
Pokazał się lud Gruszczyniecki.
Ci się wężowemi stecki
Zlewali z gór na Polaków;
Ci się z jałowcowych krzaków
Ukazali, strasznej cery
Podpiłej — sino zielonej.
Rzekłbyś że na ziemi onej
Jałowców ciemne ogrójce
Przeradzają się w siekiery
W noże i w spisy i w zbójce —
Że te straszne jaru ciemnie
Całe się krwią zarumienią,
I wyrežą się wzajemnie
I w dwie mogiły zamienią! —
Że ze srebrnego jeziorka
Zrobi się teatrum nowe,
Na którym śmierć jak aktorka
Swe tragedje purpurowe
Będzie odgrywać w ciemności.
Krwawe sztandary pozwiesza,
Ludzką kość do wilczej kości,
Ciała ludzkie z psiemi ciały
Ohydną ręką pomiesza. —
I temu co trupy wskrzesza
A niebios jest gospodarzem,
Takim okropnym cmentarzem
Ta ohydna monarchini,
Mająca świat w panowaniu,
Przy wiekuistem wskrzeszaniu,
Litość albo strach uczyni
I horor. — Pierwszy Gruszczyński
Obejrzawszy gór załogę,

I cały lud ukraiński,
Któremu nie mógł podołać;
Kazał długo i na trwogę
Żałośnie w trąby zawołać.
A dotąd nie wiem na kogo
Wołał — trąb serdeczną trwogą,
I tem tak żałosnem graniem.
Bo mu góry z urąganiem
Odpowiedziały o męztwie
Próżnem, gdzie moc taka wroga! —
Więc sądzę że Pana Boga
O swojem niebezpieczeństwie
Trąbami on zawiadamiał;
Więc sądzę — że pierwej duchy
Na powietrzu gdzieś rozgramiał,
I bił o anielskie słuchy,
I był w niebie, nim na świat powrócił
Porwał sztandar i na wrogi się rzucił.
I z białą głową odkrytą
Leciał, gnany naszym gwarem
I krzykiem — a nie słowiczy
To głos, kiedy szlachta krzyczy,
Pędząc zbrojna do attaku! —
Już wódz na czele orszaku
Dobył się z grzązkiego błota;
Już koń się na brzegu wspinał,
Już chorągiew wielka złota
Burczała — już rąbać zaczynał,
I powietrze już zarzynał
Jęczące od szabli zamachu.
W tem stanął — i bladość strachu
Twarz mu oblała i rosła —
Z ust próżne wypadły dźwięki,
Sztandar złoty wypadł z ręki,
Miecz na tasiemce zawisnął:
A krew, co się wprzód podniosła
Tak, że rumieniec wytrysnął,

Wróciła trwożna do łona, —
I bladość straszna, zielona,
Bladość co nigdy na Lachu
Nie występuje — ohydna!
Bladość, która w nocy widna
Na złodzieju, bladość strachu
Zielona i ołowiana —
Pierwszy raz wtenczas widziana
Przezemnie na polskiej twarzy;
Przeraziła nas husarzy!
I mróz nam przeszedł przez kości:
Bośmy się zlękli bladości
Takiej czarnej, ołowianej,
Na twarzy wodza widzianej.
Bo ta przy srebrnym warkoczu
Twarz biała jak u komety,
Bo w twarzy te węgle oczu,
W oczach te wzroku sztylety
I krwią i ogniem czerwone,
Gdzieś na powietrzu utkwione:
Wylatujące z rozłogu,
Gdzieś utkwione — jakby w Bogu —
Dziś widzę —
Teraz was proszę
Jeszcze o chwilę cierpliwą:
Bo starca pałasz przynoszę;
Więc i mękę jego żywą
Memi słowy wszczepić muszę
Jego mścicielowi w duszę.
Niech tego ojca obraza
Przejdzie w serce, w dłoń człowieka;
Niech ten kawałek żelaza
Który rdza wieków powleka,
Znajdzie tu ręce gorące:
I niech te umierające
Stare tureckie turkusy,
Gdy je polskie ręce chwycą,
Znów swe oczy rozbłękicą:

Niech tej klingi kolor rusy,
Gdy nią człowiek krzyż uczyni,
Znów swoją twarz rozrubini,
Jak piorun polskich pałaszy,
I świat krzyżem czerwonym przestraszy.

REGIMENTARZ.

Zawiesiłeś nas ciekawych
Nad przepaścią pełną strachu,
I widm jak upiory krwawych.

PAFNUCY.

Mówiłem wam, że w zamachu
Szabli, lecąc na gromady,
Starzec stanął — stał się blady,
Głuchy, jakby skamieniony;
Wysoko gdzieś zapatrzony,
Jak na kruki, jak na wrony,
Na słońce i na niebiosa,
Na Anioły i na Boga.
A na niego szedł las wroga,
Gromada spis złotowłosa;
Las niby jakiś bez liści,
Który słońce rozogniści
I na wierzchołkach oświeci;
Las, w środku pełny zamieci
Od mgieł zawiany posępnych.
Las tajemnic niedostępnych,
Z girlandą ognia na głowie;
A w tej girlandzie, o Boże! —
Słuchajcie Mości Panowie!
I dajcie też Wernyhorze
Świadectwo, że widzi co gada —
Pośród spis dwoje główeczek,
Jedna i druga tak blada!
A tak utkwione na tyce,
Że z tych dwojga dzieciąteczek
Były dwie płonące świece
I dwa umarłe księżyce
Śród straszliwego ogrojca. —

Dwie główki ścięte po szyje,
Szły prosto, prosto na ojca;
Jakby wiosenne lilije
Na krwawym zabójcy grobie; —
Zda się ucieszone obie
Tem wielkiem egzaltowaniem,
Tym powietrznym mogilnikiem,
Tą wolnością i lataniem;
Tem żelazem co w nie tonął,
I z główek wyszedł ognikiem,
I palił się na wietrze i płonął
Jako świętych serduszek oferta. —
Kto wam to lepiej naczerta?
Nie wiem — do ojca szły ręki,
Niby żebrać o niebieskie zasiłki,
A ja sądzę że mogiłki
Prosiły go i trumienki —
Lecz on! — gdy te dziatki ścięte
Ujrzał — i te spis wierzchołki!
I wprzód pomyślał: — aniołki!
A potem: — że wniebowzięte
A potem: — że już zarżnięte
Pomyślał — to, Mości Panowie,
Włos mu biały wstał na głowie;
W zupełne wpadł obłąkanie;
Pokazał na te świeczniki,
Ręką nam pokazał na nie:
I bełknął — moje chłopczyki! —
I nic nie mógł mówić więcej
Bo w usta mu sto tysięcy
Pereł wpadło. — A wtedy
Jeden z nas krzyknął: Mospanie!
Na potem domowe biedy!
Na potem po dziatkach płakanie!
Teraz wrogom stawmy czoło,
Nim otoczą nas w około,
I wytną na tej moczarze —

To rzekł ów głos, a zaś starzy husarze
Pewni byli że im zemstę poruczy.
Ale starzec cały w gniewie
Krzyknął: któż to mię tu uczy?
Czy to wasz komendant nie wie
Zkąd mu brać w rozpaczy radę?
Oto mój tu pałasz kładę —
Rzekł i rzucił ten miecz goły —
Tu mi stać, bo ja pojadę
Po dziatek moich popioły,
Po te krwawe jarzębiny,
I po domowe nowiny.
Choćbym miał przed moje chłopy
Rzucić się, lizać im stopy,
To wyproszę je od krzyża
Te główki, które wiatr piecze;
Wszakże to resztki człowiecze!
Których świętościom ubliża
Pogrzeb taki bez szacunku,
Takie urąganie z ciałek;
Taki mięsiwa kawałek,
Ten z bozkiego wizerunku
Łachman, zatknięty na dzidę,
I na strach pokazywany,
Oczom ludzkim na ohydę,
Berberysem krwi skąpany,
Którego kruk kozakom zazdrości. —
To rzekł i pełen żałości
Pojechał — i wnet go czernie
Oblazły w koło jak mrówki. —
Z giestu widać że niezmiernie,
O swoje maleńkie główki
Starzec prosząc, spuścił z tonu;
Z giestu widać i z pokłonu,
Że pokorę wielką kłamał;
Że zupełnie się tam złamał
Ów szlachcic, pod ręką bożą.

Podjechałem wtenczas bliżej,
I słyszałem że go trwożą
Główek tych nie zdjęciem z krzyży,
I pogrzebem ich nie świętym.
O domie mówią wyrżniętym,
O krwi, mordach, o płomieniu;
Nareszcie o żony złężeniu
I o powiciu szczenięcia.
Wtenczas rękę jak do cięcia
Podniósł z miecza obnażony;
I cały wstydem czerwony —
Bo i starość ma wstyd swój dziewiczy
I pudorem się różanym maluje,
Gdy kto świętość jej roztajemniczy —
Krzyknął: hycle! pomorduję!
Wytnę w pień! szelmy! gadziny!
I nieba fundament siny
Krwią czarną waszą zamażę!
Gdzie szabla? gdzie moi husarze? —
Krzyknął obłąkany cały —
Obejrzał się — i stał się biały
Jak trup — łzawić się zaczął i ślinić,
I ogłupiał i nie wiedział co czynić.
Wtenczas jeden sotnik stary
Rzekł do niego: Hej Lachu i kumie!
Wydaj rozkaz szczob tyje huzary
Ze szkap zlazły, taj w jeziorka się szumie
Nie kąpały, a na łaskę zdały się. —
Słysząc to, oczy tygrysie
Jasne, starzec w chłopy wlepił,
I oczyma ich oślepił,
Jakby słońcami tej ziemi;
Słońcami obłąkanemi
We krwi, w płomieniach i w grozie,
I rzekł: Więc mię na powrozie
Jak psa, pany gospodarze,
Wiedźcie przed moje husarze,
Gotowe niosąc siekiery.

A jako znacie żem szczery,
Tak i przed śmiercią nie zdradzę;
A wam szlachtę tu sprowadzę,
I pod siekierami będę
Ostatnią dawał komendę.
To rzekł: — a jemu pod boki
Włożywszy mordercze piki;
Tak, że zdawał się wysoki,
Jako dawne męczenniki,
Jak Chrystusowe sztandary,
Zbliżać się kazał ów stary. —
Chłopstwo go tak, pewne zdrady,
Wiodło przed własne szeregi.
Ale oczy, nasze szpiegi,
Poznały że starzec blady
Z chłopstwem się czarnym nie kuma,
Ale żywota ostatki,
Swój dwór wyrżnięty i dziatki,
Bogu na ofiarę składa;
I sam też o palmach duma,
Lecz męczeńskich, o czem chłopstwa gromada
Nie wiedziała, nie znając Jezusa.
Jakoż śród tych dzid obrusa,
Jak na chuście Magdaleny:
Słońce tej okropnej sceny,
Słońce jasne, jego głowa
Spokojna, a purpurowa
Od męki cierniów serdecznych.
Jakoby w kręgach słonecznych
Dziś mi przed oczyma staje.
Dał znak by ucichły zgraje,
I zamodlił się sam w sobie. —
Nagle! w tem sercu, w tym grobie
Całej nieszczęsnej rodziny!
Jagieś głosy wielkie, mężne,
Jakoby trąby mosiężne
Z Józafatowej doliny —
Zagrały — i będzie słynąć

Ta komenda w okropnym parowie
Zatrąbiona: — Mościwi Panowie!
Wrzasnął — za ojczyznę ginąć!
Ja trup! — To nam starzec krzyknął
Jakby groźna trąba sądna,
I okrwawił się i z oczu nam zniknął.
I zaczęła się walka nierządna,
Bośmy z furją szatańską mścicieli
We łzach ślepi i na oślep lecieli.

REGIMENTARZ.

Mniejszym stawią u ludów posągi
U nas tylko powiedzą po wiekach:
Taki ojciec! taki rycerz był ongi! —
A husarze?

PAFNUCY.

Na chłopskich zasiekach
Dali gardło; kilku tylko zostało,
I ci wstydzić się muszą żywota.

REGIMENTARZ.

Kto tak gada jak ty, ten nie mało
Musiał czynić?

PAFNUCY.

Późniejsza robota
To pokaże, czy ja Pański robotnik.

REGIMENTARZ.

Któż ty jesteś? —

PAFNUCY.

Stary dziwak, samotnik,
Bez przyjaciół —

REGIMENTARZ.

To nieprawda Mospanie —
Bo ja jestem twój przyjaciel i w stanie
Dać za ciebie i gardło i rękę —

PAFNUCY.

O Gruszczyńskiego panienkę
Proszę, jako opiekun sieroty —

REGIMENTARZ.

Gdzie Salinka?

KSIĘŻNICZKA.

Ah! dębu wywroty
Czasem łamią i róże podleśne!

REGIMENTARZ.

Co mi wróżą te słowa boleśne?

KSIĘŻNICZKA.

Kochany mój opiekunie,
Utraciliśmy Salunię!
Zniknęła dzisiaj ze dworu —
Jakby na nią ojciec krwawy
Rzucił kontusza rękawy,
I do anielskiego choru,
Na srebrne łabędzie stawy,
Gdzie przy harfach grają dusze,
Zaciągnął. Może też ona
Jako listek w zawierusze
Z ziemi lekko podniesiona
Duchową z rodzeństwem współką:
Jak w jesieni listek klonu
Co się wydaje jaskółką,
Lub jako listek jesionu
Co się zdaje gwiazdą złotą —
Widząca się na świecie sierotą:
Jak ton zlewa się do tonu,
Jako ognik do ogników,
Za duszami nieboszczyków
Poleciała — —

REGIMENTARZ.

Kontrefekcie
Szpaka, mów mi bez ogródek.
Ta panienka na respekcie
Dla wielu mi dziś pobudek
Droga — niech prawdy się dowiem.

KSIĘŻNICZKA, na stronie.

Cóż ja mu nieszczęsna powiem?
Domysłów mu nie wyjawię.

KEGIMENTARZ.

W krwawej nas trzymasz obawie.

KSIĘŻNICZKA.

Śniła mi się Dejanirą
Porwaną, a potem śniła
U dziada ze srebrną lirą,
Jakoby brzoza pochyła
Dumająca nad dumkarzem;
Potem gwiazdą nad cmentarzem.

REGIMENTARZ.

Tu o sny nie chodzi wcale.

KSIĘŻNICZKA.

Więcej nie wiem nic, prócz plotek.

REGIMENTAZ.

Mów je.

KSIĘŻNICZKA.

Czy ja kołowrotek?

REGIMENTARZ.

Waćpanna mi za zuchwale
Odpowiadasz. Tutaj chodzi
O cześć młodziutkiej dziewczyny,
O cześć szlacheckiej rodziny,
O mój dom któremu szkodzi
Ten rapt, trafiwszy się u mnie.

KSIĘŻNICZKA.

A Waćpan mię też za dumnie
Pytasz się.

REGIMENTARZ.

Rzecz tego warta.

KSIĘŻNICZKA, z gniewem.

Dziewczyna twoja rozdarta
Przez lwa. — Miej to czegoś pytał. —

(Odchodzi.)

REGIMENTARZ.

Gdyby to prawda!

SAWA, na stronie.

Zazgrzytał.

REGIMENTARZ.

Ha! gdyby to prawda była
Że mój Lew — to być nie może!

(Wchodzi CHŁOP ukraiński.)

CHŁOP.

Panycz mię z listem przysyła.

REGIMENTAEZ.

Czy zdrów? — Nim ten list otworzę
Pytam czy zdrów? słyszysz chłopie?

CHŁOP.

Tak Panie.

REGIMENTARZ.

Co znaczy: tak panie?
Oczy w tobie groźne topię;
Odpowiadaj na pytanie.

CHŁOP.

Panicz ranny.

REGIMENTARZ.

A gdzie leży?

CHŁOP.

W mohiłach.

REGIMENTARZ.

Czy ty pijany?

CHŁOP.

Panicz żywcem pogrzebany.

(Do Regimentarza, który rękę podnosi do bicia.)

Tak niechaj mię Pan uderzy —
Cóż ja winien? — chłopstwo męczy panicza —

REGIMENTARZ.

Tego chłopa weźcie z mego oblicza
Bo mię jego twarz czarna przestrasza. —
Hurra Pany! do pałasza
W mojem dziecku ratować skrę duszy.

(Wychodzi.)

SAWA.

Tego trzeba aż szlachcic się ruszy
I zupełnie pałasza dobędzie!

(Wychodzi.)

PAFNUCY, sam.

Ach! Ukrainy nie będzie!
Bo ją ludzie ci na mieczach rozniosą.
Ach! róż polnych z jasną rosą
Zbraknie, bo je ludzie ci kochankom rozdadzą.
Ach dumy w grobach ucichną!
Bo się pieśni, do polskich już rycerzy uśmiechną.
Ach koniec Ukrainie!
Bo się sztandar szlachecki na kurhanach rozwinie.

(Odchodzi.)

ZMIANA I.

(Przy chałupie popa. Noc oświecona pożarem. Wchodzi SEMENKO z CHŁOPAMI.)

SEMENKO.

Hej! świat smutku trumnica!
Pod czerwonym pożarem,
Serca nasze pod strachem,
Duchy nasze pod czarem.
Gonta się nam pokazał
Przy pożarnej pochodni;
Zabełkotał językiem
Taj wprost piszow do Kodni.
Trzeba, Pany Sotniki!
Jeszcze siekier spróbować,
Jeszcze raz przeciw czarom
I krwią się rozczarować.
Jutro ja Gospodarze
Przypnę czapline pióro,
A Popi błahocześni
Niech wystąpią z proskurą;
Niech nakarmią jak na śmierć
Krwią Chrystusa umęczoną.
Taj znów łysną siekiery
Na pożarach, czerwono —
I budem ludźmi — Ojce —

CHŁOP.

A szczo bude z tą szlachtą?

SEMENKO.

Rizat! — Taj że bude strach to
Na te pany; dworów blizko
Takie czarne cmentarzysko,
Kędy żywe trupy stoją
Dzidami wsparte pod boki.
Niechaj się zaniespokoją
I otworzą trakt szeroki,
Sto milowy trakt czerwony:
Gdzie jak spotkasz gród kamienny
To uderzy w głośne dzwony,
I rozpuści włos płomienny,
I żydowskim płaczem wrzaśnie! —
A jak chluśniem krwią, to zgaśnie
I przycichnie by mogiła.
Strach, panowie gospodarze,
Strach to cała nasza siła!
Szczob my mieli czortów twarze,
A z płomieni złotych kryła —
Hej! — a głos z szatańskich krzyków,
Rękawice jak z krwawników,
Piersi czarne i czuhunne,
Myśli gromkie i piorunne;
Tak świat nasz! — Idte Sotniki!
Zabawtie's — jaką igraszką.
Bo ja dziś żonaty z Laszką,
Chciałby tę noc jak słowiki
Przepędzić na miłośnych gruchawkach.
Czekać mnie dolawszy dzbanka.

(Chłopy odchodzą. Semenko sztuka do chaty — wchodzą na scenę dwie POPADIANKI w zielonych sukniach, w złotych kokosznikach.)

SEMENKO.

Hej siostry! a cóż ta szlachcianka?

POPADIANKA.

Ani usiądzie na ławkach,
Ani chce pogadać z nami.

SEMENKO.

Jakże ona rubinami
Mogłaby wam co polecić?
Ustom takim tylko świecić,
I palić się i wyjadać
Serce z piersi, oczy z powiek; —
Lecz nie jęczyć ani gadać,
Bo jękną — to skona człowiek!
Bo poproszą — w ogień skoczy! —
Może was o co jej oczy
Prosiły?

POPADIANKA.

Na nic nie patrzy.

SEMENKO.

Jakże by te oczy, ognie
Patrzały, duszy nie zjadłszy?
Człowiek się, bywało, wzmognie
Na moc, na jedno spojrzenie —
Taj te oczy, jak kamienie
Szmaragdowe, gdy w nich błyśnie! —
Ona z wami tak umyślnie
W słowach i w spojrzeniach skąpa:
Po spojrzeniach waszych stąpa.
A po słowach waszych lata;
Aż ta zczarowana chata
Mej rusałce, mej dziewczynie,
W pałac srebrny się przekinie,
W zamek z pawich piór i złota.
Czy się ona nie kłopota
O co? — siostry?

POPADIANKA.

Ciągle wzdycha.

SEMENKO.

Ach! to uschnie od wzdychania,
Jak od wonności usycha
Kwiat, aż zbędzie malowania
I pomięte liście zrzuci —
To wzdychaniem się wynuci

Z całej pieśni, z serca głębi;
I serduszko swe zaziębi,
I wyszepce słodkie słowa.
Dajcież mi ją — bo gotowa,
Trwogą zaniespokojona,
Westchnąć z serca tak, że skona.

(Popadianki wyprowadzają SALOMEĘ z chaty.)

SALOMEA.

Ach jak straszno? — Czy gdzie gore?
Czy to ty? — panie Semenko?
Ach bez męża mi nie skore
Płyną i smętne godziny —
Często, posunięty ręką
Zegareczek u dziewczyny,
Ukraca długą tęsknotę —
Ale choć ja słońce złote
Posuwałam serca biciem,
Choć księżyc wszedł nad futory,
Psy się odezwały wyciem,
Choć mruczą gdzieś senne znachory:
Nie słyszę mojego pana.
Ach, jaka ja jestem biedna!
W chacie chłopskiej sama jedna!
Wraz po ślubie zapomniana
I opuszczona po ślubie.
Ja tak tajemnic nie lubię —
Zawsze z ludźmi żyłam szczerze! —
Powiedz? kiedyż mię zabierze
Mój mąż, od tych popadianek? —

SEMENKO.

Nie wiem panno —

SALOMEA.

To ty może
Której z tych dziewcząt kochanek?

SEMENKO.

Brat.

SALOMEA.

Ach to ja się założę,
Że ci one nie do duszy.

SEMENKO.

Hej! — a to czemu panienko?

SALOMEA.

Bo każda z nich tak się puszy!
Humor mają kwaśny, dumny.
Gdyby mnie dotknęły ręką,
Myślałabym że już leżę
Na marach. — Ja tobie szczerze
Mówię; gdzie pop tam i trumna.
Ale nie myśl że ja dumna,
Lub z prostoty waszej szydzę,
Albo się chłopami brzydzę.
Ja, bywało, pieśni wasze,
I wieczornic słucham lubo:
Bywało, świecę zagaszę,
Wyjdę nocą na poddasze
I tam, jak za serca zgubą
Tęsknię — słysząc na torbanie
Śpiew — i tańców tupotanie;
To mi i zapachy leśne,
I te głosy lecą dźwięczne;
Od smętności, aż miesięczne,
Z wesołości — aż boleśne,
A od krzyków, niby wściekłe,
A od ech, długie, rozwlekłe,
A czasem czyste jak ślozy,
Jak szkło, na serce się leją.
To czasem się mgły odwieją
I odwiną srebrne brzozy,
I pokażą mi z kolorów
Wstążek, girlandę upiorów
Lecącą. — Czasem z kurhanu,
Kiedy się futrem otulę,
Patrzę jak wy, na Trzy Króle,
Święcicie wody Jordanu.

Gdzieś, na srebrnym, rzecznym lodzie
Co błyszczy by złota blacha,
Pop wasz trojgiem świateł macha,
Ogniem rzuca po narodzie;
Z trzema płomieniami w dłoni,
To wstanie, to się pokłoni,
To się pokłoni, to wstanie;
Aż z wody ognia dostanie
Zagaszoną wprzódy świecą;
I ten ogień mu rozchwycą,
Rozniosą wnet — na różany
Lód — pomiędzy tulipany
Z chorągwi — gdzie mi w pamięci
Jeszcze dzisiaj widni święci
Na dnach złotych malowani,
I te popy —

SEMENKO.

Jak szatani.

SALOMEA.

Nie, Semenko, każda wiara
Prowadzi ludzi do Boga.
Tatko mówi: świat to mara,
A dobrodziej: śmierci trwoga. —
Tak my, bywało, we dworze,
Kiedy okna śnieg zawali,
Przy tatku kolendowali,
W srebrne Narodzenie boże.
Jak pośród małej stajenki
Pastuszkom, strzygącym runo,
Zjawiło się pańskie łuno,
Płomień przeźroczysty, cienki,
Od złota, rubinów żywszy;
I pastuszki oświeciwszy,
Takiem je natchnął weselem,
Że wybiegli: o dzieciątku,
Co miało być Zbawicielem
Rozpytując się po drodze.
A potem — w jakimże kątku!

Na jakiej oni podłodze,
Na jakich prześcieradełkach,
Różach, rubinach, perełkach,
Narcyzeczkach i bławatkach!
Przy jakichże biednych świadkach?
W żłóbeczku małym przed matką
Znaleźli Pańską dziecinę.
Ach — gdy nam zaśpiewał tatko
Że znaleźli — to mnie małą dziewczynę
Łzy zalały: dreszcz radośny przechodził,
I krzyczałam: Chrystus Pan się narodził!
I krzyczałam i klaskałam tak w ręce:
Chrystus Pan się narodził w stajence! —
A dziś! Boże! cóż ze mną się dzieje?

SEMENKO.

Co mi ten kur ranny pieje?
Ot — nie mogę od łez. — Słuchaj panna —

SALOMEA.

Ach! — ja, by świeża dziewanna
Obrastałam w kwiatki złote.
A dziś porzuciłam cnotę —
Bóg wie co to jeszcze będzie!
Co się jeszcze ze mną stanie!
Te wspomnienia, śpiewające łabędzie —

(Wchodzi LEON z kością trupią w ręku, ścigany przez kilku CHŁOPÓW.)

Co to jest? w brudnym żupanie
Mój mąż — w błocie cały, bez szabli?

SEMENKO.

Czy go wypuścili djabli?

LEON.

Ty podły zbójco! gałganie!
Chłopie! napadłeś mię w lesie,
Wyrąbałeś mi szwadrony,
Wiozłeś rannego w kolesie,
Gdzie jęczał szlachcic czerwony,
Gorącą mię krwią oblewał,
I podemną jak trup ziewał. —
Jeńcem jestem; więc nie będę się targał,

Lecz ci powiem wprost w oczy: żeś szelma!
Żeś liberję moją krwią zaszargał!
Że ten szlachcic, co w oczach ma bielma,
To twój — krwią cię on swoją zaleje
Kiedy staniesz przed Boga jasnością!
Ot wy katy! rzezunie! złodzieje!
Ot ja wolny — i trupią wam kością
Dam ostatnią i krwawą naukę —
Łby wam podłe na miazgę potłukę!
Tę kość w mojem ręku Bóg zapali
Jako piorun, i będę was gromił
Aż się cmentarz podemną zawali —

SEMENKO.

Ot się Laszek na krew połakomił.
Hej — pokornie ja proszę Waszmości,
Daj mi z żonką noc przepędzić miodową.

LEON.

Ot ja — przy tej trupiej kości,
Ty przy szabli — a tam purpurową
Błyskawicą pożary nam świecą:
Tu się tłuczmy — aż łby nasze polecą
W drobne drzazgi do błyskawic — i znikną.

SEMENKO, do chłopów.

Hej! parobki! —

(Chłopi chwytają Leona za ręce.)

LEON, mocując się z chłopstwem.

Włosy wszystkie mi wstaną,
Wszystkie jak gadziny sykną,
Wszystkie jako węże świsną,
Wszystkie jak pioruny błysną.
A choć członki skrępowane
W rękach u czarnych rzezuni,
To cię włosami dostanę;
Bo się mój włos rozpioruni,
Powietrzem ciebie doleci,
I na węgiel czarny spali,
A paląc twarz ci oświeci,
Abyśmy się raz spotkali,

Nim się napotkamy w niebie:
Raz jak trupy spojrzeli na siebie.
Bóg to widzi, że nie chcę żywota,
Ale śmiercią chcę twej śmierci, gałganie;
Chcę do mogilnego błota
W robaków i krwi bluzganie
Zaciągnąć ciebie za włosy,
Zęby tobie wszczepić w gardło —
Gryźć się z tobą jak połosy,
Aby się na nas podarło
Ubranie nasze cielesne,
A członki same bolesne
Po stepie skakały jak żmije.
Ja cię prosto nie zabiję,
Za króla złoto i srebro:
Ale cię kiedyś za żebro
Odwinięte, kościo-pióre,
Siekierą tak odwalone
Że ma zawiasami skórę,
Powieszę, jak żywą wronę.
Jak ty krwawy pastwicielu!
Na jednym obywatelu
Stawszy się piersi felczerem,
Usta mu zrobiłeś zerem,
I straszną krwawą pustoszą;
A ze skór odartych skrzydła,
Które go w niebo unoszą
I pół ludzkiego straszydła
Panu Bogu teraz jawią,
I pośród Aniołów stawią
Strasznym go czyniąc Aniołem!
Otóż ja pod twojem czołem,
Jeźli się żywi spotkamy,
Wygryzę takie dwie jamy
Aby w nie mózg wolno ściekał,
Jak ty woskiem powypiekał
U tych dwóch, co na wznak leżą,
Kłębiąc się w krwi jak delfiny,

I bluzg roztopionej cyny
Na piersiach mają odzieżą,
Krzyżem, i srebrną kałużą,
Pod którą ciało się dymi.
Więc ja cię, gadzie olbrzymi!
Nim cię duchy przenaturzą,
W psa i obłok z krwawej pary:
W żebrach ci porobię szpary
I te znituję ołowiem;
A jeźli kiedy odpowiem
Przed Bogiem, wiem że nie za to —

SEMENKO.

Ty mój dobrodziej! — ty chatą
Obdarzył mnie i połonką,
I znitował mnie z tą żonką,
Która mi tu pachnie rajem —
Taj przyszedł — co? — korowajem?
Na wesele twego sługi?
Gdzie krew — to jak wina strugi,
Gdzie mogiły — jak wyprawa,
Księztwo całe, ziemia krwawa;
A pieśń na te zaślubiny
To wasze straszne łaciny,
To wasz smętny pacierz laszy,
Co mi głupie chłopstwo straszy,
Wyjąc w nocy po mogiłach.
Szczob ty był Lwem? przy lwich siłach?
Toby wczora z twemi pany
Bił się niepardonowany,
I krwią las ojcowski zrosił,
A u siekier się nie prosił —
Tego był co dziś humoru.
Gdyby ty był człek honoru?
Toby swą kochankę cenił,
I sługi z nią nie ożenił,
Wypaliwszy wstydu znamię —

SALOMEA.

Leonie! mów mu że kłamie.

SEMENKO.

Ja twój mąż —

SALOMEA.

Leonie drogi!
Czemu ty patrzysz pod nogi?
Podnieś oczy, w oczach siła.

LEON.

Trzeba abyś uwierzyła
W smoki, że na złocie siedzą,
A pisklęta własne jedzą;
W gadziny słońcem rozgrzane,
Ciałami własnych rodziców
Na stepach powypasane:
W upiory, co od księżyców
Wziąwszy gust do krwi czerwonej,
Częściej spowinowaconej
Pragną, niż obcą się mażą.
Gdy cię te wszystkie przerażą
Monstra, chodzące w purpurze,
Czyniące przeciw naturze,
By własnej dogodzić strawie:
Wierz we mnie — i bądź w obawie
Czy ja nie gorszy niż one —

SALOMEA.

Zdrapał rany — ach utonę
W tej krwi —

SEMENKO.

Weźmijcie ją siostry!
A ciebie Paniczu, ostry
Topór, albo kosa skosi,
Albo miłość jej od śmierci wyprosi.

(Popadianki wnoszą do chaty Salomeę. — Semenko za Leonem, prowadzonym na cmentarz przez chłopy, wychodzi.)

AKT IV.

(Obóz polski — zdala widać okop czworogranny, oświecony wewnątrz przez chłopskie ogniska — z bukietem lip i cerkwią. Wchodzi REGIMENTARZ z garstką SZLACHTY zbrojnej.)

REGIMENTARZ.

Przed nami, Mości Panowie,
Serce buntu, gniazdo chłopie.
Oto w piaskowym okopie
Siedzą dymami nakryci —
I gdyby o jeńców zdrowie
Nie dbać, że będą zabici
Nim się wedrzemy na wały,
Dawnowym polnemi działy
Zagrał śmiertelnego marsza.
Ale już drużyna starsza
Zaczyna z nami układy;
I ciągle lirowe dziady
Włóczą się, niby upiory,
Tych kruków negocjatory,
Kawałki ludu chodzące.
Dawniej to bywało: dziady,
Szlachectwu dobrze życzące,
Nieraz brano do porady,
I przychodzili zgarbieni,
Zasiadali rzędem w sieni,
Lub na dziedzińcu pod drzewem;
I tam sobie lirnym śpiewem
Jak kawki bywało gwarzą.
Aż Pan dziecko wyszle z groszem,
Z pełnym obwarzanków koszem;
To dziecinie błogosławią,
Obrazkiem nieraz obdarzą,
Albo coś o przodkach prawią,
Dziwne, i ciemne powieści,

Co się potem śnią dziecięciu.
To, bywało, ze czterdzieści
Dziadów, o wiosny poczęciu,
Schodziło się nam do domu.
Mój ojciec — niech mu Bóg świeci! —
Polecał nie lada komu
Karmić te dawnych stuleci,
Chodzące żywe kroniki!
Ale zawsze, nas chłopczyki
Posyłał. Nie wiem dla czego
Dziś ten afekt ojca mego
Dla dziadów, w myślach mi stoi?
Czy to, że dusza się boi
O syna i przeczuć słucha
I ojca też jako ducha
O świętą pomoc uprasza:
Czy też, że dziwnie myśl nasza
Z wiatrem bożym się odmienia?
Raz pełna w sobie płomienia,
Pewna szczęśliwego skutku —
To znowu, trumnica smutku,
Dusza — niespokojna, trwożna,
Jako ślimak w skorupie ostrożna?

(Wchodzi SAWA w sukmanie djaczka ruskiego z wertepem pełnym jasełek na plecach.)

Cóż tam Sawo? czy dobrze wertepem
Oszukałeś to chłopstwo pijane?
Czy im ciągnie jaka pomoc stepem?
Czy widziałeś cmentarze rumiane
Jeńców krwią? Czy mój Lew jeszcze dycha?

SAWA, zrzucając sukmanę.

Dajcie mi pierwej z kielicha
Pociągnąć nieco węgrzyna.

REGIMENTARZ.

Widziałżeś mojego syna?

SAWA.

Zdrów.

REGIMENTARZ.

Czy dociągnie do nocy?

SAWA.

Dęby przetrwa — on pełen jest mocy!
Cóż za myśli twe Regimentarzu?

REGIMENTARZ.

Więc byłeś na tym cmentarzu?
Ach opowiedz, na coś patrzał oczyma.

SAWA.

Dawno już, Mości Panowie,
Od Drewiczam się nauczył
Podstępów, różnych maskarad.
Więc i teraz z tym wertepem
Na plecach, udając djaczka,
Takem dobrze odgrał rolę,
Że jedne tylko sokole
Oczy na mnie się poznały. —
Skoro tylko pociemniały
Czarne lipy nad cerkiewką,
Wszedłem na wał raźnie, krzepko,
Na wał, gdzie przy kołowrocie
Dawniej żebrak lub cyganka
Siedzieli — a dziś w ciemnocie
Straszna krwi hospodarzanka,
Rzeź czerwona, stoi w dymie
Pędzonym od Zaporożów. —
Bo te zbrodnie tak olbrzymie,
Ta góra węży i nożów,
Nożów, które w Boga imię
Poświęcone śród rozruchów,
Mają zacietą naturę,
I okropną świętość duchów —
Bo ten — który mogił górę
Olśnia, lecz nie wypogodzi
Księżyc — i sam przestrach czuje,
Bo z jednego trupa schodzi,
I na drugiego wstępuje:
Bo jedną porzuci głowę

I zdejmie z niej białe skrzydło,
I znów drugie koralowe
Odkrywa we krwi straszydło,
Gdzie w ranach jak ślepy brodzi —
Wszystko to na myśl nawodzi
Tę marę wpół obłąkaną,
Niegdyś przed rzezią widzianą,
Na cmentarzach i kurhanach,
W ludzkich ślinach i psich pianach,
I zgniliznach, i w zamachu,
I w zgrzytaniach i w tęsknotach!
Bo przy ukraińskim strachu
Zawsze w miesięcznych pozłotach
Stoi smutek — w sercu boli,
I myśl puszcza w lot sokoli. —
Z takim to smutkiem, a zręczne
Oczy posławszy za szpiegi,
Na ciemne wzgórze miesięczne
I krwią zroszone mogiły,
Aby mi tam wypatrzyły
Na razie, ratunku brzegi:
Wszedłem, strachu będąc blizko,
Na te ciemne uroczysko
Z krzyżami — i tam ujrzałem
Że pomiędzy żywem ciałem,
Niektóre resztki z krwawników,
Ciała smętne nieboszczyków
Leżały. A w oczach próżnych
Nie tylko że brakło życie,
Lecz na miesiąca odbicie
Nie było szkieł; więc się blaski
Po krwawnikach gdzieś kałużnych
Błąkały i szły w roztrzaski,
W garście złota, w kwiaty cudu;
Które pewnie wzroki ludu,
Co na krwi kałużach wiszą
Obłąkane strachu snami,
Nazwą krwi tulipanami,

I Rusałkom je przypiszą,
Widząc kwitnące śród cieni —
Wszedłszy tam, gdzie mgła jesieni
Mży, a liść lipowy cięży,
I na miesiącowych strunach
Kładzie swoje czarne plamy.
Gdzie gałęzie, jak kłąb węży
Lecących z piekielnej bramy,
Matki, przy synach ksykunach
Zatrzymały się i leżą,
Na ogniach, jak na piorunach,
Panując nad horodyszczą:
A patrzą gdzie żądłem uderzą,
I na serce trupów świszczą;
Spostrzegłem drugi ponury
Tłum, co śmierci się spodziewa.
A czasami jeniec który
Odetchnie śmierci ciężarem,
A czasem który zaśpiewa,
A czasem jęknie nad żarem;
Albo ci nagle z pod nogi
Zawoła kamień czerwony:
Ratuj Panie Jezu drogi:
A drugi: bądź pochwalony! —
I tak to robactwo w pruchnie
Szepce, aż z krwawych rozcieków,
Straszniejsza głowa wybuchnie,
I krzyknie: na wieki wieków!
I wszystko na chwilę uciszy
Tam śród pjanych towarzyszy
— Miałem go prawie pod ręką —
Twój sługa siedział Tymenko,
Skarżąc się chrapliwie z gardła
Jak człowiek co ma suchoty;
Że małżonka mu umarła,
Że go z tą czernią kłopoty
Już do syta udręczyły,
Że, ot — wyjdzie na mogiły,

Każe rżnąć obywateli,
Krwawym się przypatrzy pluchom;
A potem, na vivat duchom
I djabłom, w łeb sobie strzeli:
I kopnąwszy o płomienie
Jak szatan światem pomiota.
Spojrzałem: a odurzenie
I niepamięć i zgryzota,
Żył posiniałych napięcie,
Owo straszne przedsięwzięcie
Pisały na jego twarzy —
Wtenczas ja, mając na straży
I pieczy jeńców żywoty;
Teatr mój łojówką złoty,
Na srebrnej kurhanów darni
Odkryłem, Mości Panowie!
I na ciemnych mogił głowie
Zjawiłem w mojej latarni
To, o czem jak wiecie sami
Śni się nam pod mogiłami.
I tak, to Betlejem złote
Oświecone — gwiazdą było
Rozlewającą tęsknotę:
Słońcem, myśli zakrwawionych:
Bo niektórym o domach mówiło,
O dzieciąteczkach straconych,
O śpiewanych gdzieś kolędach,
I o tych żywota błędach,
Co dopiero przed śmiercią są widne.
W tem, o Panie, na ohydne
Cmentarze i uroczyska,
Pod ciemne lip wężowiska,
Od kurhanów, na kurhany —
Wiodąc świateł złotych roje,
Przez miesiąca ołowiany
Blask — sunąc chorągwi tęcze;
Na wieczności gdzieś pokoje
Snujący złote obręcze

Wąż — pogrzeb wioszczany lichy,
Pachnący czarnym jałowcem,
Wszedł, i rzucił nad grobowcem
Trumienkę, bez żadnej pychy,
Ale ubraną w kielichy
Narcysowe i w konwalje;
Jasną bo w niej anielica
Ubrana jak na batalje
Z piekłem, w słoneczności lica,
I w niewinności ubiory,
I w te ostatnie kolory
Śmiertelnej podobne zorzy,
W ostatni rumieniec przed boży,
Leżała.
A skoro mary
Wstąpiły na cmentarzysko,
Ruszył się Gruszczyński stary,
Prawdziwe dla mnie zjawisko
Krwawego z pod grobu trupa,
Za którym czarna wron kupa
Upędza się, goni, wrzeszczy —
Przybiegł: obaczył te mary
I — jak dąb co w sobie zatrzeszczy,
Powieje liścia sztandary,
Pokłoni się światu — i runie:
Tak on na tej białej trunie
Gniotąc narcysowe pączki,
Leżał, głową powalony
Na obrazek umarłej i rączki —
Z drugiej strony zaś syn twój szalony
Z równą zdaje się żałością,
Przybliżał się z trupią kością,
Białą, w ręku podniesioną;
I z taką twarzą szaloną
Że strach nam serca zamroził;
Bo zdało się, że obłokom,
Gwiazdom, latającym smokom,
Chimerom, aniołom groził;

Że oczyma niebo ranił
I tą kością szatanom hetmanił.
Nie wiedziałem co wszystko to znaczy.
Aż twój syn padł na kolana,
I w piekielnika rozpaczy
Zaczął siebie sam przeklinać.
Dajcie, krzyknął, nóż starcowi!
Jeźli kto tu ma zarzynać?
Jeźli wy zarżnąć gotowi
I oblać się juchą krwawą?
To on większe ma tu prawo
Mścić się — bom uwiodł mu dziecko,
I to dzieciąteczko cudze
Darowałem memu słudze,
Zrobiłem córką zbójecką;
Tak, że ją rozpacz rozdarła,
I oto leży umarła,
Jasna, jak zwiędłe lilije,
Ludowi temu w podziwie!
Niechaj starzec mię zabije,
A uczyni sprawiedliwie.
Puśćcie! proszę was z litości!
Jeźli nie chcecie dać noża,
Ja mu pożyczę tej kości,
I będzie jak ręka boża,
Którą ja zgonem uświęcę,
Jak dłoń boża, w ojca ręce,
Jak grom. — Tu przerwał Gruszczyński,
Równie zdając się szalony:
Co to za szatan czerwony?
Krzyknął, ów człowiek przedemną?
Czy jaki duch ukraiński?
Z szatą gwiaździstą i ciemną,
Który mi tu płakać broni?
I stoi z piorunem w dłoni?
Z włosów swych uczynił gady,
Grożąc mojej córce bladej,
Która jest aniołów panią!

I nie daje mi iść za nią,
Sił ostatecznych pozbawia,
I krzyżem drogę zastawia —
O! bo tam krzyż z wielką gwiazdą,
Krzyknął: biorąc nas za świadki —
Na nim pelikana gniazdo
Karmiącego krwią swe dziatki;
A z Chrystusa krew wytryska
Coraz jaśniejsza i bledsza,
Aniołkowi, śród powietrza,
Lejąca się w puhar złoty.
O! Chrystus i różne zjawiska
Jawią mi się śród ciemnoty,
I przejęty jestem trwogą —
Ja nie mogę zabijać nikogo! —
Tu mu głos twojego syna
Przerwał: jeźli widzisz Pana?
To Pan mię pewno przeklina;
Bo dusza zaturbowana
W oczach moich teraz stoi,
I nie widzi, i Boga się boi.
Tak ci gadali do siebie
Przez trumienkę otworzoną;
Gdzie z narcysową koroną
Będąca na swym pogrzebie
Srebrna dusza, pewnie onych
Mów się przelękła szalonych,
I od takiej świata lutni,
I od takich męki krzyży,
Uciekała coraz smutniej,
Uciekała coraz wyżej —
I nie mogłem się obronić
Aby nad nią łez nie ronić,
Nie zatrzymać w myśli rysów,
Nie żałować tych narcysów. —
Co się z temi ludźmi stało
Dalej? Panie, nie wiem wcale
Bo mię jeden z brodą białą

Dziad, w wielkim duchu i szale,
Uderzył tam po ramieniu
I nazwawszy po imieniu
Odwiódł od umarłej dziewki,
I od obłąkanych ludzi,
Do jednej pustej cerkiewki —
Gdzie — co mówił — to wam uszy utrudzi,
Bo wy gadek nie znacie stepowych.

REGIMENTARZ.

Ach! rzeczy piekielnie nowych
Powieść twoja pełna, Sawo —
Mój syn z tą kością plugawą?
Mój syn mówisz, waryatem?
A starzec nie chciał kyć katem,
Pomnący na pokrewieństwo
Przyjaźni co nas łączyła;
A może też przez szaleństwo,
A może wzgarda to była
W szatę szaleństwa ubrana?
Ach! i tak zamaskowana
Zdała sie tobie waryacyą?
Ach! przed tym okopem klęczę

(Klęka.)

Jak przed kalwaryjską stacyą,
I do Pana mego jęczę
W ufności i w krwawym żalu!
Mogiło! krwawy koralu,
Krwią mego dziecka oblana!
Patronuj za mną do Pana!
Przemów krwi modlitwą ciemną!
Niech się zlituje nademną!
Cóż to jest? — ktoś na okopach?

(Pokazuje sią na okopie w powietrzu mglistem GRUSZCZYŃSKIEGO DUCH.)

DUCH.

Gońcie! bo na czarnych chłopach
Krew nasza! — powietrze rwiemy!
Gońcie! bo poszalejemy!
Bo nam na błękitach krwawo!

REGIMENTARZ.

Czy widzisz go?

DUCH.

Sawo! Sawo!

(Znika.)

REGIMENTARZ.

Czy go słyszysz?

SAWA.

Wernyhora
Prawdę zapowiedział wczora!
Ten krzyk, to jest nasze hasło —

REGIMENTARZ.

Powietrze czerwone zgasło
I zniknął ten człowiek stary,
Skrwawiony.

SAWA.

Czekano tej mary
Na Ukrainie u ludu —

REGIMENTARZ.

Nie ma w tem żadnego cudu.
Gruszczyński o pośpiech woła —
Każ uderzyć do kościoła
Z hakownic — aż srebrne gonty
Polecą na dachu zrębie,
I pierzchną niby gołębie
Chmurą białą — niby świstki,
Na których nasze afronty
Spisane —

SAWA.

Lub jako listki
Ruszone z białych narcysów —

REGIMENTARZ.

Hej Oreł — burkę z tygrysów —
I szablę! — Do szturmu Panowie!
Kto żyć będzie, ten jutro rozpowie
O dzisiejszej godzinie kobietom. —
Reszta szablom i końskim kopytom.

(Wychodzi, a za nim Sawa i cała szlachta.)

ZMIANA I.

(We dworze Regimentarza. Wchodzi KSIĘŻNICZKA i za nią ANUSIA.)

KSIĘŻNICZKA.

Ach, Anusiu! Anusiu!

ANUSIA.

Co, Panno?

KSIĘŻNICZKA.

Gruszczyńskiego duch mi się pokazał.

ANUSIA.

Być nie może!

KSIĘŻNICZKA.

Z piersią krwawą i ranną,
Cicho stojąc, na powietrzu namazał
Krzyż czerwony i zniknął.

ANUSIA.

Horory!

KSIĘŻNICZKA.

Przepowiednia się ach, Wernyhory
Sprawdza na mnie —

ANUSIA.

Niech się modli panienka —

KSIĘŻNICZKA.

Jeszcze krwawa i ognista ręka
Musi oddać mi ślubny pierścionek. —
Widziałam już pierwszą mirę.

ANUSIA.

Zmów panienka choć kilka koronek —
Uczyń z czego serdeczną ofiarę.

KSIĘŻNICZKA.

Ach z rozumu ja i śmiechu
Ofiarę już uczyniłam.
Jak płótno jestem na blechu
Pokrwawione ducha dłonią;
Z oczu się jego napiłam
Świateł, co nad Świętych skronią.
Dowiedziałam się z postaci
Że człowiek nic w grobie nie traci.
Widząc go w złoconym pasie

Może z ogni robaczliwych;
Każe się pogrzeć w atłasie,
W kolorach nielitościwych
Dla serc, które teraz jęczą:
I po śmierci będę tęczą,
Jeźli mi Pan Bóg pozwoli,
Od topoli do topoli
Na cmentarzu pajęczyną
Z róż, brylantów, i motyli —
Przez którą przejdą niemili,
A mili tak się owiną,
Że wiecznie ze mną zostaną —
Ach Anusiu! jutro rano
Los mój się rozwiązać musi
Tak, jak dumka śpiewana na Rusi.

(Wychodzi z Anusią.)

ZMIANA II.

(Przy cerkwi pod lipami. — LEON z kością w ręku, obłąkany na twarzy. — Wbiega SEMENKO.)

SEMENKO.

Złociste Lachów sztandary
Gnają wiatr — i dym i krew.
Leci z szablą pan mój stary,
Złoty jak kudłaty lew;
Ołowiany ja mu grad
Ze szturmaka sypnął w brzuch,
Taj nie zadrżał i nie padł —
I zdjął mię strach. — Szczo ty za duch?

LEON.

Przysięgam na blask księżyca
Żem nie człowiek, ale lwica;
Żem nie człowiek na cmentarzu,
Ale śmierci herb w herbarzu,
Na czerwonym polu stoję
I złotych się gwiazd nie boję,
Nie boję się twojej spisy.

SEMENKO.

Ach, daj paść na jej narcysy
I umrzeć!

LEON.

Nikt nie umiera,
Ale piekło się otwiera
Gdy w bramy sztukam tą kością.
Widzisz tam — pod lip ciemnością
Postacie widać piekielne,
O drzewa poopierane. —
Powietrze jak ołowiane —
A deszczem gonty kościelne
Lecące jak śniegi białe,
Na ogniu i krwi stopniałe,
Węży sinych bielą kuszcze —
Precz do piekła! bo do cerkwi nie puszczę —
Bo tam teraz z wielką ciszą
Dusze umęczonych wiszą
Na krzyżach i Boga chwalą,
A słońca jasne się palą
Koło ich głów jak tarcze złote.

SEMENKO.

Miałby ja teraz robotę,
Gdyby z warjatami gadał;
Puskaj w cerkiew —

LEON.

Na pierś skoczę
I będę oczy wyjadał.

SEMENKO.

Strach ty — lecz ja w tobie umoczę
Moją spisę aż po dłoń —

LEON.

(Odbija spisę kością — i wlatując na Semenkę obala go na ziemię i dusi.)

W rękach mam twe gardło i skroń, —
A co? —

SEMENKO, przyduszonym głosem.

Dusysz mene panyczu!

(Wbiega REGIMENTARZ na czele polskich żołnierzy.)

REGIMENTARZ.

Co za widok? mój synu! mój synu!

Patrzcie! na jego obliczu
Obłąkanie! — jedna ręka
Potrząsa palce z rubinu,
A w drugiej kość ludzka się pęka
W drzazgi, a wzniesione brwie. —
Mój synu! mój drogi! mój Lwie!
Ach co za okropny los! —

LEON, wstając i przychodząc do zmysłów.

Co to jest! ojcowski głos!

REGIMENTARZ.

Poznał mię — weźcie go ztąd!
Tu jeszcze kule świegocą.

(Wyprowadzają Leona.)

A jutro rano na sąd
Dostawić tego zbrodniarza.

(Pokazuje na Semenkę.)

Żyły mu w gardle charchocą,
Oczy wyszły z wirydarza —
Czaszki, jak dwa blade króle
Pełne przestrachu, w purpurze,
Kiedy Pan ludów na chmurze
Napisze słowo stracenia.
Wziąść go — i w mojej szkatule
Znaleźć co do otrzeźwienia,
A zdrowego mi dostawić;
Bo ja się z nim będę bawić
Jak kot z myszką!

(Wchodzi SAWA.)

SAWA.

Pałasz mój do rękojeści
Czerwony krwią mego ludu.
Podobnie się nam do cudu
Ta krwawa walka powiodła,
Ani jeden z nas nie zginął —

REGIMENTARZ.

Ten dzień wiecznie będzie słynął,
Bo mię Pańska nie zawiodła
Łaska — syn mi się odrodził,

Zmartwychwstał na moje słowo!
Co rok to będę obchodził,
Jak wielką fetę domową
I aniwersarz rodzinny.

SAWA.

Do końca muszę być czynny
I kopnąć się dziś z wieczora,
Bo nam zniknął Wernyhora,
Z ciałem umarłej dziewczyny.
A teraz jasno to widzę,
Że on rozhukane gminy
Utrzymywał z sobą w lidze,
Z duchami wiązał w sojusze;
Aż go święte jakieś dusze
Wczoraj tak we snie zmęczyły,
Że dziad uciekł na mogiły.

REGIMENTARZ.

Ruszaj w pogoń; bo te trądy
Trzeba zupełnie wyleczyć.
A choćby ziemię skaleczyć
W leczeniu, wrzód wyrżnąć trzeba.
Jutro rozpoczynam sądy,
Gdzie dom Gruszczyńskiego z nieba
Będzie mi adwokatował —
Bom go już zastawszy trupem
W martwe czoło ucałował,
I przyrzekłem, że kruków go łupem
Nie zostawię i bez mszy żałobnych,
Ale go do dziatek drobnych
Przybliżę — i niech uśpiony
Położy się obok żony,
I u nóg staruszki matki. —
A Waść jemu przynieś kwiatki,
Ciche kwiatki narcysowe
Pod srebrną staruszka głowę —
To i wszystko w ciemnym grobie,
Znajdzie ten człowiek przy sobie —

SAWA.

W tem ci najwierniej usłużę
Kładąc w tok kurenne spisy;
Ale ty mi, za narcysy,
Będziesz musiał oddać róże.
Do jutra Regimentarzu! —

(Odchodzi.)

REGIMENTARZ.

Pokój duchom na tym smętnym cmentarzu.

(Wychodzi z rycerstwem.)

AKT V.

(Sala we dworze regimentarskim przybrana posępnie jak na downictwo, oświecona jarzącem światłem. Wchodzi KSIĘŻNICZKA z orszakiem pani respektowych, bogato ustrojona.)

KSIĘŻNICZKA.

Jaki jęk na dziedzińcach!
Jak płaczą mołodyce!
Klną stepowe księżyce
I słońce i rwą włosy.
Ile krwi w Ukraińcach
Tyle teraz tu rosy
Wyleje się na kwiaty
Astry, gwoździki, róże.
Gdym wyszła na podwórze
Zobaczyłam i katy
Okropne i czerwone,
Nie wiem zkąd przywiezione. —
Ach! a ze mną co będzie?
Czy jak srebrne łabędzie
Spłynę na krwi czerwieni?
Czyli mi się odmieni
Ten skrwawiony poranek
W wieczór słodkiej tęsknoty?

Cichy, księżycem złoty,
Tak miły dla kochanek!
A dla pijaków Panów
Tak wesoły po wojnie!
Świecący tak spokojnie
Dla starych gdzieś kurhanów!
A dla dziś osądzonych
Mogił, świeżo czerwonych
Taki pełny spoczynku! —
Włos mam w listkach barwinku —
A chociaż z wróżek szydzę,
Taką się dzisiaj widzę
Jakąm się, ach! widziała
W przyszłych myśli szafirze,
Kiedym dziesięć lat miała,
A dumkarz grał mi dumki na lirze.

(Wchodzi REGIMENTARZ, LEON, SEKRETARZ sądu i orszak SZLACHTY.)

REGIMENTARZ.

Czemuś moja Panno dziś nie w czerni?
W dzień tak straszny, tu, gdzie kryminały
Będę sądził. — Towarzysze pancerni
Zasiadajcie! — Żupan wdziałem dziś biały
Gdy go zrucę, to będzie czerwony. —
Kazać w cerkwi uderzyć we dzwony
I wprowadzić tu herszty rzezunie.

(Zasiada na krześle. — Polscy wojacy wprowadzają okutego w łańcuchy SEMENKĘ i kilku z naczelników rzezi.)

PIERWSZY z CHŁOPÓW, kłaniając się.

Daruj Pane! — Taj czart niechaj splunie
Czarną krew, co my z panów wylały.
Taj bądź ty nam jak Car biały,
Bądź litośny.

REGIMENTARZ.

Bóg to widzi! nie mogę —
Uderzyliście w trąby na trwogę,
Zapaliliście wioski i dwory
Świat was widział jak krwawe upiory

Tańcujące w pożarach, ohydni!
Niech wam Pan Bóg po śmierci rozwidni
Piorunami i drogę pokaże —
Ja nie mogę — ja was śmiercią ukarzę,
Jako wężom jad czarny odbiorę
A na waszą udaną pokorę
Nie uważam. — Ściąć im łby — i w kawały
Poćwiertować —

CHŁOPY.

Taj szczob bisy proklały
Twij dom czarny.

REGIMENTARZ.

Egzekwować ich zaraz!

(Do Semenki.)

A ty?

SEMENKO.

Ze mną nie będzie ambaras
Cienką szyję mam —

REGIMENTARZ.

Słuchaj Semenko!
Jak ty jeszcze tu niedawno
Mój chleb jadł! —

SEMENKO.

Taj mi niestrawno.

REGIMENTARZ.

A dzisiaj pod kata ręką?
Pod ręką sprawiedliwości? —

SEMENKO.

Taj proszę ja Jegomości
O śmierć, a nie o naukę.

REGIMENTARZ.

Znałem cię za śmiałą sztukę;
Lecz za takie djable szczenie
Nie mógłbym nigdy osądzić.
Jak ty mógł tak rozporządzić
Buntem? i takie płomienie
Zapalić? —

SEMENKO.

Jak? — Sercem Panie —

KEGIMENTARZ.

Syna ty mego gałganie!
Jak smok uwiodłeś na zgubę —

SEMENKO.

Oj, dzieciątko twoje lube!
Jemuż to i rosa szkodzi! —
Nie czart — no, on czarty wodzi.
Szczob ja jego miał był oczy,
Jego serdeczną przynętę;
Byłby ja wiódł życie święte,
Uciekł z nią do Pawołoczy.
Byłby ja gdzieś o hetmanach
Śnił na trawie, na kurhanach!
Choćby przyszło pod Kozyrą,
Zostać w Siczy tabuńczykiem,
Albo lud obchodzić z lirą; —
Byle nie być niewolnikiem,
Nie żyć sercem przez połowę;
A położyć dumną głowę
Na kochanki wierne łono.
Że ja nie z tą się koroną
Co twój syn urodził, panie,
Toż ja za to, na majdanie
Stał jak czart w pożarach czarny:
A dziś ty mi Pan, bezkarny
W domu twoim zetniesz głowę. —
No, zobaczysz ciało zdrowe,
Żyły, jak krwią jasną trysną;
No, zobaczysz jak się ścisną
Moje zęby a nie zgrzytną;
No, zobaczysz twarz błękitną,
A nie strachem śmierci bladą;
No, rozporzesz przed gromadą,
I rozedrzesz na dwie szmaty:
Taj poznasz, że ja chłop z chaty,
A nie tchórz na dokumentach.

REGIMENTARZ.

Myśl teraz o Sakramentach.

SEMENKO.

Pan Bóg bez tego oczyści.

REGIMENTARZ.

Cherubinowie ogniści
Najczystsze duchy uwodzą.
Lecz kto stoi aż do końca
Pod Aniołów takich wodzą,
Ten zaprawdę nie wart słońca.
Semenko! ty Boga blizki,
Zamódl że się teraz w duchu. — —
Zakneblować jemu pyski!
Nogi zostawić w łańcuchu,
Zawiesić mu kir na czoło,
Ręce wznieść, słomą okręcić,
I całego oblać smołą;
Potem przez księdza poświęcić,
I czarną figurę smolną
Podparłszy, gdy zechce się walić,
Na samym wierzchu — zapalić
I przez wieś prowadzić wolno,
Jako świecznik zapalony:
A ciągle niech biją w dzwony,
Póki zgore żywa świeca,
Okropna ludu gromnica
Świecąca buntu trupowi.

(Wyprowadzają Semenkę.)

KSIĘŻNICZKA, do Regimentarza.)

Ach strach mię przeleciał mrowi!
Panie!

REGIMENTARZ.

Cicho mi bądź dziewko;
Bo ci żupana podszewką
Krwawą zamaluję usta!

KSIĘŻNICZKA.

Ach, blada jestem jak chusta!
Jaka to czarna godzina!

REGIMENTAZ.

Sąd się od drugich zaczyna

A zakończy się na sobie —
Wiedźcie zaś, że to co robię
W imieniu swojem i syna,
Z aniołów idzie nakazu:
Którym nie tylko wyrazu
Wnętrznego trzeba od ludzi,
Lecz i kształtu, co żal budzi,
Skruchą serce zadawalnia,
A przed sądem już aniołów uwalnia.

(Daje rozkaz: wnoszą ciało Gruszczyńskiego, i opierają trupa na krześle, z którego zszedł Regimentarz; ten zaś wziąwszy syna za rękę, klęka przed umarłym i mówi:)

Szkolny mój niegdyś kolego,
Przyjacielu, dziś nieżywy,
Tyś był zawsze sprawiedliwy!
Sądź mnie, i syna mojego —
Zaprawdę! obaśmy winni!
Ja, twojej człowieku zguby,
A on, hańby: — my istynni
Zabójce twojej rodziny.
Choć w tobie już żadne szruby
Martwej ręki nie poruszą;
Weź ten miecz ognisty duszą,
Jeźli to uczynić zdolna,
I na karki spuść nam zwolna,
I każ odnieść na swój cmentarz.
Boś ty wielki Regimentarz,
Sędzia Pana Boga święty;
A my twoje delikwenty!
Leżym w prochu — zetnij! zetnij! —
Lecz co mówię? przebacz stary!
Ja wiem żeś ty pełny wiary,
Od nas czyściej żył, szlahetniej —
Czy ja cię nie znam, człowieku?
Starego druha i kuma?
Czy ja nie wiem co trup duma?
Trup, jednego ze mną wieku,
Trup, jednego ze mną serca,

Jak ja, niegdyś, śmiały, butny,
Jak ja, teraz, blady, smutny,
Na tym krześle zamyślony.

(Wstaje i mówi do przytomnych.)

Panowie! ja nie morderca —
Oto boleścią szalony
Rzucam się, w okropnej męce,
Przyjacielowi na ręce —
Czy nie widzicie? że ściska,
Że ściska mnie, nie odpycha?
Ta twarz jego smętna, cicha —
Patrzcie! niby słońcem błyska —
Wzywam was wszystkich na świadki
Że to jak twarz smętna matki,
Nie twarz, która sądem grozi —

JEDEN ZE SZLACHTY.

Ten trup powietrze zamrozi —

(Daje znak i wynoszą umarłego.)

A ty nasz Regimentarzu
Ze smętnych myśli otrzeźwij,
I z żywemi staw się rzeźwiej.

REGIMENTARZ.

Coraz więcej na cmentarzu
Mogił, a śmierć ciągle kosi,
I tam wszystko się przenosi.
A tu coraz puściej co dnia;
I dla nowego przychodnia
Coraz obszerniej przy stole —
Sumienie zaś w sercu kole.
I to najgorsza z boleści!
Najstraszniejsza! jak widzicie;
Gdy człowiek łez w oczach nie zmieści,
Smutku nie dożuje skrycie.
Ale żal otwarcie głosi,
Na zimne kamienie pada,
I o przebaczenie prosi;
A śmierć mu nie odpowiada
Cichą będąc tajemnicą.

Ossolineum KRASZEWSKIEGO
Zbiór: 821

Więc tak, pogodziwszy siebie
Z tą jasną duchów różycą,
Która, pośmiertny, na niebie
Kościół osłonecznia nieco;
By się oczy ducha pasły
Blaskiem serc, które tu zgasły,
A w anielskiej róży świecą: —
Wiem i to, że mi koniecznie
Z światem się godzić należy;
I biedz razem, jak czas bieży,
Bo stanąć jest niebezpiecznie. —
Jakoż pogrzebowe świeczki
Gęstym zagasiwszy płaczem,
Affektów będę tłumaczem,
Mego syna, dla księżniczki.

KSIĘŻNICZKA, na stronie.

Otóż znów, z pod rysiej burki,
Szlacheckie pokazał ucho.

REGIMENTARZ.

Mogęż cię imieniem córki
Powitać? mogęż z otuchą
Wnosić, że mi jedynaka
Uszczęśliwisz?

KSIĘŻNICZKA.

Ja niezmienna.

REGIMENTARZ.

I cóż.

KSIĘŻNICZKA.

Ja zawsze jednaka.

REGIMENTARZ.

Zgadzasz się?

KSIĘŻNICZKA.

Jestem kamienna.
Nieskruszona.

REGIMENTARZ.

Pókiż tego?

KSIĘŻNICZKA.

Aż pierścienia czerwonego
Dostanę —

REGIMENTAEZ.

Dalejże synu!
Pierścień, z jasnego rubinu,
Wypal na bielutkiej dłoni
Pocałunkiem, aż się skłoni
Być twoją —

LEON.

Mój ojcze drogi!
Pozwól żeć uścisnę nogi,
I powiem także tej Pani
Pokornie, żem nie jest dla niej
Dzisiaj, nic więcej prócz brata —
I sługi. — Bo także muszę
Odejść od krwawego świata,
I za tamtej Pani duszę,
Przysypany od popiołów,
Odpokutować w klasztorze.
Bo moje serce nie może,
Przeklęte raz przez Aniołów,
Ofiarować się nikomu.

REGIMENTARZ.

Jakiś czar na moim domu —
Lękam się że runie w gruzy!

KSIĘŻNICZKA.

To jest coś nakształt rekuzy,
Nakształt grochowego wieńca?

REGIMENTARZ, do syna, na boku.

Patrz na nią — w zorzach rumieńca
Stoi, napół zagniewana,
Jak miesiąc srebrno różana;
W koronie ze złotych szpilek,
Na których siadają kwiatki.
Jak przy motylku motylek
A spodem buk i bławatki
Ciemności rzucają silne,
Alabastrom lic przychylne,
Szmaragdom oczu zazdrosne,
Rubinom ust nie szkodzące.

Patrz! te piersi, dwa miesiące
W staniku ze złotej lamy.
Dwa słońca, dwa kręgi głośne,
Które — gdy jej ust słuchamy —
One do ust niosą głosy,
Jak harfy sercem dotknięte!
Patrz na jej leciuchne włosy,
Z pod zieleni. — Na te wcięte,
A pełne tajemnych zacisz
Gorsy, te łabędzie chody —
Patrz i pomyśl co ty tracisz?
Na Boga! gdybym był młody,
Pomyślałbym o tem dwa razy.

KSIĘŻNICZKA.

Ach senne moje obrazy
Biorą kształt.

(Wchodzi WERNYHORA w płaszczu dziada, z lirą.)

REGIMENTARZ.

Czemu tu gwary
Ucichły jak wroni skir?
Co to za siwy dziad stary? —
Wygląda jak dawny Król lir? —
Parobku! z jakiej ty chaty?

WERNYHORA.

Z mohił, Panie.

REGIMENTARZ.

Bardzo wierzę.
Boś podobny do upiora.

WERNYHORA.

Ja stepowy Wernyhora.

REGIMENTARZ.

Szukają ciebie rycerze.

WERNYHORA.

Rycerze błądzą po drodze,
Ja sam na słowo przychodzę.

REGIMENTARZ.

Więc jesteś mi w domu święty —
Siadaj staruszku na ławie.

WERNYHORA.

Za żadne ja dyamenty
Z wami długo nie pobawię,
Nie usiądę tu na ławie,
Jako człowiek z wami bratni;
Bo ja lirny król ostatni
Pójdę — duchy jak żórawie
Odprowadzać do Hetmanów.
Słyszeli wy jak z kurhanów
Dobył ja stepowej liry?
Jakie płacze, jakie skwiry
Wron i orłów słychać było;
Gdy ta lira, pod mogiłą
Ręką Lacha zakopana,
Odezwała'ś z pod kurhana
W blask miesiąca czerwonego!
Jak córka do ojca swego,
Jak zaklęta upiornica,
Jako Lachów niewolnica,
Jak duch srebrny do księżyca.
A gdy ja rozkopał doły
I przytulił ją na ręku,
Słyszał jej duch, cały w brzęku
Jak pierś u brzęczącej pszczoły —
A gdy otrząsł z niej popioły,
I w klawisz ręką zatętnił:
To się ja sam aż zesmętnił
Usłyszawszy pierwsze granie,
I rozpłakał na kurhanie,
Jakby w księżycowym raju. —
Wże ja teraz ne zahraju
Pany! — idę w sen, na ciszę! —
Oj liro — twoje klawisze
Gdzieś ze srebra dawniej lane,
Nogą pieśni wydeptane,
Jakby stare sęki drzewne,
I kamienie przedcerkiewne,
I zapadłe w dół mogiły:

Świadczą że pieśni chodziły
Po klawiszach, pieśni chyże!
I siadały na sen w lirze,
W krąg siadały, pieśni tłumy;
Posążnice — stare dumy,
Piórunnice — stare krzyki,
Szumki lotu — konie kare,
Szumki płaczu — dum słowiki,
Rusałczanki — dzwony szklanne;
Smętne dumy podkurhanne,
Kędyś aż od Zaporoża.
Taj dla wszystkich dom uprzejmy —
Siądą w lirze, jak na sejmy;
A pośrodku Duma Boża
Krwią Chrystusa purpurowa,
Siedzi jakbym dum królowa,
I radzi świat podbić cały —
Darujcie Pany — ja biały
Dziad — ot ja trochę szalony.
Może co złego powiedział? —

REGIMENTARZ.

Zagrałeś nam w dziwne tony,
Jakbyś na kurhanie siedział.
Czego chcesz? tłomacz się jaśniej.

WERNYHORA.

Pane — ot po krwawej waśni,
Gdyś ty ludu krwią czerwony,
Przyszedł ja ci w moje dzwony
Zagrać głucho, tuż nad uchem,
I pożegnać ciebie, duchem
Mego ludu.

REGIMENTARZ.

Gdież idziecie?

WERNYHORA.

Ot ja, Panie, miał na świecie,
Jeden futor gdzieś pod borem,
Dom bez złota, adamaszków;
I trzy brzozy pełne ptaszków;

I trzy źródła pod futorem,
Jak ze srebra tarcze lane,
Jak kąpiele Rusałczane.
Taj póki lud był szczęśliwy,
Póki duch żył — ja był żywy —
Teraz — Pane, Boh ze mnoju —

REGIMENTARZ.

Czegóż ty chcesz? —

WERNYHORA.

Ot w pokoju
Rozstać się z wami panicze.
Jeszcze spojrzeć wam w oblicze,
Aby zapamiętać długo,
Duchom, szczo was proklinaje —

REGIMENTARZ.

Mój staruszku, czas nastaje,
Że nie będąc naszym sługą,
Możesz cicho zostać z nami —

WERNYHORA.

Szczo? ja batku? — trup z trupami?

REGIMENTARZ, do szlachty.

Dumny szelma!

WERNYHORA.

Ja szalony —
Może ja głupstwo powiedział —
Przez dziedziniec wasz czerwony
Jam szedł, i drogi nie wiedział,
Choć dwór widział odemknięty:
Aż mi jeden człowiek ścięty
Poswetył łbem aż do sieni —

KSIĘŻNICZKA, zbliżając się.

Ojcze! ach my przerażeni
Twemi słowy, wszyscy smutni.
Zagraj nam lepiej na lutni
Jaką piosenkę z księżyca.

WERNYHORA.

Szczo heto za Anhełyca? —
Ach ja do niej, idąc w lesie,

Szedł jak gdyby w interesie. —
Panno nie chodź mi od boku:
Bo mi widy jakieś w oku
Błyszczą, serce drga jak struna. —
Ja odzyskał sen Widuna,
Patrząc w lice tego dziecka. —
Kto ty? czy ty Wiśniowiecka?
Czy pamiętasz tego dziada,
Co bywało tobie gada
Śród pasieki dumy stare?
Co bywało, ciebie senną,
Na łóżeczko, pod kotarę
Nosi i tam jak kamienną,
Uśpioną dumami kładzie?
Czy pamiętasz co ja w sadzie
Wróżył tobie na dzień ślubny?
Że to ludu mego zgubny
Będzie dzień jak pożar krwawy —
A w pożarach żywa świeca,
A koło niej lud ciekawy,
A ona aż w twarz księżyca
Tryskająca krwią czerwoną
Aż na twoje tryśnie łono?

KSIĘŻNICZKA.

Ach, pamiętam! — i cóż dalej?

WERNYHORA.

Taj gromnica gdy się spali
Pod szablicą Pana Sawy;
Przyjdzie i Franciszkan krwawy,
Pasem się krwi przewiązawszy,
Niosąc pierścień jeszcze krwawszy.

KSIĘŻNICZKA.

Ach, pamiętam Franciszkana!
Widzę nawet jego rysy,

WERNYHORA.

A potem drużka ubrana
W srebrne, podśnieżne narcysy,
Przyjdzie, drużka, trupie ciało —

KSIĘŻNICZKA.

Ach, pamiętam drużkę białą!

WERNYHORA.

A co pierwej?

KSIĘŻNICZKA.

Ach nie pomnę!

WERNYHORA.

Przed mężem — księdzem — i druchną?

KSIĘŻNICZKA.

Ach, jakieś blaski ogromne!
Dary, świecące jak pruchno,
Ślubne moje podarunki!

WERNYHORA.

Podobna ty do Widunki!
Wszystko sen i prawda szczera!
Pierwej — moja srebrna lira
Rozbita i odemknięta
(Tłucze lirę o podłogę i wyrzucone z niej papiery oddaje Księżniczce.)
Wyrzuci te dokumenta,
Które ja krył, póki sądził
Że Sawa będzie hetmanem. —
A teraz ja rozporządził
Wszystkiem, nad czem ja był panem,
Lirą, pieśnią, wychowanką,
I Hetmanem i Hetmanką. —
Taj wychodzę z szlachty proga
Jak wszedł — a nie bez łez, pany!
Bo ja z wami chleb łamany,
Od jednego dany Boga,
Długo jadł — aż zęby stracił.
Bogdaj Pan Bóg wam zapłacił
Za jadło i za gościnę —

REGIMENTARZ.

Gdzież idziesz?

WERNYHORA.

Na Ukrainę.

KSIĘŻNICZKA.

Czy to prawda, że po ciebie
Koń jakiś biały przyleci?

Koń, co po mogiłach grzebie,
Okiem rubinowem świeci;
Jakiś dziwny koń piekielny —
Mówią, że koń nieśmiertelny?

WERNYHORA.

Ja nie wiem, tak pieśni głoszą.

KSIĘŻNICZKA.

Gdzież takie konie unoszą
Powiedz? bo ja będę wiodła
Długo za tobą oczami —
Bo mi w oczy sypnął skrami,
Smutkiem napełnił nieznanym;
Ten koń, z lirą grającą u siodła,
I z dumkarzem zapomnianym,
Ulatujący na wieczność.
Czy tam jaka pół-słoneczność
W tych mgłach? — czy tam ciągłe strachy?

WERNYHORA.

Każdy kwiat ma swe zapachy,
Każdy duch swój wid pół-jasny,
Każde serce, swój strach własny,
Każdy orzeł, lot przedlotny —
A ja wiem, że ja samotny,
Jak ty głoskiem to wywiodła;
Przez piekielnego rumaka
Porwan, wściekły, bez czapraka,
Z lirą grającą u siodła,
Umarłe trzaskając kości,
Polecę w niespokojności,
W strachu, w żalu, ale w mocy. —
Aż kiedyś — gdy na godzinie
Stanie miesiąc o północy;
To koń znowu w siodła skinie
Mego ducha, na kurhany!
Taj znów zagra dziad z powagą:
Taj znów jęknie — a kto zna go,
A kto słyszał poza światem
Pryde — w łańcuch żórawiany,

Pryde — lirą tchnąć jak kwiatem,
Pryde — z serca pić jak z czary,
Pryde — z piersi czerpnąć wiary,
Pryde — iskry wziąć z ogniska. —
Ten dziad co tu lirę ciska
Jak fałszywą sorokówkę,
Taj z trupami na wędrówkę
Wietrznym koniem teraz pędzi,
Naprowadzi wam łabędzi
I rycerzy i hetmanów.
Taj słuchajte — gdy z was Panów
Budut' trupy — budut' hłazy:
Taj gdy się wasz trup trzy razy
Pod mogiłą, rwąc do sławy,
Znów przewróci na bok krwawy;
I pomyśli, nędzarz boży,
Że i piorun nie otworzy
I nie zdejmie wieka z truny;
Taj świat przeklnie i pioruny —
To jak stanę ja dziad rzewny,
Jak mu ręce łzą uroszę,
Po żebracku jak poproszę;
Jak ja lirę upokorzę
I na sercu mu położę,
I do czoła mu przycisnę;
I przeszłością w oczy błysnę,
Starych dum nasypię w uszy:
Klnę się, na duch! że się ruszy,
Taj swą twarzą księżycową
Spojrzy na was jak upiory. —
Otóż macie moje słowo,
Macie dumę Wernyhory!
A stepowe gdzieś miesiące
Wiedzą — o czem ja nie wiedział;
Czemu ja przez usta klnące
Wam przekleństwa nie powiedział.

KSIĘŻNICZKA.

Stój — Więc Polska?

WERNYHORA.

Ja stepowy
Dziad Panienko — ja nic nie wiem —

KSIĘŻNICZKA.

Mówią, że kopiec grobowy,
Gdzie ty zaśniesz pod modrzewiem
Zniknie?

WERNYHORA.

Moja Panno miła,
Mówią, że zniknie mogiła —
Ja nic nie wiem. Czas pokaże.

KSIĘŻNICZKA.

Weźże ty odemnie w darze
Tę zauszniczkę z turkusa;
Jak twój srebrny koń da kłusa
Tu z powrotem, na kurhany;
Czy po wiekach, czy po latach,
To mi, staruszku kochany,
Dasz ten turkus i przypomnisz pasiekę
Gdzie ja bywało, na kwiatach,
Pod piastunki się opiekę
Uciekałam — gdyś ty gadał o marach.

WERNYHORA.

Ot Panienko — młodość w czarach! —
A co dziś? ja człek grobowy! —
Pany! wasz dom purpurowy
Niech śpi — i ja spaty budu.

(Odchodzi.)

KSIĘŻNICZKA.

Pierwszy raz duch tego ludu
Słyszałam jak o łzy żebrze.
Dotąd na miesięcznym srebrze,
Malował nic kolorowe. —
Dajcie mi księżyc na głowę!
Dajcie mi tęczę pod nogi!
Za tym dumkarzem polecę! —
Ach co widzę? — Sawa, z drogi?
W jakiej on czerwonej rzece
Kąpał się — figura krwawa!

(Wchodzi SAWA w białym żupanie zbryzganym krwią, z pałaszem w ręku.)

SAWA.

Nie udała się wyprawa!
Przebiegłem stepy, kurhany,
Całe mgieł posępnych morze;
A nigdzie o Wernyhorze
W Ukrainie ani słychu. —
Co gorsza, że się tu lichu
Djabelskiemu dałem skusić,
I chcąc jeden ogień zdusić
Cały oblałem się krwią;
Dla tego z posępną brwią
Stoję tu Mości Panowie.
Jadąc przez wioski ulice.
Spotkałem żywą gromnicę,
Z płomieniskami na głowie,
Ze smołą ogniem kapiącą,
Na mnie — w oczy wprost idącą:
Tak że pomimo harapa
Zlękła zdębiła się szkapa;
A ja rozjuszony złością;
A może też i litością
Wpół pomięszaną z przestrachem;
— Bo nie myślę czynu krasić, —
Na koniu, szabli zamachem
Chciałem to światło jarzęce,
Tę straszną marę zagasić;
I w zamachu uciąłem jej ręce. —
A to wszystko w smolnym dymie
Stało się, niby w ukryciu,
Przy żałośnych dzwonów biciu:
Tak, że gdym wyleciał z chmury,
To za mną — widmo olbrzymie
Ręce podniosłszy do góry
Biegło, zda się karku blizko
Lecące pogorzelisko;
Mszczące się samym hororem
Goniło za mną widziadło:

I aż tutaj, pode dworem,
Na piasek złoty upadło,
Wylawszy dwa koralowe
Strumienie — co zda się piszą
Prześwięte Y Jezusowe —

REGIMENTARZ.

Dość — bo uszy moje słyszą
Krzyczącą krew. — Niech kto bieży
Do łba mu lufę przymierzy,
I skończy ciała męczarnie.

(Wchodzi PAFNUCY przewiązany pasem krwawym mnicha Franciszkana.)

Cóż to? czy krwawą latarnię
Duchy postawiły w sieni?
I wpuszczają mi tłum cieni
Skrwawionych, do mego domu?

PAFNUCY.

W chwilę chłopskiego rozgromu
Szablą Gruszczyńskiego zbrojny,
Szukałem zemsty — jak mściciel:
Aż mi szabli tej właściciel
Po śmierci, widzę, spokojny,
Zemsty nad ludem zabronił. —
Jakoż, zaraz mię nieznany
Strach ujął, siłęm uronił,
Miecz się giął jak ołowiany! —
Chłopstwo mię porwało srogie;
I poznawszy po tonsurze
Za księdza; ciało ubogie
Ustroiło w krwawe róże,
W Świętego Pranciszka pasy. —
Bo dziś wiek, że polskie lasy
Dotąd kwiatkami panieńskie,
Od pszczółek by lutnie brzmiące:
Widzą nagoście męczeńskie,
W czaszkach siekier pół-miesiące,
Ręce w płomiennych okowach.
Wszystkie męczeństwa oznaki:
Oprócz złotych słońc na głowach,

Bo te płomieniste ptaki
Później na czołach usiędą,
Gdy się nam duchy podniosą. —
Takem się ja przed komendą
Sawy, krwi okryty rosą
Meldował, cierpiąc katownie.
I miałem to już zasługą
Że z ran uleczon cudownie;
A pomny żem bożym jest sługą —
Widząc tu dwie wielkie głownie
Zgaszone Sawy szablicą,
Nad tą konającą świecą,
Której duch w płomienie spieszył
Tyle dokazałem słowy;
Że się ten duch purpurowy
Ugiął, a jam go rozgrzeszył.
Tak mi dopomogły duchy,
Że wydobyłem akt skruchy,
Jęk z pod smolnego płomienia,
I rozkaz, dany oczyma,
Które, szukając pierścienia
Na rękę, co jeszcze się zżyma,
Krwią leje i w prochu się rusza,
Zwróciły moją uwagę.

REGIMENTARZ, biorąc pierścień krwawnikowy z rąk Pafnucego, obraca się do Księżniczki.

Pierścień — to wielką ma wagę!
Bo to mię, Panno, przymusza
Ponowić ci prośby moje —

KSIĘŻNICZKA.

A ja zaś przy dumkach stoję.
Sawa z ust ognistych węża
Jak błędny rycerz szalony,
Wyrwał ten pierścień dla żony,
A ja z ręki mego męża
Biorąc, będę go nosiła.

REGIMENTARZ.

Sawa? Czyś głowę straciła?

Sawa słuszny kawaler, lecz nowy —
Nie wiem nawet czy szlachcic herbowy?

KSIĘŻNICZKA.

Dla mnie: rycerz Ukraiński,
A dla was już: Pan Caliński.
Na co dokumenta składam,
I te kościelne dowody.
A sama do nóg ci padam
Prosząc przyzwolenia i zgody
Na ślub, który ci oszczędza,
Panie, kościelnych wydatków,
Bo dawno już był dany przez księdza.

REGIMENTARZ.

Ty ślubna?

KSIĘŻNICZKA.

Lecz nakształt kwiatków
Jeszcze Panie nie dotknięta.

SAWA.

Na co złoży dokumenta.

REGIMENTARZ, do Sawy.

Pamiętaj, że z twoją szkodą
Bierzesz gadzinkę nadobną. —
Caliński był tu podobno
Kiedyś naszym Wojewodą?

SAWA.

Tak Panie, dla tych szpargałów
Ojca mojego zabito —
I te dokumenta skryto —

REGIMENTARZ.

Życzę wam długich zapałów!
Życzę szczęścia! — pij nektary
Z tej złoconej filiżanki,
A z trwogą. — Cóż to za mary?

(Wchodzą dwie POPADIANKI, niosąc za końce prześcieradło białe.)

POPADIANKA.

My ze stepu Popadianki
Przyszły z srebrnym darem w ręku.

Szczob tebi o brata Semenku
Prosyły —

REGIMENTARZ.

Na tom ja skałą.
Semenko wasz brat nie żyje —

POPADIANKI, odkrywając z prześcieradła Salomeę.

Witże, daj ciało za ciało —

REGIMENTARZ.

Co widzę? — białe lilije!
Moja szlachcianeczka trusia?
W srebrnem prześcieradle Salusia? —
Patrzaj Lwie — dzieciątko miłe!
Ach! mogiła za mogiłę!
Oddać im zwłoki kozacze.

LEON.

Ojcze puść. — Niech ją zobaczę.

REGIMENTARZ.

Trzymajcie go! Panie Boże!
On na to patrzeć nie może.

POPADIANKA.

Bud' szczasływ — że ty nam ciała
Nie odmówił — my szczęśliwe —
No, choć twa ręka wspaniała;
To my wspanialej wyrosły:
Bo wam dały ciało żywe,
A od was trupa wyniosły.

(Wychodzą.)

REGIMENTARZ.

Co mówicie? Synu! synu!
Patrzaj, kolorek rubinu
Wystąpił z ust bladziuteńki —
Jeden paluszek u ręki
Ruszył się — słońce w nią wpływa, —
Patrzajcie! ach żywa! żywa!
Żywa w moich rękach — o! widzicie!

(Podnosi ją w rękach.)

Moje ukochane dziecię!
W rękach moich żyć zaczyna
Bijąca sercem ptaszyna.

SALOMEA.

Co się ze mną biedną stało?
Czy ja w gorączce, czy chora?
Wczora usnęłam z wieczora,
I śniłam coś biało — biało —
Przez te dziewczyny spojona,
W krainie jakiejś bez brzegu,
Gdzie jedna tylko na śniegu
Plama — okropna — czerwona —
Ach strach mówić com ja śniła! —

REGIMENTARZ.

W naszyches ty rękach była,
Ciągleśmy widzieli śpiącą,
Duszkę twoją latającą,
Ciągleśmy, Panno, widzieli;
Teraz jaśniej nam! weselej
Że jesteś z nami dziewczyno!
A nim dwie pory przeminą,
Na Świętego klnę Franciszka,
Z weselnego pociągniem kieliszka.

LEON, klękając przed Salomeą.

Narcysie mój —

REGIMENTARZ.

Już różowy!
Już nie narcys ale róża —

SALOMEA.

Dla mego Anioła stróża
Ten wianuszek zdejmę z głowy.
Bo mię skrzydłami osłonił,
Stał ciągle nad moim łożem,
I narcysem łoża bronił,
Kiedym ja tam spała — z nożem
Skrytym pod moją poduszką.

REGIMENTARZ.

Nie myśl o tem moja duszko —
Wszystko dobrze się skończyło.
A kto tam już pod mogiłą
Dowiesz się. — Jesteś sierotą. —

Aleś moją gwiazdą złotą,
Jesteś moją córką drugą;
A syn mój będzie twym sługą
Choćby na lat sto tysięcy,
Lecz jeźli zechcesz, czem więcej
Tobie mój chłopczyna będzie. —
Ot daj mu rękę bo prosi,
(Salomea rzuca się klęczącemu Leonowi na ramiona.)
O tak! — jako dwa łabędzie
Jeden na swym grzbiecie nosi
Drugiego głowę w upały;
Tak mi dziatek tych dwie pary
Szczęsne, za ręce pobrały;
A ja w środku jak dziad stary.

LEON, klękając z Salomeą.

Błogosław mi ojcze z żoną.

REGIMENTARZ.

Chodźcie tu na moje łono!
A za te przestrachy senne,
Dziatki, odprawcie nowennę
Za dusze w czyszcu będące!
A potem niechaj wam płyną
Słodko, miodowe miesiące,
I raj utracony winą
Odkwitnie; a ja odnowię
Przez obchody bardzo świetne,
Te dwa małżeństwa sekretne,
Które wczoraj bym surowie
Karcił — a dzisiaj pochwalam.

SAWA, do Księżniczki.

Więc nie jeszcze?

KSIĘŻNICZKA.

Nie pozwalam
Aż tę nowennę odprawię.

SAWA.

Gołąbku z tęczowym pasem!
To ja pójdę ku Warszawie
I porwę króla tymczasem?

REGIMENTARZ.

A wy się już tam kłócicie!
Sawa! — czegoś jak dziad żebrze?

KSIĘŻNICZKA.

Chce mu się miesiąca w cebrze,
Chce się gwiazdy na błękicie.

REGIMENTARZ, do Sawy.

Nie znasz jej — a nie proś ładnie,
To sama ci na nos spadnie.
Sawo! chodźmy do kielicha
Spłukać z ust proch i krwawiznę:
A weźmy i tego mnicha,
Który się bił za ojczyznę. —
Obaczym czy dobrze pije —
Pierwsze zdrowie: Salomea niech żyje!
A polećmy kraj i siebie
Tej Salomei, na niebie,
Której święto nam przypada
W przed-ostatnim Listopada.

KSIĄŻĘ NIEZŁOMNY.

DZIEŃ I.

(Ogród nad morzem w Maurytanii. NIEWOLNICY pracują. Wchodzi ZARA służebna królewny Fezu.

ZARA.

Zaśpiewajcie niewolnicy!
Moja Pani, śród łazienki,
W perłowej igra miednicy,
Jak łabędzie bałamutne:
I prosi was o piosenki,
Ale tęskne — ale smutne —

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Czyliż naszych brzęk kajdanów?
Czyliż pieśni niewolników
Rozweselić mogą Panów?

ZARA.

Ona lubi śpiew słowików
Kiedy się po laurach gubi,
I piosenki wasze lubi.
Zaśpiewajcie — Fenix słucha.

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Nasza pierś boleścią głucha.
Ach! najgorsze przeznaczenie
I najgorsze to cierpienie
Śpiewać, kiedy serce boli!
Śpiewać temu co w niewoli —
Trzeba na to być ptaszkami
Bez rozumu.

ZARA.

Czyż wy sami
Nie śpiewacie bez rozkazu?

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Każda boleść chce wyrazu,
Kiedy w sercu jej za ciasno.
I my tłumim boleść własną,
Gdy nas z kajdan pieśń unosi.

ZARA.

Zaśpiewajcie, Fenix prosi.

NIEWOLNICY, śpiewając.

Czas jest panem tego świata,
Czas jest panem i mąk duszy;
Czegoż srogi czas nie skruszy,
Nad grobami gdy przelata!

ZARA.

Dosyć pieśni, Feniksana
Już omyta i ubrana,
Sama schodzi do ogrodu,
Użyć porannego chłodu.
Niech się każdy kwiatek lęka,
Że pięknością go zagasi;
Bo wychodzi jak jutrzenka.

(Wchodzi FENIKSANA córka króla Fezu i niewolnice jej: ESTRELLA, ROZA i SELINA.)

ESTELLA, do Feniksany.

Wstałaś piękna?

ZARA.

Wdzięk twój krasi
Cały ogród, oko pali.
Niech się jutrzenka nie chwali
Że ten ogród nie ciemnieje,
Bo nie ona światło leje;
Bo ogród ten, pośród gmachów,
Nie od drzew nabrał zapachów,
Nie od róż nabrał rubinów,
Białości, nie od jaśminów
Lecz od ciebie.

FENIKSANA, do Estrelli.

Daj zwierciadło.

ESTRELLA.

Nie dziw piękna, żeś ciekawa
Tej płci, na którą nie padło
Żadnej plamki.

FENIKSANA.

Głosi sława
Że ja piękna, że ja miła.
Gdyby to i prawda była
Cóż mi potem? kiedy źle mi! —
Nie wesoło na tej ziemi!

SELINA.

Cóż ci jest?

FENIKSANA.

Co jest? Selino!
Ach, gdybym ja to sama zgadła!
Gdyby mi to od zwierciadła
Powiedziano — ach dziewczyno!
Wnet bym sama boleść własną
Nakarmiła do przesytu;
I widziała w sercu jasno.
Ale teraz, w mgle przedświtu,
Czuję tylko że mię kruszy
Jakiś smutek i tęsknota;
I że to jest męka duszy,
Męka duszy i zgryzota,
Gdy w uczuciach się tych miota,
Których czuciem czuć nie może!

ZARA.

Jeźli cię, Pani, nie bawią
Te ogrody w barw ubiorze,
Gdzie wiośnie posągi stawią
Róże, w poplątanych czołach,
Na jaśminowych kościołach:
Obróć twe oczy na morze;
Kędy dla twojej tęsknoty,
Płynie wóz ze słońca złoty.

ROZA.

Gdy taki zachód zabaczy
Na morza ognistem łonie,
Ten cały ogród w rozpaczy,
I melancholjach utonie,
I zawoła idąc w cień:
Ach! jakże krótki był dzień! —

FENIKSANA.

Ani się tem roweselę,
Ani tem żądań ukorzę
Że moje smutki podzielę,
Pomiędzy ziemię i morze.
Że pójdę z myślami w tan,
I sprzęgę te oba światy;
Z pianami równając kwiaty,
Kwiaty równając do pian.
Bo ogród, kiedy zazdrośny
Spojrzy na fale szalone,
Chciałby tak płynąć jak one! —
I zaraz zefir miłośny
Dwa razy miłośniej dysze;
I szaleniej rozkochany,
Z gałęzi, które kołysze,
Czyni kwiatów oceany.
A morze, gdy się zasmuci,
Spojrzawszy na te ogrody,
Wnet ucisza szklanne wody,
Z fal wysokich pianę zruci:
I drugim prawom poddane
Równe zdobywa uroki —
Z szmaragdów mając zatoki,
Z błękitów piersi ulane.
I tak, tu kwiatowy łan,
I ogród pełen szkarłatów
Wydaje się morzem kwiatów:
Tam morze — ogrodem pian. —
Ach! cóż to za smutek głęboki
Ten smutek, co w sercu ma łoże!

Że nie dba na kwiatów uroki,
Na niebo, na ziemię i morze!

ZARA.

Wielki smutek twój! ach! i głęboki!

(Wchodzi KRÓL FEZU, ojciec Feniksany, z miniaturą w ręku.)

KRÓL.

Jeźli, moja Feniksana
Na piękność i smutek chora,
Chcesz być zdrowszą dziś, niż wczora,
I zdrowszą niż byłaś rano:
Oto jest portret Infanta
Maurytanów, Tarudanta,
Które cię uleczy pewnie
Na długo. — Cóż to? tak blada? —
Infant u nóg twoich składa
Koronę, jako królewnie,
A ten portret choć nie gada
Za niego, u nas zagości.
Każda niema ambassada,
Ambassadą jest miłości.
Za infantem najgorącej
Wstawiam się — bowiem mieć będę
Zięcia i dziesięć tysięcy
Przyprowadzonych łuczników,
Z któremi Ceutę zdobędę.
Płoń się córko — tych płomyków
Miłośnych tobie pozwolę. —
Owszem — serce puść na wolę,
Niech kocha przyszłego Pana.

FENIKSANA.

O Boże!

KRÓL.

Cóż tak zmięszana?

FENIKSANA, na stronie.

Wyrokiem śmierci!

KRÓL.

Cóż, przecie?
Trwogi te łatwo ukoim.

FENIKSANA.

Jestem twe posłuszne dziecię,
Ty Ojcem — ty królem moim.
(Na stronie.)
Cóż mu powiem? — ach, kochanku
Muleju! straciłeś żonę!
O nieszczęśliwy poranku!
O, chwile nie w czas stracone!
(Głośno.)
Ojcze! pokora mię łamie
Aż tu. (Kięka.) Aż do twych obówi.
(Na stronie.)
Dusza co to myśli — kłamie!
Kłamie głos, który to mówi!

KRÓL.

Weź portret!

FENIKSANA, biorąc miniaturę.

Ojciec przymusza?
(Na stronie.)
Ręce go biorą, nie dusza.

(Wchodzi SELIM dozorca niewolników.)

SELIM.

Mulej, twój wódz, Królu Panie
Prosi cię o posłuchanie —
Z Fezańskiego morza wraca.

KRÓL.

Niech wejdzie!

(Wchodzi MULEJ, wódz galer Fezańskich.)

MULEJ.

Gdzie zorza ozłaca
Tak wysokie Pańskie progi,
Gdzie człowieka czeka z drogi
Taka zorza, córka słońca:
Któż czoła nie rozpogodzi?
Nie uczyni z siebie gońca,
Za którym pomyślność nie chodzi?
Pozwól mi twej ręki, Pani!
Niechaj dar taki otrzymam

Jak najwierniejsi poddani,
Pełni serca i przymiotów:
Bo dla usług twych miecza się imam,
I dla usług twych zginąć jam gotów.

FENIKSANA, na stronie.

Cóż mu powiem? o chwilo boleści!
Cóż mu powiem? — ach umrę z rozpaczy!
(Głośno.)
O Muleju! czy dobre są wieści?

MULEJ.

Czy są dobre, sam Król to zobaczy,
I osądzi — podług mnie, będą dobre.

KRÓL.

Cóż tam przecie?

MULEJ.

Lecz serce miej chrobre,
I na wszystko, o Panie, odważne;
Bo czas ważny i wieści są ważne.

KRÓL.

Gadaj wszystko co wiesz, gadaj śmiało!
Kto ma duszę na wszystko wytrwałą,
Złe i dobre — z równą twarzą powita.
Siadaj córko. —

MULEJ.

Czyż mu wszystko obwieszczę? —

KRÓL.

Niech twarz złego nie będzie mi skryta.

MULEJ.

Trudno mówić — milczeć trudniej mi jeszcze.
Jakoś mi Panie polecił,
Wziąwszy tylko dwie galery,
Wypłynąłem z tego portu
Zwiedzić brzegi Barbaryjskie.
A jakoś chciał, bym podstąpił
Aż pod to miasto przesławne,
Przed wiekami zbudowane
U Herkulesowych słupów —
Ceutą u ludzi nazwane:

Które słowo u Hebreów
I u Arabów znaczyło:
Piękność. — Jakoż miasto owe
I dzisiaj w piękność rozkwita,
A na hańbę naszej wierze,
I na wstyd Mohametanom,
Na murach dziś portugalskie
Sztandary nosi i krzyże —
I przeciwko flotom naszym
Obrócone trzyma spiże,
I wieczny opór stanowi,
I wieczną skałę zakłada
Twych zwycięztw wielkiemu Nilowi!
A z Hiszpanią aż przez morze gada. —
Pod to miasto podpłynąłem,
Abym obaczył rynsztunek,
I wierny ci zdał rachunek:
Ile wież z krzyżowem czołem
Grozi ci marnemi trwogi,
Ile w nim stoi załogi;
Abym wypatrzył, jakiemi
Siłami weźmiesz je Panie,
Czy od morza, czy od ziemi,
Czy przez głód, czy szturmowanie. —
I wiem, że niebo ci chowa
To zwycięztwo i tę chwałę;
Abyś to miasto wspaniałe
Przywrócił do swej korony. —
Ale dzisiaj trwoga nowa,
Inna troska, z innej strony
Czeka cię Panie: i siły
Na Ceutę przygotowane
Będą Tangieru broniły. —
A to wiem — bo fale szklane
Depcąc jednego poranku,
O tej godzinie, gdy zorza
Wyziera nad szafir morza,
A na chmur ognistych wianku

Słońce swe rozwiesza włosy —
Po różach i po jaśminach
Śnieg i ogień udając i kłosy,
Sypiące się na fale: — w bursztynach
Owej zorzy, gościńcem odmętów,
Szła girlanda szarawa okrętów,
Niby stado tak nikłe, że z razu
Oczy moje powiedzieć nie śmiały,
Czy okręta to były czy skały. —
Bo jak na płutnach obrazu
Malarz, udawca natury,
Jedną kreską czyni góry,
Albo miasta, wielkie grody:
Tak i na błękitach wody
Gdy cień się ze światłem pomiesza,
Niebiosa do wód się nachylą:
Myśl różne straszydła wskrzesza,
I błąka, i oczy się mylą. —
Otóż z razu, myśl ciekawa
Obaczyła tylko tłum,
I parę i mgłę i szum;
Tak blizko przy nawie nawa,
I tak z daleka płynęły. —
Potem — gdy niebios dotknęły
Najwyższemi żagłów pióry,
Pomyśleliśmy że chmury,
Chmury wielkie, czarne, chyże,
Co po niebie lotem gonią;
I deszcze poczną w szafirze,
A tu kryształy uronią. —
I tak długośmy mniemali.
Bo zdawała się tak wielka
Gromada ludzi — że z fali
Mórz, nie zostanie kropelka,
Kiedy ją w hełmy rozbiorą. —
Potem, statki z piany runem,
Jak potwora za potworą,
Kiedy idą za Neptunem,

I z pod skał ciągle wychodzą
Nowe i nowe straszydła. —
Nagle! — gdy podniosły skrzydła
Całe w słonecznych opalach,
I otrząsły je na falach,
Myśleliśmy że fale je rodzą. —
W tem bliżej — ujrzały wzroki
Wyraźniej, już nie obłoki,
Już nie skrzydła, nie Trytony:
Ale jakieś Babiljony,
Idące po złotej ziemi
Z chorągwiami ognistemi. —
Wtenczas, spostrzegły i żebra
Okrętów, tłukące je wały,
Pod niemi, jak góry ze srebra,
Pod niemi z krzyształu jak skały.
Wtenczas, poznawszy że flota
Tak wielka i tak przemożna:
Kazała rycerska cnota,
W niebezpieczeństwach ostrożna —
Bo i to w rycerzu waży
Gdy się dobrze ma na straży, —
Kazała mi, mówię, Panie,
Jako świadomszemu morza,
Skryć się w tajemne przystanie,
Między dwa skalne wydroża,
Gdziem bezpiecznie mógł stać z galerami.
Otóż ta flota, przed nami
Przepłynęła — nie spostrzegła.
A ja chcąc wiedzieć gdzie biegła?
Komu niosła miecz zagłady?
Wypłynąłem za nią w ślady,
I tu — Bogu memu chwała —
Spotkałem jeden z Armady
Okręt.
Wiadomo że cała
Flota, na morzu odkryta,
Była srogą burzą bita —

Otóż, jedna smętna nawa
Co większej doznała szkody;
Potrzaskana i dziurawa,
Chwiejąca się, pełna wody,
Nie mogąca jej wyzionąć;
Za każdym nowym bałwanem —
Już — już — już zdająca się tonąć,
Stała na morzu. — O Panie!
Choć ja jestem Maurytanem
Sądzę, że politowanie
W takiem nieszczęściu i stanie
Od Maurytan się należy? —
Przybiegłem jak sokoł bieży,
I stanąłem jej przy boku. —
A ci rozbici — ach jaka
Chęć życia w ludziach! — gdy nagle
Ujrzeli mię jako ptaka,
Ze skrzydłami ze skrą w oku:
Mimo bojaźń — sznury, żagle,
Przemieniali na drabiny,
I szli w klatkę jak ptaszyny,
I sami łańcuchy brali —
A drudzy im urągali,
Widząc schronionych bezpiecznie,
I drabiny tnąc toporem
Krzyczeli: że umrzeć z honorem
I wolnym — jest to żyć wiecznie —
I w morze rzucali ciała —
Portugalska próżna chwała!!!
Od jednego więc z tych wziętych
Wiem, że owe pawilony
Wypłynęły aż z Lizbony,
I po falach idą wzdytych
Tu na Tangier, klnąc się Bogiem,
I rycerstwem, że Dej stary,
Tu, nad wieżyc swoich rogiem
Ujrzy te same sztandary
Co są w Ceucie. — Los batalii

To pokaże że się mylą! —
Podług nich, Król Portugalii
Przed którym światy się chylą,
Którego zwycięzka sława,
Sztandary swoje zatyka
Aż tam, gdzie ziemi nie stawa,
Gdzie rzymski orzeł lot traci:
Wysłał obu swoich braci
Fernandesa i Henryka —
Aby tu ich wiek ciekawy
Ujrzał obu w słońcach sławy;
I za wielkie nasze klęski
Przyklasnął, jako wiek klaszcze.
Fernand, to Mistrz Awiceński,
Henryk, to Mistrz Chrystusowy;
Oba noszą białe płaszcze,
Rządzą wielkie dwa zakony;
Jeden krzyż ma purpurowy,
Drugi wielki krzyż zielony. —
Oba wiodą różnej broni
Do czternastu aż tysięcy;
A niepłatnych jeszcze więcej,
Co idą jak na popisy!
A do tysiąca aż koni,
Poprzebieranych w tygrysy,
Na jednorożce przekutych —
Taka fantazya jest u tych
Hiszpanów!!!
Te więc szeregi
Depcą może nasze brzegi,
Albo już u lądu stoją.
Spieszmy, o Panie, z obroną!
Weź miecz i okryj się zbroją.
Weź tę chorągiew zieloną,
Podobną do gromów obłoka —
Chorągiew naszego Proroka!
Niech ze mną straż idzie przednia.
I niech się sprawdzi nad niemi

Moabitów przepowiednia;
Że tu, w tych piaskach, w tej ziemi
Co nas nosi na swem łonie,
Jest grób Portugalskiej koronie.
I niech widzą nasze oczy,
Jak ta ćma czarnego sokoła
Przefarbuje nasze zioła,
I morze krwią na czerwień przebroczy! —

KRÓL.

Muleju dość! nie mów dalej,
Bo mi żyły krwią wybryzną.
Bo dla serca co się pali,
Każde słowo jest trucizną.
Pomyślę, aby te franty,
Ci dumni, zostali w Afryce!
Pomyślę, by tu ciemnice
I grób znaleźli Infanty.
Muleju, weź nieco konnych,
Ruszaj zaraz na mórz brzegi
I broń, aby te szeregi
Brzegów naszych nieobronnych,
Nie wzięli bez krwi. Krew ci powie
Jak uczynić w tym razie należy;
I uczynisz jak czynili ojcowie!
Ja tymczasem zgromadzę rycerzy
A pośpiechu i sił nie poskąpię,
I po tobie krok w krok tam nastąpię.
I pokażę że dzień jeden zakończy
Krwawe nasze wiekowe turnieje;
Że mi Ceutę do korony przyłączy,
A tu, Tangier krwią Hiszpańską obleje.

(Wychodzi.)

MULEJ.

O Feniksano! blizki czy daleki,
Tak skarg już moje nauczyłem wargi,
Że zawsze one gotowe do skargi,
I śmierć je chyba zagłuszy na wieki.
A choć nie umiesz zazdrości ocenić,

Choć mię obwiniasz że uchybiam tobie;
Napróżno chciałbym wyrazy odmienić,
Bo zazdrość o słów nie myśli ozdobie.
Cóż to za portret? o dziewczyno sroga!
Cóż to za portret ręka twoja pieści?
Któż to jest? powiedz, kto to jest, na Boga! —
Ach nie powiadaj! dosyć już boleści —
Dość że go twoja biała ręka trzyma,
Że nim jak różą zerwaną kołysze.
Ach dosyć dla mnie, że widzę oczyma.
Niechaj przynajmniej z twoich ust nie słyszę.

FENIKSANA.

Pozwoliłam ci abyś mię miłował,
Nie pozwoliłam, abyś mię obrażał!

MULEJ.

Jam już wyrazów prędkich pożałował,
Bom w żalu mówił i na styl nie zważał.
Ja wiem że mówić potrzeba inaczej.
Ale któż myśli o słowach w rozpaczy?
Milczeć? — aeh miłość potrafi ogłuchnąć,
Milczeć. — Lecz zazdrość ta musi wybuchnąć —
Musi wybuchnąć!

FENIKSANA.

Chociaż mi się zdaje
Żeś nie zasłużył bym się tłumaczyła,
Ponieważ różnych mam wymówek siła,
A mam ich wiele — najlepszą ci daję.

MULEJ.

Więc masz wymówkę?

FENIKSANA.

Mam.

MULEJ.

O, Bogu dzięki!

FENIKSANA.

Ten portret z ojca mojego mam ręki.
A przysłał mi go —

MULEJ.

Kto?

FENIKSANA.

Fezki królewic.

MULEJ.

W jakim zamiarze?

FENIKSANA.

Bo mój ojciec stary,
Który się nie zna nic na sercu dziewic —

MULEJ.

Co?

FENIKSANA.

Pretenduje, oraz ma zamiary
Te dwa królestwa Fezu i Tangieru —

MULEJ.

Dość! Ta wymówka jest podobna zeru —
Taką wymówkę dajesz? o nie dzięki!
Nie dzięki tobie. — Czy masz lepszą inną?

FENIKSANA.

Ale ten portret ja mam z ojca ręki,
I sądzę, żem jest zupełnie niewinną.

MULEJ.

Winnaś! — bo trzeba było — trzeba było —
Choćby ci ojciec zagrażał mogiłą,
Portret odrzucić! —

FENIKSANA.

Jakąż dać przyczynę?

MULEJ.

Nie wiem — co skłamać —

FENIKSANA.

Z kłamstwa ja nie słynę —
Cóż miałam czynić?

MULEJ.

Co? — umrzeć w potrzebie —
Jabym to łatwo uczynił dla ciebie!

FENIKSANA.

Przymus był wielki.

MULEJ.

Ach! serca zmienienie! —

FENIKSANA.

Przymus i siła —

MULEJ.

Któż się podda sile?

FENIKSANA.

Cóż więc być mogło?

MULEJ.

Moje oddalenie!
Ach, oddalenie podobne mogile,
Które mię w grobie ciemnym położyło.
A teraz jeszcze drugi raz odjadę,
A ty mię drugą nakryjesz mogiłą.

FENIKSANA.

Otóż Muleju, dam ci jedną radę;
Abyś tu zaczął skarżyć się w Tangierze,
I aż do Fezu ciągnął to stękanie —

MULEJ.

Zaprawdę boleść moją tak rozszerzę,
Że aż do Fezu za tobą dostanie.

FENIKSANA.

A teraz bądź zdrów, jedź, bo już nie rano —
Przymus ci każe opuścić te mury.

MULEJ.

I odsyłasz mię? o, Feniksano?
I nie oddasz mi tej miniatury?

FENIKSANA.

Ach jak smutna to chwila — ach smutna!
Miniatura ta na mnie spoziera!

(Wychodzi.)

MULEJ.

Więc ci z ręku ją wyrwę, okrutna!
To co serce mi z piersi wydziera.

(Wychodzi.)

ZMIANA I.

(Brzeg morski, słychać wrzask i zgiełk wylądowania. — Wchodzą na scenę DON FERNAND i DON HENRYK Infanci Portugalscy. — DON ŻUAN COUTINIO i ŻOŁNIERZE.)

DON FERNAND, skacząc na ląd.

Pierwszy, o piękna Afryko, wyskoczę
Na twoje brzegi i nadepcę nogą.

A ty czuj jak cię moją stopą tłoczę,
A ty czuj Pana, i poddaj się z trwogą!

DON HENRYK.

Ja drugi skoczę na ląd.

(Wyskaknje i pada.)

O! mój Boże!
Aż tu ścigają za mną wróżby czarne?

DON FERNAND.

Nic, Don Henryku, wróżba nic nie może
Przeciw krzyżowi — strachy to są marne.
A że upadłeś? to ja tak tłómaczę,
Że ziemia, pana uczuwszy i Księcia
Sama się jemu chciała dać w objęcia —

DON HENRYK.

Ziemia to pusta. — Araby tułacze
Poszli w pustynie —

DON ŻUAN.

Tangier zawarł bramy.

DON FERNAND.

W mieście my naszych wrogów poszukamy.
Niech z harmat pierwej wystrzelą na salwy.
Ty, Don Żuanie Coutinio z Miralwy
Idź i pod miasto podbiegnij zamknięte;
Ostrzeż, niech próżną nie drażni obroną
Ognia i miecza, bo gdy będzie wzięte
Domy się zwalą w krew, kościoły spłoną.

DON ŻUAN.

Wkrótce pod miejską ujrzycie mię broną;
Choćby to miasto, na dymu ciemnicy,
Stało jak wulkan z krwi i z błyskawicy.

(Odchodzi.)

(Wchodzi BRYTASZ trefniś.)

BRYTASZ.

Chwała Bogu! że przecie stoję o swej sile
Na brzegu, kędy maje widzę i apryle;
A już nie te przeklęte bałwany i szkuty,
Kakatosy, maestry, gdzie człowiek ma buty
Ale chodzić nie może; gdzie od kul ucieka,

To wpada w morze, kędy pan ludożer czeka.
Jak to mówią u ludzi spadł z rynny pod wodę —
Dość morza — lubię lepszą na ziemi wygodę —
(Całuje ziemię.)
Kochana ziemio moja noś mię, ja człek lądu —
Radbym ostatecznego doczekać się sądu
Na ziemi, nie na morzu. — —

DON HENRYK, do Fernando.

Co ty nań uważasz?

DON FERNAND.

A ty czemu się wróżby marnemi przerażasz?
Dla czego smętny stoisz z rozwianemi włosy?

DON HENRYK.

Duch mój pełny przestrachu. Przeciwne nam losy!
Z Lizbony wyjeżdżając, gdy szeregi dzielne
Wsiadały, to ja strachy widziałem śmiertelne.
Zaledwo Barbaryjskich dotknęliśmy lądów,
Słońce, jak gdyby na dzień ostatecznych sądów,
W chmury krwawe zabiegło i w niebiosa wklęsło —
A morze ciemne, czarne, okrętami trzęsło.
I teraz gdy nań spojrzę, to kolor ma taki
Jak krew. Patrz na niebiosa, zewsząd czarne ptaki!
Patrz nad morzem — jakby z mgły posępne osoby.
Patrz na ziemię — zdaje się że wszędy są groby,
W które za każdym krokiem człowiek błędny wpada.

DON FERNAND.

Moja miłość inaczej to wszystko wykłada.
Że nam burza uniosła jeden okręt zbity?
To zwyczajny przypadek. — Że niebios błękity
Zaćmiły się i kolor wzięły szczerozłoty?
Poważny? to nie groźba ale cześć dla floty.
Że potwory za nami wyzierały z morza?
Że czarną chmurą ptaków migotała zorza?
To nie przeciw nam wróżba, lecz strach na Araby!
Wszakże tych ptaków nasze nie niosły koraby —
Nie ciągnęły za sobą — ale tu znachodzą;
Więc tej Arabskiej ziemi owe wróżby szkodzą —
Jeżeli są wróżbami. Maur niech patrzy na nie.

Ale my, mój Henryku, oba Chrześcijanie,
My, cośmy nie dla marnej tu przyszli potęgi,
Nie poto, aby nami zaczernione księgi,
Po wielu wiekach, o nas do ludzi gadały —
My, cośmy tu dla Boga i dla Jego chwały,
Abyśmy kościół jego szablami podparli;
Z tą wiedzą, że zarówno obabyśmy zmarli,
Choćbyśmy tylko szczęścia szukali jak drudzy —
Czegóż się boim Boga! wierni Jego słudzy?
Czemuż my się na wróżbach oparli nie na nim?
My, cośmy przyszli z naszej krwi ofiarowaniem —

(Wchodzi DON ŻUAN.)

Ale cóż to? od pola? —

DON ŻUAN.

Książęta!
Kiedym wasze wypełniał rozkazy,
Tam, gdzie góra w łuk zagięta
Łamie się w piętra dwa razy,
Usłyszałem, w strasznej wrzawie,
Pod nieba strefą niebieską,
Zlatującą konnicę Fezką. —
Zdawało się że żórawie,
Na Pigmeów w wielkim gniewie,
Szary klucz na niebie klecą —
Ziemia nie wie i wiatr nie wie,
Czy oni biegną, czy lecą.

DON FERNAND.

Idźmy powitać te wrogi.
Niech strzelce staną na czoło —
Siodłać konie, a wesoło!
Wdziać kolczugi — od głów do nogi
Zbroić się i stawać w szyku! —
O, szczęśliwy dzień, Henryku!
Zwycięztwo nam w ręce dane.

DON HENRYK.

Ja twój brat, przy tobie stanę.
Piersi także mam niezłomne,

O strasznych wróżbach zapomnę,
I pokażę że śmierć mię nie trwoży,
(Wychodzą i słychać odgłos walki.)

BRYTASZ, sam.

A ja tam gdzie śmierć się sroży
Nie pójdę — w każdym hazardzie
Ja stoję na arjergardzie,
I wulkan ze mnie wybucha. —
(Patrząc na walkę.)
Ach jaka tam zawierucha!
Jaki blask, jaki bój srogi! —
Niech się biją — a ja w nogi! —
(Ucieka.)

(Wchodzą DON HENRYK i DON ŻUAN.)

DON HENRYK.

Łatwo brać zwycięzkie laury —
Uciekają zbite Maury.

DON ŻUAN.

Pole całe pełne łupów,
Koni, mieczów, siodeł, trupów.

DON HENRYK.

Gdzie Don Fernand?

DON ŻUAN.

Z całą linią
Arabów, znika w obłoku.

DON HENRYK.

Chodźmy za nim Don Coutinio.

DON ŻUAN.

Zawsze obaczysz mię przy twoim boku.
(Wychodzą.)

ZMIANA II.

(Pustynia. — Wchodzi na scenę DON FERNAND ze szpadą Muleja — i MULEJ rozbrojony, z tarczą tylko.)

DON FERNAND.

Tu, na tej ogromnej puszczy,
Co zdaje się grobem ludzi;

Gdzie krew z ciał pobitych pluszczy,
Koń leży i pan się nie budzi —
Sam zostałeś, Maurze młody,
Nad pobitemi narody.
I twoje gdzieś orle źrebię,
Przez pola pobiegło krwawe,
Tocząc pianę i kurzawę,
Pod sobą kurz, a pianę z siebie —
I oddało cię bez broni,
Łupem tej rycerskiej dłoni.
Horyzont jak okiem objęty,
Podobien do jednej trumny.
A ja twojem wzięciem dumny —
Więcej dumny, żeś ty wzięty,
Niż że te pola oblane
Są krwią, aż tam gdzie w błękit giną,
Tak, że oczy smętne tą ruiną,
I czerwienią tą jak obłąkane,
Odwracają się, nie wiedząc gdzie natrzeć
Ostrzem wzroku znużonych promieni;
Aby ciągle na nieszczęścia nie patrzeć,
Aby ciągle nie widziały czerwieni. —
Ja, gdym cię silnym ramieniem
Wziął, mężnego tak wojaka;
Wybrałem sobie rumaka,
Z próżnem siodłem i strzemieniem;
Którego ojciec był burzą,
A matka była płomieniem! —
Bo płomienie i wiatry mu służą,
Równe jemu robiąc rodowody.
A ja jeszcze powiem, że był z wody,
Taką sierć miał i rzadkie tak piegi;
I tę wodę przemienię na śniegi,
I znów powiem że wody był synem.
A co do prędkości — delfinem,
A co do krwawości — był smokiem,
Co to lotu — był mówię obłokiem,
Co do nozdrza — był szczerym rubinem,

A był orłem gdy puścił się lotem —
A gdy piersią uderzył — był grzmotem.
A pod dumnym szedł z dumą szlachecką,
A pod starcem, jak starzec poważnie,
A pod cichym, spokojnie jak dziecko,
A pod silnym, jak rycerz odważnie:
I na jego kark i siodło jego
Siadłem z tobą, jak z broni kolegą;
A on zda się, jak łódź, co się ślizga,
Pruł się piersią przez krwawe bałwany,
I gniotł pole, co krwią naszą bryzga.
Ale czy to jego wnętrzne rany?
Czy ta myśl? zwyciężonych tak blizka:
Że kark jego zwycięzca uciska; —
Czy nad tobą może zlitowany?
Gdy pomyślał: że obu nas wiedzie,
Obu włożył na kark swój niechętny:
«A ten Hiszpan taki wesół gdzieś jedzie!
A ten Arab jedzie taki smętny!»
Ach i może ta myśl nie pozbyta
Że Ojczyznę zdradza, mnie unosząc?
Padł, oczyma litości nas prosząc,
I załamał się na cztery kopyta
I dech oddał! —
I powiedz mi teraz
Czemuś taki smutny, przyjacielu?
Gdy się wracam, a obracam się nieraz;
Choć mi taisz twą boleść, Arabie,
Widzę jasno żeś pełny trosk wielu!
I podobnyś jest żelaznej sztabie
I tej stali co zgięta odskoczy —
Lecz ból, wulkan, przez usta i oczy
Ciągle z ciebie jak ogień wybucha:
Niepodobna! by takiego ducha
Marna boleść poddała swej woli?
Abyś cierpiał tak na tej niewoli
Ty, co wolność przedałeś tak drogo?
Inna jakaś być musi przyczyna?

Jeźli troski podzielić się mogą
Jeźli sądzisz żem na to zasłużył?
Mów, o! Maurze, dla trosk to jedyna
Prawie ulga — a jam serca nie zużył,
I obaczę, widząc ranę twoją,
Czy ta rana jest z tych co się goją.

MULEJ.

Widać żeś równie szlachetny
Jak odważny, mój Hiszpanie.
Równie mieczem jak językiem,
Umiesz czynić zwyciężonych.
Miecza twego niewolnikiem
Było ciało, co nie boli —
Teraz wziąłeś do niewoli
Mego ducha. Doskonały
Jesteś rycerz! Na dwie bronie;
Moc masz i w ręku — i w łonie —
Twoim jeńcem jestem cały.
A ponieważ ty wzruszony
Litością, pytasz Hiszpanie,
Czemu ogień i żal słony,
Sypią mi z oczu perłami?
Uczynię tobie wyznanie,
I sercu ulżę ustami.
Nie dla tego że mię boli
Serce, i skarżyć się pragnie! —
Bo nieszczęście do skarg mię nie nagnie —
Ale że to z twojej woli,
Ażebym ci się poskarżył —
Wiedz, że jestem urodzony
Synowcem króla Fezkiego,
A zowią mnie Mulej Chekke —
Królewska krew płynie we mnie,
I serce mi wielkie grzeje.
Bowiem ród mój uświetnili
Różni Basze, Belerbeje —
A rodziłem się w tym roku
Gdyście wy Gelwy tracili;

I ze smutnego wyroku,
Matce kosztowałem życie.
Smętne fortuny igrzysko!
Gelwańskie, krwi pełne pole,
Było mi pierwszą kołyską.
A odtąd — ciągłe niedole,
Nieszczęścia mnie ciągłe gonią,
I pokoju ciągle bronią.
Albowiem, kiedym do Fezu
Przybył, dziecko, z moim stryjem,
Przyjechała tam dziewica,
I w blizkim domu, przez ścianę
Stanęła, i odtąd serce
Zostało w niej rozkochane,
I do śmierci tak zostanie.
Ach! bo ta miłość, Hiszpanie!
W zawiązkach swoich tak drobna,
Zaczęta w dzieciach tak tkliwie;
Taka zda się niepodobna! —
Gdy sobie serce tłómaczy —
Ani się skończyć szczęśliwie,
Ani się skonczyć inaczej;
Ani się mogąca dźwignąć,
Ani zerwać, ni ostygnąć! —
Z tą miłością wychowani
Rośliśmy, Panie, oboje.
I dziś zarówno nas rani
Ta miłość, w serc naszych dwoje
Ciskając razy niemylne,
Na serce słabe i silne —
Ach — z mojem tak uczyniła
Jako woda z marmurami!
W które ciągle bije łzami;
I tak będzie ciągle biła,
Ciągle biła, aż je strawi,
I w marmurze ślad zostawi.
Tak łzy me nowe i nowe
Na serce pięknej spadały;

Aż serce twarde, ze skały,
Serce jej dyamentowe,
Na które sto razy spadły;
Przegryzły na wskróś i zjadły —
Ach, i nie moje to cnoty,
Że teraz serc naszych dwoje,
Są, jakoby dwa powoje,
Wzajemnemi wite sploty!
W tym stanie, przeżyłem lata,
Zapomniawszy prawie świata.
Rozpływając się w jej wdziękach,
W pierwszej miłości jutrzenkach;
Pijąc pierwsze tajemnicze
Troski i pierwsze słodycze. —
Gdy oto, w nieszczęsnej chwili,
Rozstałem się z nią na czas krótki;
I ztąd idą moje smutki,
Ztąd płynie mój żal ogromny;
Bo ją z drugim zaręczyli,
Kiedym ja był nieprzytomny! —
Teraz powiedz, czym szaleniec
Że klnę fortunie bogini?
Tamten jest wolny — jam jeniec!
Jam jest daleko — on przy niej!

DON FERNAND.

Szlachetny Maurytańczyku,
Dobrze mi smutki wykładasz!
Jeźli tak kochasz — jak gadasz?
Tak cierpisz? — jak w serca krzyku
Słychać, gdy boleść malujesz;
Jeźli tak z ognia usychasz?
Ach! i tak tęsknisz, jak wzdychasz?
Ach! i tak wzdychasz, jak czujesz?
Widzę że wiernie miłujesz;
Więc honorowi nie skłamię —
Wodzu Maurytańskich galer
Idź, i powiedz swojej damie,
Że Portugalski kawaler

Przysłał cię za niewolnika,
A ją ci daje za Pana.
A jeźli obligowana —
Bo to dziewic serce łechce —
Skarby swoje poodmyka,
I płacić za ciebie mi zechce?
Ten okup weź Maurze młody,
Bo będzie wielki jak sądzę;
Zmień na miłości pieniądze,
I miej z niego wieczyste dochody.
A teraz jedź mi szczęśliwie,
Oto koń twój własny wraca.
Ja wiem, że kto kocha tkliwie
Temu czas płynie leniwie;
Więc ci czasu, Arabie, ukraca
Moja miłość; a ty się nie zmuszaj,
Siadaj na koń rycerzu, i ruszaj!

MULEJ.

Słów mi teraz nie staje w potrzebie!
Ale wdzięczność ma inne oznaki.
Wiem że daru przyjęciem pochlebię —
Lecz mi powiedz, proszę, ktoś ty taki?

DON FERNAND.

Portugalczyk i szlachcic — nic więcej.

MULEJ.

Pokazałeś to czynem i słowy.
Bądź co bądź, w grunt nie siałeś jałowy.
Twój niewolnik —

DON FERNAND.

Ujeżdzaj co prędzej!
Koń twój czeka.

MULEJ.

Więc otwierasz mi szranki?
Więc chcesz aby serce w niewolniku
Uderzyło znów przy sercu kochanki?

(Siada na koń za sceną.)

DON FERNAND.

Tak, zaprawdę, szlachetnym być trzeba.

MULEJ, z poza sceny, z konia.

Hej! szlachetny mój Portugalczyku!

DON FERNAND.

Co mi powiesz?

MULEJ.

Gdy pozwolą mi nieba
To ci kiedyś za dar taki odpłacę.

DON FERNAND.

Bądź szczęśliwy!

MULEJ.

Teraz ja się bogacę —
Ale dar twój, Panie, nie padł w wodę.
I na końcu, na ziemi odbierze
Swoje żniwo, i swoją nagrodę.
Mój Hiszpanie, niech Allach cię strzeże.

(Odjeżdża.)

DON FERNAND.

Jeźli Allach Bogiem, niech cię broni.
Lecz cóż to za tentent koni
Co to za trąby i krzyki
Którym powietrze przyklasło?
Tam, z drugiej strony kotły słychać, Marsa hasło.
Ha! mój brat Henryk!

(Wchodzi DON HENRYK.)

DON HENRYK.

Gdzie jesteś Fernandzie?
Dawno cię szukam.

DON FERNAND.

Cóż tam za nowiny?

DON HENRYK.

Bracie! Fezanie idą i Murzyni,
Budząc te echa! Tarudant z wojskami
Królowi Fezu przybył dla odsieczy!
A król podparty z Maurytańczykami
Zrobił wycieczkę, bije nam na czoło;
Kiedy Tarudant nam odwrotu przeczy.
Zewsząd straszliwe nieprzyjaciół koło
W swoje żelazne objęło nas wieńce.

BIBLIOTEKA KRASZEWSKIEGO
84

Oblężający mi i oblężeńce!
Z tej ciemnej chmury co się na nas toczy
Błyskawicami bici w same oczy,
Zmięszani. — Cóż nam Fernandzie zostało?
Powiedz, co czynić?

DON FERNAND.

Co? umierać z chwałą!
Niech nacierają ci oba aljanci,
My na śmierć idźmy jako wojownicy,
Jako dwaj Mistrze, jako dwaj infanci —
A choćby tylko jak Portugalczycy!
Idźmy i krzyczmy hasło dwóch zakonów
Ave i Chrystus — hasło nasze stare;
I stańmy oba na czele szwadronów,
I umierajmy, mój bracie, za wiarę!

(Wchodzi DON ŻUAN.)

DON ŻUAN.

Złe lądowanie jest wszystkiemu winą.

DON FERNAND.

Nie czas się teraz zatrudniać przyczyną
Złego — gdy zewsząd wróg i krew i jęki —
Do poratunku trzeba użyć ręki
Przeciwko siłom Tangieru i Fezu.
Za mną! — W twe Imie Przenajświętsze Jezu!
Za mną! — —

(Wychodzą wszyscy; z drugiej zaś strony na pustą scenę wchodzi BRYTASZ.)

BRYTASZ.

Otóż i śmierć! otóż i sztuka!
Pięknie ten rycerz swojem hasłem puka
W bramy niebieskie; klucze przenajświętsze —
Pewnie otworzą mu te wielkie gmachy,
Gdzie święty mieszka aż na siódmem piętrze.
Co do mnie, czuję nieśmiertelne strachy,
Które mi sercem jak djabły szamocą.
Rozmyślam na co mi tutaj i poco?
A z rozmyślania to wynika mego,
Że odtąd mam się już za umarłego.

(Pada na ziemię i udaje zabitego. Wchodzi DON HENRYK w pojedynku z MAUREM.)

MAUR.

Kto się broni tak uparty?
Szabla moja, piorun żywy,
Który spada aż ze sfery czwartej!

DON HENRYK, depcąc Brytasza.

Choć co krok, ja nieszczęśliwy
Chrześciańskie depcę ciała;
Ręka moja nie omdlała,
Nie straciłem mocy w duchu.
Jeźli ja piorun? ty trup. — Ty piorun? ja skała.

(Wychodzą z Maurem bijąc się.)

BRYTASZ.

I prawda że mnie dobrze nadeptał po brzuchu.

(Wchodźi DON ŻUAN w pojedynku z Mulejem.)

MULEJ.

O! Rycerzu, twoje męztwo
Nie widzi, że słabo walczę;
Że chciałbym ci dać zwycięztwo.

DON ŻUAN.

Co mi powiadasz zuchwalcze?
Nie przyjmuję takich danin.
Broń się. —

(Depce Brytasza.)

O straszliwa męka!
Gdzie nadepcę i spojrzę na trupa, Chrześcianin!

(Wychodzą bijąc się.)

BRYTASZ.

Nadeptał mnie lecz o mnie, niechaj się nie lęka.
A gdyby lżej mnie deptał, to byłby rozumny.

(Wchodzi DON FERNAND cofając się przed nacierającym KRÓLEM Fezu.)

KRÓL.

Portugalczyku dumny
Oddaj mi twoją szpadę;
Pod strażą cię zostawię,
I rękę na sercu kładę
Że obejdę się łaskawie;

Choć twojego miecza znaki
Na piersi rozdartej noszę.
Powiedz, mężny, ktoś ty taki?

DON FERNAND.

Nie dam ci mego nazwiska
Ani szpady — o śmierć proszę.

(Wchodzi DON ŻUAN i ciałem swojem zakrywa Fernanda.)

DON ŻUAN, do Króla.

Ten miecz, o panie! co w twym ręku błyska,
Już okręcon koło głowy;
Przez tę pierś chyba dostanie,
Jak przez mur dyamentowy,
Mego księcia. (Do Fernanda.) O, mój Panie!
O, mój książe! krzep się w sobie.
Teraz, teraz ja przy tobie
Aż do śmierci. —

KRÓL.

Stój, co słyszę?
Księcia Fernanda oglądam?
Większego łupu nie żądam.
I ten wielki dzień zapiszę
Pomiędzy najszczęśliwszemi. —
Zatrzymać ludu zagładę.
A ty — królowi tej ziemi
Fernandesie, oddaj szpadę.

(Wchodzi MULEJ.)

MULEJ, na stronie.

Co widzę? o! biada jemu!

DON FERNAND, oddając szpadę.

Królowi tylko samemu
Oddaję ten oręż święty,
Niechcąc jak desperat ginąć.

BRYTASZ, wstając.

Jak widzę próżne wykręty!
łańcuchem nie można się minąć.

(Wchodzi DON HENRYK.)

DON HENRYK.

Ach! co widzę? brat mój wzięty! —

DON FERNAND.

Patrzaj, ale boleści nie wydawaj głosem —
Bo to, mój miły bracie, zwycięztwo nad losem,
Jeźli go człek wolny umie
Upokorzyć i poddać pod jarzmo swej dumie.

KRÓL

Tak Henryku, twój brat się dostał do niewoli —
A choć mogę, i słuszność mi sądzę pozwoli,
Abym go na śmierć skazał — serce mam ruszone.
Bom tu przyszedł na własnej korony obronę;
A los, który mię panem niespodzianym robi
Waszej krwi, więcej waszą niewolą ozdobi.
Więc owszem! z ciągłą myślą o tym niewolniku
Powracaj do ojczyzny, i powiedz Henryku
Duartowi królowi, że temu poruczę
Więźnia, co mi przywiezie złote Ceuty klucze!
Nie inaczej. A teraz, jako moja własność,
Do Fezu ze mną raczy twa Książęca Jasność.

DON FERNAND.

Jako u mojej sfery słońcem, idę wszędzie.

MULEJ.

Ach! serce moje smutek dwojaki posiędzie,
W miłości i w przyjaźni mając swe powody.

DON FERNAND.

Henryku, ja zostaję tu pełen pogody;
Na złe i dobre — wytrwam jak ludzie niezłomni.
Jedź i proś brata niechaj o mnie się upomni
Jako Pan Chrześciański.

DON HENRYK.

On się zobowiąże —

DON FERNAND, przerywając, mówi z powagą.

Niech się upomni jako Chrześciański Książe —
Jak katolik.

DON HENRYK.

Takim ja mój bracie powrócę.

DON FERNAND.

Teraz pozwól, że w twoje objęcia się rzucę,
I uściskam, bracie mój Henryku kochany!

DON HENRYK.

Ty wzięty, a mnie kładziesz na szyję kajdany?

DON FERNAND.

Bywaj zdrów Don Żuanie!

DON ŻUAN.

Żywot mój bez celu —
Ja tu, z tobą!

DON FERNAND.

Więc zostań ze mną przyjacielu.

DON HENRYK.

O! dzień pełny nieszczęścia!

DON FERNAND.

Wszyscy bądźcie zdrowi!
Jedź Henryku — i powiesz odemnie królowi —
Nie, nic nie mów! — słowom to powierzać daremnie.
Ot, tylko te łzy moje zanieś mu odemnie.

(Rozchodzą się: Don Fernand z Maurami, Don Henryk ku brzegowi morskiemu.)

DZIEŃ II.

(Ogród Króla. — Na ganku pokazuje się FENIKSANA.)

FENIKSANA.

Zara! Estrella! Roza! — Cóż?
Nikogo nie ma oprócz róż?

(MULEJ wychodzi z po za wzgórza.)

MULEJ.

Piękna! w wołaniach imię zmień,
Ja ci odpowiem lutni słodka!
I oko twoje mię napotka,
Boś ty jest słońce — ja twój cień.

Za tobą chodzę nakształt chmur —
I słysząc echo twego głosu,
Wołanie twoje, zszedłem z gór. —
Co dumasz?

FENIKSANA.

Ach! z mojego losu
Girlandy sobie czarne plotę.
W górach, gdzie jedno pochlebne,
Wolne, niewdzięczne i srebrne,
I słodkie i szepczące tęsknotę
Źródło ma tajemną grotę;
I ztamtąd strumieniem bieży,
Kwiaty łąkom malujące.
Pochlebne — bo szepce coś łące
A własnym słowom nie wierzy;
Niestałe źródło i zwodne,
Bo chociaż szemrze — pogodne;
Wolne — bo otwarcie gada
Gdy głos zefirom poruczy;
Szalone — bo ze skał spada,
A słodkie — bo w trawach mruczy,
A głośne — bo słyszane zdaleka!
A niewdzięczne — bo ucieka.
Tam, przy tem źródle, zmęczona
Ściganiem za jedną sarną,
Z melancholią moją czarną
Ległam — a góry tej strona
Pokryta, nakształt płomyków,
Krzyczącą jaśnią gwoździków,
Jakoby falą karminów,
I szmaragdami jaśminów
Błyszczała. — Ledwo z tęsknotą
Smętnym się oddałam dumom,
I samotnym źródła szumom,
I wielkiej ciszy: — gdy oto
Szmer usłyszałam za sobą:
Przelękła, skoczyłam z trawy,
I twarz w twarz, z ciemną osobą,

Z duchem kobiecej postawy,
Z czarną spotkałam się marą.
Z Afrykanką suchą, starą,
W łachmanach, z pochyłym grzbietem;
Z cieniem człowieczej postaci,
I z cienia tego szkieletem
Zeszłam się. Zda się pień drzewa,
Co korę spruchniałą traci,
I bursztynem się oblewa.
Gdy czarne myśli naraisz,
Czarne wróżby ci przychodzą;
I straszą i sercu szkodzą,
Nim się do nich przyzwyczaisz.
Gdy mię wzięła ta szalona
Za rękę, szatańskie plemie!
Myślałam że wrosłam w ziemię,
Że byłam drzewem jak ona —
W oczach mi czarno i dymno —
Od jej rąk szło we mnie zimno;
I broniłam się daremnie,
Od niej strach przechodził we mnie —
A jej głosy obłąkane,
Pełne urągań bezczelnych,
I jadów pełne śmiertelnych,
Ciche, zaledwie szeptane,
W sercu się odbiły głucho,
Tak jak węże, lazły w ucho.
«Nieszczęśliwa niewiasto!» wrzasła —
«Nieszczęśliwa! śmierci będziesz łupem!
Proś, by piękność ta twoja zagasła,
Wprzód nim zmarłych zostanie okupem.
Tak — ta piękność twoja będzie ceną,
A kupiony towar będzie trupem!»
To wyrzekła — a ja taką sceną
Zatrwożona i dotąd lękliwa,
Pół-umarła, a jeszcze pół-żywa;
Ach, i lepiej bym cała umarła!
Niżby ta wróżba straszliwa

Wiedźmie téj wydarta z gardła,
Była prawdą — nim wejdę w mogiłę,
Nim te oczy blask niebios utracą. —
Ach, więc ciało ludzkie? ciało zgniłe!
Oszacują i mną żywą zapłacą?
(Wychodzi.)

MULEJ.

Porzuć piękna te rozpacze! —
Ja ci te sny, pełne trwogi,
Jedynie przez mój los srogi
Rozwiążę i wytłómaczę.
Tarudanta masz być żoną?
A jeźli go nie pokonam,
— Ach na samą tę myśl konam! —
To pewnie, że moje łono
Na dwoje mieczem rozkroi,
Nim go twa miłość napoi —
Więc zawsze widzę zdaleka
Jak mi los okrutny grozi;
Za mnie, martwego człowieka,
On cię dostał i uwozi:
I tak — o! moja Syreno!
Przyszłość, wróżbę sprawdzoną zobaczy;
Bo ty mego trupa będziesz ceną,
Bo z miłości skonam i z rozpaczy.

(Ustępuje na stronę. Wchodzi DON FERNAND, bez broni ale w książęcym ubiorze. — NIEWOLNICY pracujący w ogrodzie zbiegają się ku niemu.)

PIERWSZY NIEWOLNIK.

W tym ogrodzie, kopiąc grzędy,
Skorośmy tylko postrzegli
Panie, że przechodzisz tędy:
Wszyscyśmy oto przybiegli
U nóg twoich się położyć.

DRUGI NIEWOLNIK.

Bóg nam pozwolił tej pociechy dożyć!
I tę nam ulgę w nędzy dał jedyną!

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Tyś jest litośny! bo łzy twoje płyną,
Ty niewolników litujesz się męce.

DON FERNAND.

Bracia! podajcie mi ręce.
Bóg, co widzi ludzkie duchy,
On wie, że temi rękami
Chciałbym zdjąć wasze łańcuchy;
Ale nie mogę. — Bóg z wami! —
Pracujcie cicho i skromnie,
A częściej o nim niż o mnie
Pamiętajcie. — Smętna chwila!
Ale też miejcie nadzieję,
Bo zło, gdy nad miarę przeleje
To się często na dobre przesila.
Pomnąc, że i w ostatecznym
Razie odwaga pomoże.
Idźcie — i z losem koniecznym,
Sercami nie bądźcie w sporze!
Uwaga ta, niech was czyni
Odważnymi na fortuny upiora;
Bo to dziwna na świecie bogini!
Trup z niej dziś — a kwiat był wczora —
To się może znów jutro zaśmieje.
O Boże! Cóż dawać rady,
Kiedy ten tłum taki blady,
I smętny — takie łzy leje!
Trzeba te nauki schować
Aż ich serca jęk nie zgłuszy. —
Chciałbym was czem udarować;
Ale nie mam nic przy duszy,
Przebaczcie mi przyjaciele! —
Nadzieją się z wami dzielę.
Bo sądzę, że nam z ojczyzny
Co pewnie tam o nas pamięta,
Przybędą wkrótce okręta,
Zgoją cierpienia i blizny:
Wtenczas — co ja mam na świecie,
To będzie moje i wasze:
Wszystkich! — rękami opaszę! —
Wszyscy ze mną pojedziecie! —

Teraz, idźcie już biedacy,
Srogo bardzo spracowani;
Idźcie znów do waszej pracy,
I bądźcie Panom poddani! —

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Twoje zdrowie, Panie nasz,
Nieszczęsnym nam dodaje sił.

DRUGI NIEWOLNIK.

Bogdaj ty setne lata żył!
Bóg ciebie weź pod swoją straż!

(Niewolnicy odchodzą.)

DON FERNAND.

Duch mój został pełny mąk,
I w smętnem dumaniu stoi:
Żeście wy od moich rąk
Biedni, tak odeszli z niczem!
Biedni! biedni bracia moi! —
Któż nad sercem niewolniczem
Ulituje się prócz Boga?

(MULEJ wychodzi z ukrycia, gdzie patrzał na poprzednią scenę.)

MULEJ.

Tu byłem. I żałość sroga
Zdjęła mnie — i z uwielbieniem
Patrzałem, z jaką miłością
Traktowałeś niewolniki.

DON FERNAND.

Zaprawdę, żem przejęty litością
I przejęty był cierpieniem,
Patrząc na te męczenniki,
Które Pan do taczek pędza —
I uczyła mię ich nędza,
Jak znosić więzy haniebne,
I los swój dźwigać biednemu: —
Kto wie? — może mnie samemu
Wkrótce to będzie potrzebne.

MULEJ.

Co Wasza Jasność powiada?!

DON FERNAND.

Co? — kto się Infantem rodził,
A dziś Pan nim obcy władnie:
Niech wie, że los często spada,
I spadł już — i jeszcze spadnie. —
W Infanctwo mię już ugodził:
A kto wie — może niżej pokłoni? —
Dzień za dniem nieszczęsny goni,
I płacz z płaczem w łańcuch wiąże!

MULEJ.

Nie mniejszy mój ból, o Książe!
Chociaż innego rodzaju.
Bo Wasza Jasność do kraju
Jak sądzę wkrótce powróci —
Ale to, co mię tu smuci
Ratunku znaleźć nie może!
Troska moja bezimienna —
Fortuna jak księżyc zmienna.

DON FERNAND.

Gość jestem na waszym dworze;
I twój los mię serdecznie obchodzi —
A tyś mi nie dał nowiny?
Jak się tam tobie powodzi
Z sercem tej cudnej dziewczyny?

MULEJ.

Łaski były na mnie zlane;
Ale wielką tajemnicą
Usta przypieczętowane,
I tą pieczęcią zamknięte —
Lecz przyjaźń ma prawa święte,
Więc z jakąm winien różnicą,
Tym dwom, a równym potęgom,
Obojgu serca przysięgom:
Powiem, mową nieudolną,
Ile mi powiedzieć wolno,
I com ci winien istotnie. —
Miłość ma cierpi samotnie,
I bogata jest i biedna;

Bo jak Feniks na świecie jest jedna,
I nie ma podobnej sobie —
Miłość moja jest na próbie;
Bo dla oka, myśli, duszy,
Feniks jest skrą wyobraźni;
Feniks, powodem katuszy
Dla czucia, miłości, bojaźni!
Feniks nadzieję mi niszczy,
Gdy wątpię i czuję trwogę —
Lecz gdy się na duchu wzmogę,
Feniks mi nadzieją błyszczy.
Feniks, moją wieczną troską!
Feniks, moją iskrą bozką! —
Tak mej przysięgi nie łamiąc,
Przyjaźni fałszu nie zadam:
Bo o Feniksie ci gadam,
I nie milcząc i nie kłamiąc.

DON FERNAND.

Więc ci powiem bez ogródki,
Otwarcie — żeś nie wart litości:
Bo Feniksem są twe smutki,
I Feniksem ty jesteś miłości. —
Lecz mój ból, miły kolego,
Mój smutek — to co innego —
Ludzie go pojmą nie jedni,
Bo to jest smutek powszedni,
I wielu już tak cierpiało.

(Wchodzi KRÓL Fezu.)

KRÓL.

Książe, oto za tą skałą,
I tam, za temi parowy,
Kazałem przyrządzić łowy.
Nim słońce swój wieniec spali
Pośród pereł i korali,
Strzelce zaskoczą z przeciwka.
I tygrysa nam napędzą.
Dla Księcia to będzie rozrywka.

DON FERNAND.

Panie! twe ręce nie szczędzą
Ciągłych łask. Utrudzasz głowę,
Zawsze wynajdując nowe
Rozrywki, rozrywkom bliźnie;
Jeźli tak zwykłeś, pan dziki,
Traktować twe niewolniki?
To zapomną o Ojczyźnie!

KRÓL.

Więźniom takim jak ty Panie,
Którzy Panów swoich szczycą,
Takiem winien traktowanie.

(Wchodzi DON ŻUAN.)

DON ŻUAN.

Panie, idź i spójrz strzelnicą
Na morze, a mówię szczerze,
Ujrzysz najpiękniejsze zwierzę,
W którem się i dzikość szczera,
I ludzka maluje sztuka.
Jedna Chrześciańska galera
Do drzwi tego portu stuka.
A taka piękna i wolna,
Choć cała czarna i smolna;
Że nam pojąć niepodobna,
Patrząc na tego sokoła,
Jak ona razem wesoła,
I w wesołości żałobna?
Wszyscy tam wysoko stańcie,
Portugalski herb ujrzycie.
Żałoba ta po Infancie
Prędko nam pociechę zlegnie;
Bo z jej lotu po błękicie
Widać że po niego biegnie.

DON FERNAND.

Przyjacielu, Don Żuanie
Omyli cię ta rachuba.
Zły to znak, to jej ubranie,
I ta żałoba jej gruba.

Oj byliby oni biali
Gdyby po mnie przyjechali!

(Wchodzi DON HENRYK z pargaminem w ręku, w grubej żałobie ubrany — ze świtą.)

DON HENRYK.

Rąk mi pozwól Tangierski mocarzu.

KRÓL.

W szczęsny czas Wasza Jasność przybywa —

DON FERNAND, do Żuana.

Don Żuanie! już ja na cmentarzu —

KRÓL, na stronie.

Ceuta, moja! —

DON HENRYK.

Niech mi wasza Mościwa
Łaska, brata uściskać pozwoli.

DON FERNAND, ściskając brata.

Mój Henryku — czemu tej niedoli
Znak na tobie? i twarz taka blada?
Dość! — Twa postać mi to sama powiada.
Słów nie trzeba, bo mówią twe oczy. —
Nie płacz bracie, ja wiem co cię boli,
Ja wiem co ci serce tłoczy.
Masz mi donieść że zostanę w niewoli? —
Ha! to dobrze, ja tego i żądam.
Nie potrzebnie cię w żałobie oglądam;
Mógłeś przyjść tu wesoło i w bieli,
I mnie mógłeś uścisnąć weselej,
I ucztować na każdym popasie. —
Jak się ma brat mój miły i król mój?
Nic nie słucham, aż powiesz, jak ma się
Brat i Pan mój —

DON HENRYK.

O! bracie — ach ból mój
Bez wyrazów — ach, ty nie wiesz co czuję —
Niech raz tylko poselstwo sprawuję,
A ty bracie, co mi towarzyszysz
Sercem w mowie, raz me słowa usłyszysz,
I dość będzie jednego słuchania!

(Do Króla Fezu.)

Panie! chociaż na tej górze,
Gdzieś przybył dla polowania;
Nie w stolicy twojej murze:
Podaruj mię swą uwagą,
A tego jeńca wolnością! —
Kiedy wielką nawałnością
Kiedy wielką fal przewagą
Bici, na morskich rozruchach,
Utraciliśmy armadę:
Gdy Infant został w łańcuchach;
Gdy te wieści, jędze blade
Rozkołysane przez dzwony,
Przyleciały do Lizbony
Z wiatrem, co po morzu dyszał;
Kiedy król o nich usłyszał:
To bez żadnej prawie skargi,
Wpadł w melancholje serdeczne,
A z melancholji w letargi,
A z letargów we sny wieczne!
I zwłoki jego dziś leżą —
Płacze go ciżba nabożna;
A ludzie patrząc dziś wierzą
Że z boleści umrzeć można. —
Niebieska mu świeci chwała!

DON FERNAND.

Tyle brata kosztowała
Moja niewola!

KRÓL.

Wie Alła
Ile mię ta śmierć zasmuca —

DON HENRYK.

Otóż król co świat porzuca,
W swym testamencie pozwala,
Owszem, każe dać fortecę
Ceuty, za Infanta osobę —
A ja przywdziawszy żałobę,
Od króla Alfonsa lecę,
Jako od dziedzica tronu,

Którego jeszcze nie znacie —
Oto, z tym aktem —

DON FERNAND, wyrywając pargamin.

Stój bracie!
Słowa te pełne pokłonu,
Nie tylko że nie są godne
Krwi królewskiej i wyrodne,
Niegodne są ust Infanta!
Nie godne Mistrza zakonu,
Od którego wiara czeka
Wsparcia i wiecznego zelanta: —
Lecz nie godne są człowieka,
I nie godne barbarzyńca,
Co nigdy o Chrystusie nie słyszał —
Że mój brat — niech mu Bóg świeci —
Włożył ją do testamentu
Tę klauzę — to tylko na to,
Aby u ludzi wiedziano
Że brat dba o swego brata. —
Nie na to, aby czytano
I tłómaczono to słownie —
Jeźli rzekł: oddajcie Ceutę? —
To ma się znaczyć, że trzeba
Powolnie, albo gwałtownie,
Z pomocą ludzi i nieba
Upomnieć się o Infanta.
Jakżeby król katolicki,
Jak on, wierny, sprawiedliwy?
Taki król jak on! — nie żywy,
Na swój proch, oddany laurom,
Kładł taką okropną plamę?
By Ceutę oddawać Maurom!
Tę Ceutę — miasto te same
Gdzie on pierwszy, zdjęty żarem,
W imię przenajświętsze Pańskie,
Ze szpadą i ze sztandarem
Przyskoczył i Chrześciańskie
Chorągwie zatknął na wieżach!

A teraz byłożby czynem
Godnym tej sławy w rycerzach,
By miasto — które wyznało
Że Chrystus jest Boga synem —
Kościoły pozakładało,
Gdzie się Imię Jego święci
Pośród serdecznych płomyków,
I męka ma na pamięci —
Aby kościoły już stare,
Przez ludzi, przez katolików, —
Przez ludzi, co moją wiarę
I tego Boga wyznają,
Przez ludzi, co serca mają!
Przez nas?! przez Portugalczyków
Były?! — Aby te kościoły,
Które złoconemi czoły
Podpierają mleczne pasy,
Jak naszej wiary Atlasy;
I na krzyż złoty pobożny,
Wieszają słońca czerwone:
Aby przez księżyc dwurożny
Były na niebie zaćmione,
Jęcząc tak jak męczennice?
Więc że teraz te kaplice
Opuścilibyśmy tajnie?
Oddawszy na stodoły i stajnie?
Albo, czego ten Maur łaknie,
Na Mahometa meszkity? —
Gdy to mówię — tchu mi braknie!
Gdy myślę — stoję jak wryty;
Język mi w ustach kościeje,
Włosy wstają, pot się leje,
I drży całe moje ciało! —
Bo choć to nieraz bywało
Że jaka stajnia uboga
Ugościła Pana Boga,
I dała mu sen w swoim żłobie —
Lecz meszkity?! Boże! Panie!

Ach! toby na naszym grobie
Napisano: tu Chrześcianie
Przewrotnym podobni Panom,
Wygnali Boga z kościołów,
Boga i Jego Aniołów,
I oddali je szatanom!
I byłożby sprawiedliwie,
Ażebyśmy Boże gmachy
Gdzie my stoim jak szyldwachy!
Mając cały świat pod nami
W zatrwożeniu i podziwie;
Teraz otwierali sami,
Wpuszczając tam nasze wrogi?
Ażeby ten lud ubogi,
Chrześciański a gorący,
Z miasta wychodził płaczący,
Z dobytkiem, z całą rodziną —
A my, na te łzy co płyną
Patrzalibyśmy gnąc szpady?
Aby osadnik, nie rady
Zmieniał wiarę dla majątku?
Aby tam Arab, dzieciątku
Urodzonemu bez winy,
Wlewał fałsz trupa z Medyny,
Za młodu kalać zaczynał,
Do swojej wiary naginał,
Do swych zapędzał namiotów,
Do swego zamykał płota? —
Więc dla jednego żywota?
Tyle Chrześciańskich żywotów!
Tyle łez wylanych z powiek! —
Cóż ja? czym więcej niż człowiek?
Cóż mię równa z ludzi likiem? —
Czy to że byłem Infantem? —
Więc oto nie Infant ze mnie,
Oto jestem niewolnikiem;
Już nie korony brylantem.
Gotów jak drudzy nikczemnie

Żyć i tu Pana bogacić.
I któż wam każe tak płacić
Za niewolnika? — Niech płaci
Niewolnik ciałem i gardłem!
Bo kto swoją wolność straci,
Ten, mówię, ludziom umiera.
Więc ja — dawno już umarłem — —
Któż mię dziś z trumny wydziera?
Któż chowa na większe czyny?
Daj! — niech drę te pargaminy!
Niech drę na świstki tę kartę,
Niech drę na kawałki gadu —
I jeszcze je zjem już podarte,
Aby nie zostało śladu.

(Drze pargaminy i kawałki połyka.)

A teraz Królu, i Panie
Rozkazuj mi, panuj srogo,
Jak chcesz. — Niewolnik zostanie
Którego kupić nie mogą.
Naż niech mię łańcuchy strzegą,
Niech robią na rękach blizny:
Cierpliwością cię nasycę. —
Henryku! wróć do Ojczyzny
I mów: żeś mię tu w Afryce
Zostawił pogrzebanego.
Bo ja z żywota mojego
Taką rzecz pokorną zrobię;
Jakbym na prawdę był w grobie,
Wspomnienia ludzi nie warty,
Z oczu ludzkich i z myśli już starty, —
Chrześcianie! Książe Fernand już skończył!
Losom swoim on jeszcze nie sprostał,
Lecz co do was, czas służby już wybył. —
Maury! oto niewolnik wam został. —
Niewolnicy! brat jeden wam przybył,
Aby nędzę z niedolą połączył,
I łzy swoje połączył z waszemi!
Wy niebiosa! oto człowiek na ziemi,

Panu swemu kościoły zakłada,
Założone podpiera na skale.
Morza! morza! do fal waszych pada
Jedna łza co powiększy wam fale;
A wy góry! oto człowiek pospołu
Ze zwierzęty do jaskiń ucieka;
Wichry! wichry! oto nędzarz was z dołu
Westchnieniami zaklina i wścieka;
A ty ziemio! oto garstkę popiołu
Rzuca tobie i zewłok człowieka
Co z robaków twoich włoży laury —
A to wszystko by ten król i te Maury,
I ten Infant i ziemi gdzieś końce,
Chrześcianie i księżyc i słońce,
I niebiosa i ziemia i chmury,
I zwierzęta i morza i góry;
I kto jeszcze na powietrzu przytomny,
A pieczęć żywota nosi
Tu widzieli: — jak książe niezłomny,
Wiarę swoją przeświętą podnosi,
W obronie praw bożych stawa,
I przed Maurami wyznawa
Boga przenajświętsze imię.
A choćbym w działowym dymie,
Śród mieczów i ludzkich grotów,
Bronił od ludzkiej obrazy
Niewymówionych przymiotów
Tej, co poczęła bez zmazy:
A miał w sobie sto żywotów?
Oddałbym żywot sto razy!

KRÓL.

Twardy, niewdzięczny człowieku?
Także mi za łaski moje
Odpłacasz? — Jak śmiesz robaku
Tego mi właśnie odmawiać,
Czego najwięcej żądałem?
W państwie cię tak traktowałem
Jako brata, jako syna;

Nie czułeś prawie niewoli.
Lecz teraz przyszła godzina
Że cię twój łańcuch zaboli,
I los cię ukole srogi.
Tu więźniu! z duszą robaczą!
Tu sam! niech wszyscy zobaczą
Jak ty mi całujesz nogi! —

(Fernand klęka mu do nóg.)

DON HENRYK.

O nieszczęście!

MULEJ.

O cierpienie!

DON ŻUAN.

Boże! co za poniżenie!

KRÓL.

Do mnie twe należy ciało.

DON FERNAND, wstając.

Tak zaprawdę, ale mało,
Mało to ci mocy doda,
Panować nad kościami mojemi:
Bo ta ziemia, to gospoda
W ogromnej naszej podróży:
I na to wyskoczył z ziemi
Człowiek, by się z losem kłócił;
I na końcu każdej burzy,
Znowu do ziemi powrócił.
Więc żeś mi kazał pochyłą
Twarzą paść tu gdzie proch leży!
Za to ci wdzięczność należy,
Bo mię oswajasz z mogiłą.

KRÓL.

Ponieważ jesteś w niewoli,
Za tem więc idzie z porządku,
Że nie możesz mieć majątku,
Ni pieniędzy, ani roli.
Więc ponieważ ciebie trwoga
Może zmusić — lub bicz Pana? —
Czemuż mi Ceuta nie zdana?

DON FERNAND.

Bo nie moja jest Ceuta, lecz Boga!

KRÓL.

Nie jest że to pierwsze prawo,
Że niewolnik pana słucha?

DON FERNAND.

Nie przeciwko prawom ducha
Ma niewolnik słuchać pana.
To nie pies nęcony strawą!
Ale uchrystusowana
Natura, z woli przymiotem,
Która służy — grzech ją maże.

KRÓL.

Podły jeńcze, zabić każę.
Dam ci śmierć! —

DON FERNAND.

Śmierć jest żywotem.

KRÓL.

Więc życiem ciebie obdarzę,
Ale takiem że się zlękniesz
I sam śmierci będziesz chciwy!
Bo jam srogi —

DON FERNAND.

Ja cierpliwy.

KRÓL.

Obaczymy — zaraz zmiękniesz.
Hej! —

(Wchodzi SELIM dozorca niewolników.)

SELIM.

Co Panie?

KRÓL.

W mgnieniu oka
Wziąść go, niech mi stóp nie plami,
I porównać go z jeńcami.
Niech jego postać wysoka
Ugnie się pod równą nędzą;
Niechaj go do łazien pędzą —
Niech moich koni dogląda,

Dać mu w ręce taczki, grabie;
A zdjąć te jasne jedwabie
I ubrać w szarak ubogi;
Dać chleba, gdy jeść zażąda;
Spleśniałą wodę niech pije!
Łańcuch mu włożyć na szyję,
Łańcuchami okuć nogi.
W mazamorach bez podłogi,
Na wilgoci niechaj lega.
Niech jego orszak służebny
Tym samym prawom podlega
Co on! —

DON HENRYK.

O! wyrok haniebny!

MULEJ.

O żałości!

DON ŻUAN.

O rozpaczy!

KRÓL.

Zobaczy ten jeniec! zobaczy!
Czy mi jego duma sprzeczna,
I cierpliwość, na tej próbie
Wytrwa! —

DON FERNAND.

Wierz mi, wytrwa tobie,
Bo ta cierpliwość jest wieczna.

(Wychodzi za dozorcą niewolników.)

KRÓL.

Henryku! a co do ciebie,
To ci powrotu nie bronię.
Wracaj i powiedz w Lizbonie
Niech się w popiołach zagrzebie,
Bo stracon ratunek wszelki;
Bo jej Infant, jej Mistrz wielki
Został tu — czyści mi konie.
Niech mu z ratunkiem przychodzą.

DON HENRYK.

O przyjdą! klnę się przed światem
Że przyjdą pod Boga wodzą.

A że ja tu z moim bratem
Nie został, choć serce boli?
To dla tego królu Fezki,
Że przyjdę, jak syn królewski,
Uwolnić brata z niewoli! —

(Wychodzi ze świtą.)

KRÓL.

Czyń co ci rozum poradzi.

(Wychodzi.)

MULEJ.

A teraz nic mi nie wadzi
Ażebym się Fernandowi
Z długu wdzięczności uiścił.

(Wychodzi.)

ZMIANA I.

(Inna strona ogrodu. Zdala pracują niewolnicy i widać Fezu mury. Wchodzi DON FERNAND w niewolnika siermiędze i SELIM.

SELIM.

Król każe i to stanowi
Abyś tutaj ogród czyścił.
Posłuszny więc bądź królowi
I schyl do pracy ramiona.

DON FERNAND.

Cierpliwość moja srogość królewską pokona.

(Wychodzi z Selimem.)

PIERWSZY NIEWOLNIK, zbliża się śpiewając.

Oj na Tangier wysłał król —
Jaki ból! jaki ból!
Na podbicie wysłał świata
Don Fernanda, swego brata,
Posłał król! posłał król!
Aby zawojawał Fez;
Ile łez! ile łez!
Don Fernanda wysłał król —
Ile łez! jaki ból! —

(DON FERNAND wchodzi i zdala słucha tej piosenki.)

DON FERNAND.

Już z historji mojej jest piosenka —
Już ją słyszę żałośnie śpiewaną.
Smętny jestem, i serce mi pęka!
Duszę jakby mam zaturbowaną —
I zlęknioną —

PIERWSZY NIEWOLNIK, nie poznając Księcia.

Co ci jest niewolniku?
Czy ty nie wiesz że wolność mieć mamy?
Infant wraca i wszyscy wracamy;
A tu na tym mogilniku
Nie zostanie z nas żaden! z nas żaden!

DON FERNAND, na stronie.

O! jak prędko tę nadzieję stracicie!

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Przynieś bracie wody na ten gradyn
Polać kwiaty.

DON FERNAND.

O wodę prosicie? —
O jak dobrze! jak dobrze! że do mnie,
Który z wami smętne życie wiodę,
Udajecie się bracia po wodę.
Bo zaprawdę — że choć cierpię niezłomnie;
Jakiś robak, tu, serce mi toczy,
Pełne serce, i łez pełne mam oczy.

(Bierze wiadra na plecy i wychodzi.)

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Nam do łaźni iść teraz wypada,
Gdzie już poszli wszyscy niewolnicy.

(Wchodzi DON ŻUAN, szukając oczyma Księcia między niewolnikami.)

DON ŻUAN.

Szukajmy czy ta gromada
Gdzie mego Księcia nie mieści?
Może go ci robotnicy
Widzieli? — szukam go wszędzie.
Przy nim i mniej mi boleści,
I siły w sercu przybędzie. —

Bracia, powiedźcie mi, proszę,
Czyście tu gdzie nie widzieli
Noszącego kwiatów kosze
Księcia Fernanda?

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Nie bracie.

DON ŻUAN, na stronie.

Pomóżcie święci anieli!
Bo łez utrzymać nie mogę.

PIERWSZY NIEWOLNIK.

W łaźni go pewnie spotkacie.
Pokażemy tobie drogę
Do tej gorącej piekielni.

(DON FERNAND wchodzi z wiadrami na plecach.)

DON FERNAND, patrząc w niebo.

Czy się nie zlękniecie śmiertelni
Widząc w takiem pohańbieniu
I mizeryi Infanta korony?
Mistrza Avis? czy w zastanowieniu
Czas nie stanie, jak stają zegary?!

DON ŻUAN.

O mój Panie! jaki ty zbiedniony!
O mój Panie! w jakiem ty odzieniu!
O mój książe! do jakiej ty mary
Już podobny! jak żal cię już strawił!!

DON FERNAND.

W imię Ojca! — wielkiś smutek mi sprawił
Tem odkryciem, drogi Don Żuanie.
Ja się chciałem tu ukryć w łachmanie
Między ludźmi własnemi; w tym cebrze
Nosić wodę, jak człowiek co żebrze
I pracuje, tak biedny jak oni.

PIERWSZY NIEWOLNIK, klękając.

Przebacz Panie! i daj mi twej dłoni.
Jam nie wiedział kto jesteś — nas wielu
Nie wiedziało —

DRUGI NIEWOLNIK.

Całujemy twe nogi,
Przebacz Panie!

DON FERNAND.

Wstań mój przyjacielu.
Ja ci równy, niewolnik ubogi,
Jak ty — Pana mego teraz własność.

DON ŻUAN.

Wasza Jasność —

DON FERNAND.

Puść! jaka tam Jasność!?
Rzuć ten tytuł, mój drogi biedaku!
Jaka proszę mi jasność w żebraku?
Jasność!? — Jestem ci równy kolego,
I ty teraz traktuj jak równego,
I wy wszyscy traktujcie jak brata.

DON ŻUAN.

Czemuż piorun mię w proch nie obróci!
Czemuż czaszki mi grom nie rozpłata!

DON FERNAND.

Don Żuanie! to serdecznie mię smuci,
Że utrzymać nie umiesz powagi —
Jako szlachcic — i potępiam tę żywość. —
Bo zwątpiłeś w nieba sprawiedliwość;
A tu trzeba spokojnej odwagi
Ufającej.

(Wchodzi ZARA z koszykiem.)

ZARA.

Chodźcie tu niewolniki.
Feniks, moja Pani, prosi
Ażebyście te koszyki
Napełnili kwiatami.

DON FERNAND, biorąc koszyk.

Ja pierwszy
Będę kosił je tak, jak śmierć kosi.

DRUGI NIEWOLNIK.

Idźmy tam gdzie ogród szerszy.

ZARA.

Ja z ganku patrzę za wami,
Jak chodzicie za kwiatami
I polewacie je łzami.

DON FERNAND, do niewolników.

A wy bez tych już pokłonów,
Bracia moi ukochani,
Losem my już porównani;
A jeszcze Królowa zgonów
Jutro we drzwi zakołace,
Szczerszą równość postanowi:
Więc bracia, na co tę pracę
Zostawiać jutro grobowi?

(Wychodzi z Don Żuanem i z niewolnikami.)

(Wchodzi FENIKSANA i ROZA.)

FENIKSANA.

Czy posłałaś niewolniki
Po kwiaty?

ZARA.

Zaraz powrócą.

FENIKSANA.

Zasmuciły mię słowiki,
Kwiaty może odesmucą
I kolorami zabawią.

ROZA.

Twe fantazje takie ładne
I piękne, że ach! nie zgadnę
Jakie ciebie smutki trawią,
Gdy je kwiatami malujesz?

ZARA.

Cóż? ty cierpisz? — cóż ty czujesz?

FENIKSANA.

Nie sen to był — ale widzenie,
Ale mój los i przeznaczenie.
Bo czy nieszczęsnemu śni się,
Że znalazł gdzie skarby duże?
Brylanty jak jaja kurze
W perłowej leżące misie?

Czy mu się przyśni że czyta
Napis literami krwawemi
Że wszystko stracił na ziemi,
Tak że we śnie aż zazgrzyta?
Jeźli go nieszczęście tłoczy;
Zarówno obudzonemu
Spojrzy świat w zbudzone oczy
Nieszczęściem. — Biada biednemu!
Ach i mnie nieszczęsnej biada,
Na którą los taki spada,
Że za umarłego mię dadzą.

ZARA.

Na to płacze nie poradzą.
Jeźli ciebie takie smutki rozdarły?
Jakże cierpieć ma, ach! ten umarły?

FENIKSANA.

Któż słyszał o takim losie
Jak ten co nademną świta!
Nieszczęśliwa ja kobieta!
Wykąpana w kwiatów rosie,
Jako perła czysta, biała,
Biała jak srebrne łabędzie;
Przy żółci trupiego ciała —
A ten trup — ach kto on będzie?
Zda mi się żem go widziała,
Ciągle mi się w oczach roi.

(Wchodzi DON FERNAND, z koszem kwiatów i staje nagle przed Feniksaną.)

DON FERNAND.

Ten trup — tu — przed tobą stoi.

FENIKSANA.

Co widzę? Anieli w niebie!

DON FERNAND.

Cóż cię trwoży?

FENIKSANA.

Ty! twoja twarz! —
Strach mię zdjął patrząc na ciebie.

DON FERNAND.

I zaprawdę słuszność masz
Dziwić się fortunie światów.
Przyniosłem ci, oto, kwiatów
W koszyku, garstkę pokosu —
Zbierałem, gnąc się ku ziemi.
Są niektóre między niemi
Hieroglify mego losu —
Wyciągnij — znajdziesz niektóre,
Co były rano szczęliwe
Jak ja —

FENIKSANA.

Ręce moje chciwe
Lecą na tych róż purpurę
Jak gołębie. — Ach ten kwiat
Który mi już w ręku spadł,
Znalazłam wczoraj śród łąk,
I nazwałam: marawilją.

DON FERNAND.

Ach! tak nazwij każdą lilję
Z moich niewolniczych rąk
Podaną — czyż nie jest cudem?

FENIKSANA.

O prawda! prawda! — Lecz któż cię tak zmienił?
Kto ci te włożył łańcuchy na nogi?

DON FERNAND.

Sennora, mój los.

FENIKSANA.

Twój los, taki srogi?

DON FERNAND.

Tak twardy, Pani!

FENIKSANA.

Ach tyś mię skamienił!
Powiedz? za cóż to?

DON FERNAND.

Jesteśmy skazani
Rodząc się tu już, na mękę i ból.

FENIKSANA.

Czyż ty nie Fernand?

DON FERNAND.

Ja Fernand — tak Pani.

FENIKSANA.

Któż skazał?

DON FERNAND.

Prawo.

FENIKSANA.

Któż miał prawo?

DON FERNAND.

Sam Król.

FENIKSANA.

Za cóż to?

DON FERNAND.

Jeniec — do niego należę.

FENIKSANA.

Zaledwo oczom zasmuconym wierzę!
Wszakże cię wczora król wysoko cenił?

DON FERNAND.

A dzisiaj serce jak widzisz odmienił.

FENIKSANA.

Ach! więc-że gwiazdom co przy sobie siedzą
Dosyć jednego dnia by się rozeszły? —

DON FERNAND.

Kwiaty co z gwiazdą nieszczęśliwą weszły
Same ci na to, Pani, odpowiedzą. —
Kwiaty co wschodzą na ranek umyte,
I tak się w zorzach rozwinęły jasno:
W objęciach nocy pomarszczone zasną,
I dla nich już dnie nie wrócą przeżyte!
Lilije w tęcze kolorów spowite,
I umoczone w złoto i karminy,
Zejdą jak duchy aniołów z doliny:
Z jednym dniem, życiem pięknego pozbyte.
A czy to rosy spadały obfite,
Czy otulone były mgłą i tęczą:
Śmierć je znalazła w godzinę urodzin —
Tak ludzie kiedyś przyjdą i zaręczą,
Że wieki, które się wleką i dręczą,
Nie były dłuższe nam od smętnych godzin.

FENIKSANA.

Ranisz mię — słyszę zdaleka
W twoim głosie, wieków głos.
Kto cierpi na własny los,
Od cierpiącego ucieka.

DON FERNAND.

A te kwiaty? takie śliczne? —

FENIKSANA.

Jeżeli pomiędzy niemi
Są kwiaty hieroglificzne?
Jak losy twoje, żałobne?
To je rozsypię po ziemi
I zdepcę —

DON FERNAND.

Cóż cię w nich rani?

FENIKSANA.

Ach, że są do gwiazd godobne! —

DON FERNAND.

Przebacz im te grzechy, Pani.

FENIKSANA.

Co?

DON FERNAMD.

Niestałość, próżne blaski.

FENIKSANA.

Nie, wszystkie wypuszczam z łaski!
Z gwiazdami zarówno cenię.

DON FERNAND.

Jak to?

FENIKSANA.

Moje przeznaczenie
Z jedną smętną gwiazdą chodzi:
Dla tego, bo kobieta się rodzi
Gwiazdom podległa i kwiatom,
Co ją prowadzą do truny.

DON FERNAND.

Wiem że w kwiatach są piołuny.
Ale ach! niebieskim światom
Wpływy przysądzam uczynne!

FENIKSANA.

Więc się dowiesz, że i gwiazdy są winne.
Ach gwiazdy! gwiazdy, co takie gromadne,
Niebieskie mają ze słońcem sojusze,
I leją w słońce całą światła duszę:
Są także dniowi jednemu podwładne —
Kwiaty błękitu — bo są takie ładne
Jak te, któremi oto ziemię pruszę —
Kwiat ci powiada: przez dzień skonać muszę;
Gwiazda ci mówi: przez noc jedną spadnę.
Więc gdy się od gwiazd ludzkie losy sądzą
Jeźli się od nich nasze losy winą?
Nie dziw że często spadają i błądzą.
I gdzieś w mgły ciemne niewidzialne płyną —
I naszym losem tak niestale rządzą
One, co przez noc palą się i giną.

(Odchodzi.)

(Wchodzi na scenę MULEJ, który przy końcu tej sceny stał za drzewami.)

MULEJ.

Czekałem aż się oddali
Feniksana. Pierwszy raz
Od jej oka, od jej kras,
Uciekam jak orzeł smętny
Gdy na słońcu oczy spali. —
Fernandzie, czy jesteś sam?

DON FERNAND.

Cóż mi powiesz Muleju szlachetny?

MULEJ.

Oto chciałem abyś wiedział,
Że czasem i w sercu Maura
Znajdzie się miłość i wiara,
Radząca czyny rozpaczne.
Ach! nie wiem od czego zacznę?
Nie wiem czy ci mam powiadać
Ile ja cierpiałem na to,
Kiedyś ty zaczął fortunie
Ulegać, pod nią upadać,
Jej niesłusznej podległ zmianie,

I poszedł na urąganie,
I stanął za przykład losów —
Ach, jak one one z ludzi szydzą!
Tyle nędzy! tyle ciosów! — —
Niech mię tu ludzie nie widzą,
Że z tobą Fernandzie gadam.
Bo Król wydał rozkaz srogi
Abyć ustępować z drogi,
Traktować cię bez respektu:
Lecz ja do nóg ci upadam,
Fernandzie! pełny afektu
I wielkiej wiary dla ciebie;
Twój niewolnik, a w potrzebie
Twój przyjaciel. Nie chcę tracić
Tych chwil, więc krótko ci powiem:
Że przychodzę dług zapłacić,
Życie życiem, zdrowie zdrowiem,
Wolność wolnością — więc żądam —
— Daruj mi, że się oglądam
Czy nas gdzie nie widzą z murów —
Weź ten nóż, ten wianek sznurów;
Weź je o panie! — a skoro
Noc się zaczerni, gotowa
Będzie łódź pod mazamorą,
Łódź dobra, silna i zdrowa,
Z rdzawym, pękniętym łańcuchem.
A wtenczas ty Panie, duchem
Napełń twoje niewolniki,
Rozkuj więzy; znajdziesz na to
Gotowe piły, pilniki,
Zapas ubioru, bielizny:
Weź ich, i na łódź skrzydlatą
Wsiadaj i uchodź szczęśliwy
Do miłej tobie ojczyzny!
Ja zaś tu zostanę żywy
Odpowiadać życiem, zdrowiem,
I czem trzeba tem odpowiem
I przed królem i przed prawem;

Gotów twoim być zastawem
Choćby głową, jestem gotów. —
To wszystko. — Ach! jeszcze sądzę
Że ci potrzebne pieniądze?
Więc, oto garstka klejnotów
Za mój okup niechaj służy,
Bo człowiek gdy się zadłuży
Połowę przyjaźni traci,
Gdy pieniądz serca przegrodzi:
Dopiero gdy dług zapłaci
I usunie tego rocha,
Z przyjacielem równiej chodzi,
Lepiej czuje, wolniej kocha.

DON FERNAND.

Mówisz mi o wolnej łodzi —
Chciałbym. Lecz patrz, Król nadchodzi —

MULEJ.

Czy nas widział?

DON FERNAND.

Nie.

MULEJ.

O Panie!
Skryj się —

DON FERNAND.

Tutaj — w tej altanie.

(Fernand kryje się do altany. Wchodzi KRÓL i uważa to zdaleka.)

KRÓL, na stronie.

Gadali tajemnie oba.
Jeden skrył się do altany,
Drugi stoi pomięszany.
Wcale mi się nie podoba
To zejście obu, ta zmowa.
Jeden się przedemną chowa,
Drugi zlękły stoi, czeka.
Więc go podejdę z daleka:
A słuszny czy nie, powód trwogi
Usunę. (Do Muleja.) Bardzo się cieszę —

MULEJ, przerywając.

Panie, pozwól uściskać twe nogi —

KRÓL.

Żem cię spotkał tu —

MULEJ.

Co mi rozkażesz? —

KRÓL.

Wyznam tobie, żem mocno żałośny
Z niepoddania się Ceuty.

MULEJ.

O Panie!
Ceutę szturmem zdobędziesz bez trudu!
Siłom twoim nie oprze się miasto —

KRÓL.

Nie Muleju — ta Ceuta się musi
Poddać sama, bez kosztu żadnego —

MULEJ.

Jak to, Panie?

KRÓL.

O tak przyjacielu —
Myślę nędzą i głodem okropnym,
Tak przycisnąć Fernanda Infanta,
Że mi sam tej fortecy da klucze —
Rzecz mię tylko jedna bardzo trwoży —
Oto Infant, ten Książe, Muleju,
W Fezie nawet mieć może przyjaciół.
Sami jeńce go widząc w niedoli
I w cierpieniu — gotowi lada dzień
Bunt mi podnieść — a baczę też na to
Że pieniądze łakomą są rzeczą:
Więc strażniki przejęte zapłatą
Mogą jeńca wypuścić — a nie mam
Pewnych ludzi —

MULEJ, na stronie.

W tej go myśli utrzymam.
A tak, widząc moją dobroduszność,
O mnie bać się nie będzie —
(Głośno.)

Masz słuszność!
Myśli twoje biorą dobry kierunek.

KRÓL.

Jeden na to jest tylko ratunek,
Jeden sposób — a o tym sposobie —

MULEJ.

Cóż to Panie?

KRÓL.

Pod straż go dam tobie —
Bo wiem że cię nie kupi brylantem,
Ani kiesą. — Więc ty nad Infantem
Postanowion, bądź jemu alkadem —
Ufam tobie, a jedynym zakładem
Za Infanta, twój honor mi stoi.

(Odchodzi.)

MULEJ.

Słyszał wszystko i o mnie się boi:
Albo sam się domyślił wszystkiego.
O Allachu!

DON FERNAND, wychodząc z Altany.

Cóż tak smutny kolego? —

MULEJ.

Nie słyszałżeś co Pan ten okrutny —?

DON FERNAND.

Owszem, wszystko słyszałem z altany.

MULEJ.

Czemuż pytasz dla czegom ja smutny?
Dla czego stoję zmięszany?
Dla czego rozmawiam z sobą?
Czemu żal mi pierś rozrywa? —
Pomiędzy królem a tobą,
Posłuszeństwem a przyjaźnią,
Straszna się walka odbywa!
Sumienie mi będzie kaźnią
Jeźli króla mego zdradzę;
Węgle na głowę zgromadzę,
Jeżeli ciebie opuszczę —
Ach, zaszedłem w straszną puszczę!

Myśl zbłąkanego odbiega —
Król na mnie tylko polega! —
Ty we mnie masz tylko nadzieję! —
Radź co czynić — —

DON FERNAND.

Miłość grzeje,
I przyjaźń szczęście stanowi:
A choć obiedwie są święte,
I zdradzone są ohydą;
Lecz w porównanie nie idą
Z wiarą należną krajowi,
I klękają przed nią zgięte
Te Anioły naszych dusz.
Więc radzę, królowi służ
Z tą wiarą niepokalaną.
A ja tu przyrzekam święcie,
Że choćby mi dziś dawano
Wolność, na pierwszym okręcie
Co do Portugalii płynie —
Odrzucę — bo na mnie leży
Twój honor i przezemnie nie zginie! —

MULEJ.

Jesteś zwierciadłem rycerzy!
Ale mi nie dawaj rad —
Wszak ty mi wróciłeś życie?
Smętnemu wróciłeś świat!
A ja miałbym —! Nie, mój Książe —
Tej nocy, jak była zmowa
U brzegu ci łódź przywiążę:
Uchodź — a moja tu głowa
Odpowie.

DON FERNAND.

Bracie mój miły!
Byłżebym ja sprawiedliwy?
Dałżebym ja dowód siły
I serca? wolności chciwy,
Z hańbą mego przyjaciela: —
Hańbą się jego bogacąc?

Honor biorąc, serce tracąc?
Wolność, ten brylant wesela —
Jażbym jego łzami płacił?
Zostawiał tu męczennikiem?
Jeżeliś miary nie stracił,
Która czyny ludzkie mierzy:
To bądź mi sam poradnikiem,
I mów czy mi to należy
Uczynić?

MULEJ.

Ach, nie wiem Panie
Co ci sam na to poradzę —
Powiem nie, to serce pęknie,
Powiem tak, to ciebie zdradzę
Jak przyjaciel, co sam zmięknie,
I w trwodze źle radzić może.

DON FERNAND.

Więc ja tu słowo położę
Niewzruszone, głąz ogromny:
Wiedz, że mię tu sądy boże
Skazały, bym wybrał miarę
Litości, i tu za wiarę
Skonał jak Książe niezłomny!

DZIEŃ III.

(W pałacu Króla Fezkiego Wchodzą KRÓL i MULEJ.)

MULEJ, na stronie.

Ponieważ pomódz nie mogę
Fernandowi, niczem prawie;
Do Króla się za nim wstawię.
Może on co postanowi
Litośniejszego z tym jeńcem —
(Głośno.)

Panie! służyłem ci wiernie
I na lądzie, i na morzu;
Wszędzie, gdzieś mię tylko użył;
I jeszcze tę pierś postawię —
A jeźlim na łaskę zasłużył,
Dziś wysłuchaj mię łaskawie.

KRÓL.

Cóż tam?

MULEJ.

Fernand —

KRÓL.

Dosyć tego.

MULEJ.

Sądziłem żeś mi łaskawszy.

KRÓL.

O Fernandzie tym wspomniawszy,
Jużeś tknął mię i zostawiasz smętnego —

MULEJ.

Jak to Panie?

KRÓL.

Bo przysięgam na duszę
Że dać chciałbym, a odmówić ci muszę.

MULEJ.

Wszakże jestem strażnikiem Książęcia.
Czyliż nie chcesz o więźniu mieć sprawy?

KRÓL.

Mów, lecz nie sądź że będę łaskawy!

MULEJ.

Ten Fernand, co z niemowlęcia
Na króla był wychowany,
A dzisiaj tak podeptany
Żałośnie stopą fortuny,
I tak blizki, Panie, truny —
Takim straszliwym posągiem
Do grobu po stopniach zlata:
Że fortuny dziwolągiem
Wydaje się w oczach świata,
Który patrzy i drży z trwogi,

Widząc jej depcące nogi.
A myśli świat i o tobie,
O twojej mocy i sile,
Co takiej wielkiej mogile
Rzuca takie wielkie ciało. —
Ty go sam trzymasz przy grobie.
Tyś mu jest na piersiach skałą;
Ty Panie, pod twoje nogi
Wziąłeś piersi takie dzielne,
To czoło takie naczelne!
Rzekłeś — a on dziś ubogi
Nieszczęsny żebrak, i nędzarz,
W rdzawym na szyi łańcuchu,
Nie godzien twojego słuchu,
Oczu, które ty oszczędzasz
Abyś nie stracił płaczących.
Litości u przechodzących
Prosi rękami obiema.
Litości prosi i nie ma
Nawet litości! — Bo jako
Rozkazałeś, Panie srogi,
Aby wymiatał podłogi,
I strawę miał ladajaką;
A potem nie dałeś strawy
I chleba dawać zabronił,
A do stajeń twoich gonił,
I w loch zapędzał plugawy
Sypiać, w mazamorach ciemnych!
Gdzie wilgoć ma gad i plamy:
Z członków się jego nikczemnych
Zrobił trup, a z oczów jamy —
Te oczy, niegdyś pogodne!
Dziś na ludzi patrzą głodne,
We łzach boleśnych czerwone,
Suche, głodem zapalone —
A ręce jałmużny proszą!
Rankiem swoi go wynoszą
Z mazamor, jako kość bladą,

I gdzieś go na słońcu kładą,
Gdzieś na słońcu, pod murami:
Potem uciekają sami —
Bo — Ach głos mi w piersiach głuchnie —
Bo ten Książe trupem cuchnie!
Gnije żyw, z kości opada.
Nikt z nim nie żyje, nie gada,
Nikt przy jego mazamorze
Od swądu wytrwać nie może;
Tak kość, ciało co się cegli
Trąci, i tak się rozpada,
Że go już wszyscy odbiegli.
Jeden tylko, jeden sługa
Został przy tym Panu biednym,
I przyjaciel jeden jednym,
Szlachetny pewien kawaler.
Tych dwóch ani męka długa
Ani dżuma, córka galer,
Nie odstraszyły od Pana.
Ci dwaj — jeden mu kolana
Okrywa łachmany wielą —
Drugi pierś pod głowę daje.
Chlebem z nim się oba dzielą;
Choć dla jednego nie staje
Tej cząstki — bogi to wiedzą,
Jak oni ją we trzech jedzą!? —
Jeszcze, często Książe musi,
Gdy go chleb żebrany krztusi,
A przyjaciele go śledzą;
Musi kawałek podany,
Jak złodziej chować w łachmany,
Kryć się z tem, że przez obrożę
I gardło — o! jasne nieba! —
Tego żebrackiego chleba
Ten nędzarz przełknąć nie może.
A zaś owych karmicieli
Służba twoja srogo karze!
Kijem biją twoje straże.

Więc przy panu jeden czuwa
I słowami go weseli;
Drugi żebrze i z nim dzieli
Chleb — i łzę co chleb zatruwa.
O! skończ Panie już tę mękę!
Ulż więźniowi, w imię Boga!
Spuść mu Panie, podaj rękę,
Nie stężaj tego powroza.
Bo to już nie żal, lecz trwoga,
Nie litość bierze — lecz zgroza!

KRÓL.

Przestań na tym.

(Wchodzi FENIKSANA i rzuca się do nóg Królowi.)

FENIKSANA.

Królu! Panie —

KRÓL.

Cóż tam? moja córko miła.

FENIKSANA.

Jeżelim ja zasłużyła.
Przez miłość i przez pokorę,
Na twoje, ojcze, kochanie?
Przychodzę o łaskę prosić:
Niech ją z twoich rąk odbiorę.

KRÓL.

Choćby królestwo! pół berła —
Niechaj prosi wschodu perła.

FENIKSANA.

Ojcze, Fernand —

KRÓL.

Dosyć! dosyć —
Dalej nie gadaj — bo próżno.

FENIKSANA.

Ojcze! zgrozą już przenika!
Daruj go jaką jałmużną,
Ulituj się niewolnika! —
Nieszczęsny aż do łez wrusza!

KRÓL.

A któż go do tego zmusza
Aby cierpiał? — Nędzny, słyszę —
Lecz on sam swój wyrok pisze,
Sam swoją pieczęć przykłada.
A pod nędzą nie upada
Choć wyszedł z głodu na marę.
Ale chce cierpieć za wiarę
Co mu niebiosa otwiera —
Chce umrzeć? — niech więc umiera! —
Ja zeń mej nie zdejmę nogi.
Bo on sam nad sobą srogi,
Chce żyć w nędzy i w plugastwie!
I nie ja się nad nim pastwię,
Ale on sam siebie męczy. —
Niech mi Ceuty klucze wręczy,
Dziś wolno puszczę Infanta.

(Wchodzi SELIM.)

SELIM.

Panie, przyszli dwaj posłowie.
Jeden z nich od Tarudanta,
A zaś Portugalczykowie
Drugiego przysłali w łodzi —

FENIKSANA, na stronie.

Ach, jeden po mnie przychodzi!
Tarudant po mnie przysyła!

MULEJ, na stronie.

Ach, w dniu jednym taka siła
Nieszczęść na serce mi spada?

KRÓL.

Wpuścić obu. — Feniksanie
Tu miejsce, niech przy mnie siada.

(Król siada z Feniksaną na tronie. Wchodzi ALFONS Król Portugalski w posła charakterze — i TARUDANT Infant Fezu, również jako poseł.)

TARUDANT.

Przepotężny Fezu Panie!

ALFONS, nie dając się wyprzedzić.

Przesławny Maurów Tyranie!

TARUDANT, mówiąc razem z Alfonsem.

Którego moc —

ALFONS.

Którego siła —

TARUDANT.

Bogdaj trwała —

ALFONS.

Bogdaj żyła —

TARUDANT.

O! zorzo tego narodu!

ALFONS.

O! jutrzenko jasna wschodu!

TARUDANT.

Obyś lata —

ALFONS.

Obyś wieki
Wielkie i nieprzeliczone —

TARUDANT.

Miał laury —

ALFONS.

Nosił koronę.

TARUDANT.

W każdej walce —

ALFONS.

W każdym czynie —

TARUDANT, do Alfonsa z gniewem.

Jak ty psie chrześcianinie
Ważysz mi się głos przewlekać?

ALFONS, do Tarudanta.

Jak ty się tu ważysz szczekać
Gdzie ja gadam?

TARUDANT.

Słuszność każe
Że gdzie Arab tron zasiada,
Tam najpierwszy Arab gada.

ALFONS.

A gdzie znają gospodarze
Grzeczność, tam prawo stanowi,
Że głos pierwszy dać gościowi.

TARUDANT.

Nie znam ja takiego prawa.
Niech dla gości pierwsza ława —
Ale głos —

KRÓL.

Siadajcie oba.
I niech poseł Chrześcijanów,
Jako nieznańsza osoba,
Ma głos —

ALFONS.

Krótko powiem Panie.
Oto Alfons, Luzytanów
Król, którego panowanie
Sławne teraz po wszej ziemi,
A ustami bronzowemi
Sławy po morzach głoszone;
Pozdrawia twoją koronę —
Zdrowia ci życzy i błaga:
Ponieważ ma tutaj brata,
Który się wolności wzdraga
Kupionej Ceutą i duszą,
Aby teraz ta zapłata
— Nim się jędze wojny ruszą —
Dla zobopólnej ugody,
W innych mogła być pieniądzach.
Poszukaj, Panie, w twych żądzach,
Oszacuj dwa takie grody
Jak Ceuta, rachuj na krocie,
Każ je złożyć w srebrze, w złocie —
Alfons je pewno wypłaci,
I przyjaźń z tobą zachowa.
Lecz gdy tę nadzieję straci
A z wiatrem pójdą te słowa? —
Ten sam wiatr z ponad odmętów
Nagna tu tysiąc okrętów!
Flotę, co już brzegów sięga,
Krzyżami zaczęła błyskać:
I króla, który przysięga

Ogniem i mieczem odzyskać
Księcia, i walczyć dopóty,
Aż więzień będzie rozkuty.
A te pola i doliny
Szmaragdów pozbędą kłosa,
I ubiorą się w rubiny
Nim słońce zajdzie w niebiosa.

TARUDANT.

Choć jako poseł zasiadam;
Lecz krewny tego mocarza
Jako taki odpowiadam
Na to, co Pana obraża,
I rani. — Powiedz odemnie
Alfonsowi, jego rzeszy,
Niechaj się na pola śpieszy.
Bo nim się w blasku lazurze
Jutrzenki pokażą róże,
I ozłocą wschodnie chmury:
Na ziemi będą purpury.

ALFONS.

Gdybyś ku nam się podźwignął
Przez jaki wielki uczynek,
Może by tu pojedynek
Tę całą sprawę roztrzygnął.
I tak, rzecz niech z nami stanie,
Niech Tarudant krwi nie skąpi.
Niech wasz Król przyjmie wyzwanie:
A ja w tem, że mój wystąpi!

TARUDANT.

Kłamiesz! król się twój przelęknie —
Tarudant placu dotrzyma!

ALFONS.

Więc na pole —

TARUDANT.

Aż krwią zmięknie —

ALFONS.

Aż krew wytryśnie oczyma —
Będę patrzał czy przybędziesz?

TARUDANT.

I nie długo patrzeć będziesz,
Bo ja piorun.

ALFONS.

Jam obłokiem!

TARUDANT.

A ja piorunowym smokiem!

ALFONS.

A ja wulkan z ognia łonem!

TARUDANT.

A jam jędzą!

ALFONS.

A ja zgonem!

TARUDANT.

Słuchasz — i żyjesz? to dziw!

ALFONS.

Widzisz mnie i jesteś żyw?!

KRÓL.

Niech wasze Jasnoście obie
Na czas pofolgują sobie;
Bowiem i słońce już blizkie
Zachodu. — A niechaj pomną
Że bez mego pozwolenia,
Na mojej ziemi nie mogą
Szranków mieć otwartych sobie.
A teraz niechaj pozwolą
Abym gościnnością służył.

ALFONS.

Kto mię ugaszcza niedolą,
I podał czarę żałości;
Ten inaczej nie ugości,
I gościną nie przynęci.
Po Fernanda tu przyszedłem;
I miałem to na pamięci,
Aby ludzkiej krwi oszczędzić,
A zachować króla sławę —
Teraz czekam na odprawę.

KRÓL.

Odprawą, królu Alfonsie,
Będzie krótka. Jasny Panie!
Jeźli mi nie oddasz Ceuty,
To Infant u mnie zostanie.

ALFONS.

Ponieważ przychodzę zbrojny,
Poseł srogi, wieszczby kruk:
Ogłaszam żałobę wojny.

(Do Tarudanta.)

A ty czy poseł, czy wróg,
Chodź w pole. Za godzin trzy
Cała niech Afryka drży! —

(Odchodzi.)

TARUDANT, do Feniksany.

Wojny ognista pochodnia,
Która o czasie stanowi,
Twojemu niewolnikowi
Nie daje służyć inaczej:
Niechaj mię więc perła wschodnia
Zgiętego u nóg obaczy,
I ręką swoją obdarzy;
A weźmie duszę w niewolę.

FENIKSANA.

Nie przystoi dla mocarzy
Takich jak ty, w takim dole
Zostawać, i w tej pokorze
Utracać godności miarę.

MULEJ, na stronie.

Słyszeć to i żyć! o Boże!

KRÓL.

Wasza Jasność, godzin parę,
Niech przyjmie moją gościnę.

TARUDANT.

Królu! zaledwo godzinę
Mogę czekać. I to jeszcze
Jak ambassador obwieszczę,
Że jestem umocowany,
Wybiwszy memi kolany

Przed tą pięknością dwa groby,
Prosić o dar jej osoby,
I z sobą wziąć ten skarb drogi.
Przebacz że tak krótko proszę,
I tę piękną ztąd unoszę,
Niby orzeł, pełną trwogi.

KRÓL.

We wszystkiem, Panie, me żądze
Prześcigasz takiem życzeniem.
A ponieważ to być sądzę
Naszych długów skwitowaniem,
I naszych wojen skończeniem:
Ugodę potwierdzam daniem,
I unieść ją ztąd pozwolę.
Ale spieszny odjazd radzę,
Nim wrogi zastąpią pole.

TARUDANT.

Swaty ja liczne prowadzę —
W swaty wiodę wojsko całe,
Tak, że puszcze mi za małe,
A z obozów stoją miasta.
Więc odjedzie ta niewiasta
Bezpieczna.

KRÓL.

Dla wszelkiej pieczy,
Nie będzie i to od rzeczy
Że Muleju, weźmiesz Spachy,
I odprowadzisz pod dachy
Małżeńskie, tę narzeczoną.

MULEJ, na stronie.

Więc i to? — pęka mi łono!
Fortuna się koligaci
Z wrogami, a ze mnie się śmieje.
Ach! i Fernand we mnie traci
Przyjaciela i ostatnią nadzieję!

(Wychodzą.)

ZMIANA I.

(Ogród przy mazamorach. NIEWOLNICY wnoszą DON FERNANDA i kładą go pod murem. — DON ŻUAN i BRYTASZ.)

DON FERNAND.

Połóżcie tu moje ciało
Na słońcu, przy białej ścianie,
Aby mię słońce ogrzało.
Wielki Boże! Boże Panie!
Bądź pozdrowion duszą całą
Za twoje słońce wiosenne,
Pełne złotego uśmiechu.
Hiob przeklinał światło dzienne;
Bo urodzony był w grzechu,
W nędzy, w upadku, w obawie:
Ale ja Ci błogosławię
Za dzień, co mi żyć pozwala,
Miłości goreć płomykiem.
Każde drzewo się zapala,
I Tobie, Panie, goreje.
Każdy promień, co mię grzeje,
Płomienistym Cię językiem
Na wysokości wychwala!

BRYTASZ.

Czy ci tak dobrze o Panie!

DON FERNAND.

Dobrze, bracie, — dobrze, ciepło.
Wielkie Twoje zlitowanie
Boże! wielkie łaski Twoje! —
Gdy mi ciało w lochu skrzepło,
Ty mi dajesz światła zdroje,
Ptaszkom twoim każesz śpiewać,
Słońcu twojemu ogrzewać.
Dobry jesteś! i łaskawy!

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Pozostalibyśmy dłużej
Przy tobie, ale z obawy

Nie możemy. Człowiek służy —
Czeka nas łańcuch i plaga.

DON FERNAND.

Bracia, niech wam Bóg pomaga —
I szczęści.

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Jakie katusze!

DRUGI NIEWOLNIK.

O! jaka nędza na świecie?

(Niewolnicy odchodzą.)

DON FERNAND.

Wy dwaj ze mną zostaniecie?

DON ŻUAN.

Ach ja, Panie, odejść muszę!

DON FERNAND.

Ciebie mi zawsze potrzeba
Przy boku — bez ciebie się smucę.

DON ŻUAN.

Panie! ja zaraz powrócę —
Pójdę tylko szukać chleba,
Abyś miał co jeść; dziś rano
Nie jadłeś. O biada! biada!
Odkąd Muleja zabrano,
Ziemia zdaje się zapada
Pod nami! Okropna puszcza
Szerzy się, wszystko opuszcza!
A straszliwa blada nędza
Ciągle nam karku dopędza:
Wczoraj jak straszydło krwawe,
Dziś suchsza, bladsza od trupa.
Bo kiedy biegnę po strawę,
To łajdactwa tego kupa,
Co po wioskach, Panie, siedzi,
Pomna na zakaz surowy,
A bojąc się że ją śledzi
Jaki Argus stu-okowy,
Od Króla stawiony na to:
Chleba ani za opłatą

Księgozbiór: J. I. KRASZEWSKIEGO W BIAŁEJ. Księgozbiór: UJ. № 811

Nie chce dać — o twarda taka! —
Ani na prośbę żebraka
Nie chce dać, skruszona łzami;
Taki twardy los nad nami!
O Panie! — Lecz ktoś nadchodzi.

(Don Żuan wychodzi.)

(BRYTASZ klęka przy leżącym Don Fernandzie. Wchodzą KRÓL, TARUDANT, FENIKSANA i SELIM.)

DON FERNAND.

Głos go mój w serce ugodzi.
Może litość wydobędę,
I cierpiąc, dłużej żyć będę.

SELIM, do Króla.

Panie, przechodząc tą drogą,
Musisz tu nadeptać nogą
Infanta —

KRÓL, do Tarudanta.

Bądź świadkiem Panie,
Jakie moje panowanie.

TARUDANT.

Zamiary moje podróżne
Opóźniasz przez tę gościnę.

DON FERNAND, żebrząc.

O! dajcie jaką jałmużnę
Żebrakowi, z głodu ginę! —
Niech próżno rąk nie otwieram.
Pomnijcie żem człowiek przecie!
A z nędzy, z głodu umieram,
W oczach mi głodnemu ciemno.
Ludzie! miejcie litość nademną,
I nie odwracajcie oka.

BRYTASZ.

Książe, nie tak żebrać trzeba —

DON FERNAND.

A jakże?

BRYTASZ, żebrząc.

W imię Proroka!
I w imię siódmego nieba

Maury, dajcie nam jałmużnę:
A niebo wam będzie dłużne,
I sam Prorok wam zapłaci.

KRÓL.

Taki nędzny, a nie traci
Żywota, nie skłania czoła. —
Mistrzu Infancie!

BRYTASZ, do Fernanda.

Król woła.

DON FERNAND.

Mylisz się, więźniu, kolego.
Mistrzem ja nie jestem zgoła
Ni Infantem — trupem obu. —
Ich trupem, to co innego —
Bowiem wyglądam z pod grobu,
Na piasku jak nędzarz drzymię,
I proszę wody kropelki —
Lecz nie Infant, nie Mistrz wielki —
Tamtych grobowiec naciska.
Ja jestem człowiek z nazwiska.

KRÓL.

Więc mi odpowiedz na imię
Fernanda.

DON FERNAND, wstając.

Teraz, ubogi,
Wstanę całować twe nogi,
Prosić o posiłek skromny.

KRÓL.

Zawsze-li taki niezłomny?
I wytrwały dziś jak wczora! —
Powiedz mi, to uniżenie,
Duma to jest? czy pokora?

DON FERNAND.

Króla godność w tobie cenię,
I każdym to stwierdzam czynem
To prawo, które zamyka
Zakon boży: że nad gminem
Król ma sobie berło dane,

I ma mieć od niewolnika
Posłuszeństwo — więc złamane
Członki, przed twoją osobą
Prostując, stanę przed tobą,
Nim przed Panem Bogiem stanę. —
Wiedz, że Król, zkąd nie bądź, nosi
Taką powagę, moc bożą,
Tak się w nim siły wielmożą:
Że krew, co mu ciało rosi,
Musi wstać w ciała nicestwie
I zaświadczyć o królestwie —
Do cnót królewskich się dostać.
Więc nie tylko króla postać,
Ale i cnót świadczy żywość —
W sercu łaska, sprawiedliwość,
I inne cnoty mocarza.
A to prawo, podług wzorów
Bozkich, do natury tworów
Przechodzi, i tak przeraża
Samą dotkniętą naturę:
Że prawa prosto idące,
O te twory królujące
Zbiwszy, nieraz cofa w górę,
I cud robi niesłychany,
Jak niegdyś boże Jordany. —
I tak: pomiędzy zwierzęty
Lwu się królestwo należy,
Ten kiedy grzywę najeży;
I kudłami stanie wzdęty
Jak ogromna fala złota,
Co zwierzę przed sobą goni:
To mu królewska istota
Pastwić się nad jeńcem broni.
A patrz na mórz błękit siny;
Tam królami są delfiny.
Bowiem kiedy akwilony
Napędzą fale gromadą:
Fale te delfinom kładą

Srebrne i złote korony: —
Jednak, to królewskie plemię
Co włada na wodnym świecie,
Nieraz na swym sinym grzbiecie,
Człeka wynosi na ziemię,
I wściekłym falom wyrywa.
Więc i orzeł, ten król trzeci,
Który po błękitach pływa,
I zawsze na słońce leci;
A koronę ma nie lichszą
Od innych, z tych piór na głowie
Które mu burze rozwichrzą: —
A jednak, kiedy się dowie
Że gdzie, podłe żądło gadu
Do źródeł nalało jadu,
I woda już śmiercią trąci:
By nie była ludzi grobem,
Rusza ją skrzydły i dziobem,
I wichrzy, aż ją zamąci,
Aby swój kryształ popsuła,
Zbladła i ludu nie truła.
Królestwo roślin, kamieni,
Tym samym prawom podpada.
Pani owoców, grenada,
Co z drzewnych niby promieni
Koronę nosi i wieniec:
Gdy ją dotknie jad zarazy
Traci ognisty rumieniec;
A wewnątrz ziarek rubiny
Wnet zamienia na topazy.
Więc śród kamiennej drużyny
Także król ma swój sakrament.
Oto, Panie, ów dyament
Co jest nad kamienną zgrają —
Twardszy od granitów kości,
Przed którym magnesy stają,
Stają w jego obecności,
Pomne na króla potęgę,

I tę mu zdają przysięgę
Poddaństwa: — ów król tak twardy,
Tyle ma dumy i wzgardy,
Że nie pomny własnej siły,
Kiedy go stal, z dziecka krzykiem,
Zdradzi i dotknie pilnikiem,
I o królestwo zalęka: —
W drobne rozpada się pyły,
W proch się rozpada i pęka,
A biednej stali nie niszczy —
Taka więc szlachetność błyszczy
Wszędy w króleskich sumieniach,
W źwierzętach, w rybach i ptakach,
I w roślinach i w kamieniach. —
Więc i w ludziach po tych znakach
Mają być znani królowie:
Nie tylko że z wielmożności,
Nie tylko z koron na głowie:
Ale Panie, i z litości,
I ze szlachetnego serca.
Chrześcianin czy bluźnierca
Krzyżowy, gdy spojrzy we dno
Duszy, wyczyta to jedno
Prawo, przez Boga wyryte,
Któreś ty w sercu zagłuszył!
Nie gadam abym cię skruszył,
Abym do litości skłonił —
Ciało me, bolem rozryte,
Nie tyś — ale Bóg pokłonił.
Nie chcę u twojej osoby
Żebrać, życia już mam sytość —
Późna też byłaby litość,
Bo wiem że żądło choroby
Aż w serce mię już raniło;
Oddech mi powietrzem szkodzi,
Jak nóż przez serce przechodzi,
I rżnie zapalone płuca.
Ja wiem, żem już nad mogiłą,

Że mię już żywot porzuca,
I żar wypala piekielny —
I to wiem, żem jest śmiertelny,
Jak ty, Panie, robak drobny,
Nie żadna anielskość dumna.
I dla tego to, podobny
Kształt ma kołyska i trumna;
Aby to ludzie wiedzieli,
Że na podobnej pościeli,
Gdy przyjdą, na rozkaz boży,
Matka ich i śmierć położy.
Tak więc, podobne do pary,
Przy kołysce stoją mary!
Tak podobne u podwoi
Dwojga, dwoje łóż człowieka. —
Kto to wie — czegóż się boi?
Kto to słyszał — czegóż czeka? —
Kogo strzaskał los na ćwierci,
Naraził na nieszczęść krocie,
W czemże ufa! — czy w żywocie? —
O nie, zaprawdę, że w śmierci —
W śmierci ufa? — Tę ofiarę
Zrób ze mnie, Panie, o proszę! —
Daj śmierć — niech umrę za wiarę!
Oto ręce me podnoszę
I o śmierć, Panie, cię błagam:
Nie dla tego że się wzdragam
Żyć i cierpieć jestem nierad:
Że chcę umrzeć jak desperat; —
Nie dla tego u nóg szlocham —
Ale ja się, Panie, kocham
W takiej śmierci męczennika:
Co krwawe ciało odmyka,
I Bogu uwalnia duszę,
I na wieki ją ożywia.
Więc choć grzechu prosić muszę,
Miłość mię usprawiedliwia,
Że o śmierć nieszczęsną proszę. —

Oto me ręce podnoszę,
A ty daj! — Lwem będziesz wtedy,
Co widząc myśliwce śmiałki,
Napastniki ojców schedy,
Napada i rwie w kawałki.
Orłem będziesz, co się ciska
Na gniazd swoich rozbójnika,
W szpony mu czaszkę zamyka,
I dziób maluje rubinem
Tej krwi, co z oczu wytryska,
O Panie! będziesz delfinem,
Który na nieba lazurze
Zapowiada śmierć i burze
Ludziom, grożące zalewem.
Królewskiem ty będziesz drzewem,
Co piorunami czerwone,
Ramiona ogołocone
W burzach rwie, i tak się zżyma;
Że zda się piorun otrzyma,
I nad światowym zamętem
Będzie spełniało gniew boży.
Panie! będziesz dyamentem
Co się na stal biedną sroży,
Gardząc kamieni motłochem. —
Lecz syp się w proch i zrób mnie prochem!
Bo ja nie ulegnę prędzej;
Bo im więcej cierpię nędzy,
Im więcej mnie gną rozpacze,
Im boleśniej w nędzy płaczę,
Im przed tobą jestem mniejszy,
Im we wnętrznościach głodniejszy —
Im bardziej odarty z ciała,
I z nadziei i z łachmanów:
Choćby ta ziemia gnać miała
Za mną szczękami kajdanów,
Nawet — nawet w żywot dalszy:
Im więcej cierpię, tem stalszy —
Muszę trwać przy mojej wierze. —

Bo ona mię jedna strzeże —
Serce nadzieją roznieca,
Słońcem w męczeństwie oświeca,
Palmy zawiesza nad czołem!
Nie przeważysz nad kościołem,
Ile go jest w mej osobie.
Z kości tych tryumfuj sobie —
Gardło masz i moje łono.
Bóg ucieczką i obroną!

KRÓL.

To już przechodzi pojęcie,
Aby człowiek tak grobowy,
Bawił się takiemi mowy,
Wpadał na takie sentencye,
I sam się cieszył w niedoli! —
Jakże ty chcesz abym bolał,
Gdy ciebie serce nie boli?
Jeźliś ty sam umrzeć wolał
Niż żyć? — Nie, nie, nadaremnie —
Litości nie znajdziesz we mnie.
Pierwej miej ją sam nad sobą —

(Wychodzi.)

DON FERNAND, do Tarudanta.

Przed twoją, Panie, osobą
Uniżam się, wspomóż jeńca —

TARUDANT, odpychając go.

Nędzarzu!

(Wychodzi za Królem.)

DON FERNAND, do Feniksany.

Więc potępieńca
Ty się ulituj, o Pani!
Jeźli twa piękność jest z Boga,
A nie jest wzięta z otchłani —

FENIKSANA.

Ach, jaki widok!

DON FERNAND.

Ty sroga,
Odwracasz oczy? —

FENIKSANA.

We łzach mi
Toną — człowieku! ach! strach mi!
Duch mi cały z ust wyskoczy!

DON FERNAND.

I dobrze, bo są też oczy,
Ach! nie do nędzy stworzone.
Dobrze, że twój wzrok roztropny.

FENIKSANA.

Puść mię. — Jaki ty okropny!

DON FERNAND.

Okropny? — Choć odwrócone
Oczy masz, pełne popłochu:
Dobrze jest, abyś wiedziała,
Że piękność twojego ciała
Tyle co mój szkielet waży —
Tyle co ja — garstkę prochu.

FENIKSANA.

Puść mię — oddech mię twój parzy,
Głos zabija — szaty cuchną.
Puść mię, ty człowiecze, pruchno!
Szaty mi rękami skazisz,
Oddechem twoim zarazisz!
Puść człowieku — bo omdleję!

(Ucieka z Selimem.)

(Wchodzi DON ŻUAN pokrwawiony i w łachmanach, z chlebem.)

DON ŻUAN.

Oto mię Maury, złodzieje,
Za kawałek tego chleba
Zbili, krew się ze mnie leje.
Panie, jedz! —

DON FERNAND.

Już mi nie trzeba
Jadła, drogi przyjacielu.
Oto już jestem u celu —
Już idę —

DON ŻUAN, padając mu do nóg.

Panie mój drogi!
Czy ty już — o ratuj Boże! —

DON FERNAND.

Płacz tu już nic nie pomoże —
Nie martw się — ziębną mi nogi —
Zaprawdę jużem przy śmierci.
To serce, za godzin mało,
Robak śmiertelny przewierci,
I znajdzie, że cię kochało —
Ciepło w nim jeszcze zostanie.
Nie martw się mój Don Żuanie.
Ja się w długą podróż zbieram,
A dla Boga tu umieram —
Chóry anielskie bogacę;
I dług Panu memu płacę.
Nie martw się i oczów rosą
Nie lej na ciało książęce.
Każ, niech mię wezmą na ręce,
I do mej jamy odniosą — —
Już konam — —

DON ŻUAN.

Z tą ziemią nędzy
Ostatni mój węzeł pęka!

DON FERNAND.

Don Żuanie — czy później, czy prędzej —
O tu! (Pokazuje na ziemię.) Daj rękę — Ta ręka
Karmiła mię — o — szlachetna! —
Chociaż moja śmierć nie świetna,
Po śmierci Bóg może zdarzyć
Odmianę — więc w Mazamorze,
Gdzie się sam jak trup położę,
Nie rusz mię — lecz po skonaniu,
W mistrzowem zawiń ubraniu,
I zostaw tak okrytego
Cichym i skokojnym trupem,
Jeźli Król pozwoli na to —
A kiedy przyjdą z okupem,
To znajdą mistrza martwego
Pod zwykłą krzyżową szatą.
I powiozą gdzieś przez morza

Do kraju garstkę popiołów —
Już też, za tyle kościołów,
Da mi tam grób łaska boża!

(Don Żuan i Brytasz wynoszą go.)

ZMIANA II.

(Lądują na brzeg morski ALFONS i DON HENRYK z rycerstwem.)

ALFONS.

Zostawić falom zhukanym okręta,
Co podpierały żagłami obłoki;
I niechaj biją dział ogniste smoki,
I niechaj rzeka ludzi wyrzygnięta
Z okrętów, płynie i ten kraj zalewa —

DON HENRYK.

Zły do lądowań brzeg wybrałeś Panie,
Radziłem lepiej, te masztowe drzewa,
Bliżej po srebrnym posunąć bałwanie,
I z nich samemu Fezowi dać szturmy.
A tu jak widzisz Maurytańskie hurmy
Rażą nas straszną szabel błyskawicą.
Tu sam Tarudant z swą oblubienicą
Z Fezu wracając, bój nam wypowiada.

ALFONS.

Jasnych aniołów była to dorada,
Abym uczynił to co teraz czynię.
W Fezie na oba natrafiłbym wrogi,
A tutaj jeden — o pół nie tak srogi
Stoi na polu. Więc nim się rozwinie
Każ huknąć w trąby.

DON HENRYK.

Racz zważyć że wojna
Zawczesna, Panie — ludzie nie gotowi!

ALFONS.

Na nic nie zważam, dusza moja zbrojna!
A duch w mej piersi równien piorunowi!
A duchy święte pilnują mych skroni!
A dla Afryki niosę śmierć w tej dłoni!

DON HENRYK.

Lecz noc zaciąga swoje smętne kiry,
Na ogień słońca, na niebios szafiry. —
Ona zwycięztwo tobie wydrze z ręku —

ALFONS.

Ha! więc zwyciężać będziemy pociemku!
Niechaj noc idzie z czarnemi sztandary,
Ona nie wydrze z mego ducha wiary,
Że się o sprawę biję sprawiedliwą.
A jeźli Fernand mękę swą cierpliwą,
Za nas, o bracie, Bogu ofiarował?
To Bóg pioruny te jasne ukował,
Któremi szyki będzie walił krwawe.
A my zbierzemy zwycięztwo i sławę!

DON HENRYK.

Lepiej by w polu porobić przeręby —

(Sciemnia się — słychać w powietrzu anielskie trąby, i różne głosy duchów.)

ALFONS.

Cyt — słyszysz bracie —

DON HENRYK.

Głosy jakby śnią się —

ALFONS.

Głuchną — i znowu —

GŁOS FERNANDA.

Alfonsie! Alfonsie! —

DON HENRYK.

Głos mego brata — i znów jakieś trąby
Smętne, powietrzne, rozpłakane głosy —

ALFONS.

A więc to Pan Bóg z całemi niebiosy
Schyla się ku nam, owinięty nocą.

(Wchodzi DUCH FERNANDA z pochodnią.)

DUCH.

Z błogosławieństwem tobie i z pomocą
Dla twojej Alfonsie wiary,
Pan Bóg zesłał tę noc ciemną;
I zlitowany nademną,
Pozwolił opuścić mary,

Gdzie płakali — odejść od nich —
A tu z duchów ciżbą liczną,
I z tą pochodnią gromniczną
U gwiazd zapaloną wschodnich —
Iść przed wami. — Za mną! — za mną! —

(Wychodzi.)

DON HENRYK.

Bracie, opuszcza mię męztwo.
Zda się że czaszkę dwujamną
Miał ten —

GŁOS FERNANDA, za sceną.

Za mną! —

ALFONS.

Słyszysz? —

GŁOS FERNANDA, ginący w odległości.

Za mną! —

ALFONS.

Na koń bracie, Bóg nam daje zwycięztwo! —

(Wychodzą z wojskiem za duchem Fernanda.)

ZMIANA III.

(Galerja w pałacu Króla Fezkiego. — Z jednej strony wchodzi KRÓL i SELIM, z drugiej niewolnicy Chrześcianie niosą w trumnie ciało Don Fernanda. — DON ŻUAN idzie za trumną.)

DON ŻUAN, do Króla.

Napaś oczy tym widokiem!
Oto w czterech deskach leży
Bohater, perła rycerzy,
Twoim okrutnym wyrokiem
Zabity —

KRÓL

Ktoś ty jest taki? —

DON ŻUAN.

Rycerz bez żadnej poszlaki —
Z nim oto dźwigałem biedę
I łez się wspólnych napiłem.
Do śmierci wierny mu byłem,
I za ciałem jego idę.

KRÓL.

Patrzajcie tu ludzie krzyża,
Bo oto trumna się zbliża,
Trumna, co do mnie należy!
A w niej oto przykład leży
Zgiętego aż do mogiły
Pod nogą króla — oporu.
Niech teraz Alfonsa siły
Wyrwą go i ów sen moru
Odwalą. — Niech kto wyzwoli
Z tej ostatecznej niewoli,
W której mu łańcuchy śnią się?
Chodź! choź po brata Alfonsie!
Chodź mu teraz z uwolnieniem! —
Co do mnie — choć Ceutę tracę,
To się tem Książąt zgnieceniem
I starciem więcej bogacę
W sławie, niż tysiącem grodów —
Otom upor ich zwyciężył.
A jakom żywemu ciężył
Na piersiach — obaczą tłuszcze,
Że nawet tej garstce lodów
I po śmierci nie odpuszczę;
Ale kość zgnilizny blizką,
I to nieszczęśliwe ciało,
Z tą trumną napół spruchniałą,
Oddam na wiatrów igrzysko,
Na słońca wystawię skwary,
I wiatry! —

DON ŻUAN.

Blizkiś jest kary!
Bo oto widzę z wysoka
Chorągwie twego Proroka
Niżej — a krzyże u góry —

KRÓL.

Selimie! — wyjdźmy na mury
Zobaczyć — co za nowiny?

(Wychodzą.)

ZMIANA IV.

(Pole pod murami Fezu. — Wchodzi DUCH DON FERNANDA z pochodnią, za nim zaś ALFONS z wojskiem, DON HENRYK. — FENIKSANA i TARUDANT wzięci w niewolą.)

DUCH FERNANDA.

Przez ciemności i mrok siny!
Przez skały i rozpadliny,
Gdzie orzeł latać się lęka,
Prowadziłem was bezpiecznych.
Oto różana jutrzenka!
Oto Fez w ogniach słonecznych!
Więcej mi Bóg nie pozwoli —
Wykupcie mię u pogan z niewoli.

(Znika.)

ALFONS.

Zniknął w jutrzenki lazurze —
Hej — kto tam z ludzi na murze? —
Niech król do układów stanie.

(Pokazuje się na murze KRÓL i SELIM.)

KRÓL, z muru.

Czego chcesz śmiały młodzianie?

ALFONS.

Wypuść Infanta z niewoli;
A ja ci oddam w zamianę
Twoje dziecko ukochane,
Które oto w mojej mocy. —
Inaczej — choć serce zaboli,
Uczynię twój dom sierocy,
Śmiercią twojej córki pusty! —

KRÓL.

Selimie! ach, temi usty
Wydan wyrok sprawiedliwy. —
Co zrobię? Fernand nieżywy,
A moja córka u wroga! —
Fortuno! fortuno sroga!
Jak ty się nagle odmieniasz!

FENIKSANA.

Ojcze! czy ty zakamieniasz
Serce na twej córki głosy?

Że widzisz mię w tej niedoli,
Widzisz z rozwianemi włosy,
Pod toporami, pod strażą! —
I spokojną patrzysz twarzą
Na córki twojej więzienie.
W twojem ręku los mój cały,
W twoim głosie me zbawienie;
A ty stoisz oniemiały?
Kiedy w jednem twojem słowie
Ratunek dla córki leży?
Widzisz miecz na mojej głowie,
I czekasz aż we mnie uderzy?
I milczysz? aż mię zabiją,
Aż mi nóż utopią w łonie,
I szyję zetną bułatem? —
Ach, lwem ty byłeś na tronie!
Będąc ojcem, jesteś żmiją!
Będąc sędzią byłeś katem!
Nie król ty, nie sędzia, nie ojciec! —

KRÓL.

O Feniksano! ta zwłoka,
Choć z twarzy mej trudno dociec
Boleści — ach na Proroka!
Straszną mię rani katuszą.
Bo wiedz Alfonsie, że wczora
Książe się wasz rozstał z duszą,
O samym zachodzie słońca,
Po wyjeździe Feniksany;
I leży niepogrzebany —
A ja wskrzesić go bezsilny
Wam — o fortuno zdradziecka! —
Oddaję krew mego dziecka
Na zemstę —

FENIKSANA.

O nieomylny
Wyrok był! — jestem zgubiona!

KRÓL.

Niech płynie ta krew czerwona.
Za jej duszą, moja spieszy.

DON HENRYK.

Co słyszę! mój brat nieżywy?
O! więc już go nie pocieszy
Ta wolność — i pomoc próżna.

ALFONS.

Nie mów tak, twój brat szczęśliwy!
Girlanda go gdzieś podróżna
Duchów i gwiazd bratnich wita.
Co do mnie, treść jego woli,
Nie jest mi wcale zakryta.
Prosząc, byśmy go z niewoli
Uwolnili, gdy w ciemnościach
Z pochodnią przed nami błądził:
Mówił o sercu i kościach. —
Więc Królu abyś nie sądził
Że ten trup, po którym lament
Morskie podniosą Syreny —
Podlejszej jest u nas ceny
Niż jaki wschodni dyament
I cudne piękności lice:
Za Fernanda zewłok święty
Oddam ci twoją dziewicę;
Róże dam — za dyamenty,
Śniegi dam — za te popioły:
Oddam tobie maj wesoły,
A posępne wezmę grudnie. —
Tę postać, świecącą cudnie,
Co mi z rąk jak anioł ucieka,
Zdając się młodością i chwałą,
Oddam ci za biedne ciało
Nieszczęśliwego człowieka.

KRÓL.

Co mówisz? —

ALFONS.

Każ spuścić trumnę —

KRÓL.

Ach! i czoło moje dumne
Pójdę przed tobą uniżyć — —
Spuścić tu ciało Książęce! —
(Odchodzi. Spuszczają trumnę z murów —)

ALFONS, przyjmując spuszczoną trumnę.

Przyjmuję ciebie nie ręce
Święty! drogi męczenniku!
Całuję twe rany i krzyże — —
Proszę — pomóż mi Henryku
Tę trumnę —

DON HENRYK.

Witaj mój bracie! —

(Stawiają trumnę. Wchodzi KRÓL i uniża się do nóg Alfonsowi, który go podnosi z ziemi. — Wchodzi DON ŻUAN, BRYTASZ i NIEWOLNICY.)

DON ŻUAN.

A mnież to nie powitacie?

ALFONS.

Witaj Don Żuanie stary?
Dobry nam zdajesz rachunek
Z opieki —

DON ŻUAN.

Prowadzę mary —
Póki żył, każdy frasunek
Podzieliłem z nim i nędzę —
A teraz — od łez mi ciemno! —
Oto on poszedł przedemną,
Ale ja go tam dopędzę —
Dopędzę —

ALFONS, obracając się ku trumnie.

Wuju mój drogi!
Fernandzie! pochodnio świata!
Na twoje ręce i nogi,
Jako na święte stygmata
Kładę usta — i tę mroźną
Dłoń, ściskam w królewskiej dłoni —
A choć przyszedłem zapóźno,
Miłość moja się wyłoni

W pośmiertnej dla ciebie cześci;
I z mojej wielkiej boleści
Wielkie, ze złotemi czoły,
Wstaną dla ciebie kościoły.
Bowiem po śmierci się jasno
I przyjaźń ludzka pokaże. —
Królu! a tobie zaś w darze
Oddając twą córkę własną,
Oddaję też Tarudanta.
Ale przez pamięć Infanta,
Któremu Mulej był miły,
Proszę — abyś ten kwiat złoty,
Który był ceną mogiły:
Uczynił nagrodą cnoty,
Wiary — i dał Mulejowi.

KRÓL.

Wszystko u mnie twa łaska stanowi.

ALFONS, do niewolników.

Teraz wy, coście w niewoli
Nosili z Księciem łańcuchy;
Z niańczynemi teraz ruchy
Nieście te ciało, powoli,
Niech spocznie — a my za trumną
Co jest jako Arka święta,
Rycerską idźmy kolumną,
Żałobni, aż na okręta;
Gdzie w srebrną złożymy skrzynię
Zewłok ten niezłomnej duszy —
I z prochem flota wyruszy,
I do ojczyzny popłynie!

KRÓL-DUCH.

RAPSOD I.

PIEŚŃ I.

I.

Cierpienia moje i męki serdeczne
I ciągłą walką z szatanów gromadą,
Ich bronie jasne i tarcze słoneczne,
Jamy wężową napełnione zdradą —
Powiem — wyroki wypełniając wieczne,
Które to na mnie dzisiaj brzemię kładą,
Abym wyśpiewał rzeczy przeminięte,
I wielkie duchów świętych wojny święte.

II.

Ja Her Armeńczyk [1] leżałem na stosie
Trupem — przy niebios jasnej błyskawicy,
Kaukaz w piorunów się ciągłym rozgłosie
Odzywał do ech ciemnej okolicy.
Niebo zczerniało — ale świeciło się
Grzmotami — jak wid szatańskiej stolicy.
A ja świecący od ciągłego grzmota
Leżałem. — Zbroja była na mnie złota.

[1] Obacz w Platonie pełną tajemnic ducha powieść o Herze Armeńczyku, na końcu dzieła p. t. Rzeczpospolita.

III.

I duch niewyszły z umarłego ciała
Czuł jakąś dumę, że spokojnie leży;
A nad nim ziemia poruszona grzmiała,
I unosiły się duchy rycerzy. —
Trójca widm stos mój ogniem zapalała,
A ja czekałem aż piorun uderzy;
Tak byłem pewny, że w owe rumiane
Grzmotem powietrze, jak duch zmartwychwstanę.

IV.

Już przybliżały straszne czarownice
Chwast zapalony i suche piołuny,
I moje blade oświeciwszy lice,
Wrzeszcząc, posępne swe śpiewały runy:
Kiedy je trzasły aż trzy błyskawice,
I trzy siarczane ogniste pioruny;
I tak strzaskały płomienie czerwone
Żem je nie martwe sądził, lecz zniknione.

V.

Wtenczas to dusza wystąpiła ze mnie,
I o swe ciało już nie utroskana,
Ale za ciałem płacząca daremnie
Cała poddana pod wyroki Pana;
W Styksie, w Letejskiej wodzie, albo w Niemnie
Gotowa tracić rzeczy ludzkich miana,
Poszła: — a wiedzą tylko Wniebowzięci,
Czem jest moc czucia! a strata pamięci!

VI.

Tam kędy dusze jasne jak brylanty
Swe dobrowolne czyniły wybory,

Moc utrudzona biegiem Atalanty
Szukała tylko szczęścia i pokory. —
Orfeusz między ptaki muzykanty
Szedł umęczony i na sercu chory:
A jam pomyślał: że mu śpiewem będzie
Składać i skrzydła rozszerzać łabędzie.

VII.

Ulises poszedł w prostego oracza,
Aby odpocząć po swych wędrowaniach. —
Tak ludziom Pan Bóg zmęczonym wybacza!
I odpoczywać daje w zmartwychwstaniach!
Niech wyniszczony pracą nie rozpacza,
Że mu na ogniach braknie i błyskaniach,
Ani też myśli: że jest upominek
Dla ducha, większy jaki nad spoczynek —

VIII.

Ja sam z harmonją obeznany młodą,
Własnego ciała nie chciałem odmiany.
I siadłem smutny nad Letejską wodą
Nie usta moje myjąc — ale rany.
Odtąd już nigdy nad cielesną szkodą
Nie płakał mój duch z ciała rozebrany;
Ani za wielką sobie brał wymowę,
Otwierać tych ran usta purpurowe.

IX.

Wszakże Letejską przykładając wodę
Do ran — by pamięć boleści straciły —
Nie jedną poniósł na pamięci szkodę,
Nie jeden obraz stracił senny, miły.
Jutrzenek greckich różaną pogodę
Duchy mu nagle ręką zasłoniły,
A pokazały — jako świt daleki —
Umiłowaną odtąd — i na wieki!

X.

Ani gwiaździce co się w morzach palą,
A mają w świetle tęczowe kolory,
I są gwiazdami w ciemnicy pod falą,
Tak błyszczącemi, że morz dziwotwory
Delfiny w morzu swoje łuski skalą,
I obchodzą je cicho jak upiory:
A płynąć wierzchem nad niemi nie śmieją —
Tak mocno w morzu te gwiazdy jaśnieją!

XI.

Ani tych gwiaździc jasność tajemnicza
Tak nie przeraża owe pierwopłody,
Jak piękność, którąm ja poznał z oblicza,
We mgłach Letejskiej zapomnienia wody.
Nad nią dźwięk — duchów girlanda słowicza; —
Pod nią — jakoby złote zejścia schody
Na świat daleki i zamglony wiodły —
Na kwiatki jasne pod ciemnemi jodły.

XII.

Z tych łąk i z tych puszcz jakby wiatr poranny,
Pieśnią zapraszał na ziemię szczęśliwą,
Szedłem — choć strzały Numidzkiemi ranny —
Niepewny czy śmierć? czy żywota dziwo?
Czy Irys — którą na świat znosi szklanny
Obłok? — a tęcze świecące nad niwą,
Tyle kolorów i słońc tyle mają,
Że ją nad ziemią na światłach trzymają?

XIII.

Ona przede mną do lesistych zacisz
Weszła — a harfy śpiewały wiatrzane:

«Dobrze ją poznaj — bo wkrótce utracisz
Jak sny, przez dobre duchy malowane;
Żywot — tysiącem żywotów zapłacisz —
A zawsze jednę tę serdeczną ranę
Przyciśniesz w piersi rękami obiema —
Tę jednę smętną ranę — że Jej nie ma!

XIV.

Sławę ci damy — lecz tobie obrzydnie —
Serce ci damy — ale spustoszeje!
Przyjdzie do tego, że będziesz bezwstydnie
Urągał w Bogu mających nadzieję»
Na to ja: niechaj me oczy rozwidnię
Rubinem, który z jej ust światło leje —
A nie dbam o to co mię dalej czeka:
Żywoty ducha? czy męki człowieka?

XV.

W jedną girlandę męki me uwiążę,
Jak człowiek który za tysiące czuje
I tą girlandą jako świata książę
Czoło uwieńczę i ukoronuję;
Niechaj-że na mnie idą duchy węże!
Niech mię świat walczy otwarcie lub truje!
Niech mię ognistą otoczy otchłanią —
Choćby aż w piekło wiodła — pójdę za nią! —

XVI.

Pamiętam ten głos — i straszne zaklęcie,
Na które odwrzasł mi duch «to Królowa!»
I całe mego ducha wniebowzięcie
Upadło. — A w tem jasność przyszła nowa
I w tem powietrzu jako w dyamencie
Ukazał się wid — — Piękność — córka Słowa,
Pani któregoś z ludów na północy,
Jaką Judejscy widzieli prorocy —

XVII.

Słońce lecące trzymała nad czołem,
A miesiąc srebrny pod nogami gniotła:
Szła nad lasami i leciała dołem,
Nad chaty, jako komeciana miotła.
Tęcze ją ciągłem oskrzydlały kołem;
W słońcu girlandy niby z kwiatów plotła,
I na powietrze rzucała niedbale
Perły jaśminy i maki korale.

XVIII.

Błękit się cały zdawał uśmiechniony,
Pełny języków złotych niby fala —
Jak atlas, który bierze różne tony
I drżąc, swe hafty gwiaździste zapala —
Tak niebo za Nią od północnej strony
Gwiazdy swojemi łyskające zdala,
Różnym się dało gwiazdom pozłacanym
Ukazać — w ogniu od zorzy rumianem.

XIX.

Więc czego woda Letejska nie mogła,
To Ona swojem zrobiła zjawieniem;
Że moja dusza na nowo się wzmogła
Loty — i nowym buchnęła płomieniem.
A jako pierwszy raz ciało przemogła
I uczyniła swoim wiernym cieniem —
Opowiem: — Ja Her powalony grzmotem
Nagle — gdzieś w puszczy — pod wieśniaczym płotem.

XX.

Budzę się. — Straszna nademną kobieta
Śpiewała swoje czarodziejskie runny.

«Ojczyzna twoja — wrzeszczała — zabita —
Ja jedna żywa — a ty zamiast truny
Miałeś mój żywot. — Popiołem nakryta
I zapłodniona przez proch i piołuny
Wydałam ciebie, abyś był mścicielem!
Synu popiołów nazwany Popielem —

XXI.

Sam jeden jesteś — ale cię przymioty
Ojców napełnią — a ja dam dwa duchy:
Na prawo stanieć jeden Anioł złoty,
Na lewo jeden z krwi i zawieruchy;
Ci dwaj — ty trzeci i mój głos, jak grzmoty
Pędzący w zemstę» — To mówiąc pieluchy
Moje chwytała, i trzęsąc nad głową,
Rzucała dzieckiem jak skrą piorunową.

XXII.

Jeszczem nie dorósł a już karmem duszy
Zemsta mi była — a nauką zdrada.
Często bywało że ktoś włos mi ruszy,
I we śnie do mnie jak anioł zagada:
Gdy spojrzę — liść się tylko zawieruszy
I w kształt złotego widma wstaje — pada —
Czasem na moją pierś tumanem runie —
Ręka mi zadrży, nóż się sam wysunie.

XXIII.

O! pierwsze mego ducha nawałnice,
Jakże wy straszne stajecie w pamięci!
Widzę tę straszną krew jak błyskawicę,
W której się mój duch niby gołąb kręci;
Dziś, nieraz, kiedy w czarną okolicę
I w puszczę wejdę — to mię coś tak smęci —
Że radbym własne wyrywał wnętrzności!
Albo u bolów swych prosił litości!

XXIV.

Do gwiazdzic morskich tajemniczej jaśni,
Porównywałem to ludu zjawienie;
Który żył w chatach próżen wszelkiej waśni,
A miał z jabłoni swój napój i cienie.
Królowie jemu panowali właśni;
Cudowne jakieś Lecha pokolenie!
Mające w sobie całe Polski Słowo —
I moc i rózgę cudów Mojżeszową.

XXV.

Teraz wiem jako duch pod ziemią widzi —
A w ślepym często ten cud ujrzysz dziadu,
Którego wiejski ci pies nienawidzi. —
Żurawianemu gdy podobne stadu
Za nim się wleką duchy: — świat zeń szydzi,
Ale go chłopek czuje królem gadu;
I wie, że na te źrenicy blachmany,
Bije świat duchów tęczą malowany.

XXVI.

Te oczy ręką zasłonione bożą,
Czasem pod ziemią idą złota żyłą;
Aż im się ciemne kurhany otworzą,
Jak gdyby słońce pod ziemią świeciło.
Blachy się złote na wzrok ludzki srożą!
Proch ludzki wstaje pod wziętą mogiłą,
I w kształt człowieka znowu się układa,
Na nogi wstaje i w proch się rozpada.

XXVII.

Oni to widzą — właśnie — gdy gromada
Urąga — śledząc zamyślone czoło. —

Ta mądrość która cały świat spowiada,
Dawniej perłową wieńczona jemiołą,
Z królem na tronie lub przy królu siada
I w płomieniste się upiorów koło
Zamyka: nie czar — nie próżna guślarka,
Lecz mądrość — chorób duchowych lekarka.

XXVIII.

Więc wkoło — wioski w wieńce kaliniane
Strojne i roki poświęcone duchom,
Mogiły kozom i pasterzom znane,
Trzody dziwiące się ptaków rozruchom
Mogiły dawne! dawno zapomniane!
Dawno oddane mgłom i zawieruchom!
Z darni odarte — niecnych pełne gadów
I zardzewiałej krwi męczeńskiej śladów.

XXIX.

Czasami tylko jaki zwyczaj dawny
Indyjski, nakształt złotego upiora,
W lasach powstanie. — Kiedy rycerz sławny
Umrze — to lud go grzebie jak Hektora:
Dwanaście koni bije i krwią spławny
Stos — gdzieś pod lasem — pod mgłami wieczora
Ubrany w rogi jelenie i w głowy
Zamienia w ogień — i w słup purpurowy.

XXX.

Wieszcze się jawią w ogniu i guślarze
Przepowiadają przyszły świat nieznany.
Co w pieśni stworzą, to się wraz pokaże,
Przyprowadzone na świat przez szatany.
Każdy wiek wielkie miał prawdy ołtarze!
Część ducha, ducha namiętne kapłany,
Którzy wyroki uprzedzając boże,
Dla ciał — nie krzyże mieli — ale noże.

XXXI.

Wzgarda je wielka ku ciału paliła,
A duch upajał jak sok bachusowy.
Niejedna teraz Druidów mogiła,
Którą oplata w koło krzew różowy,
Kiedy ją słońca strzała wskróś przeszyła,
I przeszył ogień zorzy brylantowy —
Gdy wejdziesz w ciemne granitowe bramy
Pokaże ci swe słońca: krwawe plamy —

XXXII.

A jednak ty się nie cofasz przed niemi?
A choćby miesiąc był, nie czujesz trwogi?
Ale jak żóraw skrzydłami ciężkiemi,
Próbujesz nowej po błękitach drogi.
Między głazami dawniej czerwonemi,
Między miesiącem i polnemi głogi,
Srebrne się ciągle jakieś wstęgi snują,
Po których myśli jak sny przylatują.

XXXIII.

W takich kościołach, duch z wysokiem czołem,
Sądząc że nigdy świat się nie odmieni,
Obecność wtenczas mię dręczącą kląłem,
Nogą trącałem czoła tych kamieni — —
Padajcie głazy! przed ducha aniołem!
Krzyczałem: — jako gromada jeleni —
Przed mą niszczącą myślą uciekajcie!
Trupy grobowców tych — gińcie lub wstajcie!

XXXIV.

I nic! — Urągał mi ten świat cichością
I biegiem, co jak żółw za słońcem chodzi!

Nad południowych gdzieś łąk zielonością —
Bom przewędrował kraj który mię rodzi —
Inaczej z trupów postępował kością
Lud, który palił umarłego w łodzi!
I w mgieł krainę posyłał gościnną,
Z umiłowaną kochanką niewinną —

XXXV.

Ja — syn wyrżniętych ludów — ja istota
Nieznana wtenczas na ziemi nikomu —
Gdy obaczyłem jako ta łódź złota
Lepszą się zdaje od ziemskiego domu,
Jak płomień pod nią huczy i druzgota
Garście suchego liścia, pęki łomu,
A na te śpiące, we śnie rozkochane,
Rzuca swe straszne jutrzenki różane:

XXXVI.

Gdym to obaczył, a wysłuchał śpiewu
Dziewicy — grobów smętnego słowika —
Która złotemu się tej łodzi drzewu
Tak wydawała, jak kwiat słonecznika,
A już od krain zaświatnych powiewu
Brała głos nowy i światłość płomyka —
Już tchem — już ogniem była — już bez ciała —
Już mgłą — a jeszcze za światem śpiewała.

XXXVII.

Gdym to obaczył, tom kupcowi temu —
Bo kupiec jakiś to był który gorzał —
Zazdrościł drogi — sam nie wiedząc czemu —
Drżąc, abym kiedyś duchem nie zubożał,
Skrzydeł nie stracił, które ku złotemu
Światowi niosą, jak lew nie zesrożał;
Nie szedł na tamtem świat z szatana trwogą,
Jak duch — na czarnej łodzi — bez nikogo —

XXXVIII.

Przerażon, w lasy wróciłem rodzinne,
A wkrótce wziął mię Lech król za pachołka.
Jam oczy groźne miał i ręce czynne,
I uwiązany cel do wież wierzchołka.
Trucizny wlano w to serce niewinne!
A zemsta, jako pierwsza apostołka,
Ciągle kłóciła mię z ludźmi i z losem —
A głos jej czasem nie był ludzkim głosem.

XXXIX.

Więc ile razy posłucham jej rady —
A rada była dla ducha fatalna —
To widzę, że mi na świecie zawady
Usuwa jakaś ręka niewidzialna.
Na działającą moc patrzałem blady,
Sądząc — że biała mi orlica skalna
Zlatuje na hełm — usiada na czele —
I drogę moją piorunami ściele.

XL.

Żądałem wodzem być — i wraz dwa Wodze,
Krwi rozszalonej piorun w mózg uderzył.
Ja, co bywało za stadami chodzę,
Kiedym się z duchy ciemnemi sprzymierzył
Teraz tak straszny! — że komu ja szkodzę?
Choćbym się tylko nań myślą zamierzył —
Choćbym oczyma uderzył po stali —
W pancerz — i w serce ruszył — wnet się wali.

XLI.

I szczerniał cały świat: a ja, syn borów,
Patrzałem jako na las do wycięcia.

Z pod przyłbic wielkich bladość mię upiorów
Trwożyła. — Byłem pierwszą ręką księcia.
Przed sobą dalszych nie widziałem torów,
Ani dalszego już celu do wzięcia.
W zamku cedrowym nad Gopłową wodą,
Byłem najpierwszym Złotym Wojewodą —

XLII.

Tu patrz! jak straszne są duchowe sprawy!
Jakie okropne zastawiają sidła!
Raz gdy z dalekiej wracałem wyprawy,
A piorunów się różne malowidła
Przez długi deszczu włos świeciły krwawy:
Ja i rycerze ujrzeliśmy skrzydła
Orłów pobitych — w tak wielkiej ilości
Jak na cmentarzach gdzieś Germanów kości.

XLIII.

Pierze leżało zmokłe — lecz niektóre
Skrzydła sterczały z piasku takiej miary!
Że gdym na dzidę wziął i podniósł w górę
Jedno — to jako wielki upiór szary
Wierzchem o ciemną kity mej purpurę
Dostało — wstając leniwe z moczary:
Niby wyzwany czarodziejstwem runów,
Duch śpiący w błocie przy blasku piorunów.

XLIV.

Taka w tym skrzydle była tajemnica!
I ludzkość! żem się spytał: — powiedz sępie,
Czy was na wiatrach paląc, błyskawica
Rzuciła w takie nic — i w takie strzępie?
Czyście się bili o państwo księżyca,
Idąc na siebie zastęp przy zastępie? —
Czyście tu jaki bój toczyli krwawy
O ścierw? — czy tylko gryźli się dla sławy?!

XLV.

Powiedz: jak nazwać to pamiętne pole,
Dziś od błyskawic czerwone rumianych?
Gdzie tyle górnych duchów — dziś na dole!
I tyle skrzydeł leży połamanych!
Tom rzekł, w nieszczęścia nauczony szkole
Litować się łez i mogił nieznanych.
A wtem ujrzałem, że rycerstwo bierze
Skrzydła i wtyka sobie za pancerze.

XLVI.

Widok ten nowy! wspaniały! — czas późny! —
Błyskawic blaski wszędy! — wojsko w dali:
Gdzie każdy człowiek był jak upior groźny —
Skrzydlaty — czarnej rozświeconej stali.
Wszystko tak straszne! żem dreszcz uczuł mroźny
I krzyknął: «Sława Bogu — świat się wali!
Ja pierwszy moją piersią go roztrącę!
Ja duch! — a za mną — wojska latające.»

XLVII.

To mówiąc — skrzydło zmoczone i krwawe
Przypiąłem sobie tak, że hełm nakryło.
Ja biorąc skrzydła — za cel brałem sławę;
A oni chcieli sobie lotu siłą
Pomódz do domów. — O! jakże ciekawe
Powody, które rządzą ciała bryłą!
O! jak są różne przed prawdy mistrzynią
Orły — choć wszystkie jeden hałas czynią!

XLVIII.

I lecieliśmy do domu weseli,
Mijając drzewa i sady i chaty.

Rycerze moi przed zamkiem stanęli.
Jam wszedł jak Anioł czarny i skrzydlaty —
Karmazyn, który świat od króla dzieli,
Cały się w gwiazdy rozleciał i w kwiaty.
Pokazał się Król w odblaskach rubinu —
Spojrzał — i berło upuścił z bursztynu.

XLIX.

Widziałem: jako łaskawość pogodna,
Jaskółka siwych włosów, dobroć cicha,
Znikła. — A nagle twarz trupia i chłodna
Zmroziła mię tak, żem stał na kształt mnicha,
Spuściwszy oczy, patrząc w siebie do dna:
Zali zwycięztwa mego nagła pycha,
Jakich tajemnych myśli nie wywiodła
Na jaw? i króla w źrenice nie bodła? —

L.

A on — na moje skrzydła, na te pióra
Patrząc — które blask wieczorny zapalił
I okrwawiła tronowa purpura —
Pobladł i berłem mię wskazawszy — zwalił.
Wzięto mię. — Dusza ma czarna, ponura,
Już mi radziła: abym się ocalił
Wtenczas, gdy tłumy stały przerażone,
Z mieczem na Króla wpadłszy i koronę.

LI.

Alem się w jednej błyskawicy gniewu
Na taki wielki czyn nie śmiał posunąć.
Wolałem, że mi jak wielkiemu drzewu
Przyjdzie tu głową zachwiać się i runąć;
Niż z domowego ciemnej krwi rozlewu
Korzystać — mój miecz w łono starca wsunąć?
I wyjść z wyjętym na słońce orężem
Coby się zdawał nie bronią lecz wężem?! —

LII.

Wzięto mię — a ja w podziemnej ciemnicy,
Sam, do filarów przykuty kamiennych,
Jako pająki, ciemni robotnicy,
Zacząłem z myśli gryzących, bezsennych
Snuć długie pasma. — Widmo mi przyłbicy,
Nakryte orłów skrzydłami płomiennych,
Pokazywało się. Naramiennice
Osiadły blade, ścięte Meduźnice.

LIII.

Dusza tak była silna i bogata!
I taką wielką rządzicielką kości,
Że ciągle echem duchowego świata
Gadała — ciągle z jego okropności —
Z tych głębin — gdzie ćma niewidzialnych lata,
Jasno czerwonych słów, sztyletowości
Szepczących — brała straszną siłę sztychu,
I tę — jak piorun ciskała po cichu.

LIV.

Kto myślał: że mię więzieniem uciszał
I goił burze ducha? — ten się mylił.
Z ducha mi ciągle szedł grzmot — a Lech słyszał
I czuł, żem ja go gryzł — do ziemi chylił.
Chociażem wtenczas tylko w sobie dyszał,
A żadnej mocy ducha nie wysilił;
Gromadą duchów zarządzałem ciemną,
I te — jak sługi moje — były ze mną.

LV.

O wy! którzy się nigdy nie spotkacie
Z prawdziwą twarzą waszego tu stróża!

Dla których żywot widzialny jest w chacie,
A Bóg w błękitach próżnych się zanurza;
Dla was są próżne tych czynów postacie —
Dla innych — ducha ton i straszna burza,
Owiewająca moją pieśń żałobną,
Z twarzy do innych rapsodów podobną.

LVI.

Raz o północy kiedym dyszał gniewny
I sądził, że tu jakaś mara biała —
A tam kształt jakiś czarny i niepewny —
Owdzie zaś gwiazda biegła i spojrzała: —
Ujrzałem lice przecudne królewny,
Kórej z rąk blasku różanego strzała,
Przez proch więzienia i przez pajęczyny
Szła — zamieniwszy jej ręce w rubiny.

LVII.

Splecione do nóg złociste jej włosy
Wlekły się prawie po głazów zieleni,
Gdzie zakończone jak dwa złote kłosy,
Kwiatkami z drogich błyszczących kamieni: —
Te kwiatki — rzekłbyś — że dwa żywe losy
Twarzą aniołów ze światłych pierścieni
Patrzą się w górę — uczepione skrycie
Do nóg idącej falą amfitrycie.

LVIII.

Te kwiaty z żywych klejnotów się jawią
W pamięci mojej przed rysy innemi.
Reszta mgłą. — A mgły moje tak ją krwawią!
Żem nie spróbował o niej śnić na ziemi;
Lecz szaty jeden fałd wiecznie mi stawią
W oczach pamięci duchy — i z białemi
Nóżkami do mnie te kwiaty idące,
Jak dwa tęczowe na ziemi miesiące.

LIX.

A ja gdzieś w głębi — do granitnej nory
Schowany — niby kłąb piekielnych duchów!
Wyzwany światłem w ohydne kolory,
Jak zbiorowisko członków i łańcuchów;
Skrzydły zjeżony, jak piekielne twory —
Które my znamy na ziemi z posłuchów,
Słysząc, że niegdyś rodziła natura
Smoki, w płomienie ubrane i w pióra —

LX.

Ja — pomny na to: żem tronowi służył
A doznał zdrady — choć nie miałem winy;
Sądząc że mi się Lech aż krwią zadłużył,
Dotknięty okiem krolewskiej dziewczyny,
Aż skrzydłam na nią moje brudne wzburzył
I z piór pokazał oczy — cały siny —
Z takiem sił moich gniewnych natężeniem,
Żem ją mógł wzrokiem spalić jak płomieniem.

LXI.

Biedne my duchy! Zawsze z jednej schedy
Brać musim nasze co piękniejsze szaty.
Oto błyszczący kłem smok Andromedy!
Oto ów drugi straszny wąż skrzydlaty!
Który na słońce idzie w księgach Edy,
I gwiazdy — niebios lazurowych kwiaty —
Ogonem zbiera — w swe czerwone płuca
Wchłania — i z ogniem serdecznym wyrzuca.

LXII.

Na nią ja straszny, piekielny i mocny —
A tem straszniejszy żem był nieszczęśliwy —
Wyiskrzył cały oczu blask północny,
Więcej wtenczas jej, niż wolności chciwy. —

Jak mi ów czysty duch wtenczas pomocny
Otworzył wrota? — cichością oliwy
Do zamilczenia jęków przymuszone —
Nie wiem — to wszystko poszło w mgły czerwone —

LXIII.

On jednak — ten duch — nie wiedząc co czyni,
Jednem niebacznem słowem pchnął mię w górę.
Ona — ta dziwna na harfach mistrzyni,
Mająca duchów niebieskich naturę,
Czytała w jakiejś sybilijnej skrzyni —
Może przed wieki będąca za córę
Rzymianom — że jej koronę na głowie
Zerwą, na koniach lecący orłowie.

LXIV.

A ten sen dawny tak jasno wyrzucił
Z drugiego ciała swoje dawne twarze,
Że ojcu rzekła — a ojciec zasmucił
Czoło — i miał już przywołać guślarze,
Sny tłómaczące. — Gdy ja nagle wrócił —
Skrzydlaty orzeł i moje husarze
Przed zamkiem rzędy długiemi ustawił
I sen jak w jasnej błyskawicy zjawił. —

LXV.

To mi nieszczęsna powiedziała Pani,
Jakoby sama siebie winująca,
Że wtenczas śniła — gdy w skrzydła ubrani,
Spełnialiśmy sen przy blasku miesiąca,
W ogniu piorunów. — Lecz ciemni szatani,
Których moc jedną mocą ludzi trąca,
Sprawili: że snu na nią malowidła —
Na orły spadła rzeź — a na mnie skrzydła.

PIEŚŃ II.

I.

Księżyc był pełny i gwiazdy świeczniki
  Świeciły jasno na niebios lazurze,
W trawach śpiewały skrzeczki i świerszczyki,
  Zamek stał cichy na piaskowej górze.
Zimno północne i traw zapach dziki,
  I serce smętnie bijące w naturze,
Dwa razy mocniej zagadało do mnie,
Gdy ona przy mnie — i koń był koło mnie.

II.

Na jednym ręku niosła swe warkocze;
  A drugą, północ wskazała odludną.
Na to ja rzekłem: na północ nie wkroczę,
  Bo tam jednemu przeciw burzom trudno;
Lecz w koniu do krwi ostrogi umoczę —
  I będę pędził, aż drugą tak cudną
Jak ty, pokażą mi ziemskie narody,
Choćby królowę ognia albo wody!

III.

Jeźli nie — wrócę jak straszydło krwawe.
  A ty pamiętaj, jaki ztąd ucieka
Cień obalony miesiącem na trawę,
  Z konia, ze skrzydeł orlich i z człowieka.
Miesiąc mu daje tę straszną postawę —
  Wiatr ztąd wypędza, a nieszczęście wścieka;
A jeźli Pan Bóg go wichrem oszczędzi,
Może na powrót grom go tu przypędzi.

IV.

To mówiąc, ręką pogroziłem światu,
  A tem wścieklejszy, że sam i bezsilny.
Gwiazdy, na polach czystego bławatu,
  Oczy otwarte i słuch miały pilny.
Na wschodzie wstęga smętnego szkarłatu
  Świeciła — szarym równinom omylny
Kształt nadawając — że pod owe zorze
Tak się zdawały płynące — jak morze.

V.

Dyanna — jak liść wierzby — już zielona,
  Już jako róży liść różano-złota,
W ognistych się mgieł zanurzała łona,
  Zmienna, jak w sercu młodzieńczem tęsknota.
A jam skrzydlate obrócił ramiona.
  Wschodowi — chciwy nowego żywota,
I uciekałem, jak duch z bladą twarzą,
Więcej przed myślą moją — niż przed strażą.

VI.

Dzisiaj przez ducha cały świat odkryty,
  Cały wiadomy. Wtedy tajemniczy
Jak upior złoty a we krwi umyty —
  Złotem się dziwu wabił ku zdobyczy.
A krwią ochydzał wszelki czar zdobyty,
  Krzycząc, jak dziecko przydławione krzyczy,
Gdyś go ucisnął — a tarczy błyśnieniem
Takiś wywołał strach, jak objawieniem.

VII.

Po ciemnych puszczach gdziem się błąkał — gnana
  Wichrami straszna przyszłości orlica!

Kto mię napotkał — myślał że szatana!
Bo wszystko widział wprzód, niż moje lica:
Zbroję i skrzydła i młot u kolana,
I dzidę, która gorzała jak świeca
Między sosnami, samych niebios blizko,
Miedziane mając ostrze — jak ognisko.

VIII.

Na jednym pustym śród sosen smętarzu
Spotkałem smętne i dzikie Germany —
O duchu! dawnej przeszłości malarzu!
Ty jeszcze widzisz te sosnowe ściany,
Wozy, ogniska, twarze przy rozżarzu,
I rzymskie z białych piszczeli kurhany;
A na nich orły wydarte legionom,
Podobne lampom złotym i koronom.

IX.

Ty jeszcze widzisz i dziś pytasz siebie:
Kto ci przyczynił głosu i języka?
Liczni — krzyknąłem — jak gwiazdy na niebie!
Straszni jak piorun, gdy niebo odmyka!
Przez was świat wytnę! pod wami pogrzebię!
Ja, syn popiołów — ojciec mogilnika! —
Urra ha! — Gwiazdę pokazałem białą
Dnia wschodzącego lasom. — Wszystko wstało! —

X.

Wszystko! — Dziesiątki całe groźnych kroci
Wstały, gotowe na rzeź urahanną —
Wszystko! — Na boku tylko, śród paproci,
Białością swoją mię zadziwił szklanną
Kształt jakiś, śpiący, cudownej dobroci
I ciszy, zorzą oświecony ranną,
Zwalony w dzikich trawach, przy strumieniu,
Posąg — w jutrzenki światłach jak w płomieniu —

XI.

Rzeklem więc: Czy to jaka jest królowa
Wyrżniętych ludów? nieskalanej bieli?
Którą tu smętnie czarujące słowa
Na fijołkowej uśpiły pościeli?
Wtem barbarzyniec ją tak ciął, że głowa
Jak lampa która ciemność rozweseli,
Skoczyła — chwilę na błękicie trwając
Jak gwiazda — potem błysnęła — spadając —

XII.

A ja zawrzawszy gniewem — i brzeszczota
Dobywszy — tego barbarzyńca w czoło
Tnę tak, że jako grenada się złota
Rozwalił ów łeb — tu połą — tam połą —
A ja ów zegar widzący żywota
Z tajemnicami, żył czerwonych zioło,
Idące jeszcze wszystkich sprężyn ruchy:
Porównywałem dwie głów jak dwa duchy.

XIII.

Ledwom uczynił to — nowe mi moce,
Zapewne statuy zwołane zemszczeniem,
Przybiegły w pomoc — tak, że chociaż proce
Cisnęły na mnie za ów mord kamieniem;
Jam był jak piorun gdy lasy druzgoce!
I napełniłem ten lud przerażeniem,
A w przerażeniu takim wielkim żarem,
Że mię ukochał i nazwał — Kiejzarem.

XIV.

Dziś tam głęboki sen w tej puszczy lata!
A może jeszcze posąg biały leży!

A może jaka nad Istrowa chata
Mówi powiastkę moją — i nie wierzy! —
Ani wie, jako na zniszczenie świata
Posąg zemszczony przysłał mi rycerzy?
I obaczywszy mię ja burzę ciemną —
Duchy gwiażdżące zawiesił nademną.

XV.

Nie wiedzą ludzie przez jakie ja tony!
Przez jakie czyny? przez jakie męczarnie
Zebrałem owe duchów milijony?
Które gdy wezwę, to mię strach ogarnie!
Bo ze słońc różnych są i z różnej strony —
Jako girlandy w chmurach i latarnie
Pokazują się — kiedy sam nie zdołam
Czynić — a one na pomoc przywołam.

XVI.

Z barbarzyńcami — sam — na uroczyskach —
Człowiek — duch — pilnie uważałem cuda
Które się jawią przy ludów kołyskach,
A nikną, gdy się szczep na drzewie uda;
Lecz zaszczepienie przy piorunnych błyskach
Odbyte, a strach w powietrzu i nuda,
Które panują takim chwilom świata
Trwożą — jak pianie kurów u Piłata

XVII.

Zda się: że ciągle ptaki ranne pieją —
A pianie smutne jest jak krzyk dzieciny.
Przed rannym strachem niebiosa ciemnieją;
Więcej wychodzi gwiazd na błękit siny —
Ludzie przy ogniach miast swe ręce grzeją,
I przerażeni cichością godziny
Gotowi zaprzeć się bożego ducha —
Obzierają się jak zbójce — czy słucha?

XVIII.

Jam to czuł, mimo że krew moja była
Jak piorun w żyły, że hełm od niej dzwonił;
Kita się ogniem czerwonym paliła,
A młot skry takie jak miesiące ronił.
Koń gadał — dzida rosła — szabla żyła —
Wiatry dawały rady — obłok bronił —
O złym dniu wrzaski ostrzegały krucze —
O dobrym złote żórawiane klucze. —

XIX.

Przez wszystkie władze ziemskie ostrzegany
Wpadłem na ziemię moją nieszczęśliwą:
Lech nie żył; a lud jego zabijany
W Królewnę patrzał jako w gwiazdę żywą —
Ona też pancerz złoty, malowany
Kwiaty różnemi jak słoneczne dziwo,
Pokazywała w strasznych walk kurzawie
Podobna białej Anhelicy — sławie.

XX.

Koło niej ciągły tabor z żywych ludzi,
Zbrój czarnych, mieczów, tarcz; nad nią sztandary.
Ilekroć wieczór mgłami się zabrudzi,
To jako ptaki nocne albo mary
Wstają po bagnach Wenedy i Czudzi,
Żółte Połowce, nadmorskie Tatary,
I w twarze nasze strzał tysiącem brzęczą —
A nic gdy biją — straszniejsi gdy jęczą!

XXI.

Jeszcze pamiętam ten wrzask i to wycie
Różnych narodów i różnych języków —

Gdy te Ludyszcza, przy Wisły korycie
Przyparłem do fal falą moich szyków.
Aż mi o jasnym wyprawili świcie
Najstarszych z wojska swego tysiączników,
Prosząc o pokój i o ziemi bryłę
Taką — że ledwo dla nich — na mogiłę.

XXII.

Ja wtedy pod lwią skórą rudozłotą
Siedząc na prostej powózce Germanów
Rzekłem: niech pierwej dziewczęta rozplotą
Warkocze — córki najpierwszych Supanów,
Niech sama Wanda płaczem i tęsknotą
Zmiękczona przyjdzie nam do roztruchanów,
Nalewać wina. — Niech ją złotowłosą,
Germany moje na tarczach podniosą:

XXIII.

A gdy przez ludy dzikie okrzykniona
Królową, z tarczy mosiężnej księżyca
Zaśpiewa nam pieśń na nowe plemiona!
I nasze dzikie dusze pozachwyca!
Ja wtenczas drżące otworzę ramiona,
Aby zleciała w nie jak gołębica —
I wyprosiła usty różanemi:
Co chce!? niebiosa całe — czy pół ziemi?!

XXIV.

Z tem stary Swityn i Czerczach posłowie
Odeszli. A mnie jej postać wprzód senna
Zaczęła jaśnieć jako słońce w głowie,
I coraz bardziej jawić się płomienna.
Więc potem, kiedy ległem na wezgłowie,
Cała mi w oczach ognista Gehenna
Błysnęła, ciągle piorunami pruta,
Ciemna, czerwona parami jak huta.

XXV.

Na piersiach darłem skórzane odzienie,
Ale do łoża byłem jak przykuty:
Wtem ona weszła w te straszne płomienie,
Jak duch tęczami różnemi osnuty;
Nad nią niby z gwiazd grających pierścienie
Wiązały jedną pieśń na różne nuty —
Dzwoniące, cudne! jakieś gwiazdy śliczne!
Niby powietrzne narzędzia muzyczne.

XXVI.

Słysząc te głosy, z któremi dziewczyna
Szła na mnie, z ciała mego wyleciałem.
A ona w ogniu czerwona i sina,
Obracająca powietrznym chorałem,
Jako skrzydłami powietrznego młyna
Kręcąc — przywiodła duch — że włosy rwałem;
Przez wszystkie jęki i tony i zmiany
Idący za nią w toń — jak zwarjowany —

XXVII.

Jeszcze noc była — a ja: hełm na głowę
Włożywszy, wsiadłem na koń — pędzę cwałem.
Pamiętam szare powietrze perłowe
I zamek wieży, sterczący kawałem
Nad Wisłą — gdzie lud tę swoją królowę
Otoczył ludzkim i ceglanym wałem.
Tam przyleciawszy: w róg mosiężny dzwonię —
Grzmię — aż mi wszystkie oderżały konie.

XXVIII.

Wychodzi siwy Swityn Wojewoda,
Ze snu czerwone przeciera źrenice:

Idź — rzekłem — bo mi słów wczorajszych szkoda,
Za nadto ostre pokazałem lice;
Niech mi królowa wasza jasna młoda
Naleje czary, podniesie przyłbicę,
A może łatwo ten rozkaz wykona:
Pieśń mi zaśpiewać — paść w moje ramiona.

XXIX.

Nic nie rzekł Switon: lecz mię brzegiem wody
Prowadził, kędy stał tłum ludu mały.
Rybacy srebrne trzymali niewody:
Kilka świec — choć już ranek błyszczał biały —
Nieśli kapłani z lutniami Rapsody,
Siedli na zrębie jednej małej skały,
Pod bladą wierzbą — mgłą ranną okryci.
Na wzgórzach w zmroku zapalano wici.

XXX.

Na łące dziewy i panny służebne
Ujrzałem tam i ów się krzątające.
Te niosły kwiaty, kadzielnice srebrne,
Dyadematów złotych pół-miesiące;
Inne — bławatki do wieńca potrzebne
Zbierały w trawach — kolorów tysiące
Rzucając w srebrne powietrze, w mgły szare,
Niby wiślanym duchom na ofiarę.

XXXI.

Dawny świat! Obraz dawny wywoływam!
Lecz ileż razy różaność przed-wschodnia
I kwiaty, które mgłą okryte zrywam,
I leśne ptaszki budzące się do dnia
I tęcze, których do myśli używam,
Gdy się zapali mój duch jak pochodnia,
Przypominały obraz on tak rzewny! —
Ubranie martwej na łąkach królewny —

XXXII.

Jak miesiąc była, kiedy z niego zetrze
Pierwszą pozłotę, słońce w dzień jesieni,
A on się topi w błękitne powietrze
I lekko swego czoła zarumieni —
I nad girlandą lasów, gdzie na wietrze
Drżą liście złote przy liściach z płomieni:
Pełny — okrągły — blady się przemienia —
W mgłę — jak cudowna twarz srebrnego cienia —

XXXIII.

Taka jej bladość! nieco ku błękitom
Nachylona już zgonu okropnością!
Takie ust perły! Wisły Amfitrytom
Z upiorną niby odśmiechnione złością.
Zresztą — spokojnie się onym kobietom
Dawała stroić modrzewiów ciemnością,
Koroną złotą, wieńcami z bursztynu —
A strach powiększał trupa w oczach gminu! —

BIBLIOTEKA IM. J. I. KRASZEWSKIEGO
Księgozbiór: LU
Nr 831

XXXIV.

A cóż dopiero! gdy ja groźne lice
Odkryłem, z hełmu spojrzałem surowo
I połamawszy miecz mój w błyskawicę,
Cisnąłem jego kawałki nad głową.
Nademną ducha mrok i złote świece
Miecza — nad kitą moją purpurową
Jak zawierucha olimpijska wstały —
Mój duch — na hełmie stanął w ogniach cały.

XXXV.

Krzyk pierwszy, który z ust wyszedł zwierzęcy,
Już niepodobny krzykowi człowieka!

Zbudził Germanów całe sto tysięcy:
I szli jak morze huczące zdaleka. —
Stos wystawiłem okropny! książęcy!
Taki wysoki! że wiślana rzeka,
Na bladych trupów zatrzymana murze,
Stanęła — cała jak upior w purpurze.

XXXVI.

Lecz pierwej nim ją oddałem płomieniom,
O! ileż strasznych słyszała lamentów!
«O włosy! nie dam ja waszym pierścieniom
W ogniu z wiślanych oschnąć dyamentów!
Każę podziemnym zamienić się cieniom
W gmachy filarów pełne i zakrętów —
W alabastrowej Cię położę trumnie
Każę strzedz wieków śpiewaczce — kolumnie.

XXXVII.

Zbalsamowaną — wiecznym zdjętą spaniem
Cicho na białych atłasach położę —
Sam przyjdę — jak lew legnę — i wzdychaniem
Śmiertelnem twój sen spokojny zatrwożę.
Więc może wstaniesz? i pocałowaniem
Dasz mi ocknienia światłości i zorze?
I słuchami wężmiesz w tych podziemnych cieniach,
Coś czytająca — wiecznie — na kamieniach? —

XXXVIII.

W kraju bez słońca, bez gwiazd i księżyca,
Gdzie wiecznie smętno, posępnie i głucho;
Ja rycerz, jako śpiąca nawałnica,
Z otwartą, szklanną źrenicą i suchą:
A ty — jak moja smętna czytelnica,
Perła po perle, ton lejąca w ucho,
Taka wyrazów i pieśni mistrzyni! —
Że pieśń z tysiąca lat — chwilę — uczyni! —»

XXXIX.

Tom rzekł, pośmiertne przeczuwając rzeczy —
I głosy. I znów zajęty pożarem,
Chciałem ją złożyć na gwiaździcach z mieczy,
Upowić krwawym rycerskim sztandarem!
I z onej ziemi, gdzie ciało kaleczy
Słońce — niewczesnym i nieludzkim skwarem,
Uciec w Islandów wyspę zamrożoną,
Ogniami siedmiu wulkanów czerwoną — —

XL.

Tam ją — krzyczałem — gdzieś na lodowiskach
Złożę, jako kwiat ujęty w kryształe!
I przy wulkanów rubinowych błyskach
Opłomienioną posadzę na skale! —
A sam z dzikiemi orły na urwiskach
Dzikszy niż burze, straszniejszy niż fale! —
Gdy góry będą swoje ognie zionąć:
Mrozom się dam zgryść! i ogniom pochłonąć!

XLI.

Tak mój duch w kształty się piramidalne
Wyrzucał, dawną tryskając naturą;
Tak nowe ciała łańcuchy fatalne
Targał i piorun zawsze miał pod chmurą. —
Potem więc Roki się zebrały walne
I mnie okryły Lechową purpurą.
Lud cały strachem ohydnie znikczemniał. —
Jam siadł na tronie, zmroczył się i ściemniał.

XLII.

I któżby to śmiał w księgi ludzkie włożyć
Dla sławy marnej, a nie dla spowiedzi? —

Postanowiłem niebiosa zatrwożyć,
Uderzyć w niebo tak jak w tarczę z miedzi!
Zbrodniami przedrzeć błękit i otworzyć,
I kolumnami praw, na których siedzi
Anioł żywota, zatrząść tak z posady,
Aż się pokaże Bóg w niebiosach — blady —

XLIII.

A gdy Bóg nad tą żywota fortecą
Zgwałconą, twarzy niepokaże? Przecie
Komety złote na niebie przylecą
I bliżej oblicz ukażą na świecie;
Nad zamkiem swoje ogony zaniecą
Jak widma — jedno — i drugie — i trzecie —
Jeźli nie zlęknę się a krew mię splami —
Kto wie!? — jak słońca przyjdą tysiącami!

XLIV.

Niebiosa pełne widziadeł i twarzy
Słonecznych — może z krwawemi oczyma!
A tu koło mnie powietrze cmentarzy
I ciągła burza, wiatr, ognie i zima.
Wichry skrwawione, głos trupów z kościarzy —
Słońce poblednie, księżyc się zatrzyma;
Gwiazda zajęczy jaka — lub zaszczeka?
Wszystko pokaże iż dba o człowieka! —

XLV.

Jeźli nie? rzekłem — jeźli z tym motłochem
Postąpię sobie jak król zwarjowany?
A żywot, jak wąż, schowa się pod lochem,
Jak gdyby nie czuł w sobie żadnej rany?
To ludzie są proch — i ja jestem prochem,
Na jeden tu dzień jak miecz ukowany!
A tem straszniejszy — że go własne siły
Nie duchów ręce z ziemi wyrzuciły.

XLVI.

Zaledwo ta myśl poczęła się we mnie,
Wzrok zaraz wydał ją — jasny i suchy —
Wchodzący w myśli ludzkie potajemnie,
Aby tam widział w kościach: czy są duchy?
Więc naprzód Czerczak, u nóg mi nikczemnie
Proszący o łeb, pod katów obuchy
Poszedł, a za nim jacyś dwaj Prorocy,
Których dziś — krwawe łby — widuję w nocy —

XLVII.

Za wojewodą cały dwór i sługi
Posłałem — niby z nim będące w zmowach.
I z wież patrzałem na ten łańcuch długi,
Idących na śmierć z świecami — w okowach.
A niebios! — niebios błękitne framugi,
Jakby o zdjętych nie wiedziały głowach,
Patrzały na to ciche — obojętne! —
Mnie się wszelako zdawało: że smętne!

XLVIII.

Ogromny szereg tych wymordowanych
Poszedł. Myślałem że duchy zobaczę
Gdzieś, do łabędzi podobne rumianych,
Od których jęczy powietrze i płacze:
Albo że ze ścian ogniem zapisanych
Wyjdą pająki z ognia — straszne tkacze!
Na ściennych ogniach się swych zakołyszą,
I wyrok jakiś ognisty napiszą! — —

XLIX.

Myślałem — że me noce niespokojne,
A dnie jak noce bez gwiazd będą czarne!

W ciemnościach jęki, albo chrzęsty zbrojne;
Tchnienia na czoło chłodne, albo parne? —
I nic! — Ten straszny duch, któremu wojnę
Wydałem, dziecko zostawił bezkarne;
A ja podniosłem pierś dumną i twardą,
Gotów do końca walczyć z bożą wzgardą —

L.

Przez dawne oczy widzę to ohydne
Pierwszego ducha dzieło, z czasów onych,
Gdy stepy całe dziś w mogiłach widne,
Wzięły u ludu nazwisko Czerwonych —
Wtenczas ujrzano mię, że w ciele brzydnę
I biorę postać duchów utrapionych.
Ludzie myśleli, że mi gniją trzewa:
A jam był senny jak wąż — gdy poziewa —

LI.

Czasami z góry — na kolec blaszany
Wieżycy wstąpię — i tak jako owce,
Najpierwsze państwa Karacze, Supany,
Każę prowadzić przez różne manowce.
Tam je kładziono w skrwawione kurhany,
Na stos znoszono chwast, czarne jałowce —
A ja bywało z góry, jak sęp dziki
Widzę te w ogniach ruchome mrówniki.

LII.

Dziesięć czasami gwiazd i słońc czerwono
Zagore — dziesięć wrzasków razem słyszę;
I nie podnosi mi się duchem łono,
Ani się serce strachem zakołysze —
Jako Lucyfer z błyskotną koroną,
Stoję — a zbrodni mojej towarzysze
Na większą, niż te wszystkie okropności
Patrzą — na mą twarz śmiertelnej bladości.

LIII.

Dziwią się wszyscy: że jak pies nie szczekam,
Jak lew nie ryczę, jak człowiek nie zgrzytam!
Nie wiedzą, że ja duch natchnięty, czekam
Gwiazd, deszczów krwawych; i znów za miecz chwytam
I znowu cały świat na siebie wściekam!
I znów się niebios zamroczonych pytam:
Czy mieczem, który w łono ludzkie wrażam,
Którą tam władzę niebieską przerażam?

LIV.

Co tylko mocy ma ten mózg napięty,
Tom ja na męki wynalazek użył.
Stosy, na Wiśle spękane okręty,
Kołowrót, który ciał długość przedłużył —
Wszystko w męczeństwie ten kraj niepojęty
Swą cierpliwością wytrzymał i zużył!
A niebo wszystko to cierpliwie znosło,
Póki kruszyłem duchom: łódź i wiosło —

LV.

Poszedłem dalej — i w męki wyborze,
Już nic nie mogąc straszniejszego stworzyć,
Zacząłem łamać większe prawa boże,
Myśląc naturę samą upokorzyć.
Matkę mi z lasu stawiono na dworze —
A ja zamiast się u nóg jej położyć,
U tej w łachmanach podartej orlicy,
Ciała użyłem za knot smolnej świecy —

LVI.

Rzekłem ludowi: że mię czarowała,
Że serce jadła, że żony mi truła. —

Z włosem palącym się, jak ptak, latała
I zgasła. Wtenczas twarz mi się popsuła
I pokazała zielonością ciała,
Że się duchowi memu szata pruła:
On jednak w ciele nie wiedział o sobie,
W letargu niby i w czarnej chorobie.

LVII.

Raz tylko byłem tak na niebie śmiały,
Że się przejrzałem, w tarczy patrząc lice.
A byłem cały jako trup szczerniały,
Który stoletnią miał w ziemi trumnicę;
A już robaki z niej pouciekały,
Bojąc się oczu jasnych jak gromnice;
I czerwonemi przerażone łzami
Trupa — i kości spruchniałych ogniami.

LVIII.

Lecz co dziwniejsza, że tak pruchniejący,
Taki upadły! i taki zużyty,
Czasem się czułem jak Aniół gorący,
Gotów ukochać świat i nieść w błękity —
Tę ziemię jako Aniół — wzlatujący
Z pieśnią — co była jako szklanne zgryty
Harmonik — i szła w ton coraz boleśniej,
Aż upadała w śmiech — w szaleństwo pieśni! —

LIX.

Gdy mię bywało taki czar omami —
A stoję, ręce wyłamawszy z ramion,
Choć tylko piana toczy się ze łzami,
A usta milczą — to mój duch omamion,
Wszystkiemi zda się kręci księżycami! —
A gwiazdy, nakształt muzykalnych znamion
Chwyta — i w głosach tu ziemskich wyraża:
Tworząc już nie Pieśń Sen, lecz Pieśń Mocarza.

LX.

Jeden był tylko przy mnie giermek mały —
Jeden był tylko i ta pieśń go struła.
Głosy okropne w niego wlatywały,
Kości roztrzęsły — pierś mu się popsuła.
Chodził i przez sen gadał i drżał cały,
Jak instrumentu cedrowa szkatuła,
Którą muzykant napełnił przelotem
Tonów — i zamknął napełnioną grzmotem.

LXI.

A tymczasem mię Wielki Pan niebieski
Ubierał w grozę i w powagę strachu.
A strach był jakiś ciemny i królewski,
Który napełnił wszystkie kąty gmachu.
Pod stopą moją suche komnat deski
Grzmiały jak trumny. — O komnat zapachu
Gadał po wioskach z trwogą lud ciekawy:
Że był zaduszny, tajemny i krwawy.

LXII.

Na świecie o mnie śniono. — Śród czeladzi
W podziemnych kuchniach gadano: żem blady
Jak miesiąc, gdy się przejrzy w krwawej kadzi,
W której pływają gniazdem wężo-gady;
Że gwiazda złota jakaś mię prowadzi —
Purpurowe tu tłoczącego ślady —
W ciemny kraj — gdzie się wszelka dusza wściekła
Na króla duchów czerwonych — do piekła!

LXIII.

A co dziwniejsza — że mię ukochano
Za siłę — i za strach — i za męczarnie! —

Gdym wyszedł — lud giął przedemną kolano,
Lud owiec, który ku pasterzom garnie! —
Przed twarzą moją straszliwą klękano,
Widząc dwa skrzydła hełmu jak latarnie!
I między niemi w środku zawieszoną
Tę twarz, jak lampę trupią i zieloną.

LXIV.

W powiekach rubin i błysk dziwny gore;
Powieki nożem zdają się rozcięte;
A przez czerwoną rubinową korę
Patrzy duch — widmo przeszłości przeklęte! —
Przez jakież Panie męki i pokorę?!
Przez jakież później ciała z krzyża zdjęte,
Musiałem ścierać strach z mojego czoła?!
Z oczu wydzierać ciemną skrę anioła?!

LXV.

Żem wyzwał słońca Twoje i księżyce
I meteorów ogniska i burze,
I przeciw gniewom Twoim niósł przyłbicę
I chciał zobaczyć sługa — komu służę? —
Żem chciał zobaczyć Panie! twoje lice,
Cztery pioruny Twoje — świata stróże —
Wszystkie potęgi Twoje, o świat drżące,
I wszystkie słońca i wszystkie miesiące:

LXVI.

Tyś mną podardził Panie! i ominął,
I do straszliwej śmierci doprowadził. —
Switvn żył jeszcze. — Starzec sławą słynął,
Bił wrogi moje, winy moje gładził;
Granicę mego królestwa rozwinął,
Na dwu srebrzystych morzach mię posadził.
Stary — a miecza do pochwy nie chował:
Jam go jak ojca — kochał — i szanował —

LXVII.

Pamiętam — biła północna godzina,
I konstelacja łabędź, jak krzyż złoty
Nad wieżą, gdziem był, leciała — jedyna
Sufitów próżnych lampa śród ciemnoty:
Wtem myśl ohydna o śmierci Swityna,
W serdeczne moje wstąpiła zgryzoty
Z taką potęgą! — żem wnet ku niej dłoni
Podał, jak dziecko uśmiechnął się do niej —

LXVIII.

Potem ją chciałem zmazać, ale ona
Już jako pani mego serca była —
«Sprobuj — wołała — jeżeli ten skona —
A żadna zorza-by nie zaświeciła?
A żadna gwiazda z tych gwiazd, przerażona,
Nie przyleciała? krwi się nie napiła? —
To wtenczas będziesz spokojny o ducha!
Ziemia proch! — człek z niej jak wulkan wybucha.

LXIX.

Płomieniom wolno chodzić po dolinach,
I błyskawicom wolno bić w cnotliwe.
Za myślą twoją idź — nie myśl o czynach!
Probuj czy niebo martwe jest czy żywe?»
Tak mi ktoś szeptał. — Gdyby w stu Switynach
Stu ojców moich własnych głowy siwe
Patrzały na mnie, z grobu jego wzrokiem —
Nie byłbym cofnął się przed krwi potokiem.

LXX.

Wysłałem katy — lecz myśl gdy się kwieci,
W coraz straszniejsze rozwija się drzewo.

Posłałem drugie — dwór — żonę — i dzieci
Wyciąć. — Był ciemny dzień i grad z ulewą.
Czasami słońce ponuro zaświeci —
I gradem złotym jak zwichrzoną plewą
O pancerz chłośnie i z kitą się zetrze —
Bom stał — czekając tych katów — na wietrze.

LXXI.

U progu mego żebractwo się szare
Skupiło. Patrzą — król na progu stoi.
Przez deszczu struny widzą jakąś marę
Jęczącą, gradem bijącym po zbroi. —
W tem wyszło do mnie suche widmo stare —
Żebrak — i blizko stanąwszy podwoi —
Jak posąg, który wiecznym być zaczyna,
Skościał — i podał mi list od Swityna —

PIEŚŃ III.

I.

Na dworach wówczas nasze wojewody
Trzymali sobie nadwornych gęślarzy;
Ci byli jako rycerstwa Rapsody —
Zazwyczaj mądrzy, ślepi już i starzy.
Jako pancerze śrebrne, długie brody
Na piersiach mieli, a słoneczność w twarzy.
Liry nosili małe, ale sławne,
W koral, lub w srebro, lub w bursztyn oprawne.

II.

W ręku trzymali niby pastorały
Długie, wierzbowe, ostrugane kije.

Temi — bywało — chłopczyków chorały
Pędzą — i wiodą takt przez harmonije;
A kiedy w górę kij podniosą biały —
Wtenczas z choralnej pieśni piorun bije;
A kiedy spuszczą na dół berło dziada —
To na kolana pieśń jak Anioł spada.

III.

O takim kiju z lireczką u pasa,
Stał stary Rapsod Swityna u proga.
Na płaszczu — pomnę — była różna krasa
I łaty różne — zda się, że płaszcz z Boga,
Na którym zorza w błękitach dogasa
I różne światła płoną. — Jego noga
Bosa dziś świeci przed memi oczyma,
W obwiązkach, srebrna jak muszla pielgrzyma.

IV.

Tak z wystawioną naprzód nogą bosą
Podróżny żóraw, na białym kosturze
Oparty, z twarzą jasną, srebrnowłosą,
Stał, w płaszczu starym jak w błękitnej chmurze
I list podawał. — Iryda za kosą
Wlekąca tęczę, gwiaździce i róże,
Nie jest mi piękną tak — gdy z niebios spada —
Jak to wspomnienie dawne — tego dziada!

V.

O! złote serce śpiewaka i sługi,
Tak po męczeńsku cierpiące dla Pana!
Miej grób! którego nie rozorzą pługi,
Do zaklętego podobny kurhana;
Wiecznie tu wstawaj w pieśni! i wiek długi —
Aż znowu ta pieśń będzie zapomniana —
Przykładem ludzi do miłości znęcaj!
Śpiewaj! — a liry też czasem pokręcaj!

VI.

Niech mi przypomni czary tobie znane,
I słowa dobre na serc otwieranie,
Porządne, ważne i uszykowane
Rzędem, jak dźwięku anioły w organie:
A przebacz mi już tę okropną ranę
I to straszliwe nóg przyćwiekowanie,
Któreć odjęło — to coć najboleśniej! —
Twój najpiękniejszy czar — wędrowność pieśni!

VII.

On mi podawał list, — a ja na nodze
Jego oparłem miecz żalazny, krzywy,
I czułem że mu między kości wchodzę:
A on stał — jak Bóg wielki — bo cierpliwy!
Mieczem przygwoździon w kamiennej podłodze,
Którą czerwienił krwawy koral żywy —
Stał — obwinięty ów żebrak w błękicie —
I tak się na mnie patrzał, jak na dziecię.

VIII.

A ja nie zdjąwszy miecza z jego rany,
Owszem głębiej go zapędzając w koście,
Czytałem słowa, które jak szatany
Paliły mi mózg i gryzły wnętrznoście.
Ten list! na sercu mojem zapisany,
Nad wszystkie ducha mego okropnoście,
Głębiej swe straszne zarzuty wykował!
Bo mną ten człowiek gardził — choć miłował —

IX.

«Kacie ojczyzny mojej! i tyranie!
Mój królu wczora! — pisał Swityn stary —

Na dobrowolne poszedłem wygnanie,
Abyś przez mój zgon nie dopełnił miary —
Ty mię wyganiasz? a ja, o mój Panie!
Żołnierzy wszystkich serca i sztandary
Zostawiam tobie, — sam znikam bez wieści —
Sam nic nie biorę z sobą — prócz boleści —

X.

A byłbym chętnie dał głowę strudzoną
Pod miecz twój; chętnie w ręce twoje złożył
Tę głowę ściętą, ale uśmiechnioną,
Której Bóg nigdy śmiercią nie zatrwożył:
Gdybyś ty jeszcze miał człowieka łono,
I nad kościami ludzi się nie srożył,
Gardząc miłości ostatniem spojrzeniem,
Mszcząc się nad kością — jak pies nad kamieniem.

XI.

Aniołowie mię dziś ostrzegli złoci
We śnie. — Twój sam duch stanął pod kotarą,
Tak jak pochodnia świecąca w wilgoci,
Cały oświecon ogniami i parą.
Tyś mię sam ostrzegł! — A to nie z dobroci —
Ale żeś taką dziś stał się poczwarą,
Że słychać ciebie — i czuć — choć z daleka —
Kiedy pomyślisz o śmierci człowieka. —

XII.

Duch litośniejszy twój jest ci za szpiega,
On najprzód zgniłe twe serce wypyta,
A potem chodzi i ludzi ostrzega,
Gdy twoje ciało śpi — a ząb twój zgrzyta.
Duch twój wychodzi i po kraju biega
I targa włosy — jęczy jak kobieta —
Ty, zmordowany jego lamentami,
Wstajesz, nie wiedząc żeś płakał nad nami —

XIII.

Jakiś cię Anioł okropny odmienił
I przysłał dzieło wypełniać straszliwe:
Lud rozhartował — a ciebie skamienił,
I kazał ludy orać jako niwę —
Abyś co? — wiatry wiejące spłomienił
Duchami? — które wyszły z ciał — a żywe,
Wkrótce w anielskiej zjawią się ozdobie —
Jak wiatr: na ciebie! — i przeciwko tobie! —

XIV.

Miej więc dzień jeszcze ten jeden w zarządzie
Siłę, która jest w mieczu i toporze —
Ja ciebie czekam na ostatnim sądzie
Z tym listem — który w mogiłę położę!
Czekam za światem ciebie! na wylądzie
Brzegu — o który grzmi ogniste morze,
Krwią twoją jasne i zafarbowane! —
Czekam! — Z tym listem przeciw tobie stanę! —

XV.

Tu ci nie błyśnie więcej moje lice,
Choć niedaleko lecę — żóraw szary.
Pobytu mego mają tajemnicę
Ja tylko — mój koń — i mój Rapsod stary.
Prędzej byś zgonił letnią błyskawicę
Niż mego konia. — Człowieka zaś wiary,
Jeźli cię starość i pieśń pełna wdzięku
Nie skruszą? — spróbuj królu, masz go w ręku!»

XVI.

Taki był straszny starego Swityna
List — ja w nim groźbę jęczącą słyszałem,

I opór ducha, który się zaczyna
Od jęku tylko — a staje się ciałem.
Więc jak skrzydlata skoczyłem gadzina,
Z całą wściekłością! z całym ducha szałem!
Choćby królestwo całe przyszło ruszyć?
Wszystko! — a złamać harfiarza — lub skruszyć!

XVII.

Stary był — pomnę — Zorjan się nazywał. —
Gdy go palono, cichszy od owieczki,
Na lirze sobie czasami podgrywał.
I szedł przez ogień z uśmiechem piosneczki.
Ani klątw rzucał — ani wydobywał
Głosu wielkiego z maleńkiej lireczki:
Głaskał ją tylko — wyjaśniwszy lice, —
Niby zlęknioną, białą gołębicę.

XVIII.

Zdawał się mówić i twarzą i ręką,
Jakby nad brzegiem szemrzącego zdroja:
«Nie bój się liro! bo śmierć nie jest męką!
Ani się lękaj cielesnego zboja! —
Nie bój się moja maleńka lirenko,
Nie bój się siostro! nie bój córko moja! —
A na toż by to nasza mądrość była,
Gdyby przed śmiercią skonać nie uczyła?

XIX.

Przyjmowano cię po domach i chatach,
Pókiś ty ze mną była wędrownicą.
Bądź-że dziś wdzięczna — a nie płacz przy katach,
Bo się ucieszą i ton twój pochwycą.
Czekaj — wstaniemy oboje po latach,
Gdy błysną łuki z tęcz nad okolicą! —
Wstaniemy razem z wielką jaką zgrają
Harfiarzy, co jak Anioły śpiewają!

XX.

Czekajże liro! — śpij! — Błogosławiona
Ta błyskawica jasna i rumiana!»
Tu, wzięty w złote ogniste ramiona,
Zniknął. — A mój duch uczuł wtenczas Pana.
Czeluść okropna mych ust otworzona,
Suchość i jakaś pożarność gardlana —
Pierś, która wiatru w się więcej nie bierze,
Ostrzegły — że już do piekła należę —

XXI.

Dysząc na konia siadłem — od popiołów
Które pożarły pieśń, obsypan — w szale.
A tłum siepaczy, jakby archaniołów,
Ubrany w złoto, w bursztyn, w miedź i w stale,
W skrzydła — w moc wielką tortur, gwoździ, kołów
Zaopatrzony — za mną w Wisły fale
Rzucił się — gotów mordować do końca.
Wszyscy na koniach jaśniejszych od słońca.

XXII.

Ja przodem. — W czerep czarny, ołowiany,
Ukrywszy głowę moją jak w kapturze;
Bom w sobie uczuł wstyd nieopisany —
Twarz mieć jak gryszpan, wzrok jak ogień w chmurze;
Przypadłem w zamek jeden nadwiślany,
Który zastałem cały już w purpurze —
Że trupy swoje wyrzezane chował.
Duch mój przedemną tam był — i mordował.

XXIII.

I przestraszyłem się — bo mi z pamięci
Wczoraj wydane rozkazy wypadły. —

Katowie stali wszyscy trwogą zdjęci,
Stali blademi przedemną widziadły;
Jam wrzeszczał: kto tu prędzej niż me chęci?
Niż myśli moje? kto srożej zajadły
Na krew Swityna niż ja, wpadł w pokoje?
Kto tu wypełnił jak Bóg — myśli moje?

XXIV.

Duchowi memu to przypisać muszę,
Bo ziemia nie ma takich rozbójników!
Zmiękczyłyby ich te dzieciątek dusze,
Ta wyspa pełna wierzb, olch i słowików;
Te sionki z cedru — które głosem ruszę —
A one pełne ech, jęków i krzyków,
Swityna głosem brzmią na każdem piętrze,
Jakby starego instrumentu wnętrze!

XV.

Ja jeden — który do szaleństwa skłonność
Mam — wpadłem tutaj o jutrzenki świtach;
Ani sal cisza, ani belek wonność,
Ani pieśń rodu, śpiewana w sufitach;
Ani mię zemsty nieudolnej płonność,
Ani szatan tu, ani Bóg w błękitach —
Nie zatrzymali. — Nic nie ma na niebie!
Ja sam jak Pan Bóg będę sądził siebie!

XXVI.

To mówiąc kostur wraziłem okuty
W ścianę i rzekłem do moich oprawców:
Tę noc na ucztę; jutro dzień pokuty
Dla mnie i dla was zbrodni wykonawców. —
Tu zamek cały błysnął nakształt huty
Ognisk czerwienią. — A ja tych bladawców,
Zbrodniami bladych, otoczony wieńcem,
Siadłem — trup jasny pijaka rumieńcem.

XXVII.

I ucztowaliśmy w zamku wygodnie.
Swityna własne nam służyły misy,
Stągwie, kobierce, czary i pochodnie,
I krwią cuchnące wonnych ław cyprysy.
Czary nam do rąk podawały Zbrodnie —
Widma — w płaszczach z krwi, z zielonemi rysy,
Stojące z boku upiory czerwone,
Wyraźne — a gdyś spojrzał wprost — zniknione.

XXVIII.

A w tem przyleciał giermek zadyszany
I te wyrazy z ust wyrzucił skore:
Panie! ogromny znak jest ukazany;
Na niebie miotła płomienista gore! —
Jam zbladł: i kostur wyrwawszy ze ściany,
Sądząc że widzę ducha albo zmorę,
Która mi wróżbę nieszczęśliwą szczeka —
Na wskroś przeszyłem w pierś tego człowieka.

XXIX.

A sam wybiegłem na ganek odkryty,
Z którego widok szedł po okolicy,
Na drżące wielą gwiazdami błękity,
Poddane jednej, ogromnej gwiazdzicy. —
Ta, jako wielki miecz z pochew dobyty,
Karbunkuł miała czerwony w głowicy;
A ten się błyskał i mienił na zarzy,
Jak oko w ducha niewidzialnej twarzy! —

XXX.

Wtenczas — w tej gwieździe oczyma usiadłem,
I mocowałem się z nią jak z szatanem;

Truciznami ją serdecznemi jadłem,
Trawiłem jadów duchowych grynszpanem —
Więc czasem ona — a czasem ja bladłem.
Ażem nareszcie padł — jednem kolanem
Przyklękły — dysząc — przejasnemi świty,
Jak rycerz w szrankach dzidą w pierś przebity.

XXXI.

I obaczyłem w gwiaździe niby znamię
Ognistsze — powiek mgnięcie i błysk oka:
Wtenczas uczułem że mi ducha łamie
Na wieki, jakaś moc — straszna — głęboka! —
Więc obróciwszy ku ludziom przez ramię
Twarzy — i palcem ognistego smoka,
Który w niebiosach wił jasnym ogonem,
Wskazując, rzekłem: przyszła z moim zgonem —

XXXII.

Kometa. — I tu, coraz bardziej blady,
I mieszając się już, rzekłem ponuro:
Świat zwyciężyłem! i oto są ślady
Żem duch mający moc — nad tą naturą!
Gwiazdy tę gwiazdę wysłały na zwiady
Czym żyw? czy jeszcze okryty purpurą
Czynię rzecz króla, człowieka i zboja?
Niebo się zlękło o świat. — To śmierć moja.

XXXIII.

Idźcie. — Już więcej nie jesteście sługi
Mojej wściekłości, lecz rycerze twardzi.
Kupiłem naród krwią — i nad jej strugi
Podniosłem ducha który śmiercią gardzi.
Nie jeden sobie wieśniak wieczór długi
Umili pieśnią — i tem się rozhardzi
Że będzie o swych ojcach przypominał,
Jak śmiało na śmierć szli — gdy król wyrzynał!

XXXIV.

Co do mnie — jam jest bicz okropny, boży,
I będę cierpiał, co mi przeznaczono.
Za chwilę jednę otchłań się otworzy!
Piorun rozerwie moje wielkie łono!
Wściekłoście — jak psi spuszczone z obroży!
Żądze — jak słońca ogniste rozpłoną!
Ogromne ze mnie na wiatr pójdą cienie —
Wszech miłość zmyta w krwi — i wszech cierpienie!

XXXV.

Duch mój odpowie. Lecz wy jak dzieciątka,
Jak białych jagniąt jesteście gromada.
Wszystko com czynił, szło z jednego wątka,
I cały ciężar zbrodni na mnie spada.
W kurhanach tylko zostanie pamiątka,
I w pieśni długiej wędrownego dziada,
Żem żył. — Chwasty mi porosną na grobie —
Inny was Anioł rozmiłuje w sobie —

XXXVI.

Ale po latach! — Chciałem mówić więcej,
Wtem się zaczęła kości targanina.
Przez ołowiany kaptur sto tysięcy
Szło iskier — topniał na mnie drut i cyna.
Chciałem zachować dumny kształt książęcy,
Lecz tak pękałem się jak w ogniu glina.
Oczy się chmurą zasłoniły carną
I duch się cały skupił w jedno ziarno.

XXXVII.

Nic więcej. — Straszne zaćmienie i głusza!
Na sercu ręki bożej położenie:

Docisk ostatni — pod którym się dusza
Pękała w skazy, a wzrok szedł w sumienie. —
Więc jako robak co się w ogniu rusza
Tak ona — póki w ustach było tchnienie —
Leżała na dnie swej serdecznej plamy —
Aż Bóg otworzył jej — wieczności bramy.

XXXVIII.

Taki był koniec mojego żywota,
Śpiewany długo w kraju przez Rapsodów:
Którzy nie doszli w czem była istota
Czynów? w czem wyższość od rzymskich Herodów?
Nademną była myśl słoneczna, złota —
Do niej moc ciemnych okrwawionych wschodów
Wiodła mię prosto w złotych celów progi:
Jam szedł — jak rycerz, krwawo i bez trwogi.

XXXIX.

Życie dźwięczało w każdej ducha strunie,
Moc słychać było w każdym moim kroku:
Choć być na takiej drodze? — lepiej w trunie!
Choć z myślą taką? — lepiej z włócznią w boku!
Prędzej czy później deszcz piorunów lunie
Na orła, który słońce miał na oku:
Na mnie — żórawia z wyciągniętą szyją,
W przyszłość — pioruny boże jeszcze biją —

XL.

Ale przeze mnie ta ojczyzna wzrosła,
Nazwiska nawet przeze mnie dostała;
I pchnięciem mego skrwawionego wiosła
Dotychczas idzie: Polska — na ból skała —
Fala ją druga nieraz z drogi zniosła,
I duch jej święty poszedł w kwiaty ciała
Bezwonne, martwe — lecz com ja wycisnął
Pod krwią? — tem zawsze zwyciężył, gdy błysnął! —

XLI.

Śpijże mój kształcie pierwszy — z ducha zdjęty —
Świecący w dali jak księżyc na nowiu;
Upiorny — za krew wylaną przeklęty —
W koszuli z drutów i w czepcu z ołowiu.
Klątwa na ciebie! jak na dyamenty,
Na bazaltowe kolumny w pustkowiu,
Pierwszej natury z ducha budowane,
W ciemność i w chmury i w piorun ubrane! —

XLII.

Lecz ja na tobie nogę postawiłem,
I dalej szedłem; a jużem był boży. —
Morza się cofną, góry pójdą pyłem,
I świat się komet deszczami zatrwoży,
Gdy duchem spełnię — co ciałem spełniłem! —
Duch — ukazany w pierwszej świata zorzy —
Któremu Pan Bóg swych zasłon uchyla,
A lat tysiące są jak jedna chwila.

DO

AUTORA TRZECH PSALMÓW

Podług Ciebie, mój szlachcicu,
Cnotą naszą, znieść niewolę.
Ty przemieniasz ziemską dolę
W żywot ducha na księżycu;
Głosem dziecka wołasz czynu —
Czynu — czynu! — Naród czeka —
A ty drżysz, gdy z ducha gminu
Błyśnie w ogniach twarz człowieka! —
Drżysz, gdy od kos ukraińskich
Długi, smętny brzęk zaleci
Do Warszawy, — gdzie was, dzieci,
Straszy teraz twarz Kilińskich!

Nie tak — nie tak, mój szlachetny,
Bo czyn ludu nie piosenka.
To nie w herbie z mieczem ręka,
To nie ród imieniem świetny,
To nie pieśni próżny twór —
To nie buntu próżna mara,
To nie chmurny lot i kara,
Gdzie zasługą upaść z chmur!
To nie na słońc, gwiazd granicy,
Z kochankami mdlejąc, latać;
Włosy splatać i rozplatać,
Tchnienie trącić w błyskawicy;
Ale twardo, ale jasno
Śród narodu swego stać —

Myślą bić, chorągwie rwać,
Świecić czynu tarczą własną!
W drogę, choćby niepowrotną,
Ale prostą – naprzód twarzą,
Z piersią czystą, choć samotną,
Choć ją sztyletami rażą! —
Z twarzą smętną, ale białą,
Chrystusową, choć zwiędniałą,
A ciągnącą lud do siebie
Niesłychanym bożym czarem.
Takim duchem i sztandarem,
Być na ziemi — jest być w niebie.

A ty jasny jakiś Panie,
Bo cię nie znam, ale słyszę,
Słysząc twoje wierszowanie,
Że ktoś jak perłami pisze,
Że ktoś nakształt się proroka
Stawia ludziom, — ale modny,
Jak historyk świata — chłodny;
Obejrzawszy świat z wysoka,
Swoje wiersze, jako cugi
Posłał na świat równym kłusem
I napełnił wóz Chrystusem,
Jak Owidjusz Faetonem
I rozesłał swoje sługi,
Swe kolory czcić pokłonem.

Honor myślom, z których błyska
Nowy duch i forma nowa;
Bo są światu, jak zjawiska,
Jako jutrznia są różowa —
Jak ogniste meteory
Stopom ludzi podesłane,
By gościńce Jrydjona
Pielgrzymowi. — A my od nich
Bierzem ogień i kolory —
I gwiazd dolatujem wschodnich.

Taką była dawniej dana
Poetyczna karm dla ludu.
Objawienie pełne cudu,
Myśl, jak mara niespodziana,
Z piersi naszej wychodziła,
Nakształt gwiazdy lub miesiąca,
Narodowi dźwiękiem miła,
Ludu sen wspominająca.

To jak słońce w pół-obłoku
Oczom wychodziła, rosła;
To jak róża na potoku,
Albo lekki sylf bez wiosła.
Jakaś siła niewidzialna,
Przez poetę na świat lana,
Wolna — jako Anioł Pana!
Silna — jako skra zapalna!

Dziś co? — Każdy wieszcz z rozkazem,
Każdy patron sam za sobą,
Nie z promieniem, lecz z wyrazem,
Nie z swych duchem, lecz osobą.
Kiedy gore świat cierpieniem,
Kiedy wzbiera czynu fala,
On się kładzie sam kamieniem,
Na ruch ludzki nie pozwala.
Chce zawrócić w stare łoże
Nowe fale — rzeki boże.
Do zbolałych serc nie wnika,
Czynu ludu nie ma w dłoni,
Ale w uszy formą dzwoni —
Albo dzwoni, albo syka.
Jego dźwiękiem, jego mową
Nie odetchnie pierś szeroka,
Nie pomyśli jego głową,
Skier nie weźmie z jego oka;
Tylko — z nędznej szyty płachty,
Zamiast wieszcza — sztandar jego

Krzyk: «na Boga czerwonego! —
«Ty, kto jesteś! nie rżnij szlachty!!» —

Któż i gdzie zagroził nożem?
Któż i gdzie ci stanął sporem?
Możeś spotkał się z upiorem?
Z całem dawnem Zaporożem —
Możeś słyszał pochód głuchy,
Krzyki krwawe, krwi namiętne
I księżyce nad krwią smętne
I sokoły w mgle, jak duchy? —
Może tobie zastąpiły
W poprzek twojej sennej hecki,
Nie ich duchy — lecz mogiły —
A ty zląkł się! — syn szlachecki!! —

Może tylko w noc pół-jasną
Upiór jaki nadlatywał,
Strzały sobie z ran wyrywał
I mgły krwią czerwienił jasną?
Chełm rozpalił w błyskawicę,
Miecz potrząsał purpurowy,
A okropne cztery głowy,
Niby perły, zausznice,
Z twarzą nieznajomych plemion,
Gdyby róże — niósł u strzemion? —
— A ty zaraz w ręku kord.
W kosach przed nim cała wieś!
«Duch ten, krzyczysz, jest to rzeź! —
«Duch ten, to czerwony mord!» —
— Nie mord, nie rzeź, to z girlandy
Co leciała po-nad Lidą,
Jakiś sługa dziewki Wandy,
Jakiś złoty husarz z dzidą,
Jakiś krzyża kapłan świecki,
Z tęczy widzeń oderwany
Znów — poleciał na kurhany —
— A ty zląkł się! — syn szlachecki!! —

Zkądże w tobie taka trwoga?
I od ludu rów i przedział?
Prawdę mówisz? — Nie! — na Boga,
Wiem, żeś prawdy nie powiedział!
Tylko jakieś sny czerwone,
Zaludnione czartów gminem,
Twych firanek karmazynem,
Jak róż jasne — jak sen płonne,
Pełne, mówię, mar szkaradnych,
Bez słońc, bez gwiazd, kwiatów żadnych,
Przestraszyły Cię, żeś krzyknął:
«Stójmy tak! na Ojców kości!» — —
I twój anioł już w przyszłości
Zabłyśniony — jak sen zniknął.

Jeszcze co? Ani zamachu —
Naród cały hasła czeka;
A krzyk pierwszy z ust człowieka,
Był okropnym krzykiem strachu!
Bo to sen na końcu pieśni,
Że magnaty kiedyś staną
Z wielką tęczą chorągwianą,
Otrząśnięci z wieków pleśni,
Z wielką myślą w sercu — w głowie —
Chatom — niby Aniołowie;
Że bunt święty rozpłomienią,
Że świat cały od nich zgore.
— W tych magnatach serce chore;
Proch im sercem i proch rdzenią! —

Kiedyś ze sto was tysięcy
Było szlachty z serc i z lica;
Dziś jednegom znał szlachcica —
Kraj ich cały nie znał więcej.
Jeden tylko serca męką,
Zamiarami, choć nie skutkiem,
Wielkim, cichym, dumnym smutkiem,
Pełną zawsze darów ręką,

Smętną jakąś, dawną sławą
Był szlachcicem i miał prawo! —
Dziś i ten nie został z wami
I godności swej nie trzyma;
Poszedł gnić między królami —
Dziś go nie ma i was nie ma! — —

Bądźże mi weselszej cery,
Bo cię żywym być przymuszę,
Wygnaj z myśli Maryusze,
Cezary i Robespiery.
Z komet, z meteorów cyfer
Czytaj przyszłość, wieszczu młody;
Nie bądź w przyszłą noc pogody,
Jako gwiazda zła — Lucyfer,
Gdy słoneczny wóz wyciąga,
W morzu kąpie łeb i szyję,
A złem skrzy i w oczy bije
I bezsennym się urąga. —
Bo my z bezsennego łoża
Wzrok rzucamy gorączkowy,
A ty łyskasz blaskiem noża,
Dziecko — lub zły duch Jehowy,
Bo nam tworzysz czarną marę
I w zrodzoną rodzisz wiarę.

Ten, kto ojcu powie: Bakka!
Ten przeklęty; więc się bój!
Polski lud, to ojciec twój! —
Zeń, jak z cierniowego krzaka,
Gotów znowu Bóg wybuchnąć,
Z wichru uwić twarz i lice,
I na ciebie, jak na świecę,
Iść — i dalej pójść — i zdmuchnąć!

Więc się bój — bo nie ja grożę,
Marny człowiek i twój brat,

Ale jakiś straszny świat
I widzialne światła boże —
Z ciszą, z wiatrem i z szelestem,
Rzucające się na lud.
Strachy, które mówią: cud!
Ognie które szepczą: jestem!

Więc się bój; — bo duch się wdziera
I podważa miasta — wieże.
Słaby, mówisz, rzeź wybiera;
A czy wiesz, co on wybierze?
— Może ludów zatracenie,
Może nam przyniesie w dłoni
Komet, wichry i płomienie,
W których drży król — matka roni;
Działa, wozy, hufce, konie,
Ogień pali, ziemia chłonie,
A nikt z mogił nie korzysta,
Jeno wszczynający ruch,
Wieczny rewolucyonista,
Pod męką ciał — leżący duch!

Duch, ogień, młodość
Orla i żywa
Ogniem porywa
I z ducha czerpie.
Nad nią, na sierpie
Z blasków księżyca,
Boga-Rodzica.
W zorzy czerwonej,
Na wywróconej
Tęczy porannej!
A pod nią mgła
Z ognia i szkła,
W grze nieustannej
Bałwany wznosząca,
By znieść ją z miesiąca
Z gwiazdami złotemi

Postawić na ziemi,
Ogłosić królową:
Piękność, z płomieniem w sercu, z gwiazdami nad głową!

Wyszła, wyszła z za obłoku,
Ludom się pokaże —
I na żniwie i na toku
Ujrzą ją żniwiarze!
Cała w słońcach, cała w błyskach
Z kwiatem złotym w dłoni
Pastuszkowie przy ogniskach
Zaśpiewają o niej! —
Ujrzą ją na polu trzody
I smętnie zaryczą,
Zadrżą drzewa, staną wody,
Sny z niej tęcz pożyczą!
W polu zejdą się włódarze,
Z kosami na roli;
Bo się we snach snu pokaże
Człowiek dobrej woli.

A tu niżej
Kilka krzyży —
Krzyk namiętnych.
Głos uciszysz,
A usłyszysz
Jęki smętnych.
Zebrzydowscy
I Zborowscy
W czerwonych deliach,
Błyskawice
I dziewice
W bladych kameliach.
Chór przechodzi,
Zda się, w łodzi,
O brzeg trąca.
Nad smętnemi
Lampa ziemi,
Okrąg miesiąca.

Zegar świata,
Ptak Piłata,
Godzinę pieje.
Strach i nudności,
W grobach drżą kości,
Bezduch szaleje.
Duch uciska,
Mroczy i błyska,
Aż uzupełni
Wiek idący,
Bogiem błyszczący,
Jak księżyc w pełni. —

We łzach nasze ręce podnosimy do Ciebie,
Panie, odpuść nam winy!
Niech będzie Twoja wola na ziemi i w niebie;
Przez nas czyń Twoje czyny!
Niechaj się Twoje imię na wysokościach święci,
Niech się święci trzy razy!
Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci
Dla wad naszych i zmazy.
Wspomnij, cośmy cierpieli pod chłostą tych mocarzy,
A ducha-śmy nie dali.
Nie poznaliby ojce naszych bolesnych twarzy,
Gdyby z grobowca wstali.
Gdyśmy cierpieli mocno, wołaliśmy do góry,
Jak gołębie: «nie ciśnij!» —
Duchy, jak gołębice, rozleciały się w chmury,
Zatrwóż! nich wrócą! — błyśnij! —
W tej błyskawicy Panie obaczym się z daleka:
Brat pozna swego brata,
I wejdzie nieśmiertelność niby Anioł w człowieka
I staniem ludem świata! —

W takim hymnie wieszczu stój;
Bo pieśń taka pójdzie górą,
Nad podlejszych dusz naturą
Panująca; boży strój,

Do którego Bóg nagina
Wszystkie wieku tego struny;
Złączy dźwięki i pioruny
Świat, co kocha i przeklina.
Z błękitów rzuci na tła
Przemienioną krwawość w światła —
Anioł się z aniołem zetrze
Chrystus wstąpi na ciał łamy
I z Chrystusem się spotkamy,
A spotkania plac — powietrze! —


Gimnazjum im. J. I. Kraszewskiego
w Białej
Księgozbiór
84

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.